

**Komu zaufasz
w najmroczniejszym
momencie?**

zdrada doskonała

Lauren North

Lauren North

ZDRADA DOSKONAŁA

przełożyła Agnieszka Walulik



Tytuł oryginału: *The Perfect Betrayal*
Copyright © North Writing Services Ltd 2019
Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXX
Copyright © for the Polish translation by Agnieszka Walulik, MMXX
Wydanie I
Warszawa MMXX

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Spis treści

Dedykacja

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18
Rozdział 19
Rozdział 20
Rozdział 21
Rozdział 22
Rozdział 23
Rozdział 24
Rozdział 25
Rozdział 26
Rozdział 27
Rozdział 28
Rozdział 29
Rozdział 30
Rozdział 31
Rozdział 32
Rozdział 33
Rozdział 34
Rozdział 35
Rozdział 36
Rozdział 37

Rozdział 38

Rozdział 39

Rozdział 40

Rozdział 41

Rozdział 42

Rozdział 43

Rozdział 44

Rozdział 45

Rozdział 46

Rozdział 47

Rozdział 48

Rozdział 49

Rozdział 50

Rozdział 51

Rozdział 52

Rozdział 53

Rozdział 54

Rozdział 55

Rozdział 56

Rozdział 57

Rozdział 58

Rozdział 59

Rozdział 60

Rozdział 61

Rozdział 62

Rozdział 63

Rozdział 64

Rozdział 65

Rozdział 66

Podziękowania

Dla mojej przyjaciółki Kathryn Jones

Rozdział 1

Poniedziałek, 9 kwietnia – dzień po urodzinach Jamiego

Strzęp czasu – o, jakże krótki – kiedy morfina w moim ciele zaczyna słabnąć, ale ból jeszcze się nie odezwał. Jest na tyle rozmyty, że nie zakłóca moich myśli, mogę więc mieć pewność co do czterech spraw:

PO PIERWSZE – znajduję się w szpitalu.

PO DRUGIE – dźgnięto mnie nożem.

PO TRZECIE – ty żyjesz.

PO CZWARTE – Jamie zaginął.

Pięć minut – zgaduję, że tyle to potrwa. Pięć minut, kiedy moje serce wali z siłą, od której całe ciało podskakuje. Pięć minut, kiedy wiem, że muszę coś zrobić. Nasz syn zaginął, a ja nie jestem pewna, czy ktokolwiek zdaje sobie z tego sprawę, czy ktokolwiek go szuka. Pięć minut, zanim znowu uwięzi mnie ból przerywający się przez brzuch, jakby krojono mnie od środka, i będę musiała zaciskać usta, żeby nie krzyczeć z tęsknoty za tobą i za środkami przeciwbólowymi.

W trakcie tych pięciu minut uświadamiam sobie, że jest przy mnie Shelley. Jej palce na mojej skórze wydają się lepkie i zastanawiam się, ile czasu już tak siedzi na plastikowym krześle obok mojego łóżka. Cofam rękę, ale otwieram oczy i nasze spojrzenia się spotykają.

– Tess. Jak się czujesz? – Nachyla się do mnie na kilka centymetrów.

Wychwytyuję zapach jej perfum Chanel. Przywołuje on we mnie wspomnienie ostatniego razu, kiedy ją widziałam: stała w naszej kuchni obok Iana, ścisnęła w dłoni nóż do krojenia tortu urodzinowego Jamiego. Jedynym dźwiękiem było kap, kap krwi ściekającej z ostrza na podłogę.

W ustach czuję coś puchatego. Moje policzki wypycha wata. Nie mogę wydobyć głosu.

– Chcesz wody? – pyta Shelley, jak zwykle czytając w moich myślach, tak samo jak ty.

Obok niej stoi dzbanek. Shelley nalewa wody do plastikowego kubeczka i przysuwa mi go do ust. Kręcę głową, a wtedy błękitne ściany oddziału szpitalnego wirują mi przed oczami.

– Gdzie Jamie? – Słowa drapią mnie w gardło jak odłamki szkła, ale zmuszam się, żeby je wypowiedzieć.

Shelley obraca się gwałtownie, rzuca ukradkowe spojrzenie na trzy pielęgniarki siedzące przy biurku po przeciwnej stronie sali.

– Przykro mi, Tess. Proszę cię, skup się na tym, żeby dojść do siebie. Tutaj nic ci nie grozi.

Nic mi nie grozi? A co niby miałyby mi grozić? Albo kto? Gdzie jest Jamie?

Na moim czole zbiera się kropelka potu. Ścieka w tył, pomiędzy moje kręcone włosy, łaskocze. W jamie brzusznej zaczyna się budzić ból. Mój oddech jest płytki – wdech, wydech, wdech, wydech. Przeszywające kłucie unosi się z brzucha do klatki piersiowej.

– Wy to zrobiliście – szepczę. – Ty i Ian.

Shelley kręci głową, jej gładkie jasne włosy kołyszą się z boku na bok.

– Ja tylko chciałam ci pomóc.

– Był tu Mark. On to załatwi.

– Mark? – Coś się zmienia w jej twarzy. Przez ułamek sekundy jej źrenice się rozszerzają, a potem znowu kurczą. Przestraszyłam ją. – Mark nie żyje – mówi Shelley, wolno wypowiadając słowa. – Zginął w styczniu.

To nieprawda. Mark tu był. Siedział na twoim miejscu. Jego palce gładziły grzbiet mojej dłoni, jestem tego pewna.

Shelley nie odpowiada i dopiero po chwili uświadamiam sobie, że powiedziałam to wszystko tylko w myślach.

– Mark... on...

Ból rośnie we mnie jak dzika bestia i niespodziewanie nie mogę znaleźć w sobie ani słów, ani uprzedniej pewności. Mark, byłeś tutaj, prawda?

– Odpocznij trochę. – Shelley ściska moją dłoń. – Kiedy się zdrzemniesz i porozmawiasz z lekarzem, poczujesz się lepiej.

– Chcę zobaczyć Jamiego. – Usiłuję odsunąć rękę, ale nie jestem w stanie. – Proszę, przyprowadź go do mnie. – Mój głos brzmi błagalnie i desperacko, ale nie dbam o to.

– Nie mogę tego zrobić – odpowiada Shelley, znowu kołysząc włosami.

Uśmiecha się, ale widzę strach czający się w jej ładnych zielonych oczach. Czego ty się boisz?

– To mój syn. Nie możesz mi go odebrać.

Shelley po raz ostatni ściska moją dłoń, po czym odsuwa się od łóżka.

– To był kiepski pomysł. Nie powinnam była tu przychodzić. Przepraszam cię, Tess.

Patrzę, jak rozmawia na końcu oddziału z pielęgniarką o włosach ufarbowanych na wiśniową czerwień. Obie odwracają się, żeby na mnie spojrzeć, a potem Shelley znika. Nie dajcie jej odejść! – mam ochotę krzyknąć. Jamie wcale nie zaginął – to ona go ma. Sama nie wiem, która z tych możliwości jest gorsza.

Mark, gdzie ty się podziewasz? Jamie nas potrzebuje.

Pielęgniarka rusza energicznie w moją stronę. Ktoś woła ją z innego łóżka, lecz ona odpowiada: „Chwileczkę”, po czym podchodzi do mnie i bierze moją kartę szpitalną. Coś na niej zapisuje. Co takiego? Co jej powiedziała Shelley? Co ona pisze? Chcę zapytać, ale ból odbiera mi siły i czuję narastający w sobie krzyk.

Gdzieś piszczy jakieś urządzenie. Każdy świdrujący pisk jest niczym śrubokręt wwiercający się w moją czaszkę.

– Ma pani dobrą przyjaciółkę – mówi pielęgniarka z silnym dublińskim akcentem.

Ona wcale nie jest moją przyjaciółką. Nigdy nią nie była.

– Mój syn... – Nie mogę dokończyć zdania.

– Podam pani kolejną dawkę środków przeciwbólowych – dodaje pielęgniarka, odkładając kartę z powrotem na miejsce.

Rozpaczliwie pragnę ją jej wyrwać i przeczytać, co w niej zapisała, ale nie robię tego. Nie mogę. Wszystko mnie boli.

Dopiero kiedy wstrzykują mi kolejną dawkę i zaczynam zsuwać się w mętłą otchłań nieprzytomności, wraca do mnie głos Shelley. „Tutaj nic ci nie grozi”.

Czy na pewno? I co właściwie miałyby mi grozić? Gdzie jest Jamie?

Moje myśli, podobnie jak ból, rozmywają się w niewyraźną plamę, czepiam się więc tego, co wiem na sto procent.

PO PIERWSZE – znajduję się w szpitalu.

Usiłuję przypomnieć sobie resztę, ale wszystko zniknęło.

Skąd ja się tutaj wzięłam?

Jak do tego doszło?

Rozdział 2

**Zapis rozmowy między ELLIOTEM SADLEREM (E.S.)
A TERESĄ CLARKE (T.C.) (PACJENTKĄ SZPITALA OAKLANDS,
ODDZIAŁU HARTFIELD), WTOREK, 10 KWIETNIA, 16.45. SESJA
1**

E.S.: Dzień dobry, Tess. Jak się pani czuje?

T.C.: Ja? Nic mi nie jest, to o Jamiego powinniście się martwić. W kółko powtarzam, że on zaginął, ale nikt mnie nie słucha. Mówiłam już temu drugiemu – temu policjantowi, takiemu młodemu, z rudymi włosami, był tutaj dziś rano. Moim zdaniem to sprawka Shelley. Albo Iana. W każdym razie ona coś wie. Ale nikt nie traktuje mnie poważnie. Proszę pana, panie inspektorze, niech mi pan powie, czym wy się w ogóle zajmujecie? Muszę wiedzieć, co się stało z Jamie.

E.S.: Policja robi wszystko, co w jej mocy.

T.C.: Wystarczyłoby, żeby znalazła Shelley. Chryste, przecież ona tu wczoraj była, tutaj, w tym szpitalu. Ona wie, gdzie jest Jamie. Sama bym jej poszukała, gdybym tylko mogła stąd wyjść.

E.S.: Jeśli chce pani pomóc, to proszę mi opowiedzieć, co się wydarzyło dwa dni temu wieczorem. W niedzielę. Była pani wtedy w domu.

T.C.: Niedziela była dwa dni temu? Więc Jamiego nie ma już od dwóch dni? O Boże...

E.S.: Co się wtedy wydarzyło?

T.C.: To były jego urodziny. Skończył osiem lat. Urządziliśmy przyjęcie.

E.S.: Kto jeszcze tam był? Kto panią dźgnął?

T.C.: Nie... (*pauza*) Nie pamiętam.

E.S.: A co pani pamięta?

T.C.: Pamiętam, że była tam Shelley. Myślałam, że to nasza przyjaciółka. Myślałam, że chce pomóc. Miała taki świetny kontakt z Jamiem. To wszystko moja wina. Jamie to cały mój świat. Jeśli cokolwiek mu się stało... (*płacze*)

ADNOTACJA: Sesja zawieszona ze względu na wzburzenie pacjentki.

Rozdział 3

Poniedziałek, 12 lutego – 55 dni do urodzin Jamiego

W dniu twojej śmierci rozpałam w ogrodzie ognisko.

Tak, zgadza się. Twoja żona, stuprocentowa mieszcuszka, wreszcie zaczęła się przystosowywać do życia na wsi. Wszystko przez tę cholerną stertę gałęzi, która leżała na samym środku trawnika. Ile czasu minęło, od kiedy przyciąłeś żywopłot od strony ulicy i zostawiłeś wszystko na stosie, a potem zapomniałeś to sprzątnąć (kolejna niedokończona robota)?

To było przed Bożym Narodzeniem, przynajmniej tego jestem pewna.

Oczywiście wtedy jeszcze nie wiedziałam, że nie żyjesz. Może gdybym została w kuchni i dalej szorowała szafki, komentując na głos audycję Kena Bruce'a w radiowej dwójce, dowiedziałabym się o tym, zanim policja zapukała do drzwi. Ale akurat w tamtej chwili, tamtego ranka, gałęzie irytowały mnie bardziej niż brudne szafki, a że dzień był pogodny – niebo błękitne i kryształowo czyste – wymaszerowałam na dwór w kapciach, uzbrojona w zapałki, płyn do zapalniczek oraz niedzielną gazetę, i szszszuuuu: buchnęły ogniste jęzory.

Ogarnął mnie dreszcz czystych emocji. Trzaskanie płomieni i woń skwierczących gałęzi rozbudziły we mnie wspomnienie Dnia Guya Fawkesa: hot dogów i palonych kukieł z chybotającymi się głowami. Szkoda tylko, że nie poczekałam na Jamiego, żeby mógł to zobaczyć. Taka byłam z siebie zadowolona, że miałam ochotę ruszyć w tan dookoła ogniska.

Po chwili płomienie zaczęły lizać wierzch sterty, szary dym wzbijał się kłębamii niczym oddech ze smoczej paszczy. I nagle przestał wzbudzać we mnie nostalgię, tylko zwyczajnie drapał w gardło, a ja stałam

w przemokniętych kapciach wśród wirujących drobinek popiołu. Uciekłam z powrotem do domu, otrząsając popiół z włosów i śmiejąc się z siebie i ze swojego głupiego momentu szaleństwa. Rozejrzałam się po kuchni za telefonem, żeby wysłać ci zdjęcie.

Lecz ostatecznie tego nie zrobiłam. Zresztą i tak byś go nie zobaczył. Już nie żyjeś.

Próbuję sobie przypomnieć, jakie to uczucie śmiać się tak, jak śmiałam się tamtego dnia, ale nie potrafię. To wspomnienie przedstawia teraz zupełnie obcą osobę. A przecież to było tylko cztery poniedziałki temu. Okazuje się, że cztery tygodnie to całe życie. Ciekawe, czybyś mnie teraz poznał, gdybyśmy minęli się na ulicy. Moje rudawoblond loki, które kiedyś zdawały się żyć własnym życiem, teraz oklapły i wiszą byle jak na karku. Wreszcie udało mi się też stracić resztki ciążowego tłuszczu – wystarczyło tylko siedem lat i twoja śmierć.

Cztery poniedziałki. Cztery tygodnie bez ciebie.

Promień słońca przebija się przez podzielone na małe szybki okno, rzuca romby światła na kuchenny stół i małe pudełko przede mną. Patrzę, jak romby kładą się na ciemnym drewnie szafek; drzwiczki wiszą nierówno na zawiasach.

Nie cierpię tej kuchni.

Jak w takim wielkim domu może być taka ciasna, ponura kuchnia? Tęsknię za naszą starą kuchnią. Nie jest to ta sama rozdzierająca tęsknota, którą odczuwam na myśl o naszym wspólnym życiu, ale jednak – przelotne szarpnięcie, wspomnienie lśniących białych kredensów, gładkich podłóg i przestrzeni.

Mój wzrok pada na pudełeczko na stole, leżące obok miseczki z rozmokniętym musli, którego nie zdołałam w siebie wmusić. Pudełeczko jest małe, błękitne jak kacze jajo. Nad prostokątną etykietką

z moim imieniem i nazwiskiem znajduje się wyraźny, czarny nadruk: „Fluoksetyna. Pani Teresa Clarke. 1 × tabletki 20 mg dziennie”.

W ustach lekarza brzmiało to tak prosto: „Pani Clarke, smutek bardzo często prowadzi do depresji. Na podstawie opisanych przez panią objawów zalecałbym leczenie antydepresantami. Na początek wypiszę pani receptę na trzy miesiące, a potem proszę się umówić na kolejną wizytę. Chciałbym też, żeby się pani zapisała na rozmowę z psychologiem specjalizującym się w żałobie”.

Byłam u niego zaledwie tydzień temu. Chciałam, żeby przepisał mi coś na sen; jakiś lek, który wciągnie mnie w nicość pozbawioną koszmarów – ale on powiedział, że mam depresję. Wcale nie czuję się tak, jakbym miała depresję. Przeważnie czuję tylko, że jest mi zimno.

Tessie, ty wcale nie potrzebujesz tych leków.

Na dźwięk twojego głosu ból w moich piersiach mięknie. Ale jest jak modelina, którą kiedyś Jamie uwielbiał się bawić: tak plastyczny, że rozciąga się po całym ciele. Ja wiem, że nie żyjesz. Wiem, że ten głos w mojej głowie nie jest prawdziwy. To tylko ja sama: mówię sobie to, co wiem, że byś mi powiedział, gdybyś tu był. Ale to też pomaga.

Nie potrzebujesz ich.

To samo powiedziałaś i wtedy, ostatnim razem, kiedy nie mogłam się zwlec z łóżka, żeby zawieźć Jamiego do przedszkola. Powiedziałaś, że sama to pokonam, że umysł jest silniejszy od materii: że mogę odepchnąć od siebie smutek i poczucie pustki.

I podziałało, prawda? Naprawdę ci się poprawiło.

Po jakimś czasie.

Czuję pulsowanie w oczach – groźbę łez. Dałam się ponieść myślom. Skupiam się na tym, co rzeczywiste, na odgłosach domu. A odgłosów jest tu mnóstwo. Rury z gorącą wodą skrzeczą i pohukują, wiatr w kominkach zawodzi jak upiór, szyby grzechoczą w zbutwiałych drewnianych ramach. Jednak wszystkie te hałasy zagłusza teraz nasz

syn. Tup, tup, tup – słyhać jego ociężałe od snu kroki w drodze do łazienki.

Wyobrażam sobie, jak myje zęby, przeskakując środkową szczerbę po mleczakach. Napiera językiem na ząb na górze, sprawdzając, czy mocno się rusza, i zastanawia się, czy dziś wreszcie jest ten dzień, kiedy ząb wypadnie. Na pewno urósł od dnia, kiedy umarłeś. Ale ja... ja się skurczyłam. Czuję się taka zagubiona, taka mała, kiedy nie otacza mnie twoje ramię. Lecz naszego synka nic nie powstrzyma przed dorastaniem.

Kroki stają się cichsze – Jamie wraca do swojego pokoju, żeby się ubrać.

Mija minuta czy dwie i pojawia się w kuchni.

Czuję przypływ emocji. Jest nasz chłopczyk. Łagodne fale ulgi zalewają ból, który ściska mnie za serce. Jest Jamie. Ciebie już nie ma, więc świat się zatrzymał, ale jest jeszcze nasz syn. Więc przynajmniej nadal mam swój świat.

– Cześć, skarbie – mówię.

Jamie wsuwa się na krzesło naprzeciwko mnie. Na stole czeka na niego miska z łyżką.

Spoglądam na zegarek na mikrofalówce. Już ósma trzydzieści pięć. Gdzie się podział ten czas?

– Znowu spóźnimy się do szkoły. Przepraszam. Straciłam poczucie czasu.

Na jego czole pojawia się zmarszczka. Jamie nie cierpi się spóźniać. Kiedyś mu to nie przeszkadzało. I nie krzywił się w ten sposób. Ten wyraz wygląda zbyt dorośle na jego siedmioletniej buzi, ale widzę go na niej coraz częściej i częściej, zwłaszcza kiedy Jamie patrzy na mnie i obejmuje wzrokiem moją niezdrową bladość i ciemne smugi pod oczami.

Jego spojrzenie pada na pudełeczko w mojej ręce – leki, które powinnam zażywać, ale nie zażywam. Podnoszę się zbyt szybko, szurając krzesłem po brzydkich czerwonobrazowych płytkach podłogowych, i odkładam tabletki na górę listów piętrzącą się obok mikrofalówki. Sterta chwieje się pod wpływem dodatkowego ciężaru.

Kiedy znowu się odwracam, wyraz troski na jego twarzy już zniknął i Jamie znowu jest tylko chłopcem. Sięga po pudełko z płatkami ryżowymi i przesypuje sobie do miseczki za dużą porcję.

Tessie, trzeba by go ostrzyc.

Zawsze to powtarzasz.

Jego blond loki, tak podobne do moich, są trochę niesforne. Jamie odgarnia je z twarzy, żeby nie wchodziły mu do oczu. Pamiętasz tamtą położną, kiedy się urodził? Jak ona cmokała językiem, kiedy rozpływaliśmy się w zachwytach nad jego intensywnie błękitnymi oczętami. „Niedługo pobędą tak niebieskie” – rzekła pogodnie. Ale pobyły.

Ciągle odkładam wizytę z Jamiem u fryzjera, lecz tym razem z innego powodu niż ten, dla którego nie otwieram poczty i nie sprawdzam wiadomości na automatycznej sekretarce. Chodzi o to, że pod każdym innym względem Jamie wygląda tak jak ty, Mark – długie nogi, kwadratowa szczęka, prosty, spiczasto zakończony nos. Jeśli podetnę mu włosy, stanie się jeszcze bardziej podobny do ciebie. Zresztą on też woli dłuższe. Kiedy dopada go nieśmiałość, może się chować za grzywką.

– Masz wszystko? – pytam. – Gdzie twój sweter od mundurka?

Jamie wzrusza ramionami – usta ma pełne płatków, więc nie może odpowiedzieć.

– Ja też nie mam pojęcia. A gdzie go zostawiłeś w piątek?

– Nie wiem – mówi Jamie.

Ogarnia mnie zniecierpliwienie. Tuż za nim, niczym kowboj na koniu, nadjeżdża złość; słowa wystrzelają z moich ust, zanim mogę się powstrzymać:

– Jamie, na litość boską! Gdzie posiałeś ten cholerny sweter?

On kuli się, cofa przed gniewem w moim głosie i teraz czuję się beznadziejnie. Naprawdę beznadziejnie.

Jamie zwiesza głowę, garbi się nad miską, a po jego policzku stacza się pojedyncza łza.

– Nie przeklinaj. To nieładnie – szepcze.

– Przepraszam – mówię gwałtownie, przykucając obok jego krzesła. – Nie powinnam na ciebie naskakiwać, a tym bardziej przeklinać. Nie zrobiłaś nic złego. Po prostu niezbyt dobrze się dzisiaj czuję. Ale to nie twoja wina. Przepraszam cię. – Podnoszę się, przygryzając dolną wargę.

– W weekend zrobiłam pranie. Chyba widziałam ten sweter, kiedy je rozwieszałam – kłamię. – Dokończ śniadanie, a ja pójde go poszukać.

Jamie kiwa głową i wiem, że wszystko już w porządku. A w każdym razie na tyle, na ile może być w porządku bez ciebie.

Moje kapcie człapią po drewnianym parkiecie, kiedy pospiesznie wychodzę z kuchni do przedpokoju z ciężkimi dębowymi drzwiami wejściowymi. Sprawdzam pokój za pokojem, szukając zaginionego swetra. Najpierw jadalnia: przed ogromnym kominkiem, czarnym po dziesiątkach lat zbierania sadzy, stoi ciemny, lśniący drewniany stół z kompletu mebli po twojej matce. Ma ten sam kolor co dębowe tudorskie belki widoczne na ścianach i suficie.

Ani śladu po swetrze.

Nie pamiętam, czy go prałam. Nie pamiętam, czy rozwiesiłam go do suszenia. Kolejne wspomnienie zagubione we mgle, w której teraz żyję.

Idę przez przedpokój do salonu z kolejnym kominkiem i widokiem na ogród; krawędź orientального dywanu znaczą ślady nadpaleń, uzbierane

przez lata leżenia przy trzaskającym ogniu. Chciałam go wyrzucić, ale mi nie pozwoliłeś.

Tessie, on świetnie pasuje do tego pokoju.

Może i tak. Nie mogę powiedzieć, żeby mnie to w tej chwili obchodziło. Ale czarna narożna kanapa z naszego dawnego salonu zdecydowanie nie wygląda tu dobrze, prawda? Jest za mała i za nowoczesna, podobnie jak płaskoekranowy telewizor stojący na szklanym stoliku. Świetnie pasowały do kwadratowego salonu w naszym bliźniaku w Chelmsford, ale nie tutaj.

Spodziewałam się, że znajdę sweter Jamiego obok playstation, ale go tam nie ma, więc idę dalej. Korytarzem za schody, do pomieszczeń na tyłach: do biblioteki pełnej starych egzemplarzy „Reader’s Digest” i drugiego salonu, czy też bawialni – jak zwał, tak zwał – zastawionej pudłami. Połowy z nich wciąż nie rozpakowaliśmy, a w reszcie są rzeczy po twojej mamie.

Wchodzę na górę wąskimi tylnymi schodkami i zaglądam do kolejnych sypialni. Wszystkie poza naszą i Jamiego pełne są śladów po siedemdziesięciu dwóch latach życia twojej matki, wylewają się z nich brud i kurz pozostawione przez kobietę, która uważała, że sprzątanie jest poniżej jej godności.

Faktycznie, pod koniec nieco zdziwaczała.

Och, Mark, w życiu nie słyszałam takiego eufemizmu – no, ale kimże jestem, żeby komentować czyjeś zdrowie psychiczne. W końcu zdaniem lekarza mam depresję.

Zaglądam do łazienki. Złote armatury, kremowe wyposażenie, na podłodze i ścianach glazura w kolorze bakłazana, ale po swetrze ani śladu. Wreszcie znajduję go w pokoju Jamiego. Jego sypialnię wypełnia mieszanka kolorów: czerwono-niebieska pościel ze Spider-Manem, zielone figurki żółwi ninja na regale, czarno-żółte zasłony z Batmanem

i dywanik w samochodziki, który Jamie ma od zawsze, a ja nie umiem się z nim rozstać.

Sweter wisi w szafie. Pachnie lawendowym płynem do płukania. Widać uprałam go i o tym zapomniałam; rozwiesiłam do suszenia na autopilocie, kiedy moją głowę zajmowały myśli o tobie, o nas.

– Znalazłam! – sapię, wpadając z powrotem do kuchni.

Jamie bez słowa wciąga sweter przez głowę.

– Gotowy? – pytam, ściągając włosy w węzeł, po czym obchodzę stół i ruszam w stronę kanciapy przy bocznych drzwiach, gdzie trzymamy płaszcze i buty.

Tylko nie przewracaj oczami – nadal mam na sobie twoje spodnie od piżamy w czerwoną kratkę.

Oj, Tessie. Serio?

Pod płaszczem i w kaloszach prawie ich nie widać. A poza tym przecież tylko odprowadzam Jamiego do szkoły.

Wiem, że gdybym podjechała ten kawałek alejką do wioski, mogłabym pomachać Jamiemu z samochodu i nikt nie zobaczyłby tych spodni od piżamy, ale wiem też, że dziś rano nie nadaję się do siadania za kierownicę. Właściwie to do chodzenia piechotą też nie. Stopy mam jak z ołowiu, a kolana z galarety.

Słońce jest bladożółte, ale świeci jasno, mrużę więc oczy, pochylam głowę i skupiam się na drodze.

Obok rozlega się ryk silnika i znowu na ułamek sekundy błyska mi ta myśl, to straszliwe „a co, gdybym” – zastanawiam się, czy nie wejść prosto pod koła samochodu, żebyśmy znowu mogli być razem. Uczucie natychmiast znika i niemal mogę udawać, że w ogóle go nie było. Niemal.

Przysuwam się do Jamiego i spycham nas oboje pod kłujący żywopłot rosnący po obu stronach alejki. Dni, kiedy Jamie mógł pędzić przodem

z kolegami z osiedla i czekać na mnie co trzecią latarnię, już dawno za nami.

Szkoda, że nie ma tu żadnych chodników.

„Tessie, przestań. Przestań się zamartwiać” – powtarzałeś w pierwszy dzień Jamiego w nowej szkole, i w ogóle zawsze, kiedy trzęsłam się o wszystko, co mogłoby się wydarzyć – wszystko, nad czym nie mam kontroli, jak chodniki i katastrofy lotnicze.

Wzięłeś wtedy wolne i poszliśmy do szkoły całą trójką, pamiętasz?

„Taki urok wsi” – powiedziałaś, trącając Jamiego, i obaj się roześmialiście. Bo śmieszyło was, kiedy mogliście mówić: mamusia to głuptasek, nie lubi chodzić drogą obok jeżdżących samochodów. Mamusia to głuptasek, chciałaby chodnik zamiast zarośli. Mamusia to głuptasek, woli osiedla od falujących pól, pokrytych grubą warstwą ciemnego błota.

„Dzisiaj w drodze do szkoły agencja Clarke Tour zabierze państwa na wycieczkę po naszej wiosce” – powiedziałaś, udając głos przewodnika. Jamie i ja wybuchnęliśmy śmiechem. „Nasz dom dzieli około półtora kilometra od kościoła, gospodarstwa Hall Farm oraz budynku starej szkoły, do której uczęszczałem, zanim na osiedlu wybudowano nową. Obecnie w starej szkole mieści się chyba biuro księgowości. W wiosce jest też urząd pocztowy, weterynarz, plac zabaw oraz nowe osiedle”.

„Nowe?” – prychnęłam. „Nowy to był nasz dom w Chelmsford”.

„No dobrze, więc może nie nowe-nowe, ale nowe jak na tę wioskę. Wybudowano je w latach siedemdziesiątych. Owo nie-tak-nowe osiedle położone jest równoległe do starej drogi, przy której mieszczą się domy w stylu tudorskim, między innymi nasz”.

„I chałupy z sianem na dachu” – wtrącił Jamie.

„To się nazywa strzecha” – powiedziałam, ściskając go lekko za rękę.

„A jeśli dopisze państwu szczęście, po szkole zabiorę państwa do jednego z trzech miejscowych pubów na paczkę czipsów, które kosztują

o wiele więcej, niż powinny, oraz na gorącą czekoladę”.

I wyszczerzyłeś się jak chłopiec, na co ja przewróciłam oczami, a Jamie krzyknął z radości.

„Chyba raczej na lampkę wina, które kosztuje o wiele więcej, niż powinno” – stwierdziłam.

„Podoba mi się pani pomysł, pani Clarke. Jeśli będzie pani bardzo grzeczna – dodałeś, nachylając się do mojego ucha tak, że poczułam na skórze łaskotanie twojego oddechu – to pozwolę się pani pocałować za przystankiem autobusowym, dokładnie w tym samym miejscu, w którym przeżyłem swój pierwszy pocałunek w życiu. Z pewną piersiastą panną o imieniu Kerry Longston”.

„Oj, Mark!” – roześmiałam się.

Zawsze potrafiłeś mnie rozśmieszyć.

Kiedy dochodzimy do zakrętu, wyłapuję na wietrze odległy zapach ogniska. Bardzo nikły; może to zwykła sztuczka umysłu, ale mimo to dym łaskocze mnie w płuca i zanim się orientuję, znowu widzę reportaż w telewizji, widzę samolot na czystym błękitnym niebie, widzę kulę ognia. Zaciskam oczy i czuję pod powiekami kłucie łez. Mój oddech robi się szybki i ciężki.

Jeszcze kilka kroków i wreszcie mijamy zakręt, a zapach dymu znika, zastąpiony wonią chłodnego, pełnego rosy poranka.

– Mamo? – W moich uszach rozbrzmiewa głos Jamiego, odległy i miękki.

– Nic mi nie jest, skarbie – szepczę, kłamiąc już po raz enty tego dnia.

– Gdzie mój plecak?

– Ojej. – Wpatruję się w swoje dłonie, jakbym nie widziała, że nic w nich nie mam. Gdzie plecak i butelka z wodą Jamiego? Spoglądam na puste ręce naszego syna i znowu ogarnia mnie złość, ot tak. – Zapomnieliśmy go zabrać – syczę przez zaciśnięte zęby.

Jamie, to przecież twój plecak, do jasnej cholery! Twój, a nie mój. Na litość boską, kiedy ty wreszcie dorośniesz i zaczniesz za siebie odpowiadać?! – krzyczę w myślach, próbując zdusić to wszystko w sobie, ale złość przebija z mojego głośnego westchnienia i widzę, jak Jamie kuli ramiona.

– Przepraszam, mamó – mówi tak cicho, że prawie go nie słyszę.

Czuję w sobie taki ból, że boję się, czy nie rozerwie mnie na pół.

„Kocham cię na Księżyc i z powrotem” – mawiałam kiedyś codziennie do naszego syna. Jego odpowiedź też zawsze brzmiała tak samo: „A ja ciebie na Słońce i z powrotem razy sto”.

Nigdy nie było między nami słów złości ani milczenia.

Zawracamy w kierunku naszego dużego, białego domu z czarnymi, lekko odkształconymi belkowaniami. Z powrotem do labiryntu pomieszczeń w kształcie litery L, do zimna i mroku. Z powrotem do zapachu ogniska i wspomnień, które on przywołuje.

Kiedy wreszcie docieramy do szkoły, plac zabaw jest pusty. Wszystkie dzieci weszły już do środka. Jamie się odwraca i znika w budynku, a moja poranna złość nagle ulatuje i czuję już tylko pustkę rozciągającego się przede mną dnia.

Kiedy przypominam sobie tamten pierwszy miesiąc bez ciebie, zastanawiam się, czy powinnam była się spodziewać jej nadejścia. Jak syreny policyjnej, błyskającej w mroku jaskrawo i niebiesko. Czy gdybym nie była tak pochłonięta tobą i swoją żalobą, zauważyłabym, że moje życie przekierowuje się właśnie na zupełnie nowe tory? Dawna Tess – ta, którą byłam przedtem – wrzeszczy, że TAK, ale ta nowa wcale nie jest tego pewna.

Rozdział 4

Poniedziałek, 19 lutego – 48 dni do urodzin Jamiego

Sto lat, sto lat dla mnie! Trzydzieści osiem lat. Kiedy to minęło? Oczywiście moje urodziny w tym roku musiały wypaść w poniedziałek. To już pięć, Mark. Pięć poniedziałków bez ciebie.

Wszystkiego najlepszego, Tessie.

Przynajmniej jest pochmurno. Chmury wiszą nisko niczym gruby szary koc, więżą pod sobą nocne zimno, a szron na zaroślach przy drodze połyskuje jak brokat. Chyba nie przeżyłabym kolejnego bezchmurnego dnia z błękitnym niebem, na którym samoloty zostawiałyby te swoje białe smugi – znowu miałabym owo poczucie wielkiej niesprawiedliwości, rozdzierające mnie od środka jak dziki zwierz.

Przynajmniej jest pochmurno.

Rano Jamie przyłapał mnie, kiedy siedziałam przy kuchennym stole, wstrząsana potężnym szlochem, i sam też zaczął płakać, bo myślał, że mnie czymś zdenerwował, na co ja z kolei rozpłakałam się jeszcze bardziej, bo znowu zachowałam się beznadziejnie i samolubnie.

– Nie płacz, mamusiu. Proszę cię, nie płacz – powtarzał raz za razem, kiedy tuliłam go w ramionach.

Zanim oboje zdążyliśmy się uspokoić, byliśmy już spóźnieni do szkoły. Skarciłam go ostro za to, że zgubił buty od mundurka. Okazało się, że stały dokładnie tam, gdzie powinny, przy bocznych drzwiach. I znowu oboje wybuchnęliśmy płaczem.

Zapytałam Jamiego, czy nie wolałby zostać ze mną w domu, ale powiedział, że nie. Bo w poniedziałki ma wuef.

Dotarliśmy na miejsce z półgodzinnym opóźnieniem. Oboje wyglądaliśmy jak siedem nieszczęść. Przynajmniej w szkole nie czepiają się o nasze ciągłe spóźnienia. Już się spodziewałam, że dyrektor wezwie mnie na szybką rozmowę, ale nikt nawet do mnie nie podszedł. Nie wiem, czy to z szacunku dla mojej straty, czy ze strachu przed tym, jak zareaguję – i nic mnie to nie obchodzi.

Nie był to przyjemny początek dnia.

Ale przynajmniej dzięki tej sytuacji zaczęłam się zastanawiać: może jednak powinnam zażyć dzisiaj tabletkę. Zrobię to, gdy tylko wrócę do domu, gdy tylko się rozgrzeję w gorącej kąpieli. Być może.

Tessie, nie potrzebujesz tych leków.

Łatwo ci mówić.

Oto czego człowiekowi nie mówią na temat żałoby: jest ci wtedy zimno. Naprawdę zimno. Jak tylko się dowiedziałam, ściął mnie lodowaty chłód. I do tej pory trzyma. Nie wspominało o tym w żadnej z licznych broszurek na temat Radzenia Sobie z Utratą Bliskiej Osoby, które wbrew mojej woli wciskano mi do rąk w ciągu ostatniego miesiąca. Wszędzie nic, tylko kolejne etapy żałoby: odrętwienie, szok, złość, poczucie winy. Emocje te wylicza się w punktach pogrubioną czcionką, jakbyśmy my, czyli ludzie w żałobie, mogli zwyczajnie odhaczyć je jedną po drugiej, a na koniec wrócić do normalności.

W drodze ze szkoły do domu szczękam zębami i cała się trzęsę. Jedyne, o czym mogę myśleć, to gorąca wanna. Nie zauważam wielkiego czarnego land rovera zaparkowanego przy wjeździe na podwórko. W każdym razie nie natychmiast.

Wszystko dzieje się w jednej chwili. Wychodzę za zakręt, przeciskam się pomiędzy autem a ceglanym murem, przeklinając pod nosem, gdy zahaczam łokciem o boczne lustro, i nagle widzę ciebie i czuję w uszach szum jakby zimowego wiatru.

To ty. To naprawdę ty. Stoisz na naszym podjeździe. Twój półuśmiech. Twoja przechylona głowa. Kocham cię. Kocham cię. Kocham cię.

Na ułamek sekundy świat staje się taki jak dawniej. Mrok, mgła i zimno – wszystko to znika, a ja się uśmiecham. Nastąpiła jakaś pomyłka. Straszliwa, straszliwa pomyłka. Ty żyjesz, a ja cię kocham.

Lecz w ciągu uderzenia serca, równie szybko, jak się zjawiała, radość znika. Rzeczywistość uderza we mnie z taką samą siłą jak słowa posterunkowej Greenwood tamtego dnia:

„Pani mąż był na pokładzie... Nikt nie przeżył”.

To nie ty. To tylko twój brat. Jak mogłam go wcześniej nie zauważyć – tego podobieństwa między tobą a Ianem? Widać je w oczach – ciemnobrązowych, idealnie owalnych. Jak ja tęsknię za twoimi oczami. Tęsknię za tym, jak brałeś moją twarz w dłonie i się we mnie wpatrywałeś.

Włosy też macie identyczne. Co prawda Iana są krótsze, bardziej korporacyjne, lepiej pasujące do jego roli partnera w kancelarii prawnej Clarke & Barlow – ale tak samo proste i czekoladowobrązowe jak twoje.

– Cześć, Tess – mówi Ian.

Podchodzi bliżej, miażdżąc ostatni szept nadziei czający się jeszcze w mojej wyobraźni. Nie jest taki wysoki jak ty; bliżej mu do mojego metra pięćdziesięciu pięciu. Kiedy do mnie dociera, jego oczy – twoje oczy – znajdują się dokładnie na poziomie moich.

– Cześć. – Nie wiem, gdzie podziąć wzrok. Nie jestem w stanie na niego patrzeć, spoglądam więc w prawo i gapię się na boczne drzwi do kuchni, białe, na czarnych zawiasach.

Obejmujemy się – wypada to dziwnie i niezgrabnie: nasze stopy nie ruszają się z miejsca, jedynie ciała nachylają się ku sobie. Do tej pory podczas tych nielicznych okazji w ciągu roku, kiedy się widywaliśmy,

Ian nigdy mnie nie obejmował. Zawsze tylko machał ręką i rzucał: „O, cześć, Tess” jak do jakiejś przypadkowej kuzynki na weselu, której nikt nie miał ochoty tam zapraszać.

Po raz pierwszy objęliśmy się na pogrzebie. Nie pamiętam, czy to ja wyszłam z inicjatywą, czy Ian, ale wygląda na to, że teraz już tak zostanie.

– Próbowałem się do ciebie dodzwonić – mówi, kiedy się od siebie odsuwamy.

– Przepraszam. Miałam... miałam grypę – kłamię.

– Przez całe dwa tygodnie? – W jego głosie brzmi niedowierzanie i nie wiem, co na to powiedzieć. – Możemy porozmawiać w środku?

Nie czekając na moją odpowiedź, Ian wchodzi na ganek przy bocznych drzwiach. Pozostaje mi tylko podążyć za nim, jakbym to ja była tu gościem, a on gospodarzem.

Kiedy wsuwam klucz do zamka, zauważam, że trzęsą mi się ręce. Nie jestem pewna, czy to pod wpływem tamtego przywidzenia, że to ty stoisz na podjeździe, czy tylko z powodu zimna. Tak czy inaczej, nie mogę otworzyć tego starego draństwa.

– Daj – mówi Ian, przysuwając się bliżej i machając ręką, żebym się odsunęła. – W taki mróz trzeba podnieść nieco drzwi, kiedy przekręcasz klucz. Zawsze się zacinały.

Zawiasy skrzypią i jęczą, drzwi wreszcie się otwierają. Ian wchodzi do kuchni, a ja stoję w progu i myślę o tym, że bardzo nie chcę za nim podążyć.

Nieważne, że Ian nie mieszka tu już od dobrych dwudziestu lat – nadal zachowuje się tak, jakby dom należał do niego, jakby wasza matka wciąż żyła i kręciła się gdzieś po pokojach.

Tessie, to mój starszy brat. Chce dobrze.

Może i tak, ale nigdy nie przestał traktować cię jak głupiego nastolatka, a mnie i Jamiego – jakbyśmy byli dla ciebie tylko fazą

przejściową.

Ty jesteś taka sama. Nigdy nie dałaś mu szansy.

Zrzucam buty i w wełnianych skarpetach przechodzę do kuchni. Od płytek podłogowych marzną mi stopy. Ogrzewanie się wyłączyło i temperatura w domu jest taka sama jak na zewnątrz. Nie żeby to miało jakiegokolwiek znaczenie. Mogłaby tu panować fala tropikalnych upałów, a mnie nadal byłoby zimno.

Ian opiera się o zlew przy oknie z widokiem na podjazd. Wpatruje się w stół i nasze miski z niedojedzonymi płatkami; musli napęczniało i zastygło w wilgotną masę. Zauważam grymas na jego twarzy, wyraz pogardy dla tego bałaganu. Poprawia krawat i prostuje się lekko.

– Proszę – mówi. Podnosi rękę i dopiero teraz zauważam w niej reklamówkę. – Przywiozłem trochę winogron. I czekolady. Nie byłem pewien, co lubisz.

– O, dzięki.

Ian wydaje się rozczarowany moją reakcją. Czyżby liczył na większą wdzięczność? Może i masz rację – może nigdy nie dałam mu szansy.

– Jak to miło z twojej strony – dodaję.

– Tess, przepraszam, że cię o to proszę – mówi Ian – ale ta sprawa nie może dłużej czekać. Ja naprawdę potrzebuję tych pieniędzy.

Pieniądzy. To słowo odbija się w mojej głowie jak piłeczka. Mogłam się domyślić, że Ian nie przyjechał tu po to, żeby się ze mną zobaczyć albo zapytać, co słychać u Jamiego.

– Jakich pieniędzy?

Ian ściska palcami nasadę nosa i przymyka oczy. Ty też tak robiłeś.

– Przecież tłumaczyłem ci już na pogrzebie – mówi. – Po waszej przeprowadzce pożyczyłem Markowi pieniądze. Powiedział, że o tym wiesz. Przez te kilka miesięcy, zanim zdołaliście sprzedać dom w Chelmsford, potrzebne mu były moje pieniądze ze spadku po mamie.

Przełykam ślinę. Przez chwilę szczękam zębami. Niewiele pamiętam z pogrzebu. Tylko deszcz dzwoniący o witraże. Zimno kamiennych murów przesączające się przez mój płaszcz i sukienkę aż do bryły lodu, która już się we mnie zagnieździła. Reszta to pustka – czarna dziura, wykasowana scena.

– Tess?

Podrywam się, słysząc w jego głosie zniecierpliwienie. Jego oczy w półmroku kuchni wydają się ciemniejsze. Mimowolnie żałuję, że nie przeprowadziliśmy tej rozmowy na zewnątrz; nie żeby dano mi w tej sprawie jakiś wybór.

– Dom w Chelmsford sprzedaliśmy od ręki – mówię. Odwracam się plecami i skupiam na sprzątaniu misek.

Ian robi mi miejsce przy zlewie, ale nie proponuje pomocy.

– Sprzedaliśmy go, a za uzyskane pieniądze i spadek po waszej mamie odkupiliśmy twoją część tego domu. Na brakującą kwotę wzięliśmy hipotekę. Wszystko załatwiali twoi prawnicy. Byłam w waszym biurze razem z tobą i Markiem, kiedy podpisywaliśmy dokumenty. Od razu przelaliśmy ci pieniądze. Przecież tam byłeś. Jacob Barlow też.

– Owszem. – Ian kiwa głową i mam wrażenie, jakbym w jego oczach była dzieckiem, które nie rozumie nawet najprostszycich spraw. – A potem znowu ode mnie pożyczyciście.

– Wcale nie. – Czuję nadchodzącą migrenę.

– Tess, potrzebne mi te pieniądze. – Ian robi krok w moją stronę.

Stoi tak blisko, że czuję cytrusowy zapach jego wody kolońskiej. Zastygam z miskami w dłoni. W jego oczach pojawia się jakiś błysk. Desperacja – myślę. A może frustracja.

– Jacob chce przejść na emeryturę i sprzedać swoje udziały w kancelarii – ciągnie Ian. – Na część potrzebnej kwoty wzięłam pożyczkę z banku, mam też oszczędności, ale to nadal za mało. Jeśli nie zdołam wykupić jego części, będziemy musieli sprzedać firmę

konsorcjum. Zachowamy nazwę i biuro, ale będziemy musieli działać zgodnie z odgórnymi wytycznymi. Cała moja harówka i reputacja trafią na śmietnik. Wiem, że dostałaś od firmy Marka świadczenie z tytułu jego zgonu. I że miał też polisę na życie. Zadeklarował to wszystko, kiedy spisywaliście swoje testamenty. Mogłabyś wykorzystać część tych pieniędzy, żeby spłacić mi należność.

Zgrzytam zębami i zaciskam usta, zanim wyrwie mi się coś, czego będę potem żałować. Nie znoszę tego, że Ian tyle o nas wie. Rzeczy, o których nawet ja nie mam pojęcia.

„Tess, to mój brat. Potrzebny nam radca prawny, a on da nam preferencyjną stawkę” – mówiłaś. „I to wcale nie on będzie naszym przedstawicielem. Jego partner może się tego podjąć”.

Lecz mimo to Ian nadal szperał w naszych aktach, prawda? Czytał twój testament.

W mojej pamięci przebija się pewne wspomnienie. Ian, elegancki i opanowany, w czarnym garniturze i krawacie, stoi przy mównicy i odczytuje mowę pogrzebową swojego autorstwa. Nie skupiałam się na jego słowach, lecz zapamiętałam, że opowiadał o waszym dzieciństwie spędzonym na wspinaniu się po drzewach i pływaniu w rzece. O życiu w tym domu, życiu sprzed czasów, kiedy się poznaliśmy. Tak niewiele o nim wiedziałam. A o mnie i Jamiem wspomniał na samym końcu, jakbyśmy byli tylko dodanym naprędce przypisem.

– Jeszcze... jeszcze nie zdążyłam się zająć finansami ani całą resztą – mówię. – Za wcześnie na to.

– Tess, minął ponad miesiąc. – Głos Iana łagodnieje. – Wiem, że cierpisz, ale naprawdę musisz się skontaktować z Jacobem. On też próbował się do ciebie dodzwonić. Jesteś wykonawczynią testamentu Marka. Dopóki sama nie rozpoczniesz procedury, nie będziesz miała żadnego dostępu do jego pieniędzy.

– Ty też nie.

Ian ma w sobie dość przyzwoitości, żeby zrobić zawstydzoną minę.

– Fakt. Ale ja tylko chcę ci pomóc. Takie sprawy mogą się ciągnąć miesiącami. A zresztą i tak figuruję w testamencie Marka jako drugi wykonawca. Mogę się tym wszystkim zająć w twoim imieniu. Wystarczy, że...

Kręcę głową.

– Chwileczkę. O jakiej kwocie w ogóle mówimy? Ile dokładnie mu pożyczyłeś?

– Sto tysięcy.

– Ile?! – parskam ze zdumienia, wrzucając miski do zlewu.

Łyżki stukają o porcelanę. Przecież to masa pieniędzy. Niewyobrażalnie wielka kwota.

Ian wzdycha i znowu ściska nasadę nosa.

– Mark powiedział, że to na remont domu i nową kuchnię. Miał mi oddać, kiedy dostanie przedłużenie hipoteki. Mówił, że o wszystkim wiesz.

– Czy ja mam minę osoby, która o tym wie? – pytam, odwracając się w jego stronę.

Ten tekst chyba zbija go z pantałyku, ale tylko na chwilę.

– No, nie wiem... w takim razie może Mark chciał ci sprawić niespodziankę. Naprawdę mi przykro, ale serio potrzebuję tych pieniędzy – mówi Ian. – Nie mogę już dłużej czekać.

– Jasne, ale ja z kolei potrzebuję swojego męża. A skoro ta opcja nie wchodzi w rachubę, będzie mi potrzebne świadczenie z tytułu jego zgonu, bo inaczej nie będę miała za co przeżyć.

Tylko co dalej? Tak się skupiałam na twojej śmierci, że w ogóle nie pomyślałam o pieniądzach. Jak my przeżyjemy za to, co dostaję za udzielanie korepetycji? Zakładając, że moi uczniowie ze mnie nie zrezygnują... Telefony od Iana nie były jedynymi, na które nie

zwracałam uwagi. A niedługo okres próbnych matur. Rodzice uczniów nie będą na mnie czekać.

Czy Ian ma rację? Czy naprawdę istnieje jakaś polisa na życie? Usiłuję sobie przypomnieć szczegóły twojego testamentu. Siedzieliśmy obok siebie w sali konferencyjnej, narzekając na gorzką kawę i zastanawiając się, dokąd pójdziemy później na lunch. Reszta nie bardzo mnie obchodziła. Nie sądziłam, że to wszystko ma jakieś znaczenie.

Trzeba było bardziej się wtedy skupić. Mark, powinieneś był mi powiedzieć, żebym słuchała uważnie, ale ty pozwalałeś mi żyć z głową w piasku, sam się wszystkim zajmowałeś. Jak wtedy, kiedy twoja matka umierała w szpitalu na zapalenie płuc, a ty mi powiedziałeś, że to tylko infekcja, nie ma się czym martwić. Częściowo była to prawda – ale tylko częściowo.

Tessie, ja po prostu próbowałem oszczędzić ci zmartwień.

Czy naprawdę aż tak tego wymagałam?

Nie chciałem, żebyś się ciągle zamartwiała. W kółko się czymś przejmowałaś, to ci szkodziło.

– Słuchaj, Tess – mówi Ian, ściągając mnie z powrotem do kuchni. – Bez względu na to, co o tym myślisz, jesteś w tej chwili jedyną osobą, która może dysponować majątkiem Marka. Znałem swojego brata. Nie chciałby tego wszystkiego przeciągać. Gdyby żył, już by mnie spłacił.

Wściekłość pojawia się znikąd, budzi się nagle i zaskakuje mnie samą w równym stopniu co mojego szwagra.

– Jak śmiesz? – syczę.

Ian odsuwa się, jakby moje słowa sprawiły mu fizyczny ból.

– Jak śmiesz mówić, że znałeś Marka? To ja go znałam. Znałam swojego męża. A wy? Na litość boską, przecież prawie ze sobą nie rozmawialiście. Co ty możesz wiedzieć o tym, czego on chciał albo nie chciał?

– Tess, byliśmy braćmi. Może i nieczęsto ze sobą rozmawialiśmy, ale razem się wychowaliśmy. Znałem go o wiele dłużej niż ty. A jeśli rzeczywiście tak dobrze znałaś swojego męża, to dlaczego nie wspomniał ci o tym, że pożyczył ode mnie pieniądze?

W jego głosie pobrzmiewa jakiś zagadkowy ton, który doprowadza mnie do wściekłości. Mam wrażenie, jakby Ian nie mówił mi całej prawdy.

– Rozmawialiśmy o tym już na pogrzebie – powtarza jeszcze raz, jakby dzięki temu wszystko nagle miało się stać jasne.

– Ciągłe to powtarzasz. Ale pozwól, że teraz ja cię o coś zapytam: nie przyszło ci do głowy, żeby poczekać z tym tydzień albo choćby i jeden dzień? Cholera, przecież mieszkasz o dwadzieścia minut stąd. Koniecznie musiałeś rozmawiać ze mną o tym akurat na pogrzebie?

Łzy spływające po policzkach palą mnie tak samo jak płonący w środku gniew.

– Dopiero co straciłam męża! – wyrzucam z siebie z wysiłkiem. – On był miłością mojego życia, czy ty to rozumiesz?

Ian porusza się lekko, a kiedy znowu się odzywa, jego głos jest cichszy.

– Masz rację. Przepraszam. Powinienem być poczekać.

Kiwam głową i emocje natychmiast opadają. W ich miejsce na powrót pojawia się wszechogarniająca ciemność.

– Nie chcę przysparzać ci problemów – mówię – ale naprawdę nie wiem nic o żadnej pożyczce. To Mark zajmował się naszymi finansami. Rozmawialiśmy kiedyś o remoncie kuchni, ale zamierzaliśmy sami odłożyć na to pieniądze. Przejrzę wyciągi z konta i skontaktuję się z Jacobem, obiecuję. Nie mieliśmy ostatnio żadnych wielkich wydatków, więc jeśli Mark faktycznie coś od ciebie pożyczył...

– On naprawdę to zrobił, Tess. Nie prosiłbym cię o zwrot, gdyby te pieniądze nie były mi pilnie potrzebne. W ogóle nie chciałem mu ich

pożyczać. Ale to miało być tylko na kilka miesięcy.

– Okej. Sprawdzę wyciągi.

– Dziękuję.

Przez chwilę stoimy w milczeniu. Żadne z nas nie bardzo wie, jak dalej poprowadzić rozmowę.

Tak przy okazji, Jamie ma się dobrze – mam ochotę powiedzieć. No wiesz, twój bratanek. Nie mam pojęcia, dlaczego mnie dziwi, że Ian nawet o niego nie spytał. Zawsze był typem wujka, który na urodziny daje maluchowi kartkę z życzeniami i dziesięciofuntowy banknot. Czemu się spodziewam, że nagle coś się zmieni?

– Przykro mi – mówi Ian. – To jest, przykro mi, że to się stało.

– Mnie też. – Kiwam głową i przesuwam dłonią pod oczami, chwytając kolejną łzę, zanim spadnie.

– Zajrzę do ciebie w przyszłym tygodniu.

Ian mówi to w taki sposób, że brzmi to jak groźba. On chyba też tak uważa, bo natychmiast dodaje:

– Mogę ci podrzucić jakieś zakupy spożywcze. Daj znać, jeśli będziesz czegoś potrzebowała.

– Zawiadomię cię, jak przejrzę konta.

Ian kiwa głową. Widzę, że chciałby powiedzieć coś jeszcze, trochę mnie przycisnąć. Ale moja wściekłość i łzy chyba trochę nim wstrząsnęły.

– Do widzenia, Tess. – Rusza do wyjścia, nie oglądając się za siebie.

Drzwi blokują się za nim i na powrót otwierają. Czekam, aż Ian je zatrzaśnie, ale on tego nie robi. Już poszedł: szura wypastowanymi butami po żwirze, wraca do swojego land rovera.

Dopiero kiedy docieram do drzwi, żeby je zamknąć, zauważam kwiaty. Jasnozielone łądygi przewiązane gumką recepturką, mięsiste liście i ciemnofioletowe główki. Tulipany. Cały bukiet – co najmniej dwadzieścia.

Żadnej folii. Żadnego liściku. Tylko dwie recepturki, żeby kwiaty się nie rozsypały.

Ian wycofuje auto na podjeździe, więc bez namysłu wybiegam w skarpetkach, podskakując i ślizgając się po żwirze – już prawie odjechał, ale muszę go o to zapytać. Spogląda w lusterko wsteczne, czy na drodze nikogo nie ma. Zauważa mnie dopiero, kiedy uderzam dłońmi o szybę. Podrywa się, zaskoczony moim nagłym wyskokiem i oszalałym wyrazem moich oczu.

– To ty zostawiłeś te kwiaty? – pytam gwałtownie, zanim ma czas otworzyć do końca szybę.

Ian kręci głową.

– Jakie kwiaty?

– Te przy bocznych drzwiach. To nie od ciebie?

– Nie.

Wracam do domu na uginających się nogach, niemal oczekując, że tym razem nic już nie znajdę, że te kwiaty to był tylko wytwór mojej wyobraźni, ale nie: nadal leżą w kącie, na wpół ukryte pod stosikiem ciemnych liści, które zebrały się na ganku. Czy ktoś je podrzucił podczas mojej rozmowy z Ianem? A może leżały tu już, kiedy wchodziliśmy do środka, tylko ich nie zauważyłam, bo Ian zasłaniał mi drogę? Nie wiem.

– Tess, tylko o tym nie zapomnij! Sprawdź te wyciągi, dobrze?! – woła Ian, wycofując auto na drogę.

Kiwam potulnie głową i już go nie ma.

Kto mógł zostawić dla mnie kwiaty? Bukiet tulipanów, dokładnie takich samych jak te, które co roku dawałeś mi na urodziny. Zapytałabym, czy nie są od ciebie, ale to jasne, że nie.

Rozdział 5

Gorąca woda leje się do wanny z głośnym szumem. Rury pod podłogą zaczynają jęczeć od ciśnienia. Lustro na ścianie pokrywa się parą, która tańczy w powietrzu i ścieka strużkami po szybie.

Nie będzie to luksusowa kąpiel z pianą. Nie chodzi o rozpieszczanie się – to konieczność. Muszę się jakoś rozgrzać.

Kiedy mam już dostatecznie dużo wody, zakręcam kran, pogrążając łazienkę w ciszy. Już mam się rozebrać, kiedy nagle coś słyszę – puk, puk, puk, potrójne serie, zbyt uparte jak na rury.

Dźwięk dobiega od strony drzwi. Puk, puk, puk, pauza, puk, puk, puk, pauza.

Oglądam się na wannę i przez długą chwilę rozważam, czy nie zignorować gościa. To na pewno tylko ksiądz – przyszedł sprawdzić, jak się miewam, tak jak zapowiadał na pogrzebie. Albo twój brat wrócił z kolejnym skrawkiem informacji o tobie, której nie znam. Innych możliwości nie ma. W ciągu czterech miesięcy, od kiedy tu zamieszkaliśmy, nie poznałam żadnych znajomych.

Puk, puk, puk, pauza, puk, puk, puk.

Ktokolwiek to jest, nie zamierza rezygnować. Kiedy schodzę na dół, klapka w otworze na korespondencję jest uniesiona i rozlega się kobiecy głos:

– Teresa? Pani Clarke? Jest pani tam? Może pani otworzyć drzwi?

Serce staje mi w piersi. Czy to policja? Czy coś się stało Jamiemu w szkole? Czterema susami pokonuję korytarz i gwałtownie otwieram drzwi.

– Tak? – Jedno słowo, rozedrgane i zatchnięte od szalejącej we mnie paniki.

Ale to nie policja. Tylko jakaś kobieta o prostych jasnych włosach do ramion, z grzywką prawie sięgającą ciemnych brwi. Uśmiecha się do mnie i uświadamiam sobie, że od czasu twojej śmierci jeszcze nikt się do mnie nie uśmiechał. Nie tak naprawdę, uśmiechem, zza którego nie wyziera litość. Uśmiech nieznajomej wręcz zmusza do identycznej odpowiedzi, lecz ja nie jestem w stanie się na nią zdobyć. Moja twarz zapomniała, jak to się robi.

Ładna jest. Typ dziewczyny z sąsiedztwa, o bladej, gładkiej cerze. Wygląda na niewiele młodszą ode mnie. Zgaduję, że ma koło trzydziestu pięciu lat. Kiedy tak patrzę na jej błyszczące zielone oczy i idealne białe zęby, czuję się zaniedbana i wyczerpana. Bo i jedno, i drugie jest prawdą.

– Pani Teresa?

– Wolę Tess. – Kiwam jej głową.

Do środka wpada podmuch wiatru, wyrywając drzwi z mojej ręki. Ciężkie drewno odbija się od wewnętrznej ściany przedpokoju tak mocno, że pozostawia wgłębienie w tynku. Odciągam drzwi i blokuję je stopą. Nieznajoma bierze to za zaproszenie, bo wchodzi do środka.

– Nazywam się Shelley Lange – mówi, zdejmując płaszcz, pod którym ma czarny sweter z dekoltem w serek i dzinsy rurki. Owalny medalion zawieszony na delikatnym łańcuszku sięga poniżej obojczyka. Ton, jakim się przedstawiła, sposób, w jaki na mnie patrzy – z uśmiechem, ale też oczekująco – sugerują, że jej imię powinno mi coś mówić. Ale nie mówi.

Zastanawiam się, ale w głowie mam tylko białą, pustą ścianę. Kobieta zsuwa zamszowe botki. Nadal nie mam zielonego pojęcia, kim ona jest. Omiata spojrzeniem ścianę za moimi plecami, zapewne rozglądając się za wieszakiem, bo potem składa płaszcz wpół i kładzie go na botkach.

– Byłyśmy umówione na wizytę – mówi.

– Naprawdę?

Nieznajoma się śmieje – to prawdziwy śmiech, taki prosto z gardła.

Ja też się tak śmiałam z innymi mamami w Chelmsford, kiedy wymieniałyśmy się historyjkami o eksplodujących pieluszkach i dziecinnych napadach złości w alejkach Tesco. Spuszczam oczy i zaczynam skubać skórki przy paznokciach.

Kiedy mamy z osiedla dowiedziały się o twojej śmierci, przesały mi orchideę w różowej porcelanowej doniczce. Więdnie teraz na parapecie przy kuchennym zlewie. Gdybyśmy wciąż mieszkali w dawnym domu, nieustannie byłyby przy nas, znosiłyby tace z ciastami i obiadami dla Jamiego i dla mnie.

Przyjechały na pogrzeb – Casey i Jo, Lisa i Julie. Nawet Debbie wzięła dzień wolny w pracy. Na pewno mają na WhatsAppie grupę na mój temat. Przesyłają sobie wiadomości, emotikonki ze zmartwionymi buziami. „Czyja teraz kolej, żeby napisać do Tess? Ktoś miał od niej jakieś wieści?”. Kiedyś im odpowiem. Chcą tylko wiedzieć, że sobie radzimy, a ja nie mam pojęcia, co im powiedzieć.

Kobieta w przedpokoju otwiera zarzuconą na ramię torebkę i wyciąga z niej telefon. Torebka jest z czarnej skóry, rodzaj teczki z cienkim paskiem, i tak mała, że zastanawiam się, jak zdołałabym w niej zmieścić choćby portfel, pełen bezużytecznych paragonów i przedawnionych kart członkowskich. Kiedy ja wychodzę na miasto, zabieram ze sobą torbę, do której zmieściłyby się dwie takie torebki.

Kobieta stuka w ekran telefonu, po czym odczytuje moje imię, adres i dzisiejszą datę.

Wzruszam ramionami.

– Owszem, to ja, ale na nic się nie umawiałam. Kim pani właściwie jest?

– Nazywam się Shelley, doradzam osobom, które straciły kogoś bliskiego. Pracuję jako wolontariuszka w organizacji Żałoba, oddział

w Ipswich. Prowadzę też prywatną praktykę. Powiedziano mi, że będzie pani na mnie czekać.

– Przepraszam, ale chyba zaszła jakaś pomyłka. Nigdzie nie dzwoniłam.

– Cóż, może się mylę, ale wygląda pani na kogoś, kto stracił niedawno bliską osobę.

– Nie, nie myli się pani, ale ja do pani nie dzwoniłam. – Mój ton jest obcesowy, pobrzmiewa w nim irytacja, choć wcale tego nie chcę.

Niespodziewanie przypomina mi się Jamie i to, jak dziś rano zachnęłam się na niego z powodu zapodziaanych butów do mundurka.

Nogi się pode mną uginają i mam ochotę usiąść, ale nie chcę wpuszczać tej kobiety do kuchni ani do salonu. Nie chcę, żeby poklepywano mnie po rękach i wciskano cały ten kit: „wszystko będzie dobrze”, „czas leczy rany”. To tylko biały szum, słyszałam to już niezliczone razy. Na pogrzebie od mojego brata i jego chłopaka, podczas licznych rozmów telefonicznych z mamą, od kobiety, która złapała mnie przy szkole, kiedy wracałam po odprowadzeniu Jamiego. Nawet listonosz zapukał raz do drzwi, żeby ofiarować mi jakieś perły mądrości na ten temat.

Ale oni wszyscy się mylą.

Shelley kiwa głową, rzeczowo, zdecydowanie.

– Dobrze, w takim razie zadzwonię do biura i sprawdzimy, co się stało. Mogę? – pyta, wskazując telefonem salon i wchodząc do środka.

Przez chwilę tkwię przy drzwiach, słuchając jednej strony konwersacji na mój temat. W głowie mi się kręci. Powolne obroty – jak wtedy, gdy karuzela na placu zabaw zwalnia, żeby się zatrzymać – aż wreszcie nie mogę tego dłużej znieść i drepczę do kuchni, żeby usiąść.

Chciałabym móc powiedzieć, że już wtedy naszło mnie jakieś przeczucie, że poczułam ciarki na plecach, zapowiedź tego, co się miało wydarzyć, ale nie. Nie poczułam nawet najlżejszego szeptu.

Tessie, to nie twoja wina.

Łatwo ci mówić, Mark.

Rozdział 6

– Piękny ma pani dom – mówi Shelley kilka chwil później, kiedy przechodzi korytarzem do kuchni. Przesuwa dłonią po ciemnej dębowej belce. – Taki stary... Niczym miniatura rezydencji z filmów historycznych. Zawsze się zastanawiałam, jacy ludzie w nich teraz mieszkają.

Mój umysł jest ociężały, myśli niezborne. Komplement Shelley równie dobrze mógłby być pytaniem z fizyki kwantowej – tak samo nie potrafię na niego odpowiedzieć.

– No dobrze, wygląda na to, że... hmm... że to pani matka do nas zadzwoniła. Właśnie skonsultowałam się z koleżanką, która się z nią kontaktowała. Długo rozmawiały. Pani mama się o panią martwiła. Mówiła, że zgodziła się pani na naszą wizytę, choć oczywiście widzę, że to nieprawda. Bardzo przepraszam za najście.

Przez moją głowę przepływa wspomnienie łzawego pożegnania mamy. Stałam w bocznych drzwiach, drżąca i odrętwiała, podczas gdy matka z trudem rozkładała chusteczkę, żeby otrzeć łzy na policzkach.

Po dwóch tygodniach jej wiszenia nade mną i stuk-stuk-stukania jej laski po parkiecie nie mogłam się doczekać, żeby dała mi spokój; niech wreszcie wsiądzie do taksówki, która aż nazbyt cierpliwie czekała na podjeździe. Jamie siedział przy stole w kuchni, słuchał Bóg wie czego na twoim starym iPodzie. Był zamknięty w sobie, nie odzywał się, a ja nie chciałam, żeby dalej musiał się zmagać z nieśmiałością. Chciałam, żeby mama sobie pojechała.

Kiedy zamykałam drzwi, coś jeszcze do mnie mówiła. Czy to możliwe, że wspomniała o jakiejś wizycie, a ja nie słuchałam?

Shelley przysuwa sobie krzesło i siada naprzeciwko mnie. Przynajmniej sprzątnęłam już miski po śniadaniu. Ale pudełko

z płatkami nadal stoi na stole. Jego błękit nagle wydaje mi się zbyt jaskrawy na tle tego całego brązowego drewna.

– Tess – mówi Shelley łagodnym, uspokajającym głosem. – Nie musimy teraz rozmawiać, jeśli nie masz ochoty. Ale może by ci to pomogło.

Wzruszam ramionami.

– Może być i teraz. – Lepiej mieć to już za sobą.

– Okej, w porządku. Więc jak się czujesz? – pyta, nachylając się nieco bliżej.

– Nieźle.

Shelley unosi brwi i kieruje na mnie spojrzenie zatroskanej matki rozmawiającej z dzieckiem. Obmywa mnie fala smutku. Szkoda, że nie mam energii, żeby kłamać, przykleić na usta uśmiech i potakiwać, ale czuję napływające do oczu łzy. Poza tym coś mi mówi, że kobieta, która siedzi w mojej kuchni, natychmiast by mnie przejrzała.

– Dzisiaj są moje urodziny – mówię z westchnieniem.

– Ojej, Tess, wszystkiego najlepszego.

– Nie wydaje mi się, żeby były zbyt udane.

– A jak sobie radzisz? – pyta znowu Shelley.

– Nie za dobrze – odpowiadam szeptem. – Wcale nie za dobrze.

– Twoja mama wspominała, że zapisałaś się na wizytę do lekarza. – Shelley mówi łagodnie i ostrożnie.

Widzę, że próbuje uszanować moją prywatność, ale to nie działa: czuję, jak się zjeżam. Ile ona o mnie wie? Jak dużo powiedziała jej mama? Na pewno wszystko.

– Jak poszło?

– Chyba nieźle.

W głowie nie mam już pustki: wypełniają ją wspomnienia ostatnich pięciu tygodni. Te chwile, kiedy denerwowałam się na Jamiego bez żadnego powodu. Przedostatni weekend, kiedy dostałam okresu i cały

dzień przepłakałam w łazience, zapominając o tym, że miałam zawieźć Jamiego do Liama, na przyjęcie urodzinowe w tematyce piłki nożnej, które od miesiący było zapisane w kalendarzu. Te nieskończone godziny, które przesiedzieliśmy razem na kanapie, jedząc pizzę na wynos i oglądając stare odcinki *Scooby-Doo*, bo na nic więcej nie było mnie stać.

– Czy lekarz przepisał ci jakieś leki? Może zasugerował coś innego?

Kiwam głową i czuję spływającą po policzku łzę. Jedyne, o czym jestem w stanie myśleć, to ten grymas troski na buzi Jamiego, kiedy na mnie patrzy. Siedmioletni chłopcy nie powinni się przejmować niczym poza wygraną w berka i tym, jak im się układa z kolegami. A już na pewno nie powinni się martwić o swoje mamy.

Koncentruję się na skubaniu skórki przy paznokciu kciuka.

– Powiedział, że mam depresję. Przepisał mi antydepresanty, ale... ja wcale nie czuję, żebym miała depresję. Chciałam tylko coś na sen.

– Miewasz koszmary?

Podnoszę gwałtownie głowę. Shelley już się nie uśmiecha, ale jej oczy nadal błyszczą. Zastanawiam się, skąd o tym wie.

– Tylko jeden. Jestem w nim... Jestem w nim w samolocie. Nie wiem, dokąd się wybieram, ale samolot nie leci, tylko tak jakby spada i wiruje, i wiem, że zaraz się rozbije. Wszędzie widać dym. Gęsty, szary dym, od którego pieką mnie oczy i bolą płuca. Po całej kabinie fruują bagaże z górnych schowków i próbuję osłonić przed nimi głowę, choć wiem, że samolot zaraz roztrzaska się o ziemię. A potem się budzę. Przysięgłabym, że nadal czuję wtedy smak tego dymu.

Oddycham głęboko i nagle ogarnia mnie wrażenie jakiejś dzikości. Serce wali mi mocno. To ten sam beznadziejny strach, który odczuwam po każdym przebudzeniu. Albo za każdym razem, kiedy sobie przypominam, że cię już nie ma.

– Tego dnia, kiedy zginął Mark, rozpałiłam w ogrodzie ognisko – tłumaczę. – Dopiero potem się o wszystkim dowiedziałam, ale teraz chyba jedno i drugie skleiło się w mojej głowie: ognisko i śmierć Marka.

Czekam, aż Shelley weźmie mnie za rękę i powie, że te koszmary przeminają. Ale ona wstaje z krzesła.

– Mogę nastawić wodę? Marzę o herbacie.

Wyszukuje kubki i herbatę w torebkach. Przez szum gotującej się wody i stukanie szafek prawie nie słyszę jej następnego pytania.

– Chcesz porozmawiać o tym, co się stało?

– Słyszałaś o tym samolocie? Tym, co się rozbił miesiąc temu?

– Boże, o tym samobójstwie pilota? Jasne, że słyszałam. Strasznie mi przykro. Nie znam szczegółów.

Coś dzikiego w głębi mnie przemienia się w gniew i wyrywa na zewnątrz, zanim mogę je powstrzymać.

– Dlaczego wszyscy to tak nazywają? To nie było żadne samobójstwo. To było morderstwo. – Woda w czajniku już się zagotowała, więc mój głos niesie się głośno i wściekle w nagłej ciszy. – Ten pilot zniszczył moją rodzinę. Nikt poza nim w całym tym samolocie nie chciał umrzeć. To... to było masowe zabójstwo. Morderstwo.

– Masz rację – mówi Shelley, otwierając lodówkę i wyciągając z niej butelkę mleka. Jej głos w porównaniu z moim jest równy, opanowany.

Kiedy zamyka lodówkę, jej palce lądują na zdjęciu Jamiego: magnesie zrobionym ze szkolnej fotografii sprzed przeprowadzki. Jamie nosił wtedy jasnoczerwony mundurek i miał krótkie włosy, które tamtego ranka przygładziłam mu żelem. Shelley przez długą chwilę wpatruje się w zdjęcie.

– To wasz syn. – Brzmi to jak stwierdzenie, nie pytanie. Skierowane jest bardziej do niej samej niż do mnie.

– Tak. Jamie. – Kiwam głową i czuję, jak wściekłość znowu wycofuje się do swojej jaskini.

Nagle mam wrażenie, jakby czyjaś niewidzialna ręka ścisnęła mnie za gardło. W oczach ćmi mi się od łez.

– Czy to ma jakieś znaczenie, jak on zginął? Czy czułabym się choć trochę mniej... złamana, gdyby dostał ataku serca za kierownicą?

Shelley dotyka mojego ramienia i stawia na stole herbatę.

– Pewnie nie – mówi, na powrót siadając. – My też mieliśmy synka. Dylana. Absolutny ideał. Jako dzidzius był śliczny i uśmiechnięty, jako niemowlak pełen energii. Myśleliśmy, że zostanie piłkarzem; kopał piłkę, jeszcze zanim nauczył się porządnie chodzić. Albo pływakiem. Uwielbiał wodę. – Shelley bierze głęboki wdech i bawi się medalionem na szyi, po czym mówi dalej: – W wieku dwóch lat wykryto u niego rzadki rodzaj białaczki. Umarł, kiedy miał cztery latka. Choroba była długa. Połowę jego życia spędziliśmy w szpitalu. Wiedzieliśmy, że umrze, ale kiedy wreszcie do tego doszło, ta świadomość wcale nam nie pomogła.

– Boże... – Moja ręka mimowolnie unosi się do ust. – Strasznie mi przykro – mamrocę i znowu czuję się beznadziejnie. Bo utrata dziecka jest jeszcze gorsza niż utrata męża. Wiem o tym nawet w moim obecnym stanie. Bez Jamiego byłabym niczym.

– Dziękuję – mówi Shelley.

Patrzemy sobie w oczy i czuję, że coś między nami przeskakuje: jakaś nić zrozumienia. Obie wiemy, jak straszliwa jest utrata kogoś bliskiego. Więc to dlatego Shelley wiedziała o moich koszmarach. Ciekawe, czy sama już się z nimi uporała.

– Latem minęły cztery lata – ciągnie Shelley. – Na początku miałam dookoła siebie wiele osób, które mi pomagały. Siostra zamieszkała z nami i wszystkim się zajmowała. Zmuszała mnie i Tima... to mój mąż... do jedzenia i wychodzenia z domu. Właśnie dlatego zgłosiłam się jako ochotniczka do tej organizacji, a potem zrobiłam kurs i zdobyłam dyplom konsultantki. Teraz prowadzę prywatną praktykę. Na samą

myśl, że miałabym przechodzić coś takiego bez wsparcia przyjaciół i rodziny... Nie mam pojęcia, jak bym to przeżyła.

Zapada milczenie. Shelley dmucha na swoją herbatę, zmieniając kierunek pary i przypominając mi o ognisku. Na samą myśl o tamtym dniu czuję swędzenie dymu w głębi gardła.

– Masz w pobliżu jakichś krewnych? – pyta Shelley.

– Mama mieszka godzinę drogi stąd. Nad morzem, w Westcliff. Ma artretyzm i jest bardzo słaba. Przyjechała tu na kilka tygodni, ale nie dawała sobie rady ze schodami, a ja... a ja nie mogłam na dodatek się nią opiekować. Dzwoni do mnie prawie codziennie, ale nie zawsze odbieram. Ciężko mi opowiadać, jak się czuję, kiedy wiem, że tylko przysparzam jej tym zmartwień. Więc kłamię, a przeważnie w ogóle czekam, aż włączy się automatyczna sekretarka.

– A bracia i siostry?

– Mam jednego brata, Sama. Mieszka w Nottingham ze swoim chłopakiem, Finnem. Obaj są lekarzami i pracują w szpitalu. Przyjechałby, gdybym go poprosiła, ale nie mogę się do tego zmusić. Tak ciężko pracował na swoją pozycję, a poza tym nie wiem, czy to by coś dało. Brat Marka mieszka niedaleko, w Ipswich. Był tu dziś...

– To dobrze.

Krzywię się.

– Nieszczególnie. Nigdy za sobą nie przepadaliśmy. Zawsze miałam wrażenie, że ja i Jamie zwyczajnie go nie interesujemy. Ian nie ma żony ani dzieci i sprawia wrażenie, jakby nie potrafił zrozumieć, dlaczego Mark pragnął tych rzeczy. Mój mąż mówił, że niepotrzebnie się tym przejmuję. Wydawało mu się, że bez sensu usiłuję porównywać Iana do własnego brata. Jego zdaniem jedynym powodem, dla którego Ian traktował nas chłodno, było to, że ja traktowałam chłodno jego.

– Aha. Więc to pewnie nie najlepszy kandydat do udzielenia wsparcia.

– Raczej nie.

– A jacyś znajomi w okolicy? Masz jakichś sąsiadów, do których możesz się zwrócić?

– Jesteśmy tu od bardzo niedawna. Wspominałam już o tym? Jeśli tak, to przepraszam. Właściwie nie mamy żadnych sąsiadów. Najbliżej mieszka chyba jedna starsza para. Wcześniej, w Chelmsford, miałam mnóstwo przyjaciół, w sumie pewnie nadal mam. Ale tu jeszcze nikogo nie poznałam. W szkole witałam się z kilkoma mamami, kiedy odprowadzałyśmy i odbierałyśmy dzieci. Rozmawiałyśmy o pogodzie i szkolnych sprawach. Nic wielkiego. A potem ta katastrofa i... no... sama popatrz. – Pokazuję ręką swoje ubrania: wyciągniętą koszulkę i ściuchany kardigan z wystrzępionymi ściągaczami przy rękawach. – Też wolałabyś się nie zbliżać, prawda? No, ale w którymś momencie będę musiała jakoś się z tym uporać, prawda?

Shelley kiwa głową i ostrożnie upija łyk z kubka, który trzyma obiema rękami.

– Owszem, ale wystarczą małe kroczki. Po śmierci syna przez wiele dni nawet się nie myłam. Nie mogłam się zwlec z łóżka ani ubrać. Po prostu leżałam. Miałam wrażenie, że sama jestem na wpół martwa. A ty wstajesz, ubierasz się, myjesz, masz mleko w lodówce...

Za to cały czas płaczę i zaniedbuję Jamiego; albo gorzej, wściekam się na niego – myślę sobie, ale nie mówię tego na głos.

– Nikt nie oczekuje, że dojdiesz do siebie już jutro albo za tydzień – ciągnie Shelley. – I ty też nie powinnaś tego od siebie wymagać. Na tym etapie postaraj się skupić raczej na zrobieniu jednej małej rzeczy dziennie. Nawet jeśli miałyby chodzić o zwykłe otworzenie listu, które ciągle odkładałaś. Przyszłością na razie się nie przejmuj.

Moje spojrzenie przesuwa się na stertę poczty obok mikrofalówki. Shelley pewnie też ją zauważyła. Odsuwałam od siebie otworzenie nie jednego listu, ale wszystkich.

– Może przejrzymy je teraz razem? Założę się, że większość to i tak śmieci. Może poczujesz się lepiej przez sam fakt, że masz to już z głowy.

Przygryzam dolną wargę. Jestem rozdarta. Z jednej strony chcę, żeby Shelley dała mi spokój, a z drugiej zastanawiam się, czy ta kobieta o gładkich jasnych włosach i błyszczących oczach, która przeżyła najgorszą tragedię, jaką potrafię sobie wyobrazić, nie ma racji. Shelley uznaje moje wahanie za zgodę: wstaje z krzesła i zgarnia korespondencję, zanim mam czas wykrzesać z siebie energię, aby pokręcić głową.

– Podzielę je na cztery kupki. W jednej będą rachunki – mówi, rzucając na stół kopertę z czerwonym logo firmy telefonicznej. – W drugiej to, co wygląda na śmieci, w trzeciej kartki z kondolencjami, a w czwartej cała reszta.

– Kartki możesz od razu wyrzucić do śmieci – mówię. – Nie mogę na nie patrzeć, nie chcę ich.

– Na pewno?

Kiwam głową.

– Nie potrzebuję, żeby mi o tym przypominano. – Jamie też nie, skoro już o tym mowa.

– A nie wolisz, żebym odłożyła je na bok? Może kiedyś nadejdzie czas, gdy znajdziesz w nich pociechę – namawia Shelley, po czym podsuwa mi kilka listów.

Nigdy nie znajdę w tych kartkach pociechy, ale nie mówię tego na głos. Serce wali mi w piersi, w brzuchu czuję huragan paniki. Większość tych listów to śmieci, dlaczego więc tak się boję je otworzyć?

Ręce mi się trzęsą, lecz mimo to sięgam po pierwszą kopertę. Zwykłą, białą, z okienkiem, w którym widać twoje imię. Patrzę, jak Shelley przerabia jeden stosik. Kuchnię wypełniają odgłosy rozrywanego papieru. Pewność siebie Shelley przypomina mi ciebie i to mnie

odrobinę uspokaja – na tyle, że mogę wsunąć palec pod pieczęć i otworzyć kopertę, którą trzymam.

To list od dealera samochodowego z przypomnieniem, żebyś umówił się na jazdę próbną nowym audi. Śmieć. I nagle sama już nie wiem, dlaczego pozwoliłam, żeby uzbierało mi się tyle tych przesyłek.

Sięgam po kolejną kopertę. Ta jest adresowana do mnie.

Gdy tylko biorę ją w ręce, wiem, że to od linii lotniczej. Z górnego rogu gapi się na mnie imponujące ciemne logo. Do oczu napływają mi łzy i choć każda komórka we mnie pragnie odrzucić ten list, nigdy go nie czytać, to jednak nie potrafię oderwać od niego wzroku.

Szanowna Pani Clarke,

proszę przyjąć nasze najszczerze wyrazy współczucia z powodu tragicznej śmierci Pani męża...

Przeskakuję wzrokiem dalej.

Orzeczenie Urzędu Lotnictwa Cywilnego (ULC) stanowi, że [...] ponieważ drugi pilot opuścił kokpit, pozostawiając w nim kapitana bez żadnego innego członka załogi, ULC uznaje, iż ww. linia lotnicza dopuściła się zaniedbania.

W związku z powyższym załączamy dwa formularze odszkodowania, po jednym dla obojga pasażerów z rezerwacji dokonanej przez Pani męża.

Z moich ust wyrywa się mimowolny jęk i muszę zacisnąć wargi, żeby powstrzymać się przed krzykiem. Jak oni mogli w ogóle wpaść na pomysł, żeby przysłać mi formularze odszkodowania? To chyba jakiś okrutny żart. Jakby istniało na świecie cokolwiek, co ta linia może mi dać, żeby to naprawić.

I nagle coś do mnie dociera. Dwa formularze. Dwa miejsca. Nie jedno.

Mark, dla kogo było to drugie? Usiłuję sobie przypomnieć. Z kim leciałeś? Nie pamiętam, żebyś mi o tym wspominał. Pewnie z kimś z działu sprzedaży. Przez chwilę zastanawiam się, czy ten ktoś też miał rodzinę, która opłakuje go tak jak ja ciebie, ale potem odpycham tę myśl. Nie mogę się skupić na innych ludziach, którzy zginęli tamtego dnia. Media nadal międlą wszystkie makabryczne szczegóły, prasa wciąż rozpisuje się o nich na pierwszych stronach, ale ja trzymałam się z dala od tego cyrku. Nie chcę wiedzieć, nie chcę dzielić się z nikim naszym bólem.

– Tess? – mówi Shelley, wyciągając ku mnie rękę. – Wszystko w porządku?

Kiwam głową, składając list i chowając go do kieszeni swetra.

– Nie mogę – szepczę. – Przepraszam. Chyba muszę się położyć.

– Ale popatrz, sprawa już załatwiona. – Shelley uśmiecha się i pokazuje na stół. – To były prawie same śmieci. A poza nimi tylko dwa rachunki, na które chyba masz jeszcze czas, i te trzy listy. – Podsuwa je do przodu. – Jeden wygląda jak wyciąg z konta, a drugi jest z jakiejś kancelarii prawnej. Pomyślałam, że może chodzić o majątek Marka. A ten jest z urzędu paszportowego. W środku jest chyba nowy paszport.

Biorę listy i je również wsuwam do kieszeni swetra.

– Aplikowałam o niego tuż przed śmiercią Marka. Na wakacje chcieliśmy zabrać Jamiego do Hiszpanii – wyjaśniam cicho.

Shelley wyciąga rękę i znowu ściska moją dłoń.

– No, w każdym razie reszta – mówi, wstając i zgarniając stertę papieru i porozdzieranych kopert – może już trafić prosto do kosza. Widzisz? Mówiłam, że to zajmie tylko chwilę.

– Aha. – Na nic więcej nie potrafię się zdobyć.

Srebrzyste wieko kosza na śmieci w kącie zamyka się z trzaskiem.

Shelley odwraca się z powrotem do mnie i sięga do torebki. Przez chwilę wydaje mi się, że zbiera się do wyjścia, i czuję ukłucie rozczarowania. Nie chcę, żeby sobie poszła.

Lecz ona wcale nie rusza do drzwi, tylko wyciąga z torebki notes na spirali. Trochę większy niż rozmiar kieszonkowy, z okładką ze zwykłego grubego kartonu.

– To dla ciebie – mówi, przesuwając notes po blacie i wracając na swoje miejsce. – Żebyś mogła w nim zapisywać różne rzeczy.

– Naprawdę? Dziękuję. – Muskam palcami gładką okładkę. – Ale jakie?

Shelley potrząsa włosami i siada z powrotem przy stole.

– Jakie tylko chcesz. Niektórym pomaga prowadzenie dziennika. Znałam jednego mężczyznę, który co wieczór pisał list do żony, żeby poradzić sobie z jej śmiercią. Ale sama podejmiesz decyzję. Kiedy straci się kogoś bliskiego, nawet drobne rzeczy stają się trudne. Możesz zapisywać tu choćby listy zakupów albo spraw do załatwienia, jeśli to ci pomoże.

– Dziękuję – mówię jeszcze raz.

– Proszę bardzo. Daję takie notesy wszystkim, z którymi się spotykam podczas pracy. – Podsuwa mi herbatę, a ja obejmuję kubek rękami, żeby je ogrzać. – Chciałabyś porozmawiać o Jamie?

Do mojej głowy zakrada się mgła. Trudno mi się skupić, trudno złożyć razem słowa, ale się staram. Opowiadam Shelley, jaki jest nieśmiały. Boleśnie nieśmiały. Za każdym razem, kiedy ktoś puka do drzwi, Jamie ucieka do swojego pokoju albo do domku na drzewie. Nawet kiedy przyjechała do nas moja mama, większość czasu spędzał w swojej sypialni. Ale kiedy już kogoś do siebie dopuści, kiedy go zaakceptuje, wtedy rozkwita, staje się wesoły, czuły i śmiały.

Opowiadam jej, jak bardzo Jamie przypomina ciebie: ten sam nos, ta sama budowa, ten sam przekrzywiony uśmiech. Opowiadam, że jest

typowym chłopcem: przepada za piłką nożną, playstation i książkami o Koszmarnym Karolku. Opowiadam, jak szybko przyzwyczaił się do nowej szkoły i że nawet jeśli mnie nie bardzo się podoba ten dom i ta wioska, warto było się tutaj przeprowadzić, żeby zobaczyć, jak Jamie rozkwita. Opowiadam, jak bardzo za tobą tęsknimy.

Myślenie o Jamiem dobrze mi robi. Mgła się unosi i ogarnia mnie dziwne uczucie, jakbym dopiero co się obudziła. Mrugam szybko. Nagle dociera do mnie panująca w kuchni cisza i to, że Shelley nadal siedzi naprzeciwko mnie.

– Małe kroczki, Tess – mówi później, kiedy już wychodzi bocznymi drzwiami. – Pamiętaj, spróbuj codziennie załatwić jedną sprawę, nieważne jak drobną, dobrze?

Kiwam głową, ale milczę. Niewidzialna ręka znowu ściska mnie za gardło i nie mogę wydusić z siebie głosu. Ta kobieta wie, jak się czuję – tak samo jak ty zawsze wiedziałeś – i to przynosi mi ulgę. Nikt nigdy nie pozna mnie tak dobrze jak ty, ale Shelley przynajmniej chyba rozumie więcej niż większość osób.

Rozdział 7

Ian Clarke

Naprawdę nie wiem, co ja tu w ogóle robię. To z Shelley powinniście rozmawiać, nie ze mną. Ja tylko starałem się pomóc Tess. Bo musicie wiedzieć, że po tej katastrofie zupełnie się rozsypała. W ogóle sobie nie radziła, w każdym razie na początku. To ja ogarnąłem cały pogrzeb. Nawet rozmawiałem z koronerem w Essex i załatwiłem wydanie świadectwa zgonu. Zająłem się wszystkim, co należało do niej. Nie mówię, że miałem o to pretensję, bo wcale nie. Mark był moim młodszym bratem, więc jasne, że chętnie pomogłem. Po prostu mówię, że Tess nie była w stanie prawie niczym się zająć. Ktoś musiał to zrobić.

Shelley Lange

Kiedy po raz pierwszy zobaczyłam Tess, wiedziałam, że naprawdę potrzebowała pomocy. Powinnam była po spotkaniu wręczyć jej numer organizacji, ale zamiast tego dałam jej własne namiary. Wydaje mi się, że to przez zdjęcie Jamiego na lodówce - to dlatego podczas tej pierwszej wizyty poczułam z nią taką więź. Wyglądał na nim zupełnie jak mój Dylan. Od razu wiedziałam, że muszę coś zrobić. Poczułam, że coś mnie łączy z Jamiem i Tess. Chciałam tylko pomóc.

Rozdział 8

Macham Shelley na pożegnanie, a ona odchodzi, wołając:

– Dzwon, kiedy tylko będziesz chciała!

Opieram się o wielkie frontowe drzwi i nagle przypominam sobie, że czeka na mnie kąpiel.

Odkręcam złote kurki i na nowo napełniam wannę, aż woda jest tak gorąca, że przez sekundę czy dwie wydaje się lodowata. Skóra na moich nogach mrowi i nabiera jasnoczerwonego koloru, lecz mimo to zanurzam się w wodzie i przymykam oczy.

Mark, jesteś?

Pamiętasz ten dzień, kiedy się dowiedzieliśmy, że jesteś w ciąży?

Wiedziałam, że o tym wspomnisz. Zawsze lubiłeś opowiadać o tym Jamiemu. Za każdym razem opisywałeś to tak, że ja wychodziłam na coraz większą wariatkę, a ty, ach, na coraz większego bohatera.

Przyznam, że się bałam. Wiedziałam, że chcę założyć z tobą rodzinę, mieć dzieci, ale spotykaliśmy się dopiero od trzech miesięcy. Nawet nie zdążyłam jeszcze poznać twojej matki. Nie mieszkaliśmy razem. Plus te hormony.

Mówiłaś, że to się nigdy nie uda.

Boby się nie udało. Gdybyśmy mieszkali osobno. Ale ty znalazłeś dla nas dom. Idealny segment w bliźniaku na nowym osiedlu w Chelmsford, z trzema sypialniami, niezbyt daleko od dworca, żebyś mógł dojeżdżać do pracy w Londynie, a w pobliżu był park i sklepy dla mnie. Dużo rodzin, dużo znajomych. Dla Jamiego przeznaczyciśmy drugą sypialnię, a tę trzecią, najmniejszą, zachowaliśmy dla braciszka albo siostrzyczki, którą tak bardzo chciałam mu dać.

I poprosiłem cię o rękę. To była najlepsza część całej historii. Nie zapominaj o tym fragmencie.

A, tak. Całkowicie mnie oczarowałeś tym cywilnym ślubem w piwnicy urzędu miasta w Chelmsford. Jak prawdziwy księżę z bajki! Miałam na sobie długą białą sukienkę z H&M-u i przez cały czas, kiedy składaliśmy sobie przysięgę, kołysałam na biodrze Jamiego.

Akurat zaczęliśmy odstawiać go od piersi, pamiętasz? I w momencie, kiedy po raz pierwszy całowaliśmy się jako małżeństwo, zarzygał ci plecy pomarańczową papką.

Nasze pożycie małżeńskie rozpoczęło się ze śmiechem i byłam tym zachwycona. Ślub nie był ani wspaniały, ani romantyczny, za to nasz – to był nasz początek. Byliśmy szczęśliwi. Zawsze potrafiłeś mnie rozśmieszyć. Mimo że diametralnie się od siebie różniliśmy. Nawet kiedy wściekałam się na ciebie za to, że późno wróciłeś do domu albo nie pozbierałeś ubrań z podłogi, albo schowałeś się gdzieś z komputerem i pracowałeś nad swoim tajnym projektem, zamiast zajmować się Jamie – zawsze potrafiłeś mnie rozśmieszyć.

W mojej głowie rozbrzmiewa inny głos: „Pani Clarke, czy może mi pani powiedzieć, gdzie przebywa pani mąż?”. To głos tej policjantki z brązowymi włosami szesany w gładki kucyk. Posterunkowa Gemma Greenwood. Nigdy nie zapomnę tego imienia. O Boże, nie chcę sobie tego przypominać, ale już za późno.

Siedziałam przy kuchennym stole. Posterunkowa Greenwood zajęła krzesło naprzeciwko mnie, ale ten drugi policjant, którego nazwiska nie pamiętam, stał przy zlewie. Jej skóra była szara jak dym z ogniska, a oczy szklily się od łez, jakby to ona cię kochała. Jakby to jej życie właśnie uległo zniszczeniu.

„Mark?” – zapytałam, tak jakbym miała więcej niż jednego męża. „Jest dzisiaj we Frankfurcie. Firma komputerowa, dla której pracuje, ma tam biuro. Jutro wraca, jeśli chcą państwo z nim porozmawiać. A o co chodzi?”.

„Obawiam się, że mamy złe wiadomości”.

Moje oczy otwierają się szeroko. Nagle czuję potrzebę, żeby usłyszeć kapanie wody z kranu i utwierdzić się w tym, co rzeczywiste. Wpatruję się w swoje ciało. Miesiąc rozpaczania co prawda mnie odchudził, ale nie wygląda to ładnie. Moje piersi zrobiły się sflaczałe i opadają w stronę pach. Skóra przy pępku faluje na wodzie. Jestem niczym na wpół opróżniony worek, tak jakby twoja śmierć fizycznie odebrała mi część mnie samej.

Odkręcam kran palcem u nogi i dodaję gorącej wody.

Przypominam sobie odwiedziny Iana. Winogrona i czekolada – wybieg, który wzięłam za gest życzliwości. A on chciał tylko zapytać o pieniądze, które od niego pożyczyłeś.

Sto tysięcy funtów. Ta kwota wydaje się zaklinowana w moim umyśle, jakbym nie do końca była w stanie ją przetrwać, ogarnąć rozumem. Tyle pieniędzy... Chyba aż za dużo jak na nową kuchnię i trochę przeróbek w domu.

Nigdy nie rozmawialiśmy o pieniądzach. Tessie, przecież sama tego chciałaś. Powiedziałbym ci, gdybyś zapytała, ale ty nigdy nie pytałaś.

Naprawdę?

Przychodzi do mnie wspomnienie. Z wczesnego etapu naszego związku, kiedy byłam w ciąży. Dopiero co przeprowadziliśmy się do Chelmsford i wszystko było jeszcze nowe, łącznie z nami jako parą.

„Dobra wiadomość!” – zawołałeś, wchodząc do domu.

„Co takiego?” – odkrzyknęłam z kuchni. Mieszałam w garnku chili, starając się nie pochlapać sosem czystych jasnych płytek nowej kuchni.

„Przenoszę się do działu sprzedaży”. Podeszedłeś i pocałowałeś mnie w policzek. Pamiętam mieszaninę zapachu płynu po goleniu i londyńskiego kurzu, którą przesiąkły twoje ubrania.

„Sprzedaży?”. Przestałam mieszać i oparłam się o blat, patrząc na twoją radosną minę i usiłując się nie krzywić, kiedy stópka Jamiego wbiła mi się pod zebra. „Przecież jesteś programistą. Programujesz”.

Pamiętam, jak się roześmiałeś, głęboko i... właściwie to z pewnym napięciem.

„Zdumiewa mnie twoja specjalistyczna wiedza na temat mojej pracy” – powiedziałaś, otwierając drzwi naszej amerykańskiej lodówkozamrażarki i wyciągając butelkę piwa.

„Ha, ha. Wiesz, co mam na myśli”.

„To naprawdę świetne posunięcie. Mamy tam system prowizji, co oznacza więcej pieniędzy...”.

„O ile coś sprzedasz” – odparłam. Pamiętam, że zastanawiałam się, od jak dawna planowałeś tę zmianę, jak długo trzymałeś to w sekrecie. Powiedziałam sobie, że oboje nie oswoiliśmy się jeszcze z nową sytuacją, nie nauczyliśmy się sobą dzielić. Później zdałam sobie sprawę, że ty po prostu już tak masz. Zachowujesz wszystko w tajemnicy i mówisz mi dopiero, kiedy jest po ptakach. Ja byłam twoim przeciwieństwem, martwiłam się o najdrobniejsze szczegóły, jeszcze zanim cokolwiek się wydarzyło.

„A kto się lepiej nadaje do sprzedaży software’u niż człowiek, kto go stworzył?” – zapytałeś, przetykając duży łyk piwa.

„Boże, czy chodzi o to, że mamy problemy finansowe? Myślałam, że damy sobie radę. Pewnie... pewnie mogłabym oddać dziecko do żłobka i wrócić do pracy na pełny etat. Jeśli będzie trzeba...”.

„Spokojnie” – powiedziałaś, przysuwając się bliżej i kładąc rękę na moim brzuchu.

„Przepraszam. Po prostu nie znoszę rozmawiać o pieniądzach i zamartwiać się o nie, kiedy mamy na głowie tyle spraw. Strasznie się boję porodu i...”. Chciałam dodać: „i o nas”, ale tego nie zrobiłam, bo nigdy nie rozmawialiśmy o naszym związku. Znaliśmy się wówczas od niecałego roku.

„W ogóle o tym nie myśl, dobrze? Skup się wyłącznie na tej małejpeczce w swoim brzuchu, przez kolejne cztery tygodnie niczym się

nie przejmuj. Przecież rozmawialiśmy już o twojej pracy. I mówiłem poważnie: już nigdy nie wrócisz do tej szkoły, okej? Tam jest jak w azjatyckiej fabryce”.

Pamiętam swoją ulgę i skrywaną świadomość, że moja propozycja powrotu na etat nie była na poważnie. Jak mogłabym pogodzić obowiązki matki z powrotem do Świętego Łukasza? Uczenie historii w tamtejszej klasie maturalnej nie pozostawiało czasu na nic innego. Może i płacili lepiej niż w większości szkół, ale zależało im na wynikach. Nie było tam miejsca na niepełne etaty. Godziny pracy były długie i intensywne; nie widziałam sposobu, jak pogodzić to z dzieckiem. A poza tym żadne z nas nie chciało, żeby Jamie tak szybko musiał spędzać całe dni w żłobku.

„Czy to oznacza, że będziesz częściej wyjeżdżał?” – zapytałam, siląc się na optymizm. Chciałam się cieszyć twoją radością. Położyłam rękę na twojej dłoni, która pocierała twardą wypukłość mojego brzucha, i zwalczyłam falę paniki.

„Może trochę, ale nie za dużo, obiecuję. Nie mogło mi to wypaść w lepszym momencie. Warunki są o wiele lepsze. Wszyscy dostaniemy prywatne ubezpieczenie zdrowotne i będę mógł korzystać z firmowego auta i telefonu. No i nie będziemy musieli się martwić o pieniądze”. Uśmiechnąłeś się, biorąc mnie w ramiona.

„Okej”. Pokiwałam głową, wdychając twój zapach i ciepło. Nie wiedziałam, że do tej pory musieliśmy się martwić o pieniądze, ale nic nie powiedziałam. Chciałam się cieszyć razem z tobą.

„Wszystko będzie dobrze. Nie musisz się o nic martwić, Tessie” – szepnęłaś. Zawsze, kiedy byliśmy tylko we dwoje, mówiłaś do mnie Tessie, a nie Tess.

Wspomnienie odpływa. Zanurzam się głębiej w wannie.

Może i masz rację, Mark. Może wolałam nie wiedzieć o pewnych rzeczach, ale przecież i tak bym cię wysłuchała. Nigdy nie chciałam,

żebyś mnie okłamywał.

Nie okłamywałem. Nie zrobiłbym tego.

W porządku. Nie kłamałeś. Ale ukrywałeś szczegóły i przedstawiałeś wszystko w jak najlepszym świetle, a to była tylko twoja wersja prawdy. Myślałeś, że nie poradzę sobie z rzeczywistością? Czy naprawdę byłam aż tak słaba?

Mark, powiedz, że mnie kochałeś. Ale tak naprawdę. Powiedz, że nasza miłość nie była kłamstwem.

Och, Tessie, przecież wiesz, że cię kochałem.

Rozdział 9

Zapis rozmowy między ELLIOTEM SADLEREM (E.S.) A TERESĄ CLARKE (T.C.) (PACJENTKĄ SZPITALA OAKLANDS, ODDZIAŁU HARTFIELD), WTOREK, 10 KWIETNIA. SESJA 1 (cd.)

E.S.: Lepiej się czujesz, Tess?

T.C.: (*kiwa głową*)

E.S.: To dobrze. Bardzo cię boli?

T.C.: Mniej. Pielęgniarka coś mi dała. Przepraszam za wcześniej. Ja... ja po prostu chcę odnaleźć Jamiego.

E.S.: Wszyscy tego chcemy. Dlatego tu jesteśmy: żeby się dowiedzieć, co się stało z Jamiem.

T.C.: W takim razie dlaczego rozmawiacie ze mną? Nie powinniście przesłuchiwać innych osób, szukać Shelley?

E.S.: Tess, robimy wszystko, co w naszej mocy. Ale musisz mi podać więcej informacji.

T.C.: Coś mi się przypomniało, dosłownie przed minutą, kiedy pan wszedł. Może się przydać.

E.S.: Tak?

T.C.: Wydaje mi się, że Shelley nie działała w pojedynkę. Myślę, że pomagał jej mój szwagier, Ian. Może byli współnikami.

E.S.: Dlaczego tak uważasz?

T.C.: Były momenty, kiedy... (*wzdycha*) Przytrafiło mi się wiele rzeczy, których Shelley nie zdołałaby sama załatwić. Ciągle myślę, że od początku chodziło jej tylko o Jamiego. No bo tak, prawda? Dlatego właśnie tu

siedzimy. Ale może chodzi też o pieniądze. Ian powiedział, że pożyczył Markowi pewną kwotę – dużą kwotę – i że potrzebuje zwrotu. Czy zabraliście mój telefon? Bo ja go nie mam. Może ktoś zadzwoni z żądaniem okupu.

E.S.: Sprawdzę to. Na pewno ktoś się tym zajmuje.

Rozdział 10

Środa, 21 lutego – 46 dni do urodzin Jamiego

Budzę się nagle i mrugam w ciemnościach. Serce wali mi w piersi i przez chwilę wydaje mi się, że to resztki koszmaru dają o sobie znać w moim ciele. Ale potem znowu słyszę ten odgłos – ten, który musiał wyrwać mnie ze snu: chrzęst żwiru na podjeździe. Kroki.

Paraliżuje mnie strach. Strach z rodzaju tych, kiedy rozumiesz, że te wszystkie razy do tej pory, kiedy myślałeś, że się boisz, były tylko na niby.

A to jest na serio. Środek nocy. Jesteśmy sami w tym cholernym domiszczu, tylko ja i Jamie, który śpi po drugiej stronie korytarza. I ktoś chodzi po moim podwórku.

Oddycham nerwowo i wstrzymuję powietrze w płucach, usiłuję nasłuchiwać, choć walenie mojego serca zagłusza wszystkie inne dźwięki.

Tessie, przestań. Przestań się tak przejmować. To tylko koty.

Koty? Mark, daj spokój. Od kiedy to koty stąpają tak ciężko jak ludzie?

W takim razie to walczące lisy. Tessie, jesteś na wsi.

Nie musisz mi o tym przypominać. Wystarczy, że otworzę oczy, a wiem, że nie jestem już na naszym osiedlu w Chelmsford. Tu nie ma pomarańczowej poświaty ulicznych latarni, nie słychać zatraskiwanych drzwi samochodów i ludzi przechodzących w drodze do miasta. Jedyne dźwięki to cichy szum autostrady A12, która przebiega o półtora kilometra od nas, i pohukiwanie sowy gdzieś w pobliżu.

Wiem, że jestem na wsi, i wiem, co słyszałam.

Słucham dalej, czekając na dowód, że się mylisz, ale nocna cisza jest ogłuszająca.

Mówiłem ci, to lisy.

Zanim mogę się powstrzymać, wstaję i podchodzę do okna, na wpół naga, nie licząc majtek i jednej z twoich koszulek, która sięga mi do ud. Czuję na skórze strach. Wyglądam przez szczelinę pomiędzy zasłonami, szukając najdrobniejszego ruchu czy dźwięku, ale nie dostrzegam nic poza mrokiem.

Drepczę korytarzem i zaglądam do Jamiego. Zawinął się w kołdrę jak w kokon, wystaje tylko szopa kręconych włosów. W błękitnym świetle nocnej lampki wydają się niemal białe.

Trzeszczenie schodów rozbrzmiewa dziwnie głośno, kiedy w milczeniu schodzę do drzwi wejściowych i sprawdzam, czy są zamknięte na klucz. Potem idę do kanciapy przy bocznych drzwiach. Wszystko pozamykane. W przedpokoju waham się przez chwilę. Co teraz? Nie zdołam już zasnąć, ale nie mogę też znieść myśli, że przez pięć godzin mam się szwendać po domu. Wracam z powrotem do naszego łóżka, choćby po to, żeby się ogrzać. Nasłuchuję jakichkolwiek odgłosów, ale słyszę tylko ciszę. Nawet wiatr w kominkach zamarł.

Widzisz? To tylko jakieś zwierzę. Jeleń szukający pożywienia.

To były kroki. Jestem tego pewna. Ktoś chodził po naszym podwórzu w środku nocy.

Przez moją głowę przepływa obraz tych tulipanów przy bocznych drzwiach. Żadnej folii. Żadnego liściku. Zanim wyszłam odebrać Jamiego ze szkoły, wyrzuciłam je do kosza. Nie mogłam na nie patrzeć, nie mówiąc już o włożeniu do wazonu, i nie chciałam, żeby Jamie je zobaczył i zaczął wypytywać, od kogo je dostałam.

Jeśli nie zostawił ich Ian, to kto? Nie znam w tej wiosce nikogo. Kto mógłby tak po prostu zostawić mi kwiaty bez żadnego liściku? I to w dodatku przy bocznych drzwiach. Przecież są jeszcze główne, te

z ciemnego dębu, od razu je widać. Ale my zawsze korzystamy z małych białych drzwiczek, które prowadzą prosto do kanciapki i kuchni. Kto mógł o tym wiedzieć?

Kto mógłby chodzić po naszym podwórzu w środku nocy?

Zamykam oczy i czuję, jak mój puls zwalnia. Jeleń, mówiłeś? W porządku. Niech będzie, że to jeleń.

Gdzieś w pobliżu budzi się do życia silnik samochodu.

Gwałtownie otwieram oczy i strach powraca, miążdży mi piersi jak ciężar. Między zasłonami dostrzegam błysk bieli. Światła. Auto. Chcę wyskoczyć z łóżka, żeby zobaczyć kierowcę, ale nie mogę. Strach jest jak drapieźnik, który przygwaźdża mnie łapami.

Mark, o ile mi wiadomo, jelenie nie jeżdżą samochodami.

Rozdział 11

Czwartek, 22 lutego – 45 dni do urodzin Jamiego

Dziś rano wzięłam tabletkę.

Po tym, jak przez pół nocy leżałam bezsennie, nasłuchując każdego dźwięku i strasząc się głupimi myślami o tym, że ktoś się włamie i porwie Jamiego.

Po tym, jak przy śniadaniu wypadła mi z ręki butelka, roztrzaskała się o podłogę i wszystko zalały resztki mleka.

Po tym, jak na cały głos nawrzeszczałam na Jamiego, że jest tak cholernie nieuważny, a on nawet nie drgnął ani nie poprosił, żebym nie przeklinała. Po prostu wpatrywał się we mnie tymi swoimi stalowoniebieskimi oczami, napierając językiem na ruszający się ząb.

Po tym, jak odprowadziłam go do szkoły, wróciłam do domu i wybuchnęłam płaczem. Wielkie, żałosne łzy ściekały na kuchenną podłogę, której nadal nie umyłam, aż na wpół tonęłam w poczuciu winy i wstręcie do samej siebie.

Połknęłam ją szybko. Jak wtedy, kiedy Jamie miał trzy latka i zdarłeś mu ten plaster znad oka. Pamiętasz?

Kolejny bohaterski wyczyn. Jak mógłbym zapomnieć?

Uderzył głową o róg stolika, kiedy skakał na kanapie; wrzeszczał tak, że aż się zanosił, i krew mu leciała. Zadzwoiłam do ciebie do pracy, cała w histerii, zastanawiając się, czy nie wezwać karetki.

Tessie, on nawet nie potrzebował szwów.

Ale ten plaster był ogromny. Wielki biały kwadrat z klejem w czterech kątach. Zakrywał mu brew i połowę czoła. Kiedy nadszedł czas, żeby go oderwać, Jamie nie chciał pozwolić mi go dotknąć, wiercił się i wyrywał, gdy tylko proponowałam, że zdejmę opatrunek. Wreszcie

wsadziłeś go do wanny i zacząłeś się z nim bawić w pana Łaskotka Podwodnego, i nagle, kiedy plaskał rękami o wodę i ze śmiechu przymknął oczy, zwyczajnie zdarłeś mu ten plaster. Jamie nawet się nie połapał.

Oto jak zażyłam swój pierwszy antydepresant: wyjęłam tabletkę z plastikowego opakowania i popiłam ją łykiem wody, zanim miałam czas się zastanowić, czy zrobić to, czy nie, albo zapytać cię o zdanie.

Wzięłam prysznic i umyłam włosy. Trzy razy spieniłam je szamponem. Włożyłam dzinsy, stanik, podkoszulek i sweter. Wybieram się dziś po zakupy do Tesco. Ale nie po frytki, paluszki rybne i pizzę – resztki z zamrażarki, którymi żywiliśmy się przez ostatni miesiąc – tylko po takie prawdziwe jedzenie: cebulę, mięso mielone, grzyby, pomidory. Zrobię dla Jamiego i dla siebie cały gar sosu bolognese. Dzisiaj zjemy spaghetti, jutro penne, a potem z resztek zrobię lasagne.

Będę się bardziej starać.

Moja dzielna dziewczyna.

W supermarkecie na przedmieściach Colchester panuje tłok. Większy, niż się spodziewałam w czwartek rano. Na parkingu znajduję wolne miejsce w trzecim rzędzie, a potem wózek z działającymi kółkami. W powietrzu czuć kąśliwy chłód, który szczypie mnie w twarz, ale z jakiegoś powodu jest mi cieplej niż przez ostatnie tygodnie.

Kiedy wchodzę przez automatyczne drzwi, wymijam jakąś starszą parę idącą w przeciwnym kierunku. Chyba całkiem dobrze sobie radzę. Wracam do dawnej rutyny, tak jak dziś rano wróciłam do dzinsów. Dam radę.

Jasne, że dasz, Tessie.

Spoglądam na kartkę w dłoni – nabazgraną listę, którą wydarłam z notesu od Shelley. Pierwszy raz z niego skorzystałam. Widok czystej strony w linie sprawił mi dziwną przyjemność. Szkoda marnować ten

notes na listy zakupów, ale nie jestem pewna, co jeszcze mogłabym z nim zrobić. Nie muszę pisać do ciebie listów, bo mówienie wydaje mi się o wiele bardziej naturalne.

Shelley przysłała mi esemesa akurat w momencie, w którym posprzątawszy rozlane mleko, poczułam takie zmęczenie, że zaczęłam się wahać co do wyprawy do Tesco. Nie napisała nic ważnego – zwykle: „Cześć, Tess, tu Shelley. Sprawdzam tylko, co u Ciebie. Dzwoni, kiedy chcesz” – ale pomogło. Na koniec wstawiła emotikonkę z uśmiechem i poczułam wokół siebie jej spokojne opanowanie.

Z jakiegoś powodu jej wiadomość wywarła na mnie zupełnie inny efekt niż życzliwe esemesy od przyjaciółek z Chelmsford; tak jakby Shelley dokładnie wiedziała, co i kiedy należy powiedzieć. Odpisałam: „Dzięki”, dodałam uniesiony kciuk i wskoczyłam do samochodu, zanim znowu ogarnęły mnie wątpliwości.

Wychwytyję napływającą z kawiarni ziemistą woń prażonych ziaren kawy i ruszam do działu z warzywami i owocami. „Dam radę” – powtarzam sobie.

Wszystko zaczyna się psuć w alejce z czekoladą. Jest tam wystawa wielkanocnych czekoladowych jajek: cały rząd, wszelkie możliwe rodzaje. Wiem, że do Wielkanocy pozostało jeszcze dobrych kilka tygodni, ale do tego czasu będę tak pochłonięta urodzinami Jamiego, że pewnie polecę do supermarketu w ostatniej chwili i wszystkie najlepsze jajka będą już wykupione.

Zgarniam więc jajko Hot Wheels dla Jamiego – są w nim dwa samochodziki i jaskrawopomarańczowy moduł toru wyścigowego; będzie pasować do innych części, które Jamie już ma. Dorzucam jajko Dairy Milk dla siebie oraz kilka paczek minijajeczek, na wypadek gdyby Jamie w tym roku znowu chciał ich poszukać. Opieram się o wózek, popycham go do przodu i sięgam po twoje ulubione jajko: KitKat Chunky. W tym roku mają dwa do wyboru: jedno z kubkiem

w prezencie, drugie bez. Dopiero kiedy biorę oba i zastanawiam się, które byś wolał, przypominam sobie, że przecież nie potrzebujesz żadnego wielkanocnego jajka. Bo cię nie ma.

Rzucam pudełka z jajkami niczym rozgrzany rondel podniesiony przez nieuwagę z kuchenki i uciekam do innej alejki. Na półkach stoją artykuły gospodarstwa domowego, ale nie patrzę na nie, tylko na ciebie: stoisz na drugim końcu korytarza i wrzucasz do wózka rolkę czarnych worków na śmieci. Nawet od tyłu wiem, że to ty. Końcówki twoich brązowych włosów wystają spod wełnianej czapki. Ubrań nie kojarzę – szare džinsy i granatowy sweter – za to wszędzie poznałabym twoją postawę, twój chód. I choć wiem, że to nie możesz być ty, wołam cię, chociaż znikasz już za rogiem. Nadal pędzę za tobą, pchając wózek.

Kilka sekund później jestem już w głównym przejściu, które przecina wszystkie alejki, i nagle robi się za tłoczno, za dużo tu dorosłych i dzieci w wózkach – tracę cię z oczu. Mijam alejki z makaronami i jedzeniem z importu, z dzemami i puszkami, dział mrożonek. Śmigam pomiędzy ubraniami, artykułami elektrycznymi, kosmetykami. Rozglądam się po kolejkach do kas, ale nigdzie cię nie ma, i nagle nie mogę oddychać.

Nogi się pode mną uginają. Na policzki bije krew. Oczywiście, że to nie ty. Przecież wiem. Drżącymi rękami wyszukuję w torbie telefon. Muszę do ciebie zadzwonić, muszę usłyszeć twój głos. Pięć słów z nagranej wiadomości: „Cześć, tu Mark. Zostaw wiadomość”. Nie wiem, dlaczego wcześniej nie przyszło mi to do głowy.

Muszę usłyszeć twój głos.

Następuje chwila ciszy, a potem telefon zaczyna dzwonić. Tylko że wcale nie włącza się automatyczna sekretarka. Ktoś odbiera.

– Halo?

– Mark? – W mojej głowie szaleje tornado. Odebrałeś telefon.

– Cześć, Tess.

– Mark... Ja...

– Tess, tu Ian. – Słowa wylewają się pospiesznie, ale w momencie, kiedy Ian wypowiada swoje imię, zauważam w jego tonie tę samą irytację co zwykle; zawsze sobie z tego żartowałam.

– Ian? Przecież wybrałam numer Marka.

– Zadzwoń do HR-u w jego biurze i zgodzili się przekierować jego numer na mój telefon. Na wypadek, gdyby dzwonił do niego ktoś, kto jeszcze nie wie o jego śmierci.

– Aha. – Nie przyszło mi do głowy, żeby to zrobić. Ledwo jestem w stanie odbierać własny telefon. Mimo to nie mogę zapanować nad irytacją. Mark należał do mnie, nie do ciebie, chcę powiedzieć, ale oczywiście tego nie robię. Nawet mnie samej ta myśl wydaje się głupia i dziecinna. – Nie powiedziałaś mi o tym.

– Mówiłem ci, kiedy załatwialiśmy sprawy pogrzebowe. Była przy tym twoja matka i ksiądz.

– Aha – powtarzam. Pamiętam to spotkanie w naszym salonie. Taca z imbrykiem, filiżankami i spodkami, wszystko wygrzebane pod naciskiem matki z jakiegoś zapomnianego pudła. Najwyraźniej podczas wizyty duchownego spodki są absolutnie nieodzowne. Pamiętam herbatniki na talerzu, których nikt nawet nie tknął. Ale nie pamiętam rozmowy. Jamie siedział w ogrodzie, bawił się w swoim domku na drzewie. Ja przez cały czas stałam przy oknie i wpatrywałam się w niego, drżąc ze strachu, że się poślizgnie i spadnie.

– Tess, dobrze się czujesz? Po co dzwoniłaś na numer Marka? – pyta Ian.

– Bo... bo wydawało mi się, że go widziałam. Jestem w Tesco. Oczywiście wiem, że to nie był on, ale musiałam usłyszeć jego głos... – Milknę i rozglądam się dookoła.

Obok zebrała się grupka osób z wózkami na zakupy; gapią się prosto na mnie. Jest z nimi ktoś z obsługi. Zrobiłam przedstawienie.

– Gdzie jesteś? – pyta Ian. – Mogę po ciebie podjechać i odwieźć cię do domu. Wydajesz się bardzo przejęta.

Mój mąż nie żyje, a ja widziałam go na zakupach w Tesco. Jasne, że jestem przejęta. Przez chwilę kusi mnie, żeby powiedzieć Ianowi, gdzie jestem – niech po mnie przyjedzie i zawiezie mnie do domu – ale wtedy on wzdycha ze zniecierpliwieniem, od którego moje policzki robią się czerwone.

– Nie... nie, dziękuję ci. Wszystko w porządku. Po prostu nie spodziewałam się, że ktoś odbierze telefon Marka.

– Przykro mi, Tess.

– Muszę już kończyć. – Rozłączam się, zanim Ian zdąży odpowiedzieć, i wrzucam telefon z powrotem w otchłań torby.

Od grupki gapiów odłącza się pracownica sklepu. Podchodzi energicznie i kładzie rękę na moim wózku. Jest chyba pod pięćdziesiątkę, z ciemnoblond włosami związanymi w luźny kucyk i grubą warstwą podkładu, który zebrał jej się w zmarszczkach dookoła oczu.

– Proszę pani, czy wszystko w porządku?

Kiwam głową, ale po moich policzkach spływają łzy, jedna za drugą, i nie jestem w stanie wydusić z siebie ani słowa.

– Czy chciałaby pani na chwilę usiąść? Przyniosę pani wody.

Kręcę głową.

– Nie, chcę tylko dokończyć zakupy i sobie pójść.

– Pomogę pani. Co jeszcze ma pani na liście? – Wyciąga z mojej dłoni zgniecioną kartkę i prowadzi mnie alejkami, kończąc za mnie robienie zakupów.

Odstępuje ode mnie dopiero przy samochodzie, otwiera drzwi i wsadza mnie do środka.

– Bardzo pani dziękuję – mówię.

– Nie ma za co. Naprawdę nie ma sprawy. – Kobieta kiwa głową i wydaje mi się, że widzę w jej oczach milczące zrozumienie.

Zastanawiam się, czy ona też potrafi wyczytać z mojej twarzy, że kogoś straciłam, tak jak Shelley od razu to poznała. Może i ona kogoś straciła.

Kiedy zostaję sama w samochodzie, znowu wyciągam telefon i przewijam kontakty, aż wreszcie znajduję numer Shelley. Na mój telefon czekają mama, przyjaciółki i Sam, ale w tej chwili chcę porozmawiać z kimś, kto mnie zrozumie.

Shelley odpowiada po drugim dzwonku.

– Cześć, Tess. Co u ciebie? – Jej ton jest lekki i energiczny. Wyobrażam sobie, że Shelley uśmiecha się tak samo jak w poniedziałek, kiedy zobaczyłam ją w swoich drzwiach.

– Wydawało mi się, że... że widziałam Marka. – Mój głos rozbrzmiewa niemal jak szloch i wreszcie pozwalam sobie na płacz.

– Och, Tess – mówi Shelley po chwili.

– Byłam w Tesco i... i mogłabym przysiąc, że to on. Ale zniknął za rogiem i zanim dobiegłam do drugiej alejki, już go nie było.

– Ja też tak miałam przez jakiś czas – mówi Shelley. – Na widok każdego chłopca z jasnymi włosami wrastałam w ziemię. Nadal czasami mi się to zdarza. Kiedy najmniej się tego spodziewam.

– A zdarzyło ci się ścigać obcą osobę i zrobić scenę?

– Nie. Ale kiedy umierał Dylan, mogłam go trzymać w ramionach. To było straszliwie trudne, ale przynajmniej miałam możliwość się z nim pożegnać, a ty swojej szansy nie dostałaś. Nie dane ci było się pożegnać. To, co teraz przechodzisz, jest całkowicie naturalne. To normalne, że widzimy w twarzach innych ludzi rysy bliskich, których straciliśmy. Po tym, co przeżyłaś, zdziwiłabym się, gdyby było inaczej.

Kiwam głową i ocieram ręką policzek.

– Dziękuję ci. I przepraszam, nie zamierzałam cię tym obarczać.

– Cieszę się, że zadzwoniłaś. Cieszę się, że pomyślałaś o mnie.

– Lepiej już się rozłączę.

– Może zadzwonisz później, kiedy dojdiesz do siebie, i wtedy porządnie sobie porozmawiamy?

– Dobrze, tak zrobię. Dziękuję ci, Shelley.

To nie byłeś ty. Ty nie żyjesz. Czepiam się tej myśli, kiedy wyjeżdżam z Tesco i wracam do wioski.

Tego wieczoru zagraliśmy z Jamiem w chińczyka i zjedliśmy przy stole spaghetti bolognese, a w tle mrucało radio. Co prawda kiedy puścili jakiś popowy hit, nie zerwałam się, żeby zatańczyć jak wariatka, tak jak dawniej, ale mimo wszystko był to jakiś postęp. Po tym, co się wydarzyło w Tesco, byłam z siebie całkiem zadowolona.

Później, całując Jamiego na dobranoc, przeprosiłam go za to, że go skrzyczałam, kiedy rozlał mleko.

– Niedługo będzie lepiej, obiecuję.

Mówiłam poważnie. Naprawdę.

Czy to dzięki Shelley? Dzięki jej słowom... nie otuchy, ale zrozumienia? Dzięki poczuciu, że ona mnie rozumie, tak jak ty zawsze umiałaś mnie zrozumieć? A może to ze względu na Jamiego? Z powodu zżerających mnie wyrzutów sumienia za ciągłe wybuchy, które chyba nawet przestały go wytrącać z równowagi? A może to leki zaczęły działać? Pewnie przez wszystkie te czynniki po trochu, ale w każdym razie poczułam się lepiej. Nie super. Nie normalnie. Ale lepiej.

Oczywiście wtedy jeszcze nie wiedziałam, że to wszystko na nic. Nadszedł piątek i do drzwi zapukała Denise z twojego biura, a wtedy i te dwie tabletki, które połknęłam, i wszystkie plany, które sobie układałam, okazały się na nic. Znowu znalazłam się na samym dnie.

Rozdział 12

Piątek, 23 lutego – 44 dni do urodzin Jamiego

Dziś w powietrzu dało się wyczuć przedsmak wiosny. Wiatr wiejący od pól, kiedy wracaliśmy ze szkoły, utracił kąśliwą gorycz, a słońce nieco dłużej trzymało się na niebie. Dlatego dopiero po jakimś czasie dociera do mnie, że kuchnię spowija półmrok zmierzchu. Że ciemność wygrała i że prawie nie widzę Jamiego, który podczas kolacji siedzi naprzeciwko mnie. Wstaję i włączam światło, mrużąc oczy w nagłej jasności. Jamie sprawia wrażenie, jakby w ogóle nie zauważył zmiany.

– Nie jesteś głodny? – pytam, spoglądając na jego talerz.

Kręci głową.

Jak zwykle ugotowałam za dużo makaronu – zawsze zapominam, że pęcznieje w garnku – ale mimo to na naszych talerzach nie widać prawie żadnego ubytku. Jedzenie stało się klinicznym procesem, świadomą decyzją. Sos z mielonym mięsem nie ma żadnego smaku i każdy kęs, który w siebie wmuszam, wydaje mi się ciężki od smutku. Pewnie Jamie czuje się tak samo. Nie pamiętam, kiedy ostatnio widziałam, żeby zjadł naraz więcej niż kilka kęsów czekoladek.

– No dobrze. W takim razie ubikacja, zęby i czytanie. – Klaszczę, zmuszając się do normalności, której żadne z nas nie czuje.

Jamie nie rusza się z miejsca, głowę ma pochyloną, wpatruje się w swoje ręce. W jego oczach zbierają się łzy, dolna warga zaczyna mu drżeć. Widok jego cierpienia sprawia mi fizyczny ból. Chciałabym móc temu zaradzić. Chciałabym dodać jego żal do mojego własnego i osłonić Jamiego przed cieniem straty, który nas spowija.

– Mnie też brakuje taty – szepczę.

Tessie, powiedz mu coś.

Zastanawiam się przez chwilę.

– Pamiętasz, jak zabraliśmy cię do Londynu, żeby obejrzeć rekiny w oceanarium? – pytam. – Miałeś tylko cztery latka. To było latem, zanim poszedłeś do szkoły. Urządziliśmy sobie wycieczkę pociągiem. A potem jechaliśmy dwupiętrowym autobusem. – Uśmiecham się. – Kiedy ruszył z przystanku, weszliśmy na górę. Tak strasznie chciałeś siedzieć z przodu, że kazałeś tacie poprosić ludzi, którzy zajmowali miejsce, żeby się przesiedli. A potem poszliśmy do... ee... – Pamięć i głos mnie zawodzą.

Nagle na podjeździe chrzęści żwir. Tym razem to nie kroki, tylko koła samochodu, a potem charakterystyczny trzask drzwi auta. Jamie podrywa głowę. Łzy znikają, teraz w jego oczach widać panikę. Tyle miesięcy pracy nad jego nieśmiałością, Mark. Całe te warsztaty dramatyczne, których nie znosił, ale my myśleliśmy, że podbudują w nim pewność siebie.

Tylko że nie podbudowały.

Ale już było lepiej, prawda? Pamiętasz szkolną akademię na Boże Narodzenie? Kiedy stanął i na oczach całej szkoły i wszystkich rodziców wyrecytował ten wiersz? Pani Banbridge dała mu naklejkę ze złotą gwiazdką.

Jasne, że pamiętam. Siedziłaś przy mnie i ryczałaś jak bóbr.

Po prostu byłam z niego dumna. W dawnej szkole w życiu by się na to nie zdobył.

Mówiłem ci, że ta przeprowadzka to dobry pomysł.

No, ale teraz wszystko na nic. Zrobił się jeszcze bardziej nieśmiały niż kiedyś, a ja nie mogę znieść myśli, że miałabym jeszcze utrudnić mu życie.

– Idź poczytać książkę, a ja sprawdzę, kto to.

Rozlega się cichy stukot kołatki. Jamie zrywa się z krzesła i znika na górze. Włączam światło w przedpokoju i otwieram ciężkie drzwi.

– Dobry wieczór – mówię do stojącej za nimi kobiety.

– Cześć, Tess – odpowiada ona. – Nie wiem, czy mnie pamiętasz. Jestem Denise. Asystentka w dziale sprzedaży. Pracowałam z Markiem.

Wydaje mi się znajoma, ale dopiero kiedy wchodzi do środka, przypominam ją sobie pośród morza twarzy na twoim pogrzebie.

Na górze słyhać skrzypienie podłogi i odkręcaną wodę w łazience.

– Byłam w okolicy – mówi Denise – i pomyślałam, że zajrzę sprawdzić, jak się miewasz.

– Eee... dziękuję. – Nic innego nie przychodzi mi do głowy. Zamykam drzwi i próbuję się uśmiechnąć do kobiety w eleganckim damskim garniturze, która stoi w naszym przedpokoju. – Proszę, wejść.

Denise jest wysoka. Kiedy prowadzę ją do kuchni, musi nachylić głowę, żeby nie zahaczyć nią o dębowe belki, choć nosi buty na płaskim obcasie. Ma kasztanowe włosy i okrągłą twarz wykonturowaną grubą warstwą makijażu, choć nawet to oraz uśmiech nie są w stanie zamaskować jej napięcia.

– Przepraszam za najście – mówi Denise, patrząc na nasze talerze z kolacją. Może też ma fioła na punkcie porządku, jak Ian.

– Nie ma sprawy – mamroczę. – I tak już skończyliśmy.

Sprzątam talerze i stawiam je przy zlewie. Zastanawiam się, czy Denise usiądzie, ale ona tego nie robi. Mam ochotę zapytać, czego chce. Bo przecież tak naprawdę wcale nie chodzi jej o to, co u nas słyhać, prawda? Jednak kiedy próbuję ująć to pytanie w słowa, każda możliwa wersja brzmi nieuprzejmie.

– Mark w kółko opowiadał o tobie i Jamiem – wyrzuca wreszcie Denise. – Był... był taki dumny z Jamiego.

– Ooo.

Naprawdę, Mark? Przecież zawsze tak się przejmowałeś jego wolnymi postęпами w szkole, jego nieśmiałością, brakiem ambicji. To był jeden z powodów, dla których się tu przenieśliśmy. Wiejska szkoła, mniejsze

klasy. Mniej będzie go rozpraszać. „To jak prywatna szkoła, tylko że nie będziemy musieli za nią płacić” – mówiłaś, kiedy nie chciałam opuszczać Chelmsford.

I nagle to widzę – rozpoznaję – ów wyraz w oczach Denise. Czuję je w powietrzu; unosi się nad nią jak brzydki zapach. Poczucie winy.

Wcale nie chodzi jej o to, jak się czuję. Przyjechała, bo chce mi o czymś powiedzieć.

Boże. A co, jeśli to coś strasznego, coś na twój temat, czego wcale nie chcę wiedzieć?

Tessie, przestań.

Nie mogę.

Wpatruję się w twarz Denise, wyczytuję z niej wyrzuty sumienia i smutek. Przez moją głowę przepływają pytania. Chcę ją zapytać, co tu robi. Chcę zapytać, kto jeszcze zginął tamtego dnia. Kto jeszcze z waszego biura siedział obok ciebie, na tym drugim fotelu w samolocie. Chcę zapytać, czy Denise wie, na czym polegał ten twój tajny projekt – ten, o którym nie chciałaś mi powiedzieć – ale nie robię tego, bo ona odzywa się pierwsza.

Otwiera usta, żeby coś powiedzieć, i nagle przerywa. W jej oczach lśnią łzy. Na ten widok po grzbiecie przechodzą mi ciarki.

Zamykam drzwi do kuchni i opieram się o nie całym ciężarem, aż zamek zaskakuje. Nie mam pojęcia, co Denise ma mi do powiedzenia, ale nie chcę, żeby Jamie to usłyszał. Sama też nie chcę tego słyszeć, ogarnia mnie niemal pierwotny impuls, żeby zatkać sobie uszy i krzyczeć, krzyczeć, dopóki Denise nie odejdzie. Tymczasem odwracam się do niej plecami i nastawiam czajnik.

– Herbaty? – pytam prawie niedosłyszalnie.

Wyciągam rękę w stronę lodówki, żeby wyjąć mleko. Magnes ze szkolnym zdjęciem Jamiego znowu się odzepił. Na pewno wpadł pod lodówkę, kiedy butelka z mlekiem się rozbiła.

– Nie, dziękuję, Tess. Nie chcę ci zajmować czasu. Ja tylko... ja tylko chciałam ci coś powiedzieć, właściwie to już na pogrzebie, ale jakoś nie mogłam znaleźć odpowiedniego momentu.

Czuję w gardle pałący kwas. Ślina w moich ustach nabiera metalicznego posmaku. Wyłączam czajnik i w kuchni zapada pełna napięcia cisza.

– Dręczą mnie wyrzuty sumienia. Już tyle razy chciałam tu przyjechać... Przez ostatnią godzinę siedziałam w samochodzie za zakrętem, próbując wymyślić, jak ci to powiedzieć. Chodzi o to, że... że to spotkanie... to spotkanie we Frankfurcie zostało odwołane.

– Co takiego?

Z jej oczu spływają łzy. Denise zaczyna mówić, ale przerywa, wstrząsana głębokimi, spazmatycznymi szlochami. Mam ochotę wyszarpać z niej to, co ma mi do powiedzenia.

– Z samego rana dostaliśmy maila z Frankfurtu. Połowa niemieckiego biura leżała z grypą, więc wizytę odwołano. Nie był to problem, bo większość zespołu miała lecieć wczesnym popołudniem. Ale potem przypomniałam sobie, że Mark miał rezerwację na wcześniejszy lot niż my wszyscy. Od razu do niego zadzwoniłam, żeby sprawdzić, czy widział tego maila. Właśnie wsiadał do samolotu. Słyszałam w tle, jak proszą go o kartę pokładową, ale wydawało mi się, że usłyszał, kiedy powiedziałam, że nie musi lecieć. Jestem pewna, że roześmiał się i powiedział „Okej”, ale byłam jeszcze w domu, a mam tam bardzo słaby sygnał. Na linii ciągle były jakieś zakłócenia. Myślałam, że mnie usłyszał, ale... ale potem dowiedziałam się o tym samolocie. To... to wszystko moja... wina...

Wpatruję się w wilgotne oczy kobiety stojącej w mojej kuchni. Denise przestaje pociągać nosem, nabiera powietrza i zatrzymuje je w płucach. To przez nią nie żyjesz. To przez nią Jamie nie ma już ojca.

– Nie rozumiem. Dlaczego reszta zespołu leciała innym połączeniem?

Denise kręci głową i pociąga nosem.

– To też moja wina. Mark prosił, żebym zarezerwowała dla niego bilety, ale tamtego dnia byłam bardzo zajęta. Dopiero co awansowałam i ledwo nadążałam z obowiązkami. Wszyscy prosili mnie o rezerwację lotów i hoteli na ten wyjazd. Wydawało mi się, że wszystko już załatwiłam, ale kiedy zaczęłam rozsyłać maile z rezerwacjami, zdałam sobie sprawę, że nie mam jeszcze biletów dla Marka. Zanim zdążyłam zarezerwować dla niego ten późniejszy lot, nie było już miejsc. Mark wcale się nie gniewał. Powiedział, że chętnie polecie wcześniej i nawet żartował, że bez naszej zgrai będzie miał spokojniejszą podróż... – Denise urywa i milczy przez ułamek sekundy, po czym kończy: – Tak strasznie mi przykro, Tess. Gdybym tylko załatwiła mu bilety na to późniejsze połączenie albo wcześniej do niego zadzwoniła, on by nadal żył.

Jej słowa zawisają w powietrzu i wiem, że Denise czeka, aż powiem, że wszystko w porządku. Chce, żebym ją uniewinniła. Przez krótką chwilę zastanawiam się, jak usłyszała o katastrofie, skąd wiedziała, że jednak byłeś na pokładzie. Czyżbym dzwoniła do twojego biura? Nie pamiętam. Kolejna luka w miejscu, gdzie powinno być wspomnienie. Na pewno Ian to zrobił. W końcu zajął się też wszystkim innym.

– To nie twoja wina, że samolot się rozbił – mówię. – Mark lubił latać do Frankfurtu. Pewnie i tak by poleciał, skoro bilet był już wykupiony.

Właściwie to nieprawda – po prostu czuję, że to właśnie należy powiedzieć.

Denise kiwa głową i rozluźnia się, jakby moje słowa dosłownie zdjęły jej z ramion wielki ciężar i przerzuciły go na moje własne.

– To nie twoja wina – powtarzam szeptem. Ale owszem, to jest jej wina. Jej wina. Jej wina. Zaciskam zęby i przygryzam wargi, żeby powstrzymać się przed cofnięciem tego nieszczerego wybaczenia. – Dziękuję, że mi powiedziałaś.

Idę do bocznego wyjścia, powłóczę nogami. Chcę wypuścić ją na zewnątrz. Ale Denise staje w drzwiach i spogląda to na mnie, to na talerze, domyślam się więc, że liczy na coś więcej. Czego jeszcze ode mnie chce? A może liczyła na to, że po swoim wyznaniu poczuje większą ulgę? Albo ma nadzieję, że zobaczy się z Jamiem? Ale do tego nie zamierzam dopuszczać. Jamie dość się nacierpiał. I on, i ja.

– To mój numer – mówi Denise, wciskając mi wizytówkę. – Gdybyś czegoś potrzebowała. Dzwon o każdej porze.

Kiwam głową i otwieram drzwi. Zimne nocne powietrze chłodzi moje policzki. Światło z kuchennego okna oświetla kwadrat żwiru na podjeździe, ale reszta podwórza, w ogóle reszta świata, o ile mogę się zorientować, jest czarna.

Denise zwiesza głowę i wychodzi, wymijając mnie w progu. Już mam zamknąć drzwi, kiedy odwraca się i mówi:

– Miałam... miałam zapytać... Czy ktoś do ciebie dzwonił?

– Słucham? – Mój ton robi się teraz zniecierpliwiony. Nie chcę tego, ale jestem taka zmęczona. Co jeszcze możemy mieć sobie do powiedzenia?

Denise kręci głową i się odsuwa.

– Nic. Nieważne. Miło było cię widzieć, Tess. I bardzo mi przykro.

Znika w ciemnościach. Słyszę piknięcie odblokowywanych drzwi w jej samochodzie.

Zamykam drzwi i zastanawiam się nad jej ostatnim pytaniem. Coś o jakimś telefonie. Nie wiem, o czym ona mówiła. Uświadamiam sobie, że zapomniałam zapytać ją o to drugie miejsce w samolocie, ale teraz w ogóle mnie to już nie obchodzi. Rezygnuję z tych rozmyślań i skupiam się na tobie.

Och, Mark. Wcale nie musiałeś lecieć. Wcale nie powinno cię być w tym samolocie. Gdybyś tylko wtedy zawrócił i pojechał z powrotem do domu.

Tessie, przestań. To już nie ma znaczenia.

Owszem, ma, ale nagle jestem za bardzo zmęczona, żeby się spierać.

Idę przez dom, przeciągając ręką po ścianach. W głowie mi się kręci – długie, nierówne pętle, od których robi mi się niedobrze i czuję się wykończona. Naprawdę wykończona.

Jamie leży na łóżku twarzą do dołu. Pokój jest pogrążony w bladoniebieskim blasku stojącej w kącie lampki nocnej. Od drzwi nie mogę dostrzec twarzy Jamiego, ale z jakiegoś powodu wiem, że płacze.

– Jamie, skarbie? – Przysiadam obok niego na łóżku.

On unosi głowę i patrzy na mnie. Nawet w półmroku jego oczy wydają się niezwykle. Są zaszklone od łez.

– Oj, kochanie. Słyszałaś, co powiedziała ta pani?

Jamie kiwa głową i spuszcza wzrok.

Czuję złość. Sama nie wiem, czy na Denise, za to, że musiała sobie ulżyć w poczuciu winy, czy na Jamiego za to, że zakradł się na dół, żeby podsłuchiwać. Zaciskam zęby i czekam, aż najgorsze minie. Dopiero wtedy pozwalam sobie na odpowiedź. To nie jest wina Jamiego.

Wciskam się przy ścianie na jego jednoosobowe łóżko.

Na pewno istnieją jakieś słowa, które mogłabym teraz powiedzieć, słowa otuchy, ale w głowie mam pustkę. Jestem odrętwiała. Nie powinno cię być w tym samolocie.

Wreszcie odzywam się z wysiłkiem, mówię tak samo niewyraźnie, jak myślę.

– Tak mi przykro.

Tessie, poradzisz sobie z tym. Tak jak poprzednio.

Mylisz się, Mark. To wcale nie jest tak jak poprzednio. Poprzednio opłakiwałam rodzinę, której już nie będziemy mogli mieć – braciszka albo siostrzyczkę dla Jamiego. Leżałam na łóżku i płakałam, płakałam, myśląc o dzieciach, których zawsze pragnęłam. Tak bardzo się o to

zamartwiałam, zastanawiałam się, dlaczego tym razem nam nie wychodzi i jak będzie wyglądać nasze życie bez dzieci, których pragnęłam.

Ty tego nie rozumiałeś. Myślałeś, że Jamie nam wystarczy. Miałeś rację, ale i się myliłeś. Nie chodziło o Jamiego, tylko o marzenia, które nosiłam w głowie; marzenia o letnich dniach na plaży, świątecznych kolacjach, roześmianych, bawiących się dzieciach. Nie potrafiłam z tego zrezygnować. Pozwoliłam, żeby zżerały mnie obawy, aż nie zostało we mnie nic poza nimi. Mój tata nazywał to „robakiem-nerwakiem”. Mówiłam ci o tym? „O, Tess znowu gryzie ten jej robaczek-nerwaczek” – mówił, wyciągając ramiona, żebym mogła wspiąć mu się na kolana. Miałam wtedy sześć, może siedem lat. Ocierałam łzy o rękaw jego koszuli i opowiadałam o swoich lękach, że fale pochłoną nasz dom albo że zwieje nas huragan, albo że będziemy mieć wypadek samochodowy, albo napadnie nas jakiś szaleniec – albo tysiąc innych rzeczy.

Obawy zmieniały się, w miarę jak rosłam, ale sam lęk pozostał równie silny.

Próbowałam to przed tobą zataić, Mark. Próbowałam zagrzebać głęboko swój strach i powstrzymać te wieczne pytania, nie dopuścić, żeby w moim głosie słychać było lęk. Ale ty i tak to widziałeś. Pewnie dlatego nie mówiłeś mi o pewnych sprawach – o pożyczce od Iana i twoim tajnym projekcie. Czego jeszcze mi nie powiedziałeś?

Tak czy inaczej, tym razem nie dręczy mnie obawa – nie tak jak przedtem. Tym razem zżera mnie ból straty – to otwarta rana, krew, która nie chce zakrzepnąć, tkanka, która nie chce się zbliżnić. Jasne, nadal martwię się o różne sprawy, ale to nie wszystko.

Wyczerpanie mąci mi w głowie, powieki same się zamykają. Leżąc w ciemności obok Jamiego, czuję, jak znowu pochłania mnie mgła, aż nie widzę już nic poza tobą.

Rozdział 13

Sobota, 24 lutego – 43 dni do urodzin Jamiego

Dzwoni telefon. Dzwoni i dzwoni – nieprzerwany hałas, który wdziera się w mój sen i wyciąga mnie z powrotem na świat. Biorę głęboki wdech i powoli uchylam powieki. Czuję, że coś jest inaczej niż zwykle, i dopiero po chwili do mojej głowy napływa mgliste wspomnienie tego, jak wcisnęłam się na łóżeczko Jamiego. Rozglądam się po pokoju i rozpoznaję rząd figurek żółwi ninja na półce. Żyłki szarego dziennego światła przebijają się przez krawędzie zasłon.

– Jamie? – odzywam się głosem zachrypniętym od snu. – Jamie?! – Tym razem krzyczę.

– Gram na playstation! – napływa z dołu jego odpowiedź.

– Która godzina?

Nie odpowiada.

Idę chwiejnie na koniec korytarza do twojego improwizowanego biura ze starym biurkiem, na którym jako chłopiec odrabiałeś zadania domowe. Panuje tam lodowate zimno i marzę o tym, żeby schować się z powrotem pod kołdrę w pokoiku Jamiego. Podobnie jak resztę domu, tak i to pomieszczenie wypełniają kartony po przewodach. Piętrzą się pod ścianą w stertach po trzy. Na jednym z nich leży bezprzewodowy telefon. Chwytam słuchawkę.

– Halo?

Utrzymanie otwartych oczu wymaga ode mnie wysiłku, tak jakby powietrze było pełne igieł kłujących mnie w źrenice. Opuszczam powieki i znowu czuję, że odpływam.

– Tess? – Głos Shelley sprawia, że gwałtownie wracam do rzeczywistości. – Tess, jesteś tam?

– Mhm.

– Od rana usiłuję się do ciebie dodzwonić. Martwiłam się. Miałaś do mnie zadzwonić, żeby pogadać o tym, co zaszło w supermarkecie.

Dopiero po chwili udaje mi się przypomnieć, o czym ona mówi.

– Która godzina?

Słyszę w słuchawce podmuch wiatru – Shelley jest chyba na spacerze.

– Jest... dwunasta trzydzieści – mówi.

– Ooo... – Dwunasta trzydzieści w sobotę. Czy mieliśmy na dzisiaj jakieś plany? Nie pamiętam. Czuję ukłucie wyrzutów sumienia, są jak szpilka w balonie, i przestaję dryfować pomiędzy snem a jawą. Całkowicie przytomnieję. – Przepraszam.

Nie zrobiłam żadnego śniadania ani obiadu. Zbiegam po schodach tak szybko, jak pozwalają mi na to nogi, i wsuwam głowę do salonu. Jamie jest pochłonięty grą piłkarską na playstation.

Zakrywam słuchawkę telefonu i pytam go szeptem:

– Jadłeś coś?

On odwraca do mnie głowę, posyła mi przelotny uśmiech i potakuje, po czym znowu pogrąża się w grze. Widzę, że jest z siebie zadowolony. Tylko nie jestem pewna, czy to dlatego, że sam zrobił sobie śniadanie, czy że mógł przez całe rano grać na konsoli.

Ulga, że coś zjadł, wcale nie zagłusza moich wyrzutów sumienia. Jak ja mogłam tyle spać? A co, gdyby Jamie wyszedł na zewnątrz? Wybiegł na drogę?

– Tess? – Głos Shelley znowu przerywa moje rozmyślenia. – Wszystko gra?

– Nie... niezbyt dobrze się czuję. Chyba bierze mnie grypa. – Nawet mnie samej nie przekonuje to kłamstwo.

Podnoszę rękę i pocieram oczy. Moje mięśnie wydają się zmęczone, nadwyreżone, tylko nie mam pojęcia od czego.

– Tess, to przecież ja. Doskonale wiem, z czym się zmagasz. Czy chodzi o to, że wydawało ci się, że widziałas Marka? Co się stało?

– Wczoraj przyszła do mnie pewna... pewna kobieta z biura Marka. – Zniżam głos do szeptu i niepewnym krokiem przechodzę z salonu przez korytarz do kuchni. – Powiedziała, że to spotkanie we Frankfurcie zostało odwołane. Nie było żadnego powodu, żeby Mark leciał tamtym samolotem. – Moim ciałem wstrząsa płacz. Padam na jedno z kuchennych krzeseł.

– Och, Tess, to okropne. Strasznie mi przykro. – Następuje pauza, po czym Shelley dodaje: – Jadę do ciebie.

– Nie trzeba...

Połączenie zostało zakończone. Rozłączyła się.

Nie wiem, ile czasu tak siedzę, we wczorajszych ubraniach i z wczorajszą kolacją schnącą na talerzach przy zlewie, ale kiedy słyszę pukanie do bocznych drzwi, moje bosc stopy są już zdrętwiałe z zimna.

– Tess?! – woła Shelley.

– Idę! – krzyczę, z trudem podnosząc się z krzesła.

Dopiero kiedy już sięgam po klamkę, przypominam sobie, że nie powiedziałam Jamiemu, że ktoś przyjdzie. Nie jestem pewna, czy w ogóle wspomniałam mu coś o Shelley. Nie będzie zadowolony, ale teraz już nic na to nie poradzę. Otwieram drzwi i omiata mnie podmuch zimnego powietrza. Shelley ma na sobie te same dzinsy rurki co przedtem i sweter w serek, tym razem czerwony. Zimowy płaszcz i zamszowe botki zostały zastąpione czarnym jedwabnym szalem i czarnymi trampkami.

– Cześć. – Uśmiecha się tak samo szeroko jak poprzednio, jakby zajrzała tylko na lunch, jakby chodziło o spotkanie przyjaciółek, a nie o pomoc w pozbieraniu fragmentów zniszczonego życia. – Wyglądasz strasznie.

– Dzięki – odpowiadam i również się uśmiecham; może dlatego, że energia Shelley jest zaraźliwa, a może ponieważ Shelley nie udaje, że nie widzi, w jakim jestem stanie.

– Nastawić czajnik? Pogadamy sobie.

– Jestem... – Kręcę głową. – Jestem taka zmęczona. – Łzy spływają mi z oczu jak krople z niedokręconego kranu. – Nie musiałaś przyjeżdżać. Wiem, że jesteś wolontariuszką, ale na pewno nie każą ci pracować w soboty.

– Tess, nie przyszedłam tu jako konsultantka, tylko jako przyjaciółka, bo wydaje mi się, że w tej chwili właśnie kogoś takiego potrzebujesz. Rozumiem, co przeżywasz. Może położysz się jeszcze na trochę? Albo się wykąpiesz? Po prostu odpocznij. A pogadać możemy później. Przywiozłam coś do jedzenia. Mogę zrobić obiad. O nic się nie martw.

Shelley zsuwa buty i stawia je w kanciapie obok butów Jamiego, po czym wychodzi z kuchni. Już mam powlec się za nią i zaprotestować, przypomnieć, jaki nieśmiały jest Jamie, ale zanim ją doganiam, słyszę jego głos. Podążam za nim i stoję w drzwiach salonu. Shelley kręci się po pokoju, strzepuje poduszki i zabiera z kąta stertę gazet, które leżą tam już od wieków.

– To są kontrolki – mówi Jamie. – Iksem się skacze, a O się walczy.

Mówi do niej jak do starej przyjaciółki, a nie do całkowicie obcej osoby. Nie wyczuwam w nim ani śladu zwykłej nieśmiałości. Pewnie na niego też to zadziało – ta energia Shelley i jej milczące zrozumienie.

Shelley podnosi głowę i się uśmiecha.

Mam ochotę do nich dołączyć, rzucić się na sofę i posłuchać trajkotania Jamiego. Ale nie mogę. Moje piersi przygniata martwy ciężar. Muszę się położyć. Muszę się przespać.

– Na pewno nie będzie wam przeszkadzać, jeśli się jeszcze zdrzemnę?
– pytam, ulegając ochocie, żeby ziewnąć.

– Mamo, spoko! – odkrzykuje wesoło Jamie.

– O nic się nie martw, wszystkim się zajmę! – woła za mną Shelley, kiedy ja wchodzę już na schody.

Wszystko w porządku, Tess, jestem tutaj.

Tylko że tak naprawdę wcale cię nie ma, prawda, Mark? Twój głos jest tak naprawdę moim własnym.

Pamiętasz nasze pierwsze wakacje z Jamiem? Zabraliśmy go do Portugalii. Przez większość czasu usiłował jeść piasek.

Pamiętam.

A wszyscy kelnerzy prześcigali się, żeby cię zagadywać.

Wcale nie, ale mów dalej. Lubię słuchać twojego głosu.

Rozdział 14

Chichot Jamiego sprowadza mnie z powrotem do rzeczywistości. W naszej sypialni panuje mrok. Wpatruję się w zasłony, czekając, aż moje oczy oswoją się ze światłem, ale ono zniknęło. Ile czasu spałam?

Na szafce nocnej stoi szklanka wody – wypijam ją duszkiem. Płyn chlupie w moim pustym żołądku tak, że kiedy wstaję i ruszam na dół, nagle robi mi się niedobrze.

Znajduję Jamiego w salonie. Leży na brzuchu na dywanie, przebierając nogami i oglądając kolejne strony jednej z książeczek serii *Gdzie jest Wally?*.

Światło jest włączone, a na zewnątrz panuje mrok. Zupełnie straciłam poczucie czasu, ale po opuchliznie wokół oczu Jamiego widzę, że niedługo pora spać. Powinnam mu powiedzieć, żeby przygotował się do łóżka, ale po takim dniu, jaki właśnie przeżył, mam wrażenie, że nie byłoby to uczciwe.

Wpatruję się w naszego synka, aż zaczyna mnie boleć serce. Moje ciało zalewa miłość – czysta i mocna. Straciliśmy cię, kiedy samolot się rozbił. To było jak uderzenie obuchem, które zgruchotało mój świat, ale dzięki Jamiemu ten świat przynajmniej przetrwał. Bez mojego synka jestem niczym.

– Hej – mówię od drzwi.

Nogi zatrzymują się w powietrzu i Jamie spogląda na mnie, poruszając przednim zębem w przód i w tył.

– Wszystko gra? Przepraszam za dzisiaj – odzywam się.

– W porządku. Shelley się mną zajęła – odpowiada Jamie rzeczowym tonem, po czym znowu skupia się na książce i szukaniu Wally’ego na ilustracji z plażą.

– Co porabiałeś?

– No... Graliśmy na playstation. Shelley jest bardzo dobra. Trzy razy ze mną wygrała. A potem starliśmy kurze, pograliśmy w piłkę w ogrodzie i zrobiliśmy obiad – recytuje Jamie jak z nut.

– Ty też gotowałeś? – Rozglądam się po pokoju i dopiero teraz zauważam czyste podłogi i zapach jaśminowego środka do czyszczenia mebli. Czuję też coś innego: dolatującą z kuchni woń kurczaka i ziół.

Po twarzy Jamiego rozlewa się dumny uśmiech.

– No. Pokroiłem cebulę. Shelley pozwoliła mi wziąć prawdziwy nóż. O wiele łatwiej nim kroić niż tym dzieciennym, którego każesz mi używać.

– Oo... To dobrze.

W każdym razie tak mi się wydaje. To znaczy dobrze, że Jamie miło spędził czas i czuje się swobodnie w towarzystwie Shelley, ale może nieco gorzej, że brał do ręki jeden z tych ostrych noży – nie pozwalałam mu ich dotykać z obawy, że się potnie.

Już mam zadać kolejne pytanie, kiedy nagle słyszę w kuchni głosy. Shelley, ale też jakiś mężczyzna. Co on robi w moim domu? A może to policja? Co, jeśli mają kolejne złe wiadomości?

Tessie, przestań się zamartwiać.

Mark, kiedy ja nie mogę. Serce mi wali, usta wysychają.

– Zostań tu – szepczę z trudem do Jamiego.

Sześć długich kroków i już jestem przy drzwiach do kuchni. Są uchylone. Drżącą dłonią popycham je nieco dalej i zaglądam do środka. Na blacie obok piekarnika widzę trzy duże świece – kupiłam je zeszłej zimy, kiedy wyłączyli prąd. Widać Shelley wygrzebała je z kuchennego schowka. Ale to nie taniec płomyków w pomieszczeniu zwraca moją uwagę, tylko kanciapa i otwarte boczne drzwi.

– Musisz zrozumieć, że te sprawy zajmują czas. Niczego nie mogę obiecać – mówi Shelley.

Jeszcze nigdy nie słyszałam u niej tak twardego głosu. Stoi w otwartych drzwiach, zasłaniając ciałem przejście; w połączeniu z tonem głosu sprawia to wrażenie, jakby była strażniczką albo ochroniarzem w nocnym klubie. Rozmówcy nie widzę.

– Przecież o nic takiego nie proszę – odpowiada ten ktoś.

Natychmiast go rozpoznaję. To Ian.

Wzdycha i wyobrażam sobie, jak ściska nasadę nosa.

– Proszę tylko, żebyś przekazała to Tess. Słuchaj, może wejść na chwilę...

– Zwariowałaś? Dotarło do ciebie choć słowo z tego, co powiedziałam? Idź już sobie.

– No dobra, idę. Ale proszę, przekaz jej to.

– Okej.

Shelley zatrząskuje drzwiami. Dopiero kiedy przekręca klucz i zasuwa z trzaskiem zasuwkę, na powrót zaczynam oddychać. Biorę głęboki, niepewny haust powietrza i popycham drzwi do kuchni. Wzbiera we mnie wdzięczność, jak ciepła bańka wypływająca na powierzchnię. Mam ogromną ochotę uściskać Shelley. Uratowała mnie dziś na więcej sposobów, niż jestem w stanie wymienić – Jamiego też. W dodatku nie uległa w obliczu uporu Iana. Domyśliła się, że dzisiaj nie dam rady się z nim zmierzyć, i obroniła mnie niczym lwica broniąca swojego lwiątko.

Shelley odwraca się, wychodzi z kanciapy i na mój widok gwałtownie podskakuje.

– Tess! – krzyczy, podnosząc rękę do piersi. – Ale mnie przestraszyłaś. Długo tam stoisz?

– Niedługo.

– Właśnie poznałam twojego szwagra. – Shelley przeczesuje ręką włosy i się uśmiecha. – Co za typ.

– Przepraszam.

– To nie twoja wina. – Shelley krzywi się i podchodzi do kuchenki. Zdejmuje przykrywkę z garnka i ze środka unosi się kłęb pary.

Zapach kurczaka i ziół przybiera na sile, a w moim żołądku rozlega się przeciągłe, dźwięczne burczenie, przypominając mi, że od wczorajszego makaronu nic nie jadłam.

– Mam nadzieję, że się nie pogniewasz, że tak mówię, ale chyba zirytowała go moja obecność. Przykro mi, że musiałś tego słuchać – rzuca Shelley.

– Szczerze mówiąc, mam wrażenie, że to moja obecność go irytuje. Ten dom należał kiedyś do jego matki, tu się wychował. Mark i ja kupiliśmy go po jej śmierci. Ian nic wtedy nie powiedział, ale chyba nie był uszczęśliwiony. Nadal zachowuje się tu jak u siebie.

– Rzeczywiście, też odniosłam takie wrażenie.

– Przykro mi, jeśli ci się narzucał. Przy mnie też taki jest – mówię.

– Spokojnie. Przywykłam do uparciuchów, którzy chcą, żeby wszystko było tak, jak im się podoba. Nawet za takiego wyszłam. – Shelley śmieje się, jakby to był żart, ale wcale nie jestem tego pewna.

Na powrót zakrywa garnek i wyciąga ramiona, żeby mnie objąć.

– Jak się czujesz? – pyta.

– Pusta – odpowiadam. Też ją na moment przytulam, a potem obie się odsuwamy.

– Zążywasz leki?

– Nie działają. Już myślałam, że jest lepiej, ale wcale nie. A wręcz czuję się gorzej.

– A kiedy zaczęłaś je brać? Bo trzeba odczekać co najmniej siedem dni, zanim zadziałają. A zanim naprawdę zaczną przynosić efekty, może upłynąć nawet sześć tygodni. Ale musisz je regularnie brać, Tess. Inaczej nie pomogą. Lekarz ci tego nie wytłumaczył?

– A, nie jestem pewna. Może. Nie bardzo słuchałam. – Niespodziewanie czuję się jak niegrzeczne dziecko. Głupie, niemądre,

niegrzeczne dziecko.

– To weź jedną po kolacji, okej?

– Okej. – Kiwam głową.

W kuchni jest ciepło od żaru kuchenki. Światło świec tworzy przytulną atmosferę. Okno wypełnione nocną czernią działa jak lustro – dzięki niemu ciemne pomieszczenie wydaje się duże i sympatyczne, zupełnie nie jak nasza kuchnia.

Mój wzrok pada na drzwi lodówki i puste miejsce tam, gdzie powinien być magnes z Jamiem. Nie pamiętam, kiedy go ostatnio widziałam. Osuwam się na kolana.

– Co ty robisz? – pyta Shelley, kiedy wsuwam palce w szczelinę pomiędzy podłogą a lodówką.

Czuję łaskotanie kotów z kurzu, okruszków i kawałków Bóg wie czego, ale magnesu nie mogę znaleźć.

– Chyba straciłam niedawno zdjęcie Jamiego. Pewnie wpadło pod lodówkę – mówię, pomijając fragment o rozlanym mleku i o tym, jak nawrzeszczałam na syna. Wyciągam palce jeszcze dalej, aż moje knykcie ocierają się boleśnie o spód lodówki.

– Zostaw to na razie – mówi Shelley, kładąc rękę na moim ramieniu.

– Potem weźmiemy szpatułkę i latarkę i poszukamy porządnie. Ian przywiózł dla ciebie chili – dodaje.

Podnoszę głowę, a Shelley wskazuje głową na żaroodporne naczynie stojące na blacie przy kanciapie.

– O... a chciał jeszcze czegoś? – pytam, rezygnując z poszukiwań magnesu i otrzepując się z kurzu.

– Żebyś dała ci to. – Obchodzi mnie dookoła i sięga po coś leżącego za naczyniem.

To biała koperta A4, nie ma na niej żadnego imienia ani znaków. Pewnie Ian chciał mi ją oddać do rąk własnych.

– Kolacja za dziesięć minut – mówi Shelley. – Może od razu to otworzysz, żeby mieć sprawę z głowy?

– Okej – mamroczę.

Shelley prowadzi mnie do krzesła.

Stary dębowy stół został wyszorowany, lśni w przyciemnionym świetle. Po jednej stronie czekają talerze i sztuce, siadam więc z drugiej, żeby nie przeszkadzać Shelley i Jamiemu w przygotowaniach.

Shelley wraca do mieszania w garnkach, a ja podważam brzeg koperty i zaglądam do środka. Jest tam tylko jedna kartka papieru. Na górze widnieje napis wytłuszczoną czcionką: „Zrzeczenie się funkcji wykonawcy testamentu”. Są też nasze imiona, twoje i moje, oraz zaznaczone na pomarańczowo miejsce, gdzie zapewne powinnam się podpisać.

– Wszystko w porządku? – pyta Shelley, siadając obok mnie.

– Nie mam pojęcia. – Podsuwam jej kartkę. – Chodzi o coś w związku z testamentem Marka.

Następuje krótkie milczenie, kiedy Shelley przegląda dokument.

– Domyślam się, że jesteś wykonawczynią jego woli?

Kiwam głową.

– Razem spisaliśmy testamenty. Wspólnie. Ja jestem jego wykonawczynią, a on był moim. Iana wpisaliśmy jako wykonawcę zastępczego na wypadek, gdybyśmy oboje zginęli w tym samym czasie.

– A chcesz się tym zajmować? Bo jak to podpiszesz, możesz zrzec się odpowiedzialności na rzecz Iana.

– Aha.

– Zgaduję po twojej minie, że go o to nie prosiłaś?

– Nie. – Kręcę głową. – Nawet nie wiedziałam, że mogę o coś takiego poprosić. Ian jest prawnikiem. Chce, żebym jak najszybciej ogarnęła sprawy majątkowe Marka, bo... – Przerywam na chwilę, zastanawiając się, ile powinnam jej powiedzieć. Potem jednak przypominam sobie, że

przecież Shelley mnie rozumie, no i w przeciwieństwie do Iana nie ma żadnych ukrytych powodów, żeby mi pomagać. – Mark pożyczył od Iana pieniądze. Całkiem sporo. Nic o tym nie wiedziałam, a oczywiście nie mogę mu nic zwrócić, dopóki nie uporządkuję spraw finansowych.

– No, jeśli to podpiszesz, w ogóle nie będziesz musiała zawracać sobie tym wszystkim głowy. To skomplikowane sprawy. Dużo papierkowej roboty i użerania się z różnymi urzędami. Jak to podpiszesz, o nic nie będziesz musiała się martwić, dopóki sprawa nie zostanie załatwiona.

– To prawda – przytakuję.

W ustach Shelley brzmi to całkiem atrakcyjnie. Mam ochotę chwycić długopis i bez zastanowienia podpisać dokument.

– Ale...? – podpowiada Shelley.

– Ale nie jestem pewna, na ile mogę zaufać Ianowi.

– Aha. No, ale rzecz w tym, że tak naprawdę wcale nie musisz mu ufać. Ian będzie miał prawny obowiązek postępować zgodnie z wytycznymi testamentu.

– Fakt. – Czuję, że zaczynam ustępować. – Więc co mam zrobić?

Shelley uśmiecha się i ściska moją rękę.

– Miałaś ciężki tydzień. Nie musisz podejmować decyzji już teraz. Przemysł to i sprawdź, jak się będziesz czuła w przyszłym tygodniu.

– Masz rację – odpowiadam z ulgą. Cieszę się, że Shelley podjęła za mnie decyzję, nawet jeśli ma ona polegać na odłożeniu sprawy na później.

Chowam formularz do szuflady pod mikrofalówką, wypełnionej różnymi papierami i ulotkami restauracji, z których usług nigdy nie skorzystamy. Dociskam je ręką i z trudem domykam szufladę.

– No dobrze – mówi Shelley z szerokim uśmiechem. – Skoczę do łazienki i możemy siadać do stołu. Pewnie umieras z głodu.

Mój żołądek burczy w odpowiedzi. Shelley wybucha śmiechem i ja również przyłapuję się na uśmiechu.

– Uznam to za odpowiedź twierdzącą – mówi Shelley. – Wracam za chwileczkę.

Opieram się na krześle i przymykam powieki, pozwalając, aby wypełniło mnie ciepło kuchni. W towarzystwie Shelley nie czuję się ani w połowie tak przemarznięta.

Po chwili w drzwiach pojawia się Jamie. Oczy ma szeroko otwarte i zmęczone. Włosy sterczą mu na wszystkie strony, jakby od kilku dni ich nie czesano. Bo to prawda.

– Shelley już sobie poszła? – pyta, rozglądając się po kuchni.

– Nie, skarbie. Jest w łazience – odpowiadam.

Jamie uśmiecha się szeroko i siada na krześle.

– To dobrze.

– Przepraszam za dzisiaj – mówię do nich obojga po powrocie Shelley.

– Ale chyba już czuję się lepiej.

– Dla mnie tam nic się nie stało. Było fajnie – odpowiada Jamie, szczerząc się do Shelley.

– Tess, naprawdę wszystko w porządku. – Shelley również się uśmiecha, stawiając na stole parujące naczynie z jedzeniem. – Miałaś dziś gorszy dzień, ale dasz radę. Wiem, że tak.

– Dziękuję ci – szepczę. Mam wrażenie, że te dwa słówka to za mało.

– Na pewno po jedzeniu poczujesz się lepiej – dodaje Shelley, nakładając mi duży kawałek piersi kurczaka, a do tego marchewkę, grzyby i sos, aż cały talerz pływa w lekkim pomarańczowym płynie. Na koniec ziemniaki, białe, puszyste i lśniące od masła, oraz brokuły.

Wcinam, jakbym od miesiąca nie miała nic w ustach. Danie jest przepyszne. Takie pożywne. Sos jest słony i ciepły, mięso i warzywa miękkie. Przez kilka chwil nikt się nie odzywa, słysząc tylko szcęknięcie sztućców o talerze.

Próbuję wymyślić coś, co mogłabym powiedzieć, coś zwykłego – neutralnego – co nie naprowadzi mnie znowu na myśli o tobie, ale

w głowie mam pustkę.

– Przepyszne – mówię wreszcie. – I jak doskonale posiekana cebulka – dodaję, uśmiechając się do Jamiego.

Shelley się śmieje, Jamie również. Zastanawiam się, czy to z powodu mojego komentarza, czy jakiegoś wcześniejszego żartu, kiedy gotowali kolację. Chcę o to zapytać, ale Shelley odzywa się pierwsza.

– Mówiłam już, że trenuję, żeby przepłynąć kanał La Manche? – pyta. Jamie i ja kręcimy głowami.

– Zamierzam przepłynąć od Shakespeare Cliff w pobliżu Dover do Cap Gris-Nez we Francji. Zwariowany pomysł. Zwłaszcza że nigdy nie przepadałam za pływaniem, dopiero kilka lat temu się wkręciłam. Ale Dylan uwielbiał wodę. Miałam poród w wodzie, więc zaczął życie od pływania. – Shelley przerywa na chwilę i przykłada dłoń do medalionu na szyi. – Po jego śmierci jakoś tak wyszło, że zaczęłam chodzić na miejscowy basen. Siedziałam na ławce w wilgotnym cieple i słuchałam odgłosów pływających ludzi i bawiących się dzieci. Aż któregoś dnia postanowiłam, że sama też chcę popływać. I teraz pływam prawie codziennie. Wtedy najbardziej czuję więź z Dylanem.

Coś w jej twarzy, a nawet w całym ciele, zmienia się, jakby ktoś przykręcił w niej światło. Nie potrafię zrozumieć tej energii i radości, która przebija z każdego ruchu Shelley, za to rozumiem ból przeszywający ją na wzmiankę o Dylanie.

– Jaki dystans będziesz miała do przepłynięcia? – pytam.

– Niecałe trzydzieści cztery kilometry.

– Wow – mówi Jamie z jedzeniem w buzi.

– To ponad tysiąc długości na normalnym basenie. Zwiększam dystans stopniowo, żeby nie zrobić sobie krzywdy. Mam czas do sierpnia, więc jeszcze nie panikuję, ale niewykluczone, że zmienię zdanie, kiedy za kilka miesięcy zacznę trenować w morzu.

– To niesamowite.

– Dzięki. – Shelley kiwa mi głową. – Dobrze, że mogę się skupić na jakimś działaniu. Chcę w ten sposób zebrać pieniądze dla organizacji dobroczynnej, która prowadzi badania nad białaczką, i dla Żałoby. Latem będzie też wielka dobroczynna impreza z grillem. Z muzyką na żywo i wielką loterią. Zapraszam.

Jamie kiwa energicznie głową i uśmiecha się promiennie, wpatrując się w Shelley oczami szeroko otwartymi z podziwu.

– Może... – Przełykam kolejny kęs, ale jedzenie straciło smak i wydaje mi się gorzkie.

Mój żołądek zaciska się w twardą kulkę. Walczę ze sobą, żeby nie wypluć kolacji. Spoglądam ukradkiem to na synka, to na Shelley. Jamie był ostatnio cichy i wycofany, ale przy Shelley wydaje się znowu taki jak dawniej.

Powinnam czuć ulgę, cieszyć się, że znalazł przyjaciółkę, zresztą tak samo jak ja. I owszem, cieszę się. Nie mogę jednak zapanować nad mimowolnym pragnieniem, żeby na mnie też spoglądał tym roziskrzonym wzrokiem, żeby o mnie też myślał, że jestem wspaniała. Problem w tym, że nie jestem, prawda? Jestem w kompletnej rozsypce. Rozsypałeś mnie, Mark.

Zmęczenie znowu uderza we mnie jak cios i nagle ledwo mogę się powstrzymać przed zaśnięciem. Moje myśli zasnuwa szara mgła.

Rozdział 15

Zapis rozmowy między ELLIOTEM SADLEREM (E.S.) A TERESĄ CLARKE (T.C.) (PACJENTKĄ SZPITALA OAKLANDS, ODDZIAŁU HARTFIELD), WTOREK 10 KWIETNIA. SESJA 1 (cd.)

E.S.: Czy Shelley i Ian się znali, zanim spotkali się dzięki pani?

T.C.: (*kręci głową*) Może. Przez te leki przeciwbólowe nie mogę myśleć. Jakie właściwie podjęliście działania, żeby odnaleźć Jamiego? Ciągle pan powtarza, że robicie wszystko, co w waszej mocy, ale co to dokładnie oznacza? On jest bardzo nieśmiały. Proszę o tym powiedzieć tym policjantom, którzy go szukają. Może się gdzieś schował. Czy ktoś sprawdził domek na drzewie w tym lasku w naszym ogrodzie? Tak naprawdę to nie żaden lasek, tylko dziesięć dębów i kilka sosen. Mark wybudował tam domek dla Jamiego, naprawdę wysoko. Z prawdziwymi ścianami. To praktycznie taka nadrzewna komórka. Świetnie mu wyszło, tylko że jak się chce sprawdzić, czy ktoś jest w środku, trzeba albo samemu się tam wspiąć, albo zajrzeć z okna gabinetu, bo stamtąd jest widok prosto na wejście. Jamie często tam przesiaduje.

E.S.: Jak wyglądały pani relacje z Jamiem po śmierci Marka?

T.C.: (*pauza*) Było... (*pauza*) Obojgu nam było ciężko. Jamie przez większość czasu prawie się nie odzywał.

E.S.: Kiedy ostatni raz widziała pani syna?

T.C.: W jego urodziny.

E.S.: Co się wtedy wydarzyło?

T.C.: Wydaje mi się, że Ian współpracował z Shelley. Moim zdaniem właśnie na tym powinniście się skupić.

E.S.: Rozumiem, ale najpierw chciałbym się zająć tym, co się wydarzyło dwa dni temu. Może mi pani powiedzieć, co pani pamięta?

T.C.: (*milczy*)

E.S.: Może na tym dzisiaj skończymy. Musi pani odpocząć. Jutro znowu porozmawiamy.

T.C.: (*płacze*) Błagam was, znajdźcie Jamiego.

KONIEC SESJI

Rozdział 16

Niedziela, 25 lutego – 42 dni do urodzin Jamiego

Telefon w mojej dłoni jest śliski od potu. Wpatruję się w ekran, próbując siłą woli zmusić komórkę do tego, żeby zadzwoniła. Ale nie dzwoni.

Gdzie się podziewają Shelley i Jamie?

Co, jeśli mieli wypadek samochodowy?

Mark, nie wiem, co robić.

Tessie, przestań.

Nie mogę pozwolić, żeby coś mu się stało.

Mój wzrok skacze od telefonu do okna w bawialni, za którym niebo pokrywa się odcieniami różu i pomarańcza. Pomieszczenie jest tylko trochę mniejsze od głównego salonu, z którego korzystamy na co dzień. Podłoga zastawiona pudłami i meblami. Jest tu zimno i czuć mdły zapach perfum twojej mamy oraz stęchliznę z zasłon, które zdarłam pierwszego dnia po przeprowadzce. Ale kiedy dociskam się do ściany w kącie, mogę wyrzucić za bramę na podjazd i dalej w pustą alejkę.

Nadal żadnego samochodu.

Nie wiem nawet, jakiego właściwie auta wyglądam. Jakim samochodem może jeździć taka kobieta jak Shelley?

Na pewno czymś bardziej imponującym niż mój rozklekotany ford focus. Dlaczego w ogóle nie zwróciłam na to uwagi?

Przykładam czoło do zimnej szyby, która nagrzewa się od mojej skóry. Twarz omiata mi chłodne powietrze. Wzdrygam się, obejmując ramionami. Co Shelley sobie wyobraża? Nie można obiecywać, że wróci się o trzeciej, a potem się spóźnić i nie odbierać telefonu. Na pewno wie, jak się zamartwiam. Wie, że nie pozostał mi już nikt poza Jamiem.

Moje serce przyspiesza na odgłos silnika samochodowego. Proszę, niech to będzie Shelley, niech to będą oni. Ale nie. Samochód – czerwona micra – przejeżdża obok domu i znika.

Znowu sprawdzam, która godzina. Mark, jest już po piątej. Dwie godziny po czasie. To nie jest spóźnienie z gatunku „utknęliśmy w korku” albo „straciliśmy poczucie czasu”. Ponad dwie godziny to spóźnienie z gatunku „coś się stało”. Czuję to.

Znowu wybieram numer Shelley. W nawiasach na ekranie widnieje liczba dwadzieścia dwa. Dwadzieścia dwie próby. Dwadzieścia dwa nieodebrane połączenia.

Co ja sobie wyobrażałam? Oddałam Jamiego pod opiekę kobiecie, którą znam od tygodnia, widziałam ją dwa razy w życiu.

Wiem, co sobie wyobrażałam. Myślałam o głosie Shelley, kiedy wczoraj do nas zajrzała. „Jestem tu jako przyjaciółka. Bo wydaje mi się, że w tej chwili właśnie kogoś takiego potrzebujesz”. Myślałam o tym, jaką bliskość z nią poczułam – z tą kobietą, która dostrzega mój ból i się go nie boi. Mark, wiem, że to brzmi, jakbym straciła rozum, ale ja jej ufam. W każdym razie wydawało mi się, że jej ufam.

Może powinnam zadzwonić na policję? Albo zacząć obdzwaniać szpitale? Albo sama ich poszukać? Tylko co, jeśli wrócą, kiedy mnie nie będzie?

Tessie, przestań. Wszystko jest w porządku.

Wcale tego nie wiesz.

Zmuszam się do przypomnienia sobie ostatnich dwudziestu czterech godzin. Pamiętam je, ale wrywkowo: wszystko jest podziurawione jak przeżarty przez mole płaszcz, postrzępiony i prawie zupełnie niepodobny do ubrania, jakim kiedyś był. Pamiętam, że jedliśmy we trójkę kolację. Pamiętam, jak powiedziałam, że posprzątam w kuchni, i jak słuchałam napływającego z salonu śmiechu Jamiego, kiedy grali z Shelley w FIF-ę na playstation. Pamiętam, jak żałowałam, że to nie ja

siedzę tam razem z nim i sprawiam, że czuje się szczęśliwy. Nie pamiętam, jak położyłam się spać ani jak kładłam Jamiego do łóżka – kolejna dziura w miejscu, gdzie powinno być wspomnienie – ale musiałam to zrobić, bo w następnej kolejności przypominam sobie śniadanie i odkrycie, że Shelley nadal jest w domu.

– Mam nadzieję, że się nie gniewasz, ale przespałam się na kanapie. Nie chciałam zostawiać cię samej, kiedy byłaś taka przygnębiona – powiedziała, podając mi herbatę. Sprawiała wrażenie, jakby czuła się w mojej kuchni swobodniej niż ja. – Nie wybrałabyś się dzisiaj ze mną na basen? Kto wie, może trochę ruchu dobrze ci zrobi?

Moje spojrzenie przeniosło się z jej twarzy – promiennej i ładnej nawet po nocy spędzonej na kanapie – na Jamiego. Na buzi mojego synka widać było podniecenie, złożył ręce i wyciągnął je w moją stronę jakby w modlitwie.

– Nie... nie mogę – westchnęłam, nienawidząc siebie. – Czuję się strasznie słabo. – Sama myśl o zimnym basenie i fizycznym wysiłku, jakiego wymagałoby utrzymanie się na powierzchni, była dla mnie zbyt trudna.

Uśmiech Jamiego się rozwiął. Jego dolna warga wysunęła się do przodu.

– A mógłbym pojechać sam z Shelley? Proszę, mamó, proszę?

– No jasne. – Shelley uśmiechnęła się do mnie. – I może w drodze powrotnej zajrzałabym do supermarketu? Mogę zrobić zakupy na ten tydzień. I widzimy się około trzeciej. Masz zapasowy klucz? Nie będę musiała cię budzić, jeśli położysz się spać.

– Okej. Dziękuję. Jeśli naprawdę nie masz nic przeciwko... – powiedziałam, a wtedy Jamie popędził na górę po kąpielówki i okulary do pływania.

Zaczęłam szperać w szufladzie przy mikrofalówce, szukając zapasowego klucza do bocznych drzwi.

„Jeśli naprawdę nie masz nic przeciwko” – to było wszystko, co powiedziałam. Za ledwie kilka słów. Nie zapytałam, czy Shelley poradzi sobie na basenie z siedmiolatkiem. Nie ostrzegłam, jak szybko Jamie męczy się w wodzie, i nie upewniłam się, że Shelley nie spuści go z oczu. Nie powiedziałam, żeby nie wpuszczają go do przebieralni dla mężczyzn, bo jest jeszcze za mały i nie poradzi sobie wśród obcych, i pewnie rzuci ubrania na mokrą podłogę.

Nawet nie zapytałam, na który basen się wybierają. A teraz ich nie ma, a ja jestem sama i się zamartwiam, nic, tylko się zamartwiam. Mark, a co, jeśli coś się stało?

Sprawdzam godzinę na ekranie telefonu. Już prawie piąta trzydzieści. Czas zadzwonić na policję. W pokoju panuje mrok, egipskie ciemności, ale jeśli włączę światło, nie będę widziała podjazdu i alejki, a i tak ledwo je dostrzegam w ostatnim świetle dnia.

Już mam wcisnąć pierwszą dziesiątkę, kiedy słyszę mruczenie skręcającego na podwórko samochodu. Nachylam się do okna i widzę Shelley za kierownicą białego mini z czarnym dachem. Z tyłu widać uśmiechniętą buzię Jamiego.

Nagle zaczynam się trząść z ulgi, i może też z gniewu. Co Shelley sobie myślała?

Lecz mój gniew rozwiewa się, gdy tylko słyszę trzask drzwi i kroki Jamiego w kuchni.

– Mamo! – krzyczy. – Już jesteśmy! Mogę pograć na playstation?

Biegnę korytarzem i kiedy dobiegam do kuchni, wpadam prosto na synka.

– Cześć, skarbie, dobrze się bawiliście? – Głos mi drży, ale udaje mi się zdobyć na uśmiech.

Jamie kiwa głową. Usta ma rozchylone i widzę, jak dotyka językiem zęba, porusza nim w przód i w tył.

– Podziękowałaś Shelley?

Zanim Jamie ma czas odpowiedzieć, wchodzi Shelley, targając po dwie wypchane reklamówki w każdej ręce. Podchodzę, żeby jej pomóc, a kiedy się odwracam, Jamiego już nie ma. Po chwili słyszę znajome piknięcie budzącej się konsoli do gry.

– Nie było żadnych problemów? – pytam, stawiając torbę na blacie.

W środku brzęczy jakiś słoik, a z góry wystaje mrożona pizza. Pepperoni – ulubiona Jamiego.

– Wszystko super. Dokładnie tego mi było trzeba. W każdym razie jak już się oswoiłam z zimną wodą – śmieje się Shelley i wzdryga lekko, odstawiając resztę zakupów na cętkowany beżowy blat.

Włosy ma zebrane w kucyk na karku, a dookoła uszu wije się kilka pasemek. Bez makijażu jej skóra jest o odcień bledsza, ale oczy nadal są duże, pełne życia i skrzące radością.

Przełykam frustrację i dopiero wtedy zbieram się na odwagę, żeby coś powiedzieć.

– Tylko że czekam już dobre dwie godziny... Zaczynałam się martwić. Nie odbierałaś telefonu – dodaję, bezskutecznie próbując się powstrzymać przed jęklwym tonem.

– Och. Byłam pewna, że umówiliśmy się koło piątej. Nie myślałam, że to takie ważne.

– Oczywiście, że ważne – rzucam ostro, podnosząc głos, aż Shelley przestaje szperać w torbach i podnosi na mnie wzrok. – Mówiłaś, że o trzeciej. Zaczynałam panikować. Wyobrażałam sobie najgorsze. Myślałam, że coś się stało. Już miałam dzwonić na policję.

– O kurczę. Tess, strasznie przepraszam, naprawdę nie sądziłam, że będziesz miała coś przeciwko. Rano wydawałaś się taka zmęczona... pomyślałam, że będziesz chciała odpocząć. No, ale już jestem. – Bierze mnie za rękę.

Jej skóra jest gładka, a dłoń prawie o połowę mniejsza od mojej, za to ciepła. Od razu czuję się lepiej.

– Przepraszam, nie chciałam cię martwić – mówi Shelley, patrząc mi prosto w oczy. – Kilka godzin temu dzwoniłam na domowy, żeby zapytać, czy chcesz coś konkretnego ze sklepu. Ale nie odebrałaś, więc pomyślałam, że jeszcze śpisz. Nie mogłam zostawić wiadomości na sekretarce, bo masz pełną skrzynkę, a potem komórka mi padła. W ogóle o tej sekretarce miałam ci powiedzieć już wczoraj.

– Aha. – Przełykam łyżę, na które już zaczęło mi się zbierać. – Przepraszam. Masz rację. Robię z igły widły. A przecież tyle dla mnie zrobiłaś w ten weekend, że to ja ciebie powinnam przeproszać.

– No co ty. Pamiętaj, przecież sama przeżyłam to wszystko, przez co teraz przechodzisz. Ile razy w tych początkowych dniach wściekałam się na Tima i na siostrę... No, niemało. Powinnam była wysłać ci wiadomość albo spróbować dodzwonić się na komórkę. Naprawdę myślałam, że śpisz. Ale zapomnijmy już o tym. – Uśmiecha się. – Kupiłam masę jedzenia. Nastawię czajnik, a ty rozpakuj zakupy, dobrze?

Jej pewność siebie i luz sprawiają, że zaciśnięte węzły w moim ciele zaczynają się rozluźniać. Jamie jest cały i zdrowy. Nie stało się nic złego. To nie wina Shelley, że ciągle się wszystkim przejmuję. Powinnam była usłyszeć telefon domowy. Powinnam była wybrać się z nimi na basen, tak jak proponowała. Dlaczego tego nie zrobiłam? Przecież mogłam usiąść z boku i sobie popatrzeć. Wcale nie musiałam pływać. A tymczasem, zatopiona we wspomnieniach o nas obojgu, spędziłam cały dzień na snuciu się po domu, jakby w zwolnionym tempie.

I teraz nawet nie jestem już przekonana, czy Shelley naprawdę powiedziała, że wrócą o trzeciej. Może faktycznie mówiła, że o piątej.

W końcu moja pamięć nie jest stuprocentowo pewna. Może to była tylko pomyłka.

– Aha, zapomniałam ci powiedzieć – mówi Shelley, nastawiając czajnik i biorąc dwa kubki z suszarki. – Wczoraj, jak spałaś, dzwoniła twoja mama. Odebrałam, żeby cię nie budzić. Martwi się o ciebie.

Wzdycham, wsuwając do kredensu puszkę z fasolką w sosie pomidorowym.

– Trudno mi się z nią teraz rozmawia. Ona chce usłyszeć, że jest lepiej, a ja nie jestem w stanie tego powiedzieć.

– Wiem. Wyjaśniłam jej to. Właściwie całkiem długo sobie porozmawiałyśmy. Mówiła, jak ciężko jej było po śmierci twojego taty i że chce, byś wiedziała, że rozumie, co przeżywasz.

– Wcale nie rozumie. – Słowa same wymykają mi się z ust. Zaciskam palce na drzwiczkach kredensu. Ściskam mocno i wreszcie je zatraskuję. – Sorry, wiem, że to nie w porządku, ale ona naprawdę nie rozumie. Tata umarł, kiedy miał sześćdziesiąt siedem lat. To nie to samo.

– Tess, ona się stara. A poza tym cierpienie to nie coś, co można dokładnie wymierzyć.

Kiwam głową, szarpana wyrzutami sumienia i zawstydzona, że nie oddzwaniam do mamy. Ale mam do niej żal. Wiem, że mama wcale nie chce, bym czuła się winna, że się do niej nie odzywam, ale tak właśnie jest i to nie w porządku.

– Zadzwoń do niej.

– Nie trzeba – mówi Shelley. – Wytłumaczyłam jej, jak się czujesz, i dałam jej swój numer. Od tej pory, jeśli będzie chciała wiedzieć, co u ciebie słychać, może zadzwonić do mnie, a ty się do niej odezwiesz, kiedy będziesz na to gotowa.

Gardło zaciska mi się ze wzruszenia. Ulga i smutek zatykają mi je niczym gliniana grudka.

– Dziękuję.

– Drobiazg. Cieszę się, że mogę pomóc. Jeśli jest jeszcze ktoś, z kim nie chcesz rozmawiać, też mogę z nim pogadać. Proszę, herbata.

Shelley stawia na stole dwa kubki. Siadamy naprzeciwko siebie, dokładnie jak podczas jej pierwszych odwiedzin. To było niecały tydzień temu, ale od tego czasu tyle się między nami zmieniło.

Nie wiem, co bym bez niej zrobiła w ten weekend.

– Jak było na basenie? – pytam. – Wyprawa się udała?

– Tak – uśmiecha się Shelley. – Normalnie w weekendy nie pływam po południu. Strasznie dużo dzieciarni, skaczą do wody i pryskają na wszystkie strony. Przypominało mi to o Dylanie. Byłby zachwycony. Strasznie mi go brakuje – wzdycha, dotykając swojego medalionu. – Dzieci mają w sobie tyle energii, prawda? Dylan napełniał mnie i Tima miłością, ale też poczuciem celu. Uwielbiałam być mamą. Czasami brakuje mi tego, tak jak jego samego.

Próbuję wyobrazić sobie Dylana. Założę się, że Shelley była fantastyczną matką. Taką, która uwielbiała się bawić i wygłupiać. Taką, jaką i ja kiedyś byłam. Mam nadzieję, że wyprawa z Jamiem na basen nie była dla niej zbyt bolesna. Zanim mam okazję o to zapytać, Shelley wstaje z krzesła i myje swój kubek.

– Lepiej już pójdę, zanim Tim wyśle ekipę ratowniczą – mówi.

– A... okej. – Nie chcę, żeby sobie poszła. Nie chcę się czuć samotna, tylko ja i Jamie w tym wielkim starym domu. – Jeszcze raz przepraszam, że tak na ciebie naskoczyłam...

Shelley macha ręką.

– W ogóle się tym nie przejmuj. Cieszę się, że wyglądasz lepiej. Wyślesz mi potem wiadomość?

– Jasne.

– Jeszcze tylko wezmę szal – mówi Shelley. – Chyba zostawiłam go w salonie.

Przez otwarte drzwi napływa śmiech Jamiego i jego okrzyk: „Cześć!”.
Po chwili Shelley wraca.

– Uważaj na siebie – mówi, nachylając się i obejmując mnie mocno.

Czuję jej ciepło.

– Krok po kroczku. Po jednej rzeczy na dzień. Okej?

– Okej.

– Obiecujesz?

Uśmiecham się.

– Tak.

– I bierz te antydepresanty. One naprawdę pomagają.

Z tymi słowami znika.

Przechodzę do salonu i zwijam się na kanapie, patrzę, jak Jamie gra w swoją grę. Wyczuwam na poduszkach delikatne resztki perfum Shelley. Bez niej dom wydaje się o wiele bardziej pusty. Pusty i zimny – jak ja.

Rozdział 17

Ian Clarke

Wcale nie nachodziłem jej dzień w dzień. Wpadłem dopiero po jakimś miesiącu, żeby sprawdzić, czy czegoś nie potrzebuje. Nie odbierała moich telefonów, więc się martwiłem. Następny raz rozmawiałem z nią, kiedy sama zadzwoniła. Była cała w nerwach, bo myślała, że widziała Marka w supermarkecie. Właściwie to nawet nie dzwoniła do mnie – nie, wybrała numer Marka. Wciskała mi jakieś bzdury, że chciała usłyszeć jego głos na automatycznej sekretarce, ale nie uwierzyłem. Zachowywała się tak, jakby zapomniała, że umówiliśmy się, że mam załatwić przekierowanie jego połączeń do mnie. Rozmawialiśmy o tym podczas przygotowań do pogrzebu i mówiła wtedy, że to dobry pomysł.

Shelley Lange

Szybko się do siebie zbliżyliśmy. Po raz drugi widziałam ją w sobotę. Zadzwoniłam, żeby sprawdzić, co u niej słychać. Miała za sobą ciężki tydzień. Gdy tylko ją usłyszałam, od razu wiedziałam, że jest źle, więc pojechałam jej pomóc.

Pewnie za dużo sobie pozwalałam, ale rozumiałam jej ból, a ona rozpaczliwie kogoś potrzebowała. Była wtedy w złym stanie. Co chwila odpływała myślami, w oczach miała ten nieobecny wyraz. Nie chciała rozmawiać z rodziną, więc zaproponowałam, że się tym zajmę. To jej pomagało.

Rozdział 18

Środa, 28 lutego – 39 dni do urodzin Jamiego

Pozbierałam się, Mark. W każdym razie częściowo. Czuję się, jakbym tkwiła na krawędzi otchłani, w stanie zawieszenia, kiedy już straciłam równowagę, ale jeszcze nie zaczęłam spadać. Jestem pewna, że za chwilę runę – a wtedy znowu znajdę się w najciemniejszej dziurze, przemarznięta do szpiku kości i tak obolała, że nic nie będzie mnie obchodzić. Ale jak na razie nadal stoję na krawędzi – to najlepsze, na co mogę liczyć.

Sama nie jestem pewna, jak się wygrzebałam z tej przepaści. Oczywiście pomogła mi w tym Shelley. Z niedzieli zrobił się poniedziałek, Jamie poszedł do szkoły, a ja skupiłam się na tabletkach i zrobieniu jednej rzeczy na dzień, tak jak obiecałam.

W poniedziałek usmażyłam naleśniki z kupionych przez Shelley jajek. Kiedy usłyszałam na schodach kroki Jamiego, przelałam paćkowaty żółty płyn na patelnię: chciałam przerzucić pierwszego naleśnika na drugą stronę w momencie, kiedy Jamie stanie w drzwiach. Trochę wyszłam z wprawy i za mocno machnęłam patelnią: naleśnik poleciał przez kuchnię i wylądował na oparciu krzesła, gdzie oklapł, a potem zsunął się na podłogę. Ale przynajmniej rozśmieszyłam Jamiego, więc nic się nie stało.

We wtorek posprzątałam łazienkę i zamówiłam lego, zestaw Sokół Millennium z *Gwiezdnych wojen* – Jamie chce to dostać na ósme urodziny. Wiem, że zostało jeszcze trochę czasu, ale martwiłam się, że sklep wyprzeda zapasy albo będzie jakiś problem z dostawą.

A dzisiaj zajrzałam pod lodówkę i wygrzebałam spod niej cały kurz i brud. Nie było śladu po magnesie z Jamiem – w takim razie może

poleciał pod piekarnik. Wyszorowałam też wnętrza kuchennych szafek – jestem pewna, że twoja matka nie robiła tego ani razu od czasu, kiedy kilkadziesiąt lat temu je zamontowano. Pracując, słuchałam audycji Kena Bruce'a w BBC Radio 2. Nawet udało mi się odpowiedzieć na pytanie w quizie muzycznym. O równej godzinie wyłączyłam radio, żeby nie słuchać wiadomości, na wypadek gdyby była w nich jakaś wzmianka o katastrofie lotniczej.

Ale czyszczenie szafek wcale nie było moim dzisiejszym małym kroczkiem. Zrobiłam to tylko po to, żeby się czymś zająć, skupić. Dzisiaj moim zadaniem jest Jamie. Kiedy odbiorę go ze szkoły, zrobimy razem coś fajnego.

Idę pospiesznie alejką do wioski, plaskając kaloszami; płaszcz zapięłam po samą szyję, tak że tylko głowa jest narażona na lodowate podmuchy wiatru.

Z przodu widzę traktor. Ciemnozielony potwór, który ciągnie za sobą naczepę z ogromną rurą. Przechodzę jeszcze kilka kroków i patrzę, jak wielkie gumowe koła toczą się w moją stronę. Wreszcie odsuwam się na samą krawędź jezdni i wciskam w kolczaste krzaki. Traktor mija mnie w bardzo niewielkiej odległości. Gdybym chciała, mogłabym wyciągnąć rękę i go dotknąć. Hałas silnika brzmi w moich uszach jak ryk i na chwilę uginają się pode mną nogi.

Za traktorem w tempie piętnastu kilometrów na godzinę ciągnie się samochód osobowy. Z tyłu siedzi dwójka znudzonych dzieci w granatowych szkolnych sweterkach. Takich samych, jak nosi Jamie – dopiero wtedy uświadamiam sobie, że jestem spóźniona.

Odskakuję od żywopłotu – ciernie wczepiają się we mnie i drapią tkaninę mojego płaszcza. Za zakrętem dostrzegam szkolne mury z czerwonej cegły i buzię Jamiego, który się za mną rozgląda. Wyciągam rękę i macham, aż wreszcie mnie zauważa.

– Przepraszam – sapię. – Traktor przyblokował alejkę i musiałam poczekać, aż przejedzie. Jak minął dzień?

– W porządku – mówi Jamie i ruszamy w drogę.

– Co dzisiaj robiłeś?

– Nic.

– Naprawdę? – pytam, trącając go w żartach. – Przecież coś na pewno robiłeś.

– Nie pamiętam.

– Nie szkodzi. Tak sobie pomyślałam, że może po powrocie wskoczmy do samochodu i pojedziemy do tej sali zabaw w Colchester? Bardzo ci się tam podobało, wtedy na tej halloweenowej imprezie. Pamiętasz? Tam gdzie były te strome zjeżdżalnie.

– Teraz?

– No. Czemu nie?

– Nie chcę – mówi Jamie takim tonem, jakbym poprosiła go o posprzątanie pokoju.

Wiem, gniewa się, bo się spóźniłam, ale mimo to wołałabym, żeby okazał nieco więcej entuzjazmu.

– Aha... Po prostu pomyślałam, że się ucieszysz.

– A Shelley też jedzie? – pyta Jamie.

– Eee... nie.

– Te miejsca są dla dzieci. Nie chcę.

– Ostatnio ci się podobało.

Pamiętasz to, Mark? Godzinami biegał po drabinkach w kostiumie wilkołaka, a my siedzieliśmy przy lepkich stolikach, popijaliśmy kubek za kubkiem słabej herbaty i marzyliśmy o tym, żeby to było wino.

– Nie jestem DZIECKIEM! – krzyczy Jamie tak głośno, że aż przebiega mnie dreszcz.

– Ale przecież... – Wpatruję się w naszego kochanego, cudownego chłopca, który nigdy dotąd na mnie nie krzyczał, i nie wiem, co

odpowiedzieć. Zatrzymuję się i wyciągam dłoń, żeby wziąć go za rękę, ale on odsuwa się i rusza sprintem do domu. – Jamie...! – szepczę zdumiona.

Przez moją głowę przelatują ogromne koła traktora, aż nie widzę już nic poza nimi – ogromne koła toczące się po jezdni i Jamie, który pod nie wpada.

Ruszam tak szybko, jak pozwalają mi na to nogi i kalosze. Nie mogę dopuścić do tego, żeby coś mu się stało.

Jamie czeka na mnie na podwórzu, czerwony na twarzy i naburmuszony.

– Jamie! – Wypowiadam jego imię tak, że przypomina świdrujący pisk. Jednocześnie walczę o oddech. Czuję, jak uderza we mnie fala paniki, budząc niepokromioną wściekłość. – Nigdy więcej tak nie uciekaj. Słyszysz? – Podchodzę bliżej, niemal ślizgając się na żwirze. – Nigdy tak nie uciekaj, a już na pewno, na pewno nie w tej alejce. Przecież zza zakrętu mógł wyjechać traktor. Wiesz o tym.

– Idź sobie! – krzyczy na mnie Jamie.

Jestem już blisko niego i zanim się orientuję, co robię – zanim mam czas się zastanowić – moja prawa ręka mknie w stronę jego policzka.

Dzięki Bogu, powstrzymuję się w porę. Moje palce przecinają powietrze o kilka centymetrów od jego ramienia. Cofam gwałtownie dłoń i chwytam ją drugą ręką, jakbym się oparzyła.

Jamie przez chwilę patrzy na mnie gniewnie, a potem odwraca się na pięcie i biegnie za dom w kierunku ogrodu i budki na drzewie. W ostatnim momencie odwraca się, jakby się spodziewał, że za nim pogonię, ale tego nie robię; nie mogę, nawet gdybym chciała. Czuję, że kolana zaraz się pode mną ugną, do oczu napływają mi gorące łzy.

– Jamie, przepraszam – szlocham, ale głos mam tak słaby, że nikt poza mną go nie słyszy.

Mark, co ja narobiłam?

Tessie, wszystko w porządku.

Nigdy, nigdy, przenigdy nie rzuciłam się na kogoś w gniewie. Na nikogo. Ani na ciebie, a już na pewno nie na Jamiego. Należę do tych osób, które nawet nie trąbią, kiedy ktoś wciska się przed nie na jezdni.

Mark, ja nie chciałam. Tak się przestraszyłam, kiedy uciekł. Wcale nie zamierzałam go uderzyć. Nie zrobiłabym tego. Nigdy bym tego nie zrobiła.

Zamykam oczy i uwalniam łzy. Gdzieś dzwoni telefon i dopiero po chwili uświadamiam sobie, że dźwięk dobiega z domu. Zmuszam się, żeby ruszyć z miejsca, modląc się, by telefon był od Shelley. Ona będzie wiedziała, co robić.

Pot oblewa mnie pod zimowym płaszczem. Zdyszana szarpię zasuwkę w bocznych drzwiach i skopuję kalosze z nóg. Dzwonienie staje się głośniejsze – przypominam sobie uwagę Shelley o tym, że automatyczna sekretarka jest pełna.

Przebiegam przez parter do jadalni i chwytam słuchawkę w połowie dzwonka.

– Halo? – rzucam, wciąż zmachana po biegu i kłótni z Jamiem.

Na linii panuje cisza.

– Halo? – powtarzam.

Słyszę trzask i nagle w moim uchu rozbrzmiewa sygnał. Mówię sobie, że pewnie ten ktoś właśnie odkładał słuchawkę i już nie zdążył mnie usłyszeć.

Idę z powrotem do przedpokoju, lecz wtedy telefon znowu zaczyna dzwonić. Zawracam i podnoszę słuchawkę po drugim dzwonku.

– Halo?

Cisza.

Czekam przez chwilę i nasłuchuję, ale nic. Żadnego dyszenia, żadnego podejrzanego sygnału, po prostu nic.

– Mark?

Dopiero kiedy wymawiam szeptem twoje imię, kiedy słyszę samą siebie, jak wypowiadam je na głos, dociera do mnie, co sobie pomyślałam. Rzucam słuchawkę z powrotem na aparat i cofam się, aż wpadam plecami na oparcie krzesła przy stole. To nie ty, to... to tylko jakaś głupia reklama albo pomyłka, albo tysiąc innych możliwych rzeczy. To nie ty do mnie dzwonisz.

Rozdział 19

Czwartek, 1 marca – 38 dni do urodzin Jamiego

Wszyscy wrzeszczą. Wrzeszczą i wrzeszczą. Mężczyźni i kobiety, bez różnicy, krzyczą głośno i przenikliwie. Jakiś człowiek o dwa rzędy przed nami zrywa się z trudem z fotela i gwałtownie otwiera luki bagażowe nad głową. Chcę zapytać, po co – co mu z tego przyjdzie? Też mam ochotę krzyczeć, ale nie mogę otworzyć ust. Nie mogę się ruszyć. Niewidzialna siła przypiera mnie do fotela, wyciska ze mnie oddech.

Do samolotu wdziera się dym. Oczy mnie pieką, czuję w ustach jego smak. Coraz więcej ludzi zrywa się z miejsc. Przejściem przelatuje walizka, uderza w zagłówek fotela niedaleko nas.

Za szybą kalejdoskop błękitnego nieba i zieleni, potem szarości – asfalt, ziemia.

Już za chwilę. Już za chwilę się rozbijemy.

Gwałtownie otwieram oczy i chwytam ustami powietrze. Płuca mnie bolą; czuję smak dymu z ogniska, które rozpaliłam w dniu, kiedy zginąłeś. Głowa pulsuje w rytm zaciekłych uderzeń serca – słyszę w uszach jego łomot.

Mrugam w ciemnościach. Świeci księżyc i jego blade, srebrzyste światło wydobywa z mroku kształty mebli, odbija się od ogromnego telewizora w kącie. Wygląda na to, że zasnęłam na kanapie.

Nie mogę zapomnieć o tym koszmarze. Myślę tylko o tym, jak bardzo musiałeś się bać. Jak samotny się czuleś. Mija kolejna minuta. Wreszcie przestaje łomotać mi w uszach i słyszę ciszę domu. Na zewnątrz, gdzieś niedaleko, pohukuje sowa. Przeciągam ramiona. Mam zeszywniały kark, a oczy spuchnięte i obolałe. Przypominam sobie, że płakałam.

Odczekałam, dopóki Jamie nie zaśnie. Na kolację wrócił wreszcie do domu; w wymuszonym milczeniu zjedliśmy resztki zapiekanki. Chyba oboje byliśmy zdenerwowani i było nam przykro, ale udawaliśmy, że wcale nie. W każdym razie ja udawałam. Przeczytałam mu bajkę i pocałowałam na dobranoc, a potem zwlokłam się do salonu i zamknęłam drzwi, żeby Jamie mnie nie słyszał. Rzuciłam się na kanapę i płakałam, płakałam, aż nic we mnie nie zostało. Zanim znowu się podniosłam, ogrzewanie zdążyło się już wyłączyć. W domu jest lodowato. Cała się trzęsę, muszę się ruszyć. Nie jestem pewna, ile czasu tu leżałam, ale mam wrażenie, że minęły całe godziny. Zajrzę do Jamiego, a potem owinę się w naszą kołdrę, żeby było mi cieplej. Możesz mi opowiedzieć o tamtym wieczorze, kiedy się poznaliśmy. Pamiętasz to, Mark? To było na tamtej parapetówce, na którą oboje trafiliśmy prawie z przypadku. Żadne z nas nie znało tam nikogo poza Stacey.

Jasne, że pamiętam, Tessie. Byłaś najpiękniejszą kobietą w pokoju. Zawsze jesteś.

Już nie.

Jamie śpi mocno, ślicznie wygląda w łagodnym świetle nocnej lampki. Właśnie idę na palcach do naszej sypialni, kiedy zaczyna dzwonić telefon – w nocnej ciszy dzwonek brzmi głośno jak alarm przeciwpożarowy. Nie wiem, która godzina, ale późna. Na pewno jest po północy. To nie pora na telefony.

Biegnę na koniec korytarza, mijam tylne schody i wpadam do twojego gabinetu. Chciałam, żebyś urządził sobie gabinet w jednym z pokoiów na dole. W końcu ich tam nie brakuje. Ten tutaj zamierzałam zachować dla drugiego dziecka. Ale ty wolałeś właśnie ten kącik na uboczu, z widokiem na ogród i domek na drzewie, który wybudowałeś dla Jamiego – nie mogłam ci powiedzieć, co myślę, nie zniósłabym

twojego przewracania oczami i komentarza: „Znowu to samo”, gdybym wspomniała o dziecku, o które tak bardzo się staraliśmy.

Włączam światło. Nie ma tu klosza, tylko goła, zakurzona żarówka, która rzuca ostre światło. Nie ma też mebli, nie licząc starego biurka i jednego regału twojej matki – oba pokrywa cienka warstwa kurzu. Pod ścianą stoją trzy schludne kolumny kartonów. Na każdym widnieje nabazgrany napis: „Gabinet Marka”. Na widok twojego charakteru pisma czuję ukłucie tęsknoty, przesywa mnie całą na wskroś.

Telefon leży na najbliższym kartonie; chwytam go szybko.

– Halo? – mówię, jeszcze zanim mam czas podnieść go do ucha.

Żadnego dźwięku, podobnie jak wcześniej.

Rozłączam się, czując na ramionach gęsią skórę. Podmuch wiatru uderza w okno, grzechocze szybą, podrywając mnie z miejsca. Przy włączonym świetle okno wygląda jak czarne lustro. Na widok własnej przestraszonej twarzy przechodzą mnie ciarki i wyłączam światło. Już po kilku sekundach mój wzrok oswaja się z ciemnością i znowu dostrzegam zarysy pokoju. Księżyc jest dość jasny, żebym mogła się zorientować, i nie czuję się już taka przerażona.

W mroku błyszczy czerwona lampka automatycznej sekretarki. W głowie słyszę głos Shelley: *Nie mogłam zostawić wiadomości, bo masz pełną skrzynkę*. Próbuję sobie przypomnieć, kiedy ostatnio odsłuchiłam wiadomości na sekretarce, ale nie jestem tego pewna.

Opadam na wytarty dywan i wciskam play. Dźgam palcem w guzik głośności, żeby maksymalnie przyciszyć dźwięk. Nie chcę obudzić Jamiego.

– Skrzynka wiadomości głosowych jest pełna – informuje elektroniczny głos. – Masz dwadzieścia jeden wiadomości. Wiadomość numer jeden.

– Cześć, skarbie, to ja. – Słaby głos mamy wydaje się rozchodzić echem po pustym pokoju. – Już wróciłam i się rozpakowałam. Co

słyszeć? Wiem, że jak przyjechałam do ciebie, nie było za dobrze, ale może ty przyjechałabyś do mnie? Morskie powietrze na pewno by ci pomogło. Nie lubię myśleć, że całymi dniami przesiadujesz sama w tym domu. Bardzo cię kocham, mój skarbie. Dzwoni o każdej porze dnia i nocy.

Z każdym wypowiedzianym przez nią słowem coraz mocniej zaciskam zęby. Żadnej wzmianki o Jamiem. Ani słowa o szkole. Cała mama – myśli tylko o tym, co najlepsze dla niej. Nie możemy tak po prostu wszystkiego rzucić. Cieszę się, że teraz Shelley będzie z nią rozmawiała. Cieszę się, że mama nie będzie już tak do mnie wydzwaniać.

Wiadomość się kończy i sekretarka odtwarza następną:

– Cześć, Tess. – W pokoju rozbrzmiewa głos mojego brata i pod jego wpływem napięcie w moich piersiach ustępuje, w tle słyszę szpitalną krzątaninę. – Zrobiłem sobie szybką przerwę, żeby do ciebie zadzwonić. Niedługo twoje urodziny, a dawno nie rozmawialiśmy. Potrzebna mi twoja pomoc w rozwiązaniu wczorajszej krzyżówki z „Guardiana”. Pięć liter. Wskazówka to: „Już nie młoda kurka”. Zadzwoń, jak będziesz mogła.

Żadnej wzmianki o Jamiem ani pytania o to, co u mnie słyszeć, ale Sam nie musi pytać o takie rzeczy. Troska przebija z jego głosu i z samego pretekstu, pod którym dzwonił. To on obudził we mnie pasję do krzyżówek, kiedy jeszcze byliśmy nastolatkami i rodzice ciągali nas na wakacje pod namiot, choć byliśmy na to o wiele za duzi. Oczywiście sam znał odpowiedź. Po prostu chciał zażartować z mojego wieku. Uśmiecham się. Odpowiedź brzmi: „kwoka”.

Myślę, czy nie wziąć telefonu i nie zadzwonić do brata, ale coś mnie powstrzymuje, jakaś bariera. W tej chwili nie mam ochoty rozmawiać ani z Samem, ani z mamą. Oboje chcieliby usłyszeć, że u mnie wszystko w porządku, ale ja nie mam siły na kłamstwo. A poza tym jest środek

nocy. Sam albo pracuje, albo śpi – wydzwanianie o tej porze jeszcze bardziej go zaniepokoi. Zadzwoń do niego jutro. Może.

Leci kolejna wiadomość. Spycham myśli o rodzinie w głąb umysłu.

– Tess, tu Ian. Mam nadzieję, że wszystko gra. Czy możesz do mnie zadzwonić? Muszę z tobą porozmawiać o tych pieniądzach, o których wspominałem na pogrzebie.

Sygnał.

– Tu znowu Ian. Tess, oddzwon, proszę. To ważne. – Każde słowo jest krótkie i punktowane zniecierpliwieniem.

Są też dwie wiadomości od sekretarki kancelarii prawnej Clarke & Barlow z prośbą o kontakt oraz jedna od samego Jacoba Barlowa. Zastanawiam się, czy wszyscy prawnicy są tacy namolni, czy też ten upór to sprawka Iana.

Potem odsłuchuję wiadomość od jakiejś firmy z meblami kuchennymi, o której nigdy nie słyszałam, a po niej więcej rozedrganych próśb matki. Przy kolejnej wiadomości ktoś po prostu się rozłącza. To samo w następnej i w jeszcze następnej, aż wreszcie tracę rachubę. Nie wiem, kto to, ale czeka, aż rozpocznie się nagranie, a potem znika.

Za każdym razem nachylam ucha i słucham niemej wiadomości, usiłując wyłapać jakieś odgłosy w tle, ale wciąż nic. Tylko że to wcale nie jest nic, prawda? Dlaczego ktoś najpierw do mnie wydzwaniania, a potem się rozłącza? Znowu przechodzi mnie dreszcz. Przełykam z wysiłkiem ślinę.

Jutro zadzwonię do firmy telefonicznej i zapytam, czy mogą mi jakoś pomóc. To pewnie tylko awaria jednej z tych głupich automatycznych wiadomości – jakaś firma koniecznie chce mnie powiadomić, że mogę wygrać darmową izolację poddasza.

Przewijam wiadomości, kasując je po kolei, aż wreszcie docieram do nagrania Shelley z sobotniego poranka.

– Cześć, tu Shelley. Pomyślałam, że sprawdzę, co u ciebie. No wiesz, po tej naszej rozmowie w poniedziałek. No i jak się miewasz po wczorajszym? Mam dzisiaj wolne przez cały dzień, więc zadzwoń, jak dostaniesz tę wiadomość, albo sama spróbuję się później skontaktować. Cześć.

Z jej głosu przebija energia, więc kiedy nagranie się kończy, pokój i dom wydają mi się aż nazbyt ciche.

I nagle telefon dzwoni po raz kolejny. Głośno jak syrena. Odskakuję do tyłu i uderzam głową o ścianę.

Kto to? O tej porze, akurat kiedy siedzę tuż przy aparacie? Kto może do mnie wydzwaniać?

Moja ręka zawisa w powietrzu, serce bije mocno, przypominając strach i panikę z koszmaru. Zamykam oczy i widzę szary asfalt pasa do lądowania, słyszę w uszach wrzaski.

Już mam odebrać, kiedy uprzedza mnie automatyczna sekretarka.

– Cześć, dodzwoniłeś się do Tess, Marka i Jamiego. Nie ma nas w domu, więc zostaw wiadomość po sygnale. – Mój głos tryska energią jak u prezentera telewizyjnego turnieju. Brzmie jak obca osoba.

Wstrzymuję oddech i czekam na ciszę, na rozłączenie się, jak wcześniej, lecz tym razem słyszę coś w tle – podmuch wiatru w słuchawce. To nie jest automatyczna wiadomość. Tam ktoś jest. Ktoś dzwoni do nas w środku nocy.

– Mark, gdzie ty się podziewasz, do diabła? Mieliśmy się spotkać ponad godzinę temu – rzuca jakiś męski głos z taką siłą, że najpierw krzyczę zaskoczona, a potem zatykam sobie usta rękami, jakby mógł mnie usłyszeć. – Minęły już trzy miesiące – mówi mężczyzna. Głos ma szorstki, a ze słów przebijają gniew i determinacja. – Do tej pory miałeś to zrobić. Mówiłem ci na samym początku, że nie grzeszę cierpliwością. Nie wystawiaj mnie na próbę. Musimy pogadać. Zadzwoń!

Na linii słycać kolejny szum. Jednocześnie w gabinecie, o pół metra od miejsca, gdzie siedzę oparta plecami o ścianę, w podzielonych ołowiem oknach zaczynają grzechotać szybki.

Zastygam. Czy to ten sam podmuch wiatru? Czy ten ktoś, kto dzwoni, jest na zewnątrz, chodzi po naszym podwórzu? Czy to jego kroki słyszałam, kiedy mówiłeś, że to tylko jeleń?

Przyciągam do siebie kolana i zagryzam dolną wargę. Mark, boję się.

W sekretarce rozlega się sygnał. Mężczyzna się rozłączył. Słyszę tylko swój głośny oddech. Moje myśli szaleją tak samo jak serce. Mark, kim był ten człowiek? Dlaczego mówi, że traci cierpliwość?

Przesiewam wspomnienia twoich biurowych imprez, kolegów, których poznałam przez lata, ale ten głos nie pasuje do żadnego z nich, a poza tym dlaczego ktoś z biura miałby do ciebie wydzwaniać? Przecież wszyscy byli na pogrzebie. Wszyscy wiedzą, że zginąłeś w katastrofie lotniczej.

Wyciągam drżącą rękę i wciskam play, po czym znowu podskakuję, kiedy w ciszy rozlega się warkliwy głos tego mężczyzny.

Przyciągam mocniej kolana, zamykam oczy i słucham. Ogarnia mnie mgła, moje myśli zaczynają się plątać. Myślę o Denise, choć sama nie wiem dlaczego.

Mark, kim jest ten człowiek? Czego on chce od ciebie, od nas?

Rozdział 20

Trzeba było od razu wybrać opcję oddzwaniania pod numer, z którego przyszło ostatnie połączenie. Trzeba było pozwolić w zeszłym roku, żebyś kupił te aparaty telefoniczne, które wyświetlają numer dzwoniącego – ale ja stwierdziłam, że to bez sensu.

„Po co nam identyfikacja numerów przychodzących na domowym aparacie? Przecież i tak korzysta z niego tylko moja mama. A reszta zawsze dzwoni do nas na komórki”.

Oczywiście to było w czasach, zanim przenieśliśmy się tysiące kilometrów od najbliższej wieży i czterokreskowego zasięgu. Teraz nieustannie korzystamy z telefonu stacjonarnego.

Nawet nie jestem pewna, dlaczego chcę znać numer tego typu, który tak się niecierpliwi. Tyle że wiem, że właśnie to byś mi poradził, gdybyś tu był. Ale przyszło mi to do głowy dopiero dziś rano, a tymczasem zadzwonił jeszcze Ian i zostawił kolejną wiadomość. Tym razem nie wspomniał ani o pieniądzech, ani o formularzu, który dał mi do podpisania; nawet nie wydawał się zniecierpliwiony.

– Cześć, Tess, tu Ian. Twoja... eee, twoja koleżanka Shelley mówiła, że słabo się czujesz. Mam nadzieję, że już ci lepiej. Właśnie jadę do pracy, ale zastanawiałem się, czy nie mógłbym później wpaść. Daj mi znać, kiedy by ci odpowiadało i czy czegoś ci nie potrzeba. Okej, no tak, w każdym razie zadzwoń, jeśli czujesz się na siłach. Mam nadzieję, że chili nie było za ostre. Cześć.

Mówiłem ci, Tessie. To mój brat. Chce dobrze.

Tylko że teraz ostatnim numerem będzie numer Iana, nic mi zatem po tym triku ze sprawdzaniem ostatniego połączenia. Spróbuję w firmie telekomunikacyjnej. Powiem im o tych wszystkich głuchych telefonach i przy okazji zapytam o ten numer. To znaczy, jeśli w ogóle uda mi się

do nich dodzwonić. Czekam na linii całe wieki, słuchając w kółko tej samej piosenki zespołu Take That. Już dwa razy mnie przełączano, przesyłając moje połączenie z Indii do Newcastle.

– Pani Clarke? – odzywa się ktoś, kiedy muzyka cichnie. Głos brzmi młodo; wyobrażam sobie pryszczatego nastolatka, który w dni wolne od zajęć na uniwerku dorabia sobie w zatłoczonym call center.

– Zgadza się.

– Dzień dobry, jestem Paul. W czym mogę pomóc?

– Dopiero co tłumaczyłam to pana kolegom. – Wzdycham. Wcale nie chciałam wypaść tak jękliwie i desperacko. – Ciągłe dostaję głuche telefony i chcę, żeby to się skończyło. Wydaje mi się, że to jakieś call center albo automatyczna reklama. Chciałam się dowiedzieć, czy istnieje jakiś sposób, żeby je zablokować. I jeszcze jedno: ktoś dzwonił do mnie wczoraj o pierwszej w nocy. Chciałabym wiedzieć, z jakiego numeru. – Moje serce przyspiesza. Czy na pewno chcę dostać numer tego człowieka? Na samą myśl o nim wnętrzości się we mnie skręcają, więc chyba nie.

– No cóż – mówi Paul. – Widzę w systemie, że numer jest zarejestrowany na pani męża. Bardzo mi przykro, ale nie przypisano pani do konta klienta, więc nie mogę udzielić pani żadnych informacji w związku z tym numerem. Proszę poprosić męża, żeby do nas zadzwonił i potwierdził, że możemy się z panią kontaktować...

– Nie mogę tego zrobić.

O Boże, zaraz znowu się rozplączę. Czuję wzbierające łzy i słyszę, jak mój głos łamie się pod wpływem emocji.

– Obawiam się, że bez...

– On nie żyje... – mówię ze szlochem.

Czuję się głupia i żałosna, że ryczę przez telefon przy jakimś smarkaczu, przy zupełnie obcej osobie, która ma gdzieś mnie i moje problemy.

– Bardzo... bardzo mi przykro – jąka się chłopak.

Następuje długa pauza; wyobrażam sobie, jak Paul desperacko szuka w skrypcie paragrafu na temat zgonu osoby, na którą zarejestrowany jest numer. Zrobiłoby mi się go żal, gdybym nie była zbyt zajęta uzalaniem się nad sobą samą.

– W takim razie, pani Clarke, będziemy potrzebować, żeby przesłała nam pani kopię świadectwa zgonu na adres, który pani podam. Kiedy ją otrzymamy, będziemy mogli przerejestrować numer na panią.

– Proszę... – odpowiadam. – Ja tylko chcę, żeby te telefony się skończyły.

Kolejna pauza.

– Mogę pani powiedzieć tylko tyle, że udostępniamy wszystkim klientom metodę radzenia sobie z uporczywymi telefonami. Jeśli na przykład zadzwoni do pani firma reklamująca szyby, a pani nie będzie chciała otrzymywać więcej takich telefonów, należy się rozłączyć i wybrać numer 1572. Wtedy firma trafi na listę osób, które nie mogą już do pani dzwonić.

– Dziękuję – szepczę. – Właśnie o to mi chodziło.

– Tylko że... – dodaje chłopak, zniżając głos – to nie zadziała, jeśli ktoś dzwoni do pani z numeru zastrzeżonego.

Po sposobie, w jaki mówi, po jego tonie i akcentowaniu słów domyślam się, że próbuje mi coś przekazać. Ten, kto do mnie dzwoni, ma zastrzeżony numer. Kod 1572 w niczym mi nie pomoże. Cholera.

– Pani Clarke?

– Tak?

– Ma pani przy sobie coś do pisania? Podam pani adres, na który należy wysłać kopię świadectwa zgonu. Proponowałbym, żeby zadzwoniła pani jeszcze raz, kiedy już przepiszemy na panią konto. Niewykluczone, że będzie pani chciała zmienić numer telefonu.

– A tak, jasne, chwileczkę. – Biegnę z salonu do kuchni i chwytam pierwsze, co mi się nawija pod rękę: to notes od Shelley. Zmienię numer. Oto co zrobię.

Po rozmowie zaczynam chodzić po całym parterze z otwartym notesem w dłoniach. Moje kapcie szurają i plaskają o drewniany parkiet. Sama nie wiem, czego właściwie szukam. Pewnie czegoś do roboty. Jest dziesiąta rano. Przede mną cały dzień. Pięć godzin nicości, zanim wróci Jamie.

Antydepresanty chyba działają, bo dzisiaj nie chcę się zagubić w tej mgle. Mam do rozpakowania tyle pudeł. Miałaś mi pomóc posortować rzeczy twojej mamy. Miałaś załatwić wywózkę śmieci. „Do Bożego Narodzenia wszystko ogarniemy” – powiedziałaś w październiku, kiedy się przeprowadziliśmy. Ale nie ogarnęliśmy. Ciągłe odkładałaś kolejne sprawy na później, a teraz zostałam sama i sama sobie nie poradzę.

Pewnie powinnam pogadać z Ianem. Na pewno przejrzał zawartość domu wkrótce po śmierci waszej mamy, ale nie mogę tak po prostu samowolnie wszystkiego wyrzucić. Z drugiej strony na co mi stare bibeloty i albumy ze zdjęciami twoich wujków, cioć i innych ludzi, których w życiu nie widziałam?

Padam na krzesło w kuchni i wzdycham. Notes leży otwarty na stole. Znowu wpatruję się w adres podany przez firmę telefoniczną. Twoje świadectwo zgonu tkwi w kuchennej szufladzie, schowane pod stertą ulotek z knajp i starymi ładowarkami do komórek, które nigdy nam się nie przydadzą. Mogłabym się przejść na pocztę, zrobić ksero i wysłać świadectwo jeszcze dzisiaj. Przy okazji odetchnę świeżym powietrzem.

Przenoszę wzrok na okno, na deszcz spływający po szybach. Albo lepiej jutro. Mogę to zrobić jutro, kiedy odprowadzę Jamiego do szkoły. Moje spojrzenie przesuwa się na suszarkę, na której stoją miski po dzisiejszym śniadaniu, czyste i odwrócone dnem do góry. Panika przebija mnie jak pocisk. Nie pamiętam, kiedy je myłam. Czy to w ogóle

są dzisiejsze miski? A może to z wczoraj? Nie, muszą być dzisiejsze. Przecież nie posłałabym Jamiego do szkoły bez śniadania.

Mark, jak to możliwe, że tego nie pamiętam?

Niebieskie kartonowe pudełeczko od lekarza leży na parapecie. Wyciągam po nie rękę. Nie pamiętam, czy zażyłam dziś rano tabletkę. Zazwyczaj robię to od razu po śniadaniu, ale śniadania też nie pamiętam. Drżącymi rękami wyciskam sobie pigułkę i popijam ją dużym łykiem wody.

To tylko zmęczenie, nic więcej. Zawsze byłaś zapominalska. Pamiętasz, jak Jamie miał cztery tygodnie, a ty całymi nocami nie spałaś? Pojechałaś do supermarketu i zapomniałaś, gdzie zaparkowałaś samochód.

To było okropne. Przez godzinę szukałam auta i udało mi się je znaleźć dopiero z pomocą dwojga pracowników obsługi. Zapomniałam, że parking był pełny, więc zaparkowałam w pobliskiej uliczce.

Masz rację. To tylko zmęczenie.

Przerzucam kartkę w notesie i rysuję kratkę. Linie są nierówne, ale to nie ma znaczenia. Zapisuję w kolumnie dni tygodnia i zaznaczam ptaszkiem kratkę przy czwartku. Codziennie po zażyciu tabletki będę to zapisywać; w ten sposób zorientuję się, jeśli zdarzy mi się zapomnieć.

Dobrze jest mieć poczucie, że wzięłam jakąś sprawę we własne ręce. Zastanawiam się, co jeszcze mogę zapisać. Na początku notesu, pod adresem firmy telefonicznej, notuję: „Głuche telefony. Od kogo? Call center czy jakiś człowiek?”.

Nie kończę na tym. W następnej linijce zapisuję datę i godzinę telefonu od tamtego człowieka. Na myśl o nim długopis trzęsie mi się w dłoni, ale notuję dalej, dodaję wszystkie drobiazgi, które się nie zgadzają. „Kwiaty bez liściku w moje urodziny – od kogo? Dług u Iana – gdzie jest 100 tys. funtów? Na co były te pieniądze? Dlaczego ich potrzebowaliśmy? Ktoś chodził w środku nocy po naszym podjeździe”.

Podnoszę głowę i zauważam dwie białe koperty oparte o mikrofalówkę – to te, które Shelley odłożyła na bok podczas swojej pierwszej wizyty. Zanim zmienię zdanie, biorę pierwszą i rozdieram ją z taką siłą, że uszkodzam także kartkę w środku. List przysłano z kancelarii prawniczej. Clarke & Barlow. Z początku wydaje mi się, że to coś związanego z formularzem, który Ian podrzucił mi w weekend, ale nie.

Szanowna Pani Clarke,

RE: Ostatnia wola i testament Pana Marka Thomasa Clarke'a

W związku z wiadomościami, które pozostawiłem Pani telefonicznie w dniach 31 stycznia, 8 lutego i 15 lutego, niniejszym zwracam się z pisemną prośbą o jak najszybszy kontakt z naszą kancelarią. Jest Pani wykonawczynią ostatniej woli i testamentu Pani świętej pamięci męża, toteż koniecznie musimy się spotkać, aby omówić kwestie związane z podziałem jego majątku.

Proszę o kontakt telefoniczny pod numerem podanym na górze listu celem uzgodnienia terminu spotkania.

Z poważaniem

Jacob Barlow

List przysłano ponad dwa tygodnie temu. Nagle czuję w piersiach ciężar, jakby cementowy blok. Ledwo daję radę przetrwać kolejne dni. Nie mam energii na ogarnianie twoich spraw majątkowych. Myślę o formularzu, który Ian zostawił dla mnie w weekend. Zrzeczenie się obowiązku, czy jak to tam ujął. W ustach Shelley brzmiało to tak łatwo. Może faktycznie powinnam podpisać ten papier. Dodaję w notesie

kolejną linijkę: „Ian chce zostać jedynym wykonawcą testamentu – muszę podjąć decyzję, co zrobić!!!”.

Przechodzę do drugiego listu. Jest z banku, ale to nie wyciąg z konta.

Szanowny Panie Clarke,

dziękujemy za wniosek o kredyt, który złożył Pan dn. 18 grudnia 2017 r. Z przykrością informujemy, że tym razem nie spełnia Pan odpowiednich wymogów.

Z poważaniem

Dmitri Lipov,

Inspektor kredytowy

Długopis wysuwa się z mojej dłoni, spada na podłogę i toczy się pod stół.

Mark, do jasnej cholery! Wnioskowałeś o kredyt i nie przyszło ci do głowy, żeby mi o tym powiedzieć? Nawet nie wiem, dlaczego mnie to dziwi. O niczym mi nie mówiłeś.

Tessie, to nieprawda.

Zmuszam się do przypomnienia sobie, co się działo w połowie grudnia – może odbyliśmy jakąś rozmowę o pieniądzach? Ale jasne, że nie. Mówiłeś tylko, że stresujesz się pracą, a ja ci uwierzyłam. Codziennie wracałeś późno do domu, godzinami przesiadywałeś w gabinecie, nie mogłeś spać. I te szeptane rozmowy telefoniczne – myślałeś, że o nich nie wiem.

Najpierw sto tysięcy funtów, które rzekomo pożyczył nam Ian, a teraz odmowa udzielenia kredytu.

Po co nam były potrzebne te pieniądze, Mark?

W mojej głowie rozbrzmiewają słowa Iana: „Jeśli tak dobrze znałeś swojego męża, to dlaczego nie powiedział ci, że pożyczył ode mnie pieniądze?”.

Nie żyliśmy ekstrawagancko, nie rozbijaliśmy się drogimi samochodami, nie jeździliśmy na rejsy all-inclusive po Karaibach jak niektórzy twoi koledzy z działu sprzedaży. Myślałam, że sobie radzimy.

Z trudem wchodzę po schodach. Zapominam o prośbie od prawników. W ręce ściskam list z odmową udzielenia kredytu.

Mam dość. Najpierw telefony – i te głuche, i ten ze straszliwym głosem – a teraz na dodatek jeszcze to.

Nagle nie chcę już o tym wszystkim myśleć. Wchodzę do pokoju Jamiego i kładę się na jego łóżku. Tutaj czuję się lepiej niż w naszej sypialni, na podwójnym łożu, którego jedna strona zawsze jest pusta.

Zamykam oczy i wdycham zapach pościeli. Pod wonią płynu do płukania Wiosenna Świeżość czuję Jamiego: coś miękkiego, czego nie potrafię do końca uchwycić, ale to nieważne. Zamykam oczy.

Telefon znowu dzwoni. Na poduszce Jamiego widnieje mokra plama po moich łzach. Chyba przysnęłam. Kiedy się poruszam, rozlega się szelest papieru – nadal ściskam w ręce list z banku. Wszystko uderza we mnie naraz – jak cios kijem bejsbolowym, który wbija mi do świadomości wydarzenia ostatnich sześciu tygodni. Wszystko: katastrofa lotnicza, pogrzeb, pojawienie się Shelley, pożyczka od Iana, głos tego człowieka w telefonie – jak walnięcie pałką. W sekundę przytomnieję.

Zanim docieram na podest, włącza się automatyczna sekretarka.

– Cześć, Tess – odzywa się głos Shelley, gdy docieram do twojego gabinetu.

Przyspieszam i chwytam słuchawkę.

– Cześć, Shelley, jestem – mówię, przyciskając telefon do ucha i siadając na zdartym zielonym dywanie, w tym samym miejscu co wczoraj w nocy.

– Cześć – powtarza Shelley. – Jak się czujesz?

Przez chwilę milczę i myślę o strachu, jaki przeżyłam wczoraj w nocy. Chcę jej o tym opowiedzieć, ale teraz wydaje mi się to tak nierealne... Zresztą sama nie wiem, co to wszystko może oznaczać.

– W porządku – odpowiadam w końcu. – Miałam dość ciężką noc, ale czuję się lepiej. Mniej mgły, jeśli wiesz, co mam na myśli.

– Tess, to super. Bardzo się cieszę.

– Ale nadal nie mogę się zdecydować w sprawie testamentu Marka. Z jednej strony uważam, że to ja powinnam się tym zająć, a z drugiej na samą myśl o tym, że miałabym się z tym szarpać...

– Może by ci ulżyło, gdybyś przekazała sprawę szwagrowi. On wyraźnie nie miałby nic przeciwko temu, a takie sprawy wymagają czasami sporo zachodu.

Przyłapuję się na tym, że kiwam głową, choć nadal nie mogę się otrząsnąć z podejrzeń, nawet jeśli nie potrafię powiedzieć, co właściwie mnie niepokoi.

– Może...

– Miałabyś na głowie o jeden problem mniej. Hej, mówiłam ci, że zamierzam zmienić w ten weekend wystrój naszego salonu?

– Nie.

– Masz przy sobie komórkę? Prześlę ci kilka kolorów. Potrzebuję pomocy w podjęciu decyzji.

Zbiegam ze słuchawką na dół, żeby znaleźć komórkę. Przechodzę do kanciapy, w której mam przynajmniej jedną kreskę zasięgu, i siadam na podłodze.

Rozmawiamy o codziennych sprawach – o sprzątaniu i urządzaniu wnętrza. Nie znam się na dobieraniu kolorów, ale cieszę się, że Shelley zapytała mnie o zdanie i że w ogóle zadzwoniła.

– A jakie masz plany na weekend? – pyta Shelley, kiedy już wybieramy odcień Royal Berry, głęboki czerwony fiolet, oraz Frosted Steel, jasną szarość.

– Jeszcze nie wiem.

Po tej awanturze z Jamiem i po moim nietrafionym pomysle na wyprawę do pokoju zabaw w ogóle jeszcze nie zastanawiałam się nad weekendem. Może poszlibyśmy do kina.

– Bo ja mam wolną sobotę. Mogłabym wpaść po basenie.

– Byłoby super. O ile na pewno nie masz jakichś ciekawszych planów.

– Nie bądź głupia. Jasne, że chcę się z wami spotkać.

Żegnamy się i kiedy odkładam słuchawkę, czuję się o wiele lepiej. Notes nadal leży otwarty na kuchennym stole. Zamykam go i wsuwam z powrotem za mikrofalówkę. Nie chcę już myśleć o tym telefonie. Deszcz przestał padać i pora odebrać Jamiego ze szkoły.

W drodze do domu Jamie jest milczący. Przygryzam dolną wargę, żeby nie krzyknąć, by się odezwał, by powiedział, że wszystko gra.

– Chciałbyś coś porobić w ten weekend? – pytam.

W odpowiedzi wzrusza ramionami.

– W sobotę wpadnie do nas Shelley. Pomyślałam, że moglibyśmy wybrać się na spacer nad rzekę. Jak myślisz?

Buzia Jamiego się rozjaśnia, a jego krok robi się skoczny.

– Taaak!

Spogląda na mnie. Jego uśmiech kłuje mnie w oczy niczym rażące słońce. Odsuwam od siebie to uczucie – nie chcę, żeby zapuściło we mnie korzenie. To dobrze, że Jamie znalazł w Shelley przyjaciółkę, że ma kogoś, z kim może porozmawiać, kiedy nie chce rozmawiać ze mną.

Jutro upiekę ciasto. Nie owocowe – to było twoje ulubione – tylko babkę cytrynową. Coś prostego.

Rozdział 21

**Zapis rozmowy między ELLIOTEM SADLEREM (E.S.)
A TERESĄ CLARKE (T.C.) (PACJENTKĄ SZPITALA OAKLANDS,
ODDZIAŁU HARTFIELD), ŚRODA, 11 KWIETNIA, 09.15. SESJA
2**

E.S.: Dzień dobry, Tess. Jak się pani dzisiaj czuje?

T.C.: Ma pan jakieś wieści? Znaleźli Jamiego?

E.S.: Jeszcze nie. Nadal usiłujemy się dowiedzieć, co się stało.

T.C.: O Boże, o Boże, o Boże, o Boże. To moja wina. Dlaczego ja jej w ogóle zaufałam?

E.S.: A komu nie powinna była pani ufać?

T.C.: Shelley.

E.S.: Proszę mi opowiedzieć o waszej przyjaźni.

T.C.: Hmm. *(pauza)* Nie bardzo wiem, co mam panu powiedzieć. Shelley przyjechała do mnie jako konsultantka dla osób, które kogoś straciły. To mama ją ściągnęła. I jakoś tak wyszło, że się zaprzyjaźniłyśmy. Ona i Jamie bardzo się polubili. W ciągu ostatnich kilku miesięcy często się spotykałyśmy.

E.S.: Czy Shelley spędzała dużo czasu z Jamiem?

T.C.: Tak, trochę. Dość, żeby się zżyli. Sprawiali wrażenie, jakby łączyła ich jakaś niewypowiedziana więź. Jamie i ja oboje zmagaliśmy się z utratą Marka. Było nam ciężko. Nie zachowywałam się jak dobra matka. Cieszyłam się więc, że Jamie ma przy sobie kogoś

takiego jak Shelley. Ona sprawia wrażenie, jakby po prostu kipiała energią: kiedy wchodzi do pokoju, to tak, jakby ktoś włączył światło. Jamie na pewno też to wyczuł. Myślę, że w porównaniu ze mną przebywanie z Shelley przynosiło mu ulgę.

E.S.: Czy w tym okresie nadal brała pani leki antydepresyjne?

T.C.: Tak. Ale co to ma wspólnego z poszukiwaniami Jamiego? W ogóle co to wszystko ma wspólnego z moim zaginionym synem?

E.S.: A więc mówi pani, że w dniach przed urodzinami Jamiego radziła sobie pani lepiej niż przedtem?

T.C.: Trudno mi sobie przypomnieć wszystko, co się wydarzyło. Miałam problemy z pamięcią, zresztą nadal mam. Nie jestem pewna, czy to z powodu śmierci Marka, czy przez antydepresanty, ale mam wrażenie, że wszystko, co się wydarzyło przed laty z Markiem, pamiętam doskonale, natomiast jeśli chodzi o to, co się działo wczoraj albo w zeszłym tygodniu, czy w ogóle od czasu jego śmierci, mam w głowie sito. Czasami to tylko małe luki, a czasami cały dzień jest jak czarna otchłań. Tyle się wydarzyło w takim krótkim czasie.

E.S.: Ale pani i Shelley zdążyłyście się bardzo zaprzyjaźnić.

T.C.: (wzdycha) Tak. Częściowo chyba dlatego, że nie miałam się do kogo zwrócić, a częściowo dlatego, że Shelley wręcz na to naciskała. Trudno mi to opisać, ale miałam wrażenie, jakby ona potrzebowała tych chwil ze mną i z Jamiem tak samo, jak ja potrzebowałam jej.

E.S.: A co z pani mamą i przyjaciółmi, z bratem? Jak pani myśli, dlaczego odcięła się pani od nich wszystkich, za to nawiązała bliską przyjaźń z kimś, kogo prawie nie znała?

T.C.: (*cisza*) Shelley zachowywała się tak, że łatwo było się z nią zaprzyjaźnić. Była taka pewna siebie, pod wieloma względami przypominała mi Marka. Wydawało się, że zawsze wie, co należy powiedzieć, i rozumie, jak się czuję. Mark też był w tym dobry. Jak mówiłam, Jamie po prostu do niej lgnął. I on, i ja. Oczywiście wtedy jeszcze nie wiedziałam, jak daleko potrafiła się posunąć, żeby dostać to, czego chciała.

E.S.: Czy myśli pani, że Mark nadal żyje?

T.C.: (*kręci głową*)

E.S.: Kiedy tu panią przywieziono, powiedziała pani jednej z pielęgniarek, że Mark nadal żyje.

T.C.: Naprawdę? Ojej. Bardzo mnie wtedy bolało. Podali mi tyle morfiny, że pewnie mogłabym powiedzieć, że Elvis też nie umarł.

E.S.: Więc nie sądzi pani, że Mark żyje?

T.C.: (*milczenie*)

Rozdział 22

Sobota, 3 marca – 36 dni do urodzin Jamiego

Dzisiaj świeci słońce. Promienie wyciągają się przez cały dom, oświetlając zakamarki i rozpędzając mrok w sposób, na jaki nigdy dotąd nie zwróciłam uwagi. W ogrodzie w ciągu jednej nocy wykiełkowały żonkile, jest ich ze sto: armia zielonych łodyżek stojących na baczność.

Powietrze jest zimne i czuje się w nim świeżość, jakiej do tej pory nie zauważyłam ani w domu, ani w wiosce. Zastanawiam się jednak, na ile jest to związane ze słońcem, a na ile z Shelley. Kiedy dziś rano stanęła w bocznych drzwiach, od razu zaraziła nas oboje energią. Jamie tryskał nią przez cały dzień, skakał pod nogami Shelley i spijał każde słowo z jej ust. Zawsze z szerokim uśmiechem, zawsze z utkwionymi w niej błękitnymi oczętami. Ja też to czułam.

– No dobra, to do roboty – mówi Shelley, maszerując korytarzem za schody, do salonu.

– A nie możemy zamiast tego posiedzieć w ogrodzie i zjeść jeszcze ciasta? – pytam, krzywiąc się, pół żartem, pół serio.

Jamie piszczy ze śmiechem, Shelley też się śmieje.

– Nie – mówi. – Już dość ciasta jak na jeden dzień. – Klepie się po płaskim brzuchu, odwraca i posyła mi uśmiech. – W tym tempie jutro na basenie pójde na dno.

Zupełnie jakbyśmy się wybrali na wyprawę pełną przygód, polowanie na niedźwiedzia albo poszukiwanie skarbu. Oczywiście tak nie jest, ale Shelley potrafi stworzyć taką atmosferę i nawet ja się uśmiecham, idąc za nimi z rolką czarnych worków na śmieci w ręce.

Ostatnie, na co mam w tej chwili ochotę, to przekopywać się przez pudła w bawialni. To było twoje zadanie: wypakowanie ich

i uporządkowanie. Połowa rzeczy należy do ciebie, połowa do twojej mamy, a wszystko rzucone w kąt i zapomniane od dnia przeprowadzki. Jeśli ja się nimi zajmę, będzie to kolejne przypomnienie, że cię tu nie ma. Nie będę już mogła udawać, że po prostu znowu odłożyłeś zadanie na za tydzień.

Byłam całkowicie zadowolona, siedząc w ogrodzie w zapiętym zimowym płaszczu i patrząc, jak Jamie biega po trawniku z piłką, popijając kolejne filiżanki herbaty, wcinając ogromne kawałki mojego ciasta cytrynowego i rozmawiając z Shelley o wszystkim i o niczym. Ale nie wspomniałam o głuchych telefonach ani o tamtym mężczyźnie. Ani o kłótni z Jamiem. Myślałam, czy tego nie zrobić, ale się nie zdecydowałam. Przy Shelley moje obawy wydają się tak odległe – nie mogłam wyciągnąć ich na powierzchnię.

To Shelley zaproponowała, żebyśmy wrócili do środka.

– Mieszkanie w domu zastawionym pudłami na pewno nie pomaga – powiedziała. – Zaczniemy razem. Jak już się do tego weźmiemy, robota od razu wyda się łatwiejsza.

Nie wiem, jakim cudem, ale przyłapuję się na tym, że potakuję jej słowom.

– Ty weź te – mówi Shelley, kiedy we troje wchodzimy do bawialni. Pokazuje Jamiemu stertę pudeł leżących na kwiecistej sofie twojej matki. – A ja się zajmę tymi. – Podchodzi do jakiegoś kartonu i ciągnie za wieko. – Podzielimy je na trzy części. Tutaj – pokazuje okno, pod którym stałam w zeszły weekend, czekając na ich powrót z basenu – postawimy rzeczy, które mogą mieć jakąś wartość albo chcemy je zachować. Te, co do których nie ma pewności, pójdą pod tamtą ścianę, a reszta będzie do wyrzucenia i idzie prosto do worków. Okej?

Jamie i ja kiwamy głowami i wszyscy bierzemy się do pracy. Pomagam Jamiemu wyjąć wazon. Jest odpryśnięty na górze, a na dnie, gdzie go nie doczyszczono, rośnie pleśń.

– Śmieci – mówię do Jamiego i uśmiechamy się do siebie.

Jesteśmy mniej więcej w połowie roboty, kiedy Shelley znajduje albumy ze zdjęciami. Przyglądam jej się z drugiej strony pokoju, kiedy otwiera pierwszy z nich, i mam wrażenie, jakby ściany pokoju nagle się skurczyły. Sądząc po wyrazie jej twarzy, trafiła na album z dzieciństwa Jamiego. W jej oczach lśnią łzy, jej dłoń unosi się do medalionu na szyi, jak zawsze, kiedy Shelley myśli o Dylanie.

Nastrój natychmiast się zmienia, słońce znika i wraca półmrok.

– Mark je zrobił – szepczę, przeskakując nad stertą rzeczy pośrodku i podchodząc do niej.

Rzucam spojrzenie w stronę Jamiego. Przerwał rozpakowywanie, żeby pobawić się kompletem rosyjskich matrioszek. Rozkręca je, ustawia w rzędzie, a potem składa z powrotem.

Liczę albumy. Są wszystkie, siedem. Każdy z nich oznaczony jest wiekiem Jamiego. „0–1 lat” głosi napis na białej etykietce albumu w rękach Shelley.

Uwielbiałam to w tobie, Mark. To, że co miesiąc drukowałeś zdjęcia, które robiliśmy, i wkładałeś je do albumów. Nigdy o tym nie zapominałeś, nie pominąłeś żadnego miesiąca. A mnie nie wolno było zaglądać do albumu aż do urodzin Jamiego. „To specjalny prezent dla mamusi” – mówiłeś do niego. „Za to, że jest najlepszą, najbardziej niesamowitą mamą na świecie”.

Kolejne zadanie, które teraz będę musiała wziąć na siebie. Kolejne przypomnienie, że nigdy nie wrócisz.

– Ale... ale śliczne – szepcze Shelley. – Wyglądacie na takich szczęśliwych. – Sięga po kolejny album. Na etykietce jest napis: „Jamie 4–5 lat”.

– Zapomniałam o nich – mówię, kiedy Shelley zaczyna przewracać strony.

– Ja codziennie przeglądałam albumy z Dylanem, ale teraz mam wrażenie, że za dużo je dzieli od tego, jaki byłby obecnie, gdyby żył.

Wyciągam rękę i dotykam ciemnoniebieskiej okładki. Nagle czuję, że nie chcę, by ktoś oglądał te zdjęcia. Jest na nich nie tylko Jamie, ale i ty, my.

Shelley wzdycha i ostrożnie odkłada album do pudła, po czym opuszcza wieko.

– Nie musisz ich teraz oglądać – mówi.

– W porządku. Chyba... chyba chciałabym je obejrzeć, ale może później. Na razie odstawię je na górę.

Biorę pudło, strząsając z niego warstwę kurzu, który unosi się w powietrzu i łaskocze mnie w nos. Nie mogę przestać rozmyślać o słowach Shelley i jej smutku z powodu śmierci synka. Jestem w połowie tylnych schodów, kiedy nagle dzwoni telefon. Zastygam w pół kroku, myśli o Shelley wyparowują z mojej głowy. Jeden dzwonek, dwa, trzy – cisza.

Wypuszczam powietrze i ruszam dalej. Wkurza mnie kolejny głuchy telefon, ale przynajmniej nie był to ten mężczyzna o szorstkim głosie. Od ostatniego razu już nie dzwonił i gdyby nie wiadomość, którą nadal trzymam na sekretarce, zastanawiałabym się, czy to nie był sen.

Stawiam pudło w bezpiecznym miejscu przy naszym łóżku, po czym ruszam do głównych schodów. Przez dom niesie się głos Shelley. Dopiero kiedy staję na pierwszym stopniu, uświadamiam sobie, że wcale nie rozmawia z Jamiem, tylko z kimś innym. To jednak nie był głuchy telefon. Shelley odebrała połączenie.

Kiedy schodzę na dół, rozmawia z kimś w jadalni.

– Przykro mi – mówi. – Tess w tej chwili odpoczywa.

Następuje pauza – pewnie dzwoniący zadaje jakieś pytanie.

– Ogólnie rzecz biorąc, radzi sobie świetnie. Miewa lepsze i gorsze chwile, ostatnio sporo tych gorszych... No wiem, ale ma twój numer.

Zadzwoń, kiedy będzie gotowa.

Domyślam się, że to Ian. Robię krok dalej i zauważam Jamiego, który stoi w drzwiach do jadalni, ruszając zębem palcem wskazującym i czekając, aż Shelley skończy rozmowę.

– Jesteś lekarzem, prawda? – pyta Shelley. – Na pewno często to widzisz. Nie ma ustalonego okresu ani metody na poradzenie sobie z odejściem bliskich. Może i trudno to zrozumieć, ale Tess nie chce w tej chwili z nikim rozmawiać i to ważne, żebyście to uszanowali i dali jej czas.

Och. Więc rozmawia z Samem, nie z Ianem. Biegnę do przodu, żeby powiedzieć, że wszystko w porządku, że chętnie porozmawiam z bratem. Dzisiaj był dobry dzień i chciałam z nim pogadać.

– Jasne. Cześć – mówi Shelley i odkłada słuchawkę na aparat akurat w chwili, kiedy docieram do drzwi.

Za późno. Sam już się rozłączył.

Shelley odwraca się ku mnie i na jej twarzy maluje się zaskoczenie.

– Tess, znowu mnie przestraszyłaś.

– Czy to był Sam? – pytam.

– Tak. Chciał się dowiedzieć, co u ciebie. Powiedziałam, że w tej chwili nie czujesz się na siłach, żeby z kimkolwiek rozmawiać.

– Aha... Dzięki.

Chyba widzi rozczarowanie na mojej twarzy, bo pyta:

– Źle zrobiłam?

– Nie, w porządku – kłamię.

– Przepraszam. Po prostu mówiłaś już kilka razy, że wolałabyś, żeby mama i Sam dali ci na razie spokój. Pomyślałam, że mogliby pogadać ze mną. Tak przy okazji, Sam jest przemiły. Właśnie zaczyna pracę, ale powiedział, że możesz zadzwonić do niego jutro.

– Racja. – Kiwam głową. – Dziękuję.

– Może damy już spokój na dzisiaj? Wyglądasz na wykończoną.

Jamie przytakuje i wymija nas obie, wskazując palcem salon i spoglądając na mnie błagalnym wzrokiem.

– Mogę sobie pograć?

– W porządku. – Uśmiecham się do niego.

Shelley ma rację – jestem zmęczona, a poza tym co mnie powstrzymuje przed tym, żeby zadzwonić do Sama jutro? Nic a nic.

Już mam zaproponować, żebyśmy znowu wyszły do ogrodu na herbatę i ciasto, ale Shelley mnie uprzedza.

– Lepiej już pójde. Ścianę trzeba pokryć jeszcze jedną warstwą farby, a jakoś nie sądzę, żeby Tim się tym zajął.

– A... jasne.

– Masz jakieś plany na środę? – pyta Shelley.

– Eee... nie. – W ogóle nie mam żadnych planów na nic, kropka.

– Bo ja mam spotkanie z klientem w Manningtree. To niedaleko stąd. Pomyślałam, że mogłybyśmy wyskoczyć na lunch.

– Wiem, gdzie to jest – odpowiadam. – Mark mnie tam raz zabrał, tuż po przeprowadzce. Ładne miejsce.

– Prawda? Może spotkamy się o pierwszej trzydzieści? Co prawda skończę wcześniej, ale mam parę spraw do załatwienia. Zjemy sobie lunch, a potem możemy pokręcić się po sklepach z upominkami.

Myślę o przyszłym tygodniu i rozciągających się przede mną pustych godzinach.

– Super. Ale może spotkałybyśmy się o dwunastej trzydzieści? – pytam, mając na uwadze odbiór Jamiego ze szkoły: nie chcę się spóźnić.

– Jasne. Sprawy mogę pozałatwiać później.

Shelley unosi głowę i uśmiecha się do mnie, a ja czuję, jak wypełnia mnie jej ciepło.

– Już się na to cieszę – mówię, odwzajemniając uśmiech.

Wieczorem, kiedy Jamie kładzie się do łóżka, wciskam się obok niego i oglądamy kolejne albumy. Leżą oparte o nasze nogi tak, że strony są przechylone. Milczymy. Po naszych twarzach spływają łzy.

Od czasu do czasu uśmiechamy się jednak, a nawet wybuchamy śmiechem – na przykład na widok ciebie w przebraniu Kapitana Haka na czwarte urodziny Jamiego. Na twarzy masz sztuczną brodę, ręce na biodrach, ramiona odchylone w tył i szczerzysz się do aparatu. Wokół ciebie dziesiątka małych chłopców i dziewczynek siedzi na podłodze i ryczy wniebogłosy – myśleli, że jesteś prawdziwym piratem.

Przejrzenie wszystkiego zajmuje nam ponad godzinę. Od tamtego pierwszego zdjęcia nas w szpitalu, z Jamiem w moich ramionach, aż po selfie całej naszej trójki w ostatnie Boże Narodzenie, w świątecznych swetrach do kompletu, z widocznymi w tle światełkami na choince, dzięki którym to zdjęcie nabiera jakby magicznej aury. To była ostatnia fotografia wydrukowana przez ciebie do albumu, który miałeś mi dać na urodziny Jamiego.

Widok tych zdjęć zapiera mi dech w piersiach. Rana po naszym małżeństwie otwiera się nieco bardziej.

Och, Mark. Tyle było drobiazgów, dzięki którym czyniłeś nasze życie tak wyjątkowym, tak pełnym śmiechu i miłości. Jak ja kiedykolwiek nabiorę dość siły, żeby zająć się nie tylko wszystkim, co ważne, ale jeszcze i takimi rzeczami? Dlaczego wsiadłeś do tego samolotu? Dlaczego nie dostałeś wiadomości i nie wróciłeś do domu?

Kocham cię, Tessie.

Ja ciebie też.

Rozdział 23

Środa, 7 marca – 32 dni do urodzin Jamiego

Manningtree jest mniejsze, niż wydawało mi się w październiku, kiedy zabrałeś mnie tam na lunch.

„Wiesz przecież, że nie możesz jeździć aż do Chelmsford i z powrotem za każdym razem, kiedy będziesz chciała ściąć sobie włosy albo iść do dentysty, prawda?” – zapytałeś z szerokim uśmiechem, kiedy odprowadziłeś Jamiego do nowej szkoły. Wzięłaś mnie za rękę i ścisnęłaś, bo wiedziałeś, że się martwię. Czy Jamie znajdzie tam kolegów? Czy ktoś nie będzie się nad nim znęcał? Czy tygodniami będzie zasypiał z płaczem, błagając nas, żebyśmy wrócili do Chelmsford?

„Zabiorę cię do Manningtree. To najbliższe miasteczko w okolicy. Jest ładne. Spodoba ci się. Leży nad samą rzeką Stour, tuż przy jej ujściu do morza. Łatwiej tam zaparkować niż na tych wielopiętrowych parkingach w Colchester, no i jest taniej. Nie możesz wszystkiego kupować z Amazona i Tesco” – zaśmiałaś się. „Ale prawie wszystko” – mruknęłam. Sama nie wiedziałam, czy irytuje mnie, że znalazłeś kolejny pretekst, aby odłożyć rozpakowanie rzeczy, czy się cieszę, że spędzimy razem dzień. W końcu zwyciężyło to drugie, a kiedy objąłeś mnie ramieniem za szyję i pocałowałeś w policzek, uśmiechnęłam się.

Ale droga do Manningtree wcale mi się nie spodobała. Prowadzi tam tylko jedna wąska, kręta alejka, więc za każdym razem, kiedy z naprzeciwka nadjeżdżał inny samochód, zjeżdżałaś na pobocze i w krzaki. Wolałam trasę A12 do Tesco. Lecz owszem, lunch w pizzerii z widokiem na sunące w przechyle żaglówki na terenie odpływowym był bardzo miły.

„Przyzwyczaisz się do tych wąskich dróg” – powiedziałeś w drodze do domu, i może faktycznie kiedyś się przyzwyczaję, ale dzisiaj ściskam kierownicę w pozycji za dziesięć drugą i przez cały czas nachylam się do szyby, wlokąc się z prędkością trzydziestu kilometrów na godzinę i modląc, by zza zakrętu nie wyłoniła się jakaś terenówka, która zepchnie mojego małego forda do rowu. To, że przez całą drogę tuż za mną jechał jakiś samochód, w niczym mi nie pomagało. Przy każdym zakręcie i hamowaniu czułam zniecierpliwienie tamtego kierowcy.

Parkuję na głównym parkingu przy długim betonowym wale przeciwpowodziowym. Dzień jest chłodny i w powietrzu wisi mgiełka. Kropelki przywierają do moich włosów, przypłaszczając loki, więc mocniej otulam szyję szalikiem.

Po dwóch dniach przesiadywania w domu i oglądania z Jamiem *Kevina samego w domu* z deszczem nieustannie bijącym o szyby przebywanie na zewnątrz sprawia mi przyjemność.

Powinnam częściej wychodzić i wyjeżdżać z wioski. Teraz to rozumiem. Dwa codzienne spacery alejką do szkoły i z powrotem oraz jedna wyprawa do Tesco w zeszłym tygodniu to za mało.

Świeży wiatr niesie ze sobą słonawą woń morza – w porównaniu z tym dom wydaje się ciemny i przygnębiający. Może po lunchu z Shelley, jeśli będę miała jeszcze czas, przejdę się po wale.

Główna ulica stanowi dziwną mieszankę starego i nowego. Obok baru z kebabem i zakładów fryzjerskich znajdują się oryginalne sklepiki z drobiazgami i herbaciarnie. Po drugiej stronie ulicy jest targ – kilka stoisk z produktami do czyszczenia, warzywami i owocami oraz odzieżą damską.

Naprzeciwko biblioteki o białej georgiańskiej fasadzie skręcam w prawo i trafiam na brukowaną uliczkę, która schodzi w dół w stronę szerokich piaszczystych brzegów rzeki. Nad moją głową rozbrzmiewają przeszywające krzyki mew.

Kafejka, którą zaproponowała Shelley, znajduje się w połowie ulicy, po prawej stronie, na końcu alejki nie szerszej niż przeciętne drzwi. Gdyby nie tablica z ręcznym napisem reklamującym domowe lasagne w The Honey Pot Café, minęłabym ją i nawet tego nie zauważyła.

Ściskam nieco mocniej torbę, oglądam się przez ramię, a potem kieruję się do przejścia wiodącego na zacienione podwórze. Na wprost przede mną znajduje się salon tatuażu, a po obu jego stronach dwa sklepy. Z lewej przysiadł mały newage'owy sklepik z upominkami; w oknie wiszą łapacze snów, a pod nimi stoją srebrne czaszki i posążki z okrągłym Buddą. Zapach rzeki znika, zastąpiony pizmową wonią kadzidełka z drzewa sandałowego. Kafejka jest dalej, po prawej stronie.

Kiedy wchodzę do środka, nad moją głową dzwoni dzwoneczek. Uderza mnie aromat świeżo parzonej kawy i bekonu. Knajpka jest niewielka, mieści się w niej mniej więcej dziesięć stolików nakrytych obrusami w kratkę. Kuchnia znajduje się na tyłach, za długą ladą pełną ciast, bułeczek, muffinów i ciasteczek. Jamie byłby zachwycony.

Przytulną atmosferę wzmagają ciepło z pieca i zaparowane szyby. Jedzenie musi być dobre, bo nie ma ani jednego wolnego stolika.

– Właśnie kończy się pora śniadania – mówi kobieta w czarnym fartuchu, prześlizgując się pomiędzy stolikami. Niesie cztery talerze, na których piętrzą się pełne angielskie śniadania.

Mark, tobie też by się tu spodobało.

– Za jakieś dziesięć minut powinno się zwolnić kilka stolików, jeśli nie przeszkadza pani czekanie.

Kiwam głową i sprawdzam czas. Jest dopiero za dziesięć dwunasta.

– I tak przyjechałam za wcześnie. Wrócę później.

– Super – mówi kelnerka, zdmuchując z twarzy luźny pukiel włosów, a potem odwraca się i zaczyna sprzątać puste talerze grupki robotników; sądząc po poplamionych farbą spodniach, to pewnie malarze.

Wracam na dziedziniec i stoję przez chwilę, zastanawiając się, co ze sobą zrobić, jak wypełnić kolejne czterdzieści minut. Na pewno przydałoby mi się coś z jakiegoś sklepu, ale w głowie mam kompletną pustkę.

Dopiero kiedy wychodzę z alejki i szare światło dnia razi mnie w oczy, zauważam, że ktoś mnie obserwuje.

Rozdział 24

Postać stoi w drzwiach po drugiej stronie brukowanej ulicy. Z początku to tylko cień dostrzeżony kątem oka. Gdyby nie dreszcz, który mnie znieenacka przejął, i nagle cofnięcie się tego człowieka, pewnie w ogóle nie zwróciłabym na niego uwagi.

Cała sztywnieję. Nie oddycham, nie ruszam się. Odgrywam w głowie kilka ostatnich sekund, wbijając wzrok w teraz już puste drzwi. Czy tylko to sobie wyobraziłam? Jest tam ciąg betonowych stopni i domofon na ścianie. Wygląda to jak wejście do budynku z kilkoma mieszkaniami albo biurami małej firmy.

Czas mija – kilka sekund. Wystarcza, żebym zaczęła podważać w myślach to, co widziałam. Wreszcie wciągam powietrze. To tylko jakiś kurier albo pracownik biura czekający na otwarcie drzwi. Nic więcej.

Tylko że wcale nie jestem tego pewna.

Poklepuję się po kieszeniach płaszcza, jakbym czegoś zapomniała, i zawracam w kierunku alejki. W ostatnim momencie gwałtownie odwracam się w stronę drzwi, spodziewając się, że nic w nich nie zobaczę i że to napięcie w żołądku wywołane zostało tylko moją wyobraźnią.

Ale nie.

Mężczyzna wraca, patrzy prosto na mnie. Twarz ma skrytą w cieniu rzucanym przez daszek czarnej czapki, ale czuję na sobie jego wzrok i w moim gardle narasta krzyk.

Mężczyzna wysuwa się odrobinę w stronę światła, bliżej mnie. Ma na sobie czarne dżinsy i ciemną bluzę z kapturem. Wpatruje się prosto we mnie. Cofam się gwałtownie, a wtedy on znowu się porusza, idzie w moim kierunku. Moje stare zimowe botki ślizgają się na mokrym

bruku, kiedy odwracam się i puszczam biegiem w kierunku głównej ulicy. Znajduję się w ślepej uliczce, a boczna alejka jest pusta, ale jeśli zdołam się dostać do głównej ulicy, na pewno będę bezpieczna wśród innych zakupowiczów.

Serce wali mi w piersi jak kopyta rozpędzonego stada byków, ale mimo to słyszę na kamieniach za sobą drep-drep-drep kroków tego mężczyzny. Pięć, cztery – dogania mnie, więc rzucam się sprintem przez ostatnich kilka metrów, aż wreszcie niemal wpadam na przechodzących ulicą ludzi. Przez cały czas spodziewam się, że zaraz poczuję na płaszczu ciężar dłoni, która wciągnie mnie z powrotem w alejkę.

– Uważaj! – krzyczy kobiecy głos, kiedy na kogoś wpadam.

Podnoszę głowę i widzę młodą matkę z wózkiem. Jedna z toreb z zakupami upadła jej na ziemię, a szkrab w wózku wypuścił z ręki paczkę chrupek, rozsypując jej zawartość po mokrym chodniku.

– Strasznie przepraszam! – wyrzucam z siebie.

Zmuszam się, żeby obejrzeć się na brukowaną uliczkę, ale nikogo w niej nie ma. Rozglądam się w jedną i w drugą stronę, wypatrując śladów tamtego mężczyzny. Nie widzę go, ale czuję na sobie jego wzrok, aż jeżą mi się włoski na karku.

Chowam się do sklepu z kartkami okolicznościowymi. W oknach unoszą się balony z helem. Oglądam się na drzwi i dopiero potem wchodzę głębiej. Oczy mam wlepione w ulicę, wciąż wypatruję człowieka, który mnie śledzi.

Skąd on się wziął? Skąd wiedział, że tu jestem? Czy śledził mnie od samej wioski? Staram się przypomnieć sobie markę samochodu, który jechał za mną w drodze do Manningtree, ale nie jestem pewna nawet co do koloru. Chyba niebieski.

– Mogę w czymś pomóc? – Głos podrywa mnie jak pchnięcie w plecy.

Piszczę z zaskoczenia i odskakuję na bok, niemal przewracając przy tym rozchwiany, skrzypiący stojak na czasopisma. W ostatnim

momencie udaje mi się go chwycić i unieruchomić.

– Ja się tym zajmę – mówi ekspedientka, wychodząc zza lady i przesuając stojak na bok. – Od tygodni powtarzam szefom, że strasznie tu zawadza, ale nikt mnie nie słucha.

Składa ręce i staje przede mną. W jej postawie widać pewną sztywność, która kojarzy mi się z moją matką, i zastanawiam się, czy kobieta nie ma pierwszego stadium artretyzmu. Jej włosy są białe i krótko przystrzyżone, a grube soczewki okularów w czerwonych oprawkach powiększają jej oczy tak, że kiedy na mnie patrzy, sprawia wrażenie, jakby mogła mi zajrzeć prosto do głowy.

– Czego pani potrzebuje? – pyta, jakbym miała zamówić kieliszek wina i paczkę czipsów.

– Och... No... – Przesuwam wzrok na okno i pustą ulicę za nim, a potem wracam do sklepu i stojaków pełnych kartek. – Szukam... Szukam urodzinowej kartki dla syna – mówię wreszcie, jękając się. Dziwne, że w ogóle jestem w stanie coś z siebie wydusić.

– Jak miło. Kartki dziecięce są tam – mówi ekspedientka, prowadząc mnie do dalszej części sklepu. – Ile lat kończy?

– Osiem. – Ruszam za nią, ciesząc się, że odchodzę od okna.

– W takim razie zapraszam tutaj. – Kobieta pokazuje ręką dwa rzędy kartek, bardziej kolorowych niż inne na wystawie. – Proszę się rozejrzeć.

Po raz ostatni oglądam się na pustą ulicę, a potem skupiam wzrok na regale. Kartki, podobnie jak sam sklepik, są staromodne. Żadnych postaci z *Gwiezdných wojen* ani Spider-Mana, nic, co odpowiadałoby Jamiemu, ale to nieważne, i tak przez długi czas stoję i wpatruję się w nie, podnosząc każdą z osobna i na powrót odkładając, żeby zabić czas.

Telefon w mojej torbie wibruje. Szperam w kieszonkach i wreszcie go wyciągam. Na ekranie widzę imię Shelley.

– Cześć – mówię szeptem.

– Cześć, Tess. Właśnie parkuję. Dotarłaś już? – słyszę w uchu jej dźwięczny głos.

– Jestem w sklepiku z kartkami naprzeciwko biblioteki.

– Wszystko w porządku? Masz dziwny głos.

– Bo... Ktoś... Wydaje mi się... Znaczy wcale mi się nie wydaje: ktoś mnie śledzi.

– Co? – Shelley głośno wciąga powietrze. – Nic ci nie jest? Coś ci się stało?

– Jestem roztrzęsiona. – Raczej szaleję ze strachu.

– Nie rozłączaj się i nie ruszaj się stamtąd. Za minutę będę.

Czuję mdłości. Zamykam oczy i walczę z odruchem wymiotnym.

– Może powinnam wezwać policję?

– Poczekaj, dopóki tam nie dotrę, okej?

Kiwam głową i podchodzę ostrożnie do okna, żeby się rozejrzeć za Shelley. Telefon trzymam przyciśnięty do ucha, więc słyszę w słuchawce jej oddech i szeleszczące odgłosy poruszeń. Przypomina mi to tego mężczyznę z chrapliwym głosem, który dzwonił do nas w środku nocy. „Mówiłem ci na samym początku, że nie grzeszę cierpliwością”.

Czy to on mnie śledził? Mark, czego on chce?

Staję za blisko regału i potrącam półkę ze słodyczami. Paczuszka żelków Haribo spada na podłogę, szeleszcząc plastikowo. Nachylam się, żeby ją podnieść, i nagle widzę gazety: są na wysokości kolan, rozłożone tak, żeby widać było wszystkie okładki.

Oddech więźnie mi w gardle i wydaję z siebie odgłos, zduszony krzyk. Każda gazeta – każda, czy to brukowiec, czy poważna publikacja – ma na okładce to samo zdjęcie. Widziałam je już przedtem – kiedy oglądałam wiadomości telewizyjne w godzinach i dniach, które nastąpiły po wizycie policji. Kiedy czepiałam się każdego słowa

o katastrofie, rozpaczliwie modląc się o to, by wszystko okazało się pomyłką. By chodziło o inny lot albo by znaleziono żywych pasażerów.

Przestałam oglądać wiadomości, kiedy pokazali czyste, białe torby na zwłoki ułożone na betonie obok czarnego, zwęglonego wraku. Nie zaszła żadna pomyłka, nie znaleziono nikogo żywego.

Trzymałam się z dala od internetu i Facebooka, w telewizji wybierałam wyłącznie dziecięce programy dla Jamiego. Ukryłam nas w bańce cierpienia i chyba zakładałam, że od tamtego czasu media straciły już zainteresowanie i zaczęły pisać o jakimś trzęsieniu ziemi albo skandalu politycznym. Myliłam się.

Moje piersi unoszą się w górę i w dół, w górę i w dół. Oddycham – wiem, że tak – ale jakoś nie mogę nabrać powietrza do płuc, kręci mi się w głowie. Jest za gorąco. Szalik mam za mocno owinięty wokół szyi. Dusi mnie od duchoty sklepu, pocę się pod ubraniem. Ściany na mnie napierają. Nie mogę oddychać. Nie mogę myśleć.

Kiedy otwieram oczy, zdjęcie wraku i toreb na ciała się wyostrza. Czytam duże litery jednego z nagłówków: RODZINA PILOTA SAMOBÓJCZY WRESZCIE PRZEMÓWIŁA.

Pod spodem widnieje podtytuł: „Sześć tygodni po tragedii rodzice Philipa Curtisa przerywają milczenie”. Przy drzwiach słyszę jakiś ruch i odwracam się z okrzykiem. Człowiek w czarnej czapce z daszkiem wreszcie mnie znalazł.

Nie mogę oddychać.

– Tess, to ja – mówi Shelley i jej głos brzmi głośno i wyraźnie w moich uszach.

Zataczam się do tyłu i znowu wpadam na słodycze. Kiedy mrugam, widzę przed sobą Shelley w jej czarnym zimowym płaszczu.

– Już dobrze, już jestem – odzywa się uspokajająco, obejmując mnie ramieniem i prowadząc z dala od gazet, na zewnątrz. Zatrzymuje się dopiero wtedy, gdy docieramy do jakiejś ławki.

– O, tak – powtarza. – Oddychaj. Wszystko dobrze. Masz atak paniki. Nic się nie dzieje. Tylko oddychaj dalej.

Atak paniki? Czuję się raczej, jakbym umierała. Serce wali mi tak szybko, że mam wrażenie, jakby miało zaraz wybuchnąć. W głowie mam lekkość helu i bez względu na to, jak się staram, nie mogę nabrać powietrza.

Mija jeszcze kilka minut, zanim zauważam deszcz kropiący na moją twarz i kojący rozgrzaną skórę. Wszystko nabiera ostrości: znowu wyczuwam w powietrzu słoną wodę i słyszę samochody jadące mokrą jezdnią oraz mewy krzyczące nad moją głową.

Świat się nie zatrzymał. Wcale nie umieram.

– Przepraszam – szepczę, biorąc głęboki wdech.

– Nie przepraszaj. Widok tych gazet na pewno był wstrząsający.

– Myślałam... myślałam, że znaleźli już inne tematy. Nie sądziłam, że wciąż się o tym pisze.

– Nie zawsze na pierwszej stronie, ale to nadal głośna sprawa. Przykro mi. Na pewno ciężko ci na to patrzeć.

– A poza tym ktoś mnie śledził. – Siadam prosto i się rozglądam.

Ludzie spieszą się, żeby uciec przed deszczem. Na ulicy robi się spokojniej, stoiska na targu się zwijają i nigdzie nie widzę nawet śladu po człowieku w ciemnej bluzie i czapce z daszkiem.

– Nie powinnam zadzwonić na policję?

– Tess, jesteś pewna, że ktoś cię śledził? Ale tak na sto procent?

– Tak. – Kiwam głową.

– Możesz mi powiedzieć, co się wydarzyło?

Spełniam prośbę. Opowiadam wszystko od momentu, kiedy weszłam w alejkę, aż do jej telefonu.

Zanim się odzywa, Shelley wsuwa dłoń w moją rękę.

– Czy to możliwe, że zobaczyłaś kogoś obok tamtego budynku i się przestraszyłaś, a kiedy ten człowiek zaczął iść, wpadłaś w panikę

i pomyślałaś, że cię śledzi?

– Nie... nie wydaje mi się. Zdecydowanie mnie gonił.

– Czy widziałaś, jak za tobą biegnie? Krzyknął coś do ciebie?

Zamykam oczy i sobie przypominam. Słyszałam jego kroki, czułam, jak zmniejsza się dystans między nami, ale nie odwróciłam się, nie widziałam.

– Nie... ale...

– Tess, nie mówię, że ci nie wierzę. Jeśli powiesz, że masz stuprocentową pewność, że ktoś za tobą szedł, to w tej chwili pójdę z tobą na policję. – Shelley ściska moją rękę. – Po prostu chcę, żebyś najpierw się zastanowiła, czy faktycznie jesteś tego pewna. Może ta wyprawa to było dla ciebie za dużo, więc zaczęłaś panikować i wyobrażać sobie to, co najgorsze.

W ustach czuję suchość. Ciężko mi przetykać. Zastanawiam się nad słowami Shelley. Myślałam, że jestem pewna. Mój strach na pewno był autentyczny, przynajmniej co do tego nie mam wątpliwości, ale w słowach Shelley pobrzmiwa niedająca się zignorować prawda.

– Nie... nie wiem. Przez całą drogę z wioski jechał za mną jakiś samochód. Może ktoś mnie śledził od domu?

Shelley nie odpowiada. Nie musi. Sama słyszę w swoim głosie drżenie wątpliwości. Z tej drogi korzysta przecież wiele osób.

– Może schowamy się przed deszczem i pójdziemy na lunch? – pyta Shelley. – Chyba że wolisz wrócić do domu. Mogę cię podwieźć, a po samochód wrócisz jutro.

Kiwam głową.

– Dzięki. Chyba faktycznie powinnam wrócić do domu, ale dam radę sama poprowadzić. Przepraszam, że przeze mnie posypał nam się plan.

– Tess, w porządku. Cieszę się, że tu byłam i mogłam ci pomóc. W ten weekend jadę w odwiedziny do siostry w Hertfordshire, ale umówmy się znowu na przyszły tydzień. Pojedziemy razem. A do tego czasu nie

oddalaj się zbytnio od domu, dobrze? Jeśli to się powtórzy, a będziesz akurat sama, możesz się jeszcze bardziej przestraszyć.

Bardziej niż tym razem?

Ale Shelley ma rację co do jednego – nie byłam dziś gotowa na wycieczkę. Prowadzenie auta po tych wąskich drogach za bardzo mnie zestresowało. Cudownie było wyrwać się z wioski i z domu, ale teraz pragnę tylko znaleźć się tam z powrotem, bezpieczna w swojej ochronnej bańce bólu. Shelley ma też pewnie rację co do tego mężczyzny, którego widziałam, ale w moich żyłach nadal krąży lęk. Już prawie udało mu się mnie złapać, jestem tego pewna.

Idziemy ramię w ramię z powrotem na parking. Obie jesteśmy przemoczone. Tusz na rękach Shelley rozmazał się, a jej zazwyczaj lśniąca włosy są wilgotne i przywierają do głowy. Ale nadal jest piękna.

– Dziękuję – szepczę, kiedy się zegnamy.

– Od tego są przyjaciółki. – Shelley uśmiecha się do mnie. – Zadzwoń później. I pamiętaj: żadnych wypraw. Poczekaj na mnie i pojedziemy razem – mówi, obejmując mnie mocno.

Kiedy wracam do domu, zamykam boczne drzwi na zamek. Znowu czuję się bezpiecznie. Siadam na jakiś czas przy kuchennym stole i wpatruję się w nicość. Deszcz dzwoni o szyby.

Czy to się naprawdę wydarzyło? Czy ten człowiek w naciągniętej na czoło czapce i ciemnym ubraniu naprawdę mnie śledził?

Sięgam po notes, który dała mi Shelley, otwieram go na czystej kartce i piszę. Długopis wydaje się obcy w moich palcach, ręce nadal tak mi się trzęsą, że niemal nie jestem w stanie kreślić liter. Niemal.

„W Manningtree śledził mnie jakiś człowiek w czarnej czapce z daszkiem” – piszę. „Może tylko to sobie wyobraziłam????? Ale wydawało się takie rzeczywiste!”.

Dodaję datę i godzinę i wpatruję się w słowa.

Mark, chciałabym wiedzieć, co to wszystko oznacza. Chciałabym, żebyś tu był i mi pomógł.

Rozdział 25

Ian Clarke

Naprawdę nie miałem pojęcia, co się działo z Tess. Dopiero od was usłyszałem, że ktoś jej groził. Ale powiem wam coś: mój brat w młodości nigdy nie potrafił obchodzić się z pieniędzmi. Jeśli ktoś chce czegoś od Tess, to przede wszystkim przyjrzałbym się sprawie od tej strony. Nie zliczę, ile razy musiałem przychodzić Markowi z pomocą, kiedy byliśmy nastolatkami. Pierwszy raz pożyczyłem mu pieniądze, jak miał dwanaście lat, i nigdy mi nie oddał. Zaproponowałem, że zajmę się wykonaniem jego testamentu, bo – no, mówiąc wprost, ktoś musiał to zrobić i wyraźnie było widać, że tym kimś nie będzie Tess. Z tego, co widziałem, przeważnie z trudem udawało jej się nawet ubrać. Zawsze uważałem, że to śmieszne, żeby małżonkowie wyznaczali siebie nawzajem na wykonawców ostatniej woli. W kancelarii Clarke & Barlow nie zachęcamy klientów do takich decyzji. Dziwię się, że mój partner nie zwrócił im na to uwagi, kiedy spisywali testamenty.

Tess była załamana, co rozumiałe, ale takie kwestie prawne mogą się ciągnąć i często ciągną się miesiącami. A ja nie chciałem, żeby za długo zwlekała. Firmy kredytowe i banki zazwyczaj nie bardzo się przejmują tym, że ktoś umarł. Nadal domagają się pieniędzy, a ja uważałem, że Tess nie powinna robić sobie zaległości w płatnościach. Ale ona mnie nie słuchała; całą kontrolę nad swoimi sprawami oddała w ręce Shelley.

Shelley Lange

Zaczęłyśmy się coraz częściej spotykać. Naprawdę uważam, że bardzo jej to pomagało. Czuła się lepiej. W drodze na nasze spotkanie zadzwoniłam do niej, a ona powiedziała, że ktoś ją śledzi. Kiedy do niej dotarłam, miała prawdziwy atak paniki.

Powinnam to potraktować bardziej serio. Ale sama nie wiedziałam, co myśleć. Teraz brzmi to okropnie, no i oczywiście wtedy jej o tym nie mówiłam, ale zastanawiałam się, czy to nie wytwór jej wyobraźni. Na pewno niełatwo było jej mieszkać samej w tym wielkim starym domu.

Gdybym mogła cofnąć czas, na pewno podjęłabym jakieś działania, ale inna sprawa, że Tess nie powiedziała mi o wszystkim, co się działo. Może gdyby to zrobiła, sprawy potoczyłyby się inaczej. Musicie mi uwierzyć: nigdy bym jej nie skrzywdziła i nawet gdyby okoliczności były inne, nigdy nie skrzywdziłabym Jamiego.

Rozdział 26

Zapis rozmowy między ELLIOTEM SADLEREM (E.S.) A TERESĄ CLARKE (T.C.) (PACJENTKĄ SZPITALA OAKLANDS, ODDZIAŁU HARTFIELD), ŚRODA, 11 KWIETNIA. SESJA 2 (cd.)

T.C.: Sama nie wiem, co myślę. Ciężko mi tu siedzieć ze świadomością, że Jamie gdzieś tam jest. Wszystko mam w notesie. Zapisałam każdy szczegół. Miałam wtedy problemy z pamięcią i często nie myślałam przytomnie. Ale mimo to wiedziałam, że coś jest na rzeczy. Z początku nie podejrzewałam Shelley. Wiedziałam tylko, że ktoś próbuje mnie zastraszyć. Dzwonił do mnie jakiś mężczyzna. Groził mnie i Jamiemu. Powiedział, że Mark wykonywał dla niego jakieś zlecenie i że chce, aby zadanie zostało wykonane. Nadal słyszę w myślach jego głos. To było straszne.

E.S.: Powiedział, jak się nazywa?

T.C.: Nie. O Boże, a co, jeśli to nie Shelley ma Jamiego? Co, jeśli to ten człowiek? Wiedział wszystko o mnie i o Jamiem. Boże. Co ja zrobiłam?

E.S.: Tess, proszę, niech pani oddycha głęboko. Niech pani spróbuje się uspokoić.

T.C.: Czy to kiedykolwiek działa?

E.S.: Co takiego?

T.C.: Czy ktokolwiek kiedyś naprawdę się uspokoił tylko dlatego, że mu tak kazano? Jamie zniknął. Nie uspokoję się, dopóki nie będę mogła go objąć. Czy może pan kazać komuś, żeby przywiózł mój notes? Wystarczy,

że go pan przeczyta, wtedy sam pan wszystko zobaczy. Na pewno jest w nim odpowiedź.

E.S.: Tess, policja ma pani notes. Właśnie w tej chwili go przegląda. Przesłuchuje też Shelley i Iana.

T.C.: I co oni mówią? Wiedzą, gdzie jest Jamie?

E.S.: Może niech mi pani opowie, jak to wszystko wyglądało z pani punktu widzenia, dobrze? Poczynając od wieczoru urodzin Jamiego.

T.C.: Najpierw muszę wiedzieć, że nic mu nie grozi. Muszę go zobaczyć.

E.S.: Zróbmy sobie przerwę.

T.C.: Nie potrzebuję przerwy. Jamiego nadal nie znaleziono. On wciąż gdzieś tam jest. Jak możemy robić sobie przerwę?

E.S.: Tess, odmawia pani rozmowy na ten temat, ale odniosła pani poważne obrażenia brzucha. Jeśli chce nam pani pomóc dojść do tego, co się stało z Jamiem, musi pani odpocząć. Wrócimy do rozmowy później.

Rozdział 27

Czwartek, 8 marca – 31 dni do urodzin Jamiego

Mark, dzisiaj rano, kiedy patrzyłam, jak Jamie wbiega do szkoły, coś mi przyszło do głowy. Czas nie jest już tym ciągłym tik-tak jak za twojego życia. Teraz – w ciągu dnia, kiedy jestem sama, i w środku nocy, kiedy nie mogę zasnąć, więc godzinami słucham sowy, która pohukuje, szukając sobie towarzysza – czas zwalnia i wlecze się niemrawo jak pociąg wjeżdżający na stację.

Kiedy jednak muszę wyjść z domu, żeby odprowadzić Jamiego do szkoły albo go odebrać, wtedy bez względu na to, ile mam czasu, ten zdaje się mi uciekać niczym pies uganiający się po polach za bażantami. Jamie zawsze jako ostatni wchodzi rano przez szklane szkolne drzwi, a po południu zawsze jako ostatni czeka na boisku.

Dzisiejszy dzień nie jest wyjątkiem. Po powrocie do domu zatraskuję boczne drzwi i czuję, jak czas zwalnia, trybiki hamują. Ale tym razem nie pozwolę, żeby mnie to zgnębiło. Znajdę sobie zajęcie.

Właśnie idę do salonu, żeby dokończyć sortowanie pudeł, gdy dzwoni telefon.

W tym tygodniu dzwonił już z pięć razy. Za każdym razem wrastam w podłogę, wstrzymuję oddech i czekam, aż włączy się sekretarka: chcę wiedzieć, czy to znowu on. I za każdym razem mój głos odbija się echem po pokojach, a potem zaczyna się nagrywanie i ten ktoś się rozłącza.

Tym razem wszystko toczy się tak samo.

Dlaczego? Kto jest po drugiej stronie? – zastanawiam się, kiedy w domu zapada cisza.

Przymykam na chwilę oczy i widzę obraz zwęglonego wraku. Wiem, że powinnam o tym zapomnieć, skupić się na zadaniach, ale nagle

uświadamiam sobie, że jestem w salonie, a w ręce trzymam pilota do telewizora.

Na ekranie pojawia się kanał informacyjny Sky News.

Spikerka o lśniących brązowych włosach i niedobranej szmince mówi, wpatrując się prosto we mnie:

– Policja otrzymała wiadomość napisaną przed śmiercią przez pilota samolotu, który rozbił się w Thurrock.

Tessie, przestań. Nie oglądaj tego!

Za późno.

Przysiadam na brzegu kanapy.

Jakiś ekspert – profesor awiacji – opowiada o błędach popełnionych przez linię lotniczą. Słucham tylko jednym uchem. W głowie widzę ciebie, jak siadasz w fotelu i zapinasz pasy bezpieczeństwa. Przez mój umysł przepływa list od linii z informacją o odszkodowaniu. Nadal tkwi w kieszeni mojego swetra i czeka, aż coś z nim zrobię albo go wyrzucę.

– Samolot wystartował w stronę Frankfurtu z lotniska London City zgodnie z rozkładem – mówi profesor, przesuwając wzrok z prezenterki na obiektyw, jakby nie bardzo wiedział, gdzie ma patrzeć. – Lecz z nagrań w kokpicie wiadomo, że zaledwie kilka minut po starcie kapitan odesłał drugiego pilota z kabiny, rzekomo dlatego, że bolała go głowa i chciał, aby drugi pilot przyniósł mu jakieś środki przeciwbólowe.

– Czy to powszechna praktyka, że drugi pilot opuszcza kokpit podczas startu? – pyta prezenterka.

– Nie, skąd. Przepisy bezpieczeństwa zalecają, aby w kokpicie przez cały czas trwania lotu znajdowały się dwie osoby. Dlatego właśnie Urząd Lotnictwa Cywilnego orzekł, że linia dopuściła się zaniedbania. Drugi pilot powinien się natychmiast zorientować, że coś jest nie tak, bo o wiele łatwiej byłoby wezwać do kokpitu kogoś z obsługi pasażerów i poprosić o tabletkę z apteczki. Lecz jak wiemy, drugi pilot nie

zakwestionował tej prośby i opuścił kabinę. Od czasu tragedii jedenastego września wszystkie kokpity wyposażone są od środka w zamek. Kapitan zamknął drzwi, co oznaczało, że nikt poza nim nie miał już dostępu do sterów samolotu.

– To jeszcze nie wszystko – ciągnie spikerka. – Wiemy, że Philip Curtis, kapitan samolotu, zaledwie cztery tygodnie przed katastrofą został wysłany na zwolnienie lekarskie z powodu stresu. Lot do Frankfurtu był jego pierwszym po powrocie do pracy. Wiele osób zastanawia się więc, czy Philip Curtis nie podjął na nowo obowiązków pilota właśnie z zamiarem zabicia siebie i wszystkich na pokładzie. Jakiego rodzaju środki bezpieczeństwa stosują linie lotnicze, aby zadbać o zdrowie psychiczne swoich pracowników?

Serce wali mi jak młotem. Prezenterka i profesor nadal mówią coś o zaniedbaniach i samobójstwie, ale ja wiem, co się szykuje. Na dole ekranu miga czerwony pasek z dużymi białymi literami: „Katastrofa w Thurrock: znaleziono przedśmiertny list pilota”.

Gardło mam zaciśnięte, łzy zacierają mi widok, ale mimo to widzę, jak obraz na ekranie się zmienia i ukazuje się amatorskie nagranie – dokładnie tak, jak się tego spodziewałam.

Mrugam, żeby zapanować nad płaczem, lecz czuję, że coś ściąga mnie z powrotem do tamtego pierwszego poniedziałku; jestem jak resztki wody spływające do kanalizacji. W ogrodzie płonie ognisko, unoszący się z niego dym nadal dławi moje gardło. W kuchni słyszę szum czajnika i szmer głosu posterunkowej Greenwood, rozmawiającej cicho z drugim policjantem, tym o poszarzałej twarzy i załzawionych oczach. Gdzieś w domu dzwoni telefon.

Teraz z kolei na ekranie widać rozedrgane nagranie czystego błękitnego nieba. Obraz traci ostrość: nagrywający robi zbliżenie na samolot, który wciąż leci nisko, ale wspina się coraz wyżej i wyżej... aż nagle przestaje. Gwałtownie nurkuje i wali dziobem prosto w ziemię.

Obraz staje się rozedrgany; samolot znika w wielkiej chmurze czarnego dymu. Z telewizora rozlega się krzyk nagrywającego, ale ja wytłumiam dźwięk i myślę tylko o tobie, jak siedziałeś nachylony w fotelu, z głową osłoniętą rękami. Jak ty się musiałeś bać w tych ostatnich chwilach... Czy to o nas wtedy myślałeś? O żonie i synku, których osierocisz?

Serce mi pęka na myśl, że Jamie kiedyś to obejrzy. Nie powiedziałam mu, że to wszystko była wina pilota. Powiedziałam tylko: „Samolot, którym leciał tatuś, rozbił się. Wszystko wydarzyło się bardzo szybko. Na pewno go nie bolało”. Któregoś dnia, kiedy będzie starszy, na pewno zacznie sam szukać odpowiedzi. Znajdzie nagranie spadającego samolotu i dowie się o okrutnym, egoistycznym postępku pilota – ale ja będę go przed tym osłaniać tak długo, jak tylko zdołam.

Na ekranie znowu pojawia się prezenterka. Poprawiono jej szminkę, choć kolor nadal nie pasuje. Ja też wracam do tu i teraz. Od katastrofy minęło niemal siedem tygodni. Siedem tygodni bez ciebie.

Kamera robi zbliżenie, wycina eksperta i pozostawia tylko spikerkę.

– Za chwilę porozmawiamy z rodzinami dwóch ofiar katastrofy w Thurrock na temat złożonego przez nie pozwu przeciw linii lotniczej. A w dzisiejszych wiadomościach: w ręce policji przekazano liścik samobójczy Philipa Curtisa, pilota odpowiedzialnego za katastrofę. Wiadomość została wysłana pocztą do jego kolegi z działu HR. Otworzono ją dopiero wczoraj. W katastrofie zginęło czterdzieści pięć osób...

Ekran czernieje, pogrążając pokój w ciemnościach. Wpatruję się w pilota zaciśniętego w mojej dłoni. Nie chcę wiedzieć, kto jeszcze zginął tamtego dnia. Nie chcę się dzielić swoim bólem.

Zmuszam się, żeby wstać. Każdy fragment mojego ciała domaga się, żebym poszła na piętro i położyła się na łóżku Jamiego albo zanurzyła się w wannie, ale nie mogę dalej tak się zachowywać. To wcale nie pomaga – ani mnie, ani tym bardziej Jamiemu. Wlokę się więc smętnie

do bawialni i powoli, bardzo powoli zabieram się do dalszego wypakowywania pudeł.

Okolo trzeciej zadanie jest wykonane.

Rozdział 28

Sobota, 10 marca – 29 dni do urodzin Jamiego

Mark, dzisiaj prześladowają mnie wspomnienia. Te jeszcze sprzed twojej śmierci, nienaruszone – lecą w mojej głowie jak stare domowe nagrania, wypełniając ją śmiechem i radością. Po obiedzie wyłączam więc telewizor, przed którym siedzi Jamie, wkładamy kalosze i idziemy w mżawce na plac zabaw.

– Dlaczego Shelley w ten weekend nie przyjdzie? – pyta Jamie. Idzie przede mną w podskokach, a ja mu na to pozwalam.

Alejka wiodąca do wioski świeci pustkami. Pewnie ludzie pochowali się w domach, z dala od ciężkich szarych chmur i deszczu, ale mnie się to wszystko podoba. Kropelki na twarzy, przejmujący chłód. Na zewnątrz czuję w sobie więcej życia.

– Pojechała do siostry. Zapytam, czy nie wpadłaby do nas w ciągu tygodnia, po szkole. Tak może być?

– W poniedziałek?

– Nie wiem kiedy. Zapytam ją.

Jamie wzdycha głośno i wyprzedza mnie jeszcze bardziej.

– Szkoda, że jej tu nie ma.

Owszem.

Jesteśmy już prawie przy furtce na boisko, ale nagle natykamy się na kałużę, która zajmuje całą szerokość jezdni. Jest za duża, żeby ją przeskoczyć, więc brniemy przez nią w kaloszach. Docieramy już do połowy, kiedy nagle wyobrażam sobie, że jesteś razem z nami. Gdybyś tu teraz był, wziąłbyś mnie na ręce i udawał, że upuszczasz do wody. Ja bym wrzeszczała, a Jamie kwiczałby ze śmiechu.

Płacz ściska mnie za gardło, ale przełykam go i skaczę w kałuży – robię tylko mały plusk, lecz w moich uszach rozbrzmiewa chichot Jamiego. Ja również się śmieję. Skaczę znowu, tym razem mocniej, tak że woda przelewa mi się przez kalosze i moczy dżinsy, ale nic mnie to nie obchodzi, bo Jamie się śmieje. Rozśmieszyłam go.

Oboje chichoczemy i skaczemy, tak że nawet nie słyszę nadjeżdżającego alejką samochodu, dopóki nie rozlega się klakson – wtedy nagle drgam przestraszona, ściągam Jamiego na pobocze, do furtki, i macham przepraszająco ręką. Plac zabaw jest tuż za boiskiem. Jaskrawoczerwone i żółte drabinki wydają się nie na miejscu na tle zieleni drzew i szarego nieba.

Land rover podjeżdża bliżej i przystaje. Rozpoznaję czarny lakier i przyciemniane szyby – to Ian.

Opuszcza szybę i się do mnie uśmiecha.

– Hej. Tak mi się wydawało, że to ty.

– Cześć – mówimy oboje, ja i Jamie.

– Skaczemy po kałużach, co? Cieszę się, że humor wraca.

Mars na jego czole świadczy o czymś przeciwnym, ale nie chce mi się tego komentować. Jamie ciągnie mnie za płaszczy i spogląda z nadzieją na plac zabaw. Kiwam głową, a on przebiega przez furtkę i pędzi przez boisko w stronę tyrolki i huśtawek.

– Właśnie do ciebie jechałem – mówi Ian. – Mam w bagażniku skrzynkę z narzędziami i trochę smaru. Pomyślałem, że naoliwię ci te zawiasy w bocznych drzwiach, żeby nie skrzypiały, i sprawdzę, czy wokół domu nie trzeba jeszcze czegoś zrobić.

– O... eee, dzięki, ale nie trzeba. Wszystko jest w porządku.

Ian nie wygląda, jakby przyjechał bawić się w majstra. Jest świeżo ogolony i ma na sobie ciemną koszulkę polo od Ralphi Laurena.

– Służę podwózką do domu.

Kręcę głową i kiwam nią w stronę placu zabaw, gdzie Jamie buja się na drążkach.

– Chyba jeszcze trochę tu posiedzę.

Ian krzywi się, jakbym podała złą odpowiedź w quizie. Ale teraz, kiedy już wyszłam z domu, nie mam najmniejszej ochoty tam wracać. Może po zabawie zabiorę Jamiego do pubu na gorącą czekoladę.

– Słuchaj, jeśli chodzi o ten formularz, który dla ciebie zostawiłem... – zaczyna Ian.

– Jeszcze go nie podpisałam.

– Ale podpiszesz?

– Chyba tak.

– To dobrze. Cieszę się, że pozwolisz mi sobie pomóc. Nie chcę wywierać na ciebie presji; po prostu pomyślałem, że dam ci znać, że istnieje taka możliwość.

Śmieję się krótko.

– Nie chcesz wywierać na mnie presji, ale przywiozłeś mi ten papier w weekend, choć mogłeś go wysłać pocztą, a twoi prawnicy zasypują mnie wiadomościami, żebym się z nimi skontaktowała. W sumie to jednak czuję pewną presję.

Ian kręci głową i jego wzrok nieco mięknie, a ja znowu myślę o tym, jak bardzo jego oczy przypominają twoje.

– Ja tylko chciałem podrzucić ci tamto chili. Dlatego przyjechałem w sobotę. Poza weekendami nie mam czasu na gotowanie. Przyjaciółka ci nie powiedziała? Choć owszem, miałem nadzieję, że pogadamy o tym formularzu. Po prostu chciałem, żebyś wiedziała, że chętnie ci pomogę, jeśli sobie tego życzysz. Przepraszam, jeśli wypadło to tak, jakbym się narzucał. Nie mam nic przeciwko temu, żebyś to ty nadal była wykonawczynią testamentu Marka. Próbowałem tylko pomóc.

– Dzięki – mamroczę.

– Od dawna znacie się z Shelley? – pyta Ian.

Kropla deszczu spada mi na rzęsy, więc mrugam, żeby się jej pozbyć. Nagła zmiana tematu mnie zaskakuje.

– Eee... w sumie od niedawna. A co?

– Bo tamtego dnia zachowywała się, jakby była twoją opiekunką. Nawet nie chciała wpuścić mnie za drzwi.

I dobrze – myślę sobie.

– Tess, nie każdemu chodzi o twoje dobro – dodaje Ian.

Nie wiem, czy to dlatego, że to ostrzeżenie brzmi tak cholernie absurdalnie, czy dlatego, że nadal jestem rozbrykana po skakaniu w kałuży, ale wybucham śmiechem.

– Myślisz, że tego nie wiem? – pytam.

– Słuchaj, może jednak dasz się podzucić do domu. Strasznie leje. Pogadalibyśmy normalnie przy kawie.

Ma rację. Deszcz nie jest już mżawką, po powierzchni kałuży skaczą tłuste krople. Woda ścieka mi z włosów na twarz, a mój płaszcz tak przemókł, że przestał być wodoodporny.

– Racja. Lepiej się zbierać – mówię, podchodząc do furtki.

Jamie jeździ na tyrolce, śmiga w jedną i w drugą stronę, zupełnie nie zwracając uwagi na pogodę.

– Tess, poczekaj. – Ian sięga na tylne siedzenie, a potem otwiera drzwi i wysiada, trzymając w rękach jeden z tych dużych białych parasoli, jakie dają na polach golfowych.

Otwiera go i podchodzi bliżej, tak żeby parasol osłaniał nas oboje. Nie podoba mi się, że stoi tak blisko mnie.

– Tess, proszę cię. Nie możemy ciągle w ten sposób rozmawiać.

– Dlaczego nie? – pytam.

– Jak to: dlaczego nie?

– No bo przed tym wypadkiem nigdy nie interesowałeś się ani mną, ani Jamiem, ani nawet Markiem. A teraz obchodzę cię tylko dlatego, że chcesz, bym zajęła się testamentem i oddała ci pieniądze.

– Tess, to nieprawda.

– Nie? Przyznaj, nigdy mnie nie lubiłeś.

Moje słowa zawisają w mokrym powietrzu. Jedyнным dźwiękiem jest stukot kropli deszczu na parasolce.

– Jakie to ma teraz znaczenie, czy cię lubiłem, czy nie? – pyta Ian z przeciągłym westchnieniem. – Nie wszystkim pisane jest się dogadywać.

– No tak. – Nie jestem pewna, czego się spodziewałam, ale na pewno nie tego, że przyzna mi rację. – Tylko że nigdy nawet nie spróbowałeś mnie poznać.

– Ani ty, ani Mark nie daliście mi na to szansy. Po raz pierwszy usłyszałam o tobie od mamy, kiedy zadzwoniła z informacją, że Mark zrobił dziecko jakiejś dziewczynie. A kiedy cię poznałem, w kółko opowiadałaś o tym, jak to chcesz zrezygnować z pracy i zająć się rodziną. Co niby miałem pomyśleć? Mark był dla ciebie złotym biletem do łatwego życia.

– Łatwego? Czy cokolwiek w tym wszystkim wydaje ci się łatwe?

– Nie, wcale nie wydaje mi się to łatwe. I nie wiem, czy to coś zmieni, ale przyznaję, że moja początkowa opinia była zapewne błędna. Ty i Mark wyraźnie się kochaliście.

– Ale nie wszystkim pisane jest się dogadywać – kończę za niego.

Ian wzrusza ramionami. Przyłapuję się na tym, że nie mogę oderwać wzroku od jego oczu, twoich oczu.

– Po prostu bardzo się od siebie różnimy – mówi Ian.

– Więc co ty tutaj robisz? Skoro mnie nie lubisz, to po co w ogóle się wysilas?

Ian spogląda poza mnie na plac zabaw i Jamiego, który stoi teraz na huśtawce i huśta się w tę i we w tę, coraz wyżej i wyżej.

– Bo nie mam już nikogo innego, kogo mógłbym nazwać rodziną. Chcę pomóc. Chcę, żebyśmy się dogadywali. Mark też by sobie tego

życzył.

Na dźwięk twojego imienia do oczu napływają mi łzy.

– Muszę już iść. – Wycofuję się spod parasola i czuję, jak deszcz uderza mnie w czubek głowy.

Ian stoi przez chwilę, jakby chciał za mną pójść, ale potem wraca do samochodu.

– Zadzwoń, jeśli zmienisz zdanie! – woła, przekrzykując szum deszczu.

Pospiesznie przechodzę przez furtkę i zupełnie bez powodu zaczynam biec – pragnę po prostu znaleźć się jak najdalej od twojego brata. Poza tym czuję nagłą potrzebę, żeby być przy Jamiem.

W głowie mi się kręci pod wpływem ostatnich słów Iana. „Nie mam już nikogo innego, kogo mógłbym nazwać rodziną. Chcę pomóc”.

Czyżby? Dlaczego mu nie wierzę?

Na pewno tkwi w tym coś więcej niż poczucie braterskiego obowiązku, co do tego nie mam wątpliwości. I nie ma mowy, żebym podpisała ten dokument, dopóki się nie dowiem, o co dokładnie chodzi.

Rozdział 29

Środa, 14 marca – 25 dni do urodzin Jamiego

Tessie, pamiętasz nasz miesiąc miodowy w Szkocji i tamte wieczory w naszym małym hoteliku? Jamie spał jak kamień, a my próbowaliśmy się poprzytulać tak, żeby łóżko nie trzeszczało.

Proszę cię, przestań, Mark. Nie dzisiaj. Dzisiaj nie mam na to siły.

Och, Tessie. A myślałem, że ci się poprawia.

Ja też. I Jamie. Dziś rano widziałam zawód na jego buzi, kiedy wszedł do naszej sypialni gotowy do szkoły, a ja nawet nie podniosłam się z łóżka. Mark, to było straszne. Gdybyś ty widział ten wyraz jego oczu, kiedy odwrócił się i wszedł bez słowa. On mną gardzi, mój własny syn.

Tessie, on cię kocha. Obaj cię kochamy.

Ale dlaczego? Co tu jest do kochania?

Czuję się, jakby coś przygwoździło mnie do ziemi, przytłacza mnie ciężar stu hantli. Wszystko wymaga wysiłku: oddychanie, mruganie, myślenie. Nie mam siły nawet płakać.

Kochanie, co się stało?

Nic. Nic się nie stało. Weekend się skończył.

Znowu przyszedł poniedziałek. Nasz ósmy poniedziałek bez ciebie. Dzień za dniem, a ja nadal czuję ten sam ból w klatce piersiowej, ciągle toczę tę samą walkę. Bez końca. Bez drogi ucieczki.

Ale nie dziś. Dzisiaj nie mogę walczyć.

– Wyobraź sobie, że jesteś na plaży – powiedziała Shelley rano, kiedy do niej zadzwoniłam, gdy już zwlokłam się z łóżka i odprowadziłam Jamiego do szkoły. – A twój ból to morze. Czasami fala będzie wysoka, nie będziesz mogła dojrzeć ani poczuć niczego poza nią. Ale kiedy

indziej nadejdzie odpływ i ten ból, to cierpienie będą się wydawać dalsze. Nie znikną, ale się odsuną.

To była dobra analogia, lecz zadzwoniłam z nadzieją, że otrzymam rzeczywistą pomoc, a nie budującą pogadankę. Poza tym obiecałam Jamiemu, że zaproszę Shelley na kolację.

– Mogłabyś wpaść wieczorem? – zapytałam.

– Jasne – odparła i nawet przez telefon czułam, że uśmiecha się po drugiej stronie. – Mam dziś po południu kilka spotkań z klientami. Zajrzę około piątej trzydzieści. Może przyniosę coś na wynos? Co byś chciała?

– Właściwie tak, byłoby super. Dzięki. – Uzgodniłyśmy, że przywiezie coś z KFC. Jamie uwielbia ich jedzenie.

– Niech będzie KFC – roześmiała się Shelley i zakończyła rozmowę.

Zanim do nas dojechała, rodzinne wiaderko KFC zdążyło już wystygnać. Frytki zmieniły się w coś w rodzaju rozmokłego kartonu, a smażony kurczak był pokryty śluzowatymi grudkami tłuszczu. Nawet Jamie nie wykazał zwykłego entuzjazmu na widok swojego ulubionego fast foodu. Podczas kolacji wydobył z siebie ledwie kilka słów, a potem bez szemrania położył się spać.

Później, kiedy już zasnął, Shelley i ja przeniosłyśmy się na kanapę i obejrzałyśmy *Bridget Jones 3*. Dokończyłyśmy też resztki lodów miętowych, które wygrzebałam z lodówki i postawiłam na tacy pomiędzy nami.

– Wreszcie mam kogoś, kto chciał obejrzeć ze mną ten film – mówi Shelley, uśmiechając się szeroko i zlizując zielone lody z łyżeczki. – Tim nie spojrzy na nic, co załatuje babskim kinem.

Muszę sobie przypominać, że Shelley ma męża. Ma też pracę, i na pewno przyjaciół. A mimo to spędza ten wieczór ze mną. Chyba do tej pory poza jej wizytami w ogóle o niej nie myślałam.

– Od jak dawna jesteście małżeństwem? – pytam.

– Od piętnastu lat. Urodził nam się Dylan. Kiedy zachorował, zaczęliśmy się właśnie zastanawiać nad kolejnym dzieckiem. Postanowiliśmy z tym poczekać, aż uporamy się z rakiem, ale jakoś nigdy do tego nie doszło.

– Bardzo mi przykro.

– Kilka lat temu Tim chciał się postarać o kolejne dziecko, ale ja nie mogłam. Onkolog uważał, że rak Dylana miał związek z jego genami, a ja nie mogłabym znowu przez to przechodzić. Popatrz... – Shelley sięga sobie za głowę i rozpina wisiorek. Dłubie przez chwilę przy zapince medalionu, aż wreszcie udaje jej się go otworzyć. Wyciąga go do mnie.

Zdjęcie w środku jest małe i pomarszczone na krawędzi, bo na siłę wciśnięto je w ramkę, ale wizerunek Dylana jest kryształowo wyraźny. Chłopczyk jest mały, ma pewnie trzy latka. Jego jasne włoski są mokre i nastroszone, jakby dopiero co wyszedł z kąpieli albo basenu. Uśmiech ma po Shelley – myślę, wpatrując się w dwa rzędy mlecznych zębów. Jego buzia jest wychudła, a policzki, które powinny być pulchne, wydają się zapadnięte. Ale to jego oczy przykuwają moją uwagę. Są błękitne jak poranne letnie niebo – tak jak oczy Jamiego. Ta myśl osadza się w mojej głowie. Dylan wygląda dokładnie tak samo jak Jamie w jego wieku.

– To było tuż przed chemioterapią, kiedy stracił włosy – szepcze Shelley. – Był doskonały pod każdym możliwym względem.

Kiwam głową, ale nie mogę znaleźć słów.

– Latem skończyłby osiem lat.

Tak samo jak Jamie.

– To dziwne, ale chyba już ci mówiłam, że prawie tak samo jak Dylana brakuje mi zwyczajnie matkowania. Chciałabym mieć przy sobie kogoś, o kogo mogę dbać i bezwarunkowo kochać. Nie wiem, czy chodzi

o zegar biologiczny, ale zdecydowanie coś mnie pcha do tego, żeby znowu zostać matką. Chcę adoptować dziecko – ciągnie Shelley. – W końcu nie brakuje maluchów, które potrzebują dobrego domu, prawda?

Wzdycha, a ja czuję ból promieniujący z jej ciała jak ciepło.

– Ale Tim uważał, że to by było tak, jakbyśmy chcieli zastąpić kimś Dylana. Nie sądził, że mógłby pokochać nie swoje dziecko. Więc ani nie zrobiliśmy sobie własnego, ani nie adoptowaliśmy cudzego. Ja mam swoją pracę i działalność w organizacji, on swoją firmę i członkostwo w klubie golfowym. Radzimy sobie. Chwilami się zastanawiam, dlaczego w ogóle nadal ze sobą jesteśmy i czy nie łatwiej byłoby zwyczajnie gdzieś uciec i zacząć wszystko od nowa. Martwię się, że stoimy sobie nawzajem na drodze, nie pozwalamy wrócić do normalnego życia. Czasami potrafię spędzić cały dzień na fantazjowaniu o tym, jak Dylan by teraz wyglądał, jaki by był, jak byśmy się razem bawili. Kiedy indziej wyobrażam sobie, że adoptuję dziecko i wyprowadzam się daleko, daleko stąd.

– Dlaczego tego nie zrobisz? – pytam z przymusem. Głos mi się załamuje. Oddaję medalion. Nie mogę dłużej na niego patrzeć.

– Może kiedyś – odpowiada Shelley. – Tak sobie powtarzam. Jestem jeszcze dość młoda.

Zapada milczenie. Próbuję znaleźć jakieś słowa, żeby je przerwać, ale nie mogę.

– Przepraszam – mówi wreszcie Shelley. – To było niedelikatne. Nie powinnam gadać o swoim małżeństwie i o tym, jak to bym chciała mieć dziecko, kiedy ty przeżywasz coś takiego. – Medalion zatrząskuje się w jej rękach i Shelley zapina łańcuszek z powrotem na szyi.

– Nie szkodzi – odpowiadam, choć wcale nie jestem tego pewna. Przed moimi oczami staje twarzyczka Dylana. – Cieszę się, że mamy siebie nawzajem i możemy rozmawiać.

– A ty? – pyta Shelley. – Nie chciałaś mieć więcej dzieci?

Ból jest natychmiastowy i tnie głęboko. W jednej chwili zapominam o Dylanie.

– Owszem. Oboje chcieliśmy. Tak strasznie pragnęłam, żeby Jamie miał młodszego braciszka albo siostrzyczkę, ale jakoś nam nie wychodziło. To jedna z tych durnych sytuacji. Z Jamiem zaszłam w ciążę przez przypadek, ale kiedy następnym razem zaczęliśmy się starać, do niczego nie doszło. Ciężko to zniosłam, miałam do siebie żal. Wreszcie postanowiliśmy spróbować in vitro, ale wtedy zmarła mama Marka i ustaliliśmy, że najpierw ogarniemy przeprowadzkę. Miałam znowu o tym wspomnieć w moje urodziny... – Mój głos cichnie.

Shelley bierze tacę z topniejącymi lodami i odstawia ją na drugą stronę kanapy, a potem przysuwa się do mnie bliżej, tak że stykamy się ramionami i czuję ciepło jej ciała. Resztę filmu oglądamy w przyjaznym milczeniu.

– Strasznie leje – mówi Shelley, przeciągając się i wyginając plecy. Jej słowa przechodzą w przeciągłe ziewnięcie.

Mrugam i orientuję się, że na ekranie lecą już napisy końcowe. Mam dziwne wrażenie, jakbym budziła się z drzemki, tylko że nie spałam. Zerkam na okno i widzę krople deszczu ściekające długimi ślimaczymi liniami po czarnym szkłe. Co kilka chwil podmuchy wiatru grzechoczą szybami w zbutwiałych ramach, uderzają w nie garściami deszczu. Żałuję, że w dniu przeprowadzki tak się pospieszyłam ze zdzieraniem zasłon.

– Lepiej już pójde – mówi Shelley. – Tim będzie się martwił. – Sięga po telefon i przewija coś na ekranie. – Albo i nie – mruczy. – Właśnie napisał, że za dużo wypił i prześpi się w hotelu przy klubie golfowym. – W jej głosie brzmi gorycz, której do tej pory nie słyszałam.

Już mam zapytać, czy wszystko w porządku, ale ona odzywa się pierwsza:

– A może najpierw zaparzę nam gorącej czekolady? Przydałby mi się zastrzyk cukru, zanim siądę po ciemku za kółko. – Tłumi kolejne ziewnięcie, po czym wstaje i z drzeniem rozciera sobie ramiona. – Nawet nie zauważyłam, jak zmarzłam.

Jej ziewanie jest zaraźliwe. Przenosi się na mnie i nagle czuję przygniatający ciężar wyczerpania. Rozpaczliwie chcę się wczołgać na górę i rzucić na łóżko, póki starczy mi na to energii, ale po wszystkim, co Shelley dla nas zrobiła, nie mogę jej odmówić.

– Świetny pomysł – zgadzam się. – Ale sama się tym zajmę.

– Nie, ja to zrobię. A ty sobie tutaj posiedź. Wyglądasz na padniętą.

Bo jestem padnięta – myślę, opierając głowę na kanapie. Mark, czy sądzisz, że jeszcze kiedyś będę się normalnie śmiała?

No jasne, Tessie. Przecież uwielbiasz się śmiać.

Uwielbiałam, kiedy to ty mnie rozśmieszałeś. Nikt nie potrafił tego tak jak ty. A teraz cię nie ma. Film był zabawny, i to tak naprawdę, można było śmiać się w głoś, a ja tymczasem ledwo zdobyłam się na uśmiech. W tej chwili nie potrafię sobie wyobrazić, że jeszcze kiedykolwiek się roześmieję.

No jasne, że tak. Poczekaj, to zobaczysz.

Shelley wraca z dwoma parującymi kubkami. Przyniosła też swoją torbę. Stawia ją sobie pod nogami, siada na sofie i podaje mi kubek z lwem, który przywiozłeś mi wtedy z zoo. „Przypomina mi ciebie” – powiedziałaś wesoło, patrząc na moje loki. Słyszę w głowie twój śmiech. Brakuje mi go. Przyciągam kubek z gorącą czekoladą do siebie; przemarzłam do kości. Zastanawiam się, z jakim zwierzęciem bym ci się skojarzyła w tym stanie.

– Tess, mogłabym cię prosić o przysługę? – pyta Shelley, dmuchając na czekoladę.

– Oczywiście.

– Miałabyś coś przeciwko temu, żebym znowu przespała się tu na kanapie? Normalnie bym o to nie prosiła, ale jestem wykończona i nie uśmiecha mi się jazda z powrotem do Ipswich w taką pogodę. – Kiwa głową w stronę okna. Ciszę wypełnia szum deszczu.

– Och... oczywiście, nie zdawałam sobie sprawy, że już tak późno. Bardzo cię przepraszam, nie powinnam cię tyle trzymać.

– Nie przepraszaj. To był mój pomysł, żeby obejrzeć film. Chyba potrzebowałam takiego babskiego wieczoru jeszcze bardziej niż ty. – Patrzy na mnie i czuję w sobie drgnienie ciepła.

Mnie też brakowało kogoś, z kim mogłabym spędzić wieczór. Choćby jeden.

– Ostatnio nie za dobrze się dogadujemy z Timem. Pewnie dlatego zostaje dziś w klubie. Mam wrażenie, jakbyśmy się kłócili za każdym razem, kiedy się widzimy. Nie mam ochoty wracać do pustego domu. Ale jeśli to kłopot...

– Nie, jasne, że nie – mówię. – Odgrzebię spod kartonów wolne łóżko w którymś z pokojów na górze.

– O nie, nie trzeba. Kanapa jest super, w zupełności mi wystarczy. I w dodatku rano będę stąd miała bliżej na basen. Dziękuję ci.

– Nie ma sprawy. Przynajmniej tyle mogę zrobić – odpowiadam.

Cieszę się, że Shelley zadowolili się sofą. Na samą myśl o porządkowaniu którejs z pustych sypialni bolą mnie mięśnie. Ale już wkrótce to zrobię. Może nawet jutro. Po prostu nie teraz, nie dzisiaj, kiedy jestem taka zmęczona.

– Przyniosę ci poduszkę i koc.

– Poczekaj – mówi Shelley. – Chciałam zapytać o zeszły tydzień i naszą wyprawę do Manningtree. Jak się teraz zapatrujesz na to wszystko, co się stało?

Zastanawiam się, czy ma na myśli człowieka w czarnej czapce z daszkiem, który mnie śledził, czy też atak paniki w sklepie, ale nie dopytuję. Co za różnica?

Im więcej czasu mija, tym bardziej mole przeżerają moje wspomnienia, wszystko wydaje się mniej realne.

– Nic mi nie jest. Pewnie masz rację. Tylko to sobie wyobraziłam.

Shelley kiwa głową.

– Tak bywa.

– Przyniosę pościel. – Ruszam się, żeby wstać, ale Shelley kładzie rękę na moim ramieniu.

– Za chwilę. Wypij czekoladę, zanim ostygnie – mówi.

Więc to robię.

Rozdział 30

Czwartek, 15 marca – 24 dni do urodzin Jamiego

Coś gwałtownie i wbrew mojej woli wyrywa mnie z otchłani snu. Powieki mam jak zaszyte. Nasłuchuję tego, co mnie wybudziło, ale dociera do mnie tylko cisza. Sen już, już ma z powrotem wciągnąć mnie w otchłań, ale mimo spowijającej mnie mgły wiem, że nie obudziłam się bez powodu.

Oczami wyobraźni znów widzę pozbawionego twarzy człowieka z Manningtree. Zmuszam się, żeby unieść powieki, i wpatruję się w egipskie ciemności sypialni.

Macam ręką za telefonem. Mrużę oczy przed jaskrawym blaskiem ekranu i wreszcie odczytuję godzinę. Trzecia zero pięć. Lepiej zajrzę do Jamiego. Może wypadł z łóżka jak w pierwszą noc w tym domu, kiedy przewrócił się we śnie na bok i zamiast na ścianie swojego małego pokoiku w Chelmsford wylądował na podłodze nowej sypialni.

Wygrzebuję się spod kołdry, w którą się zakreśliłam, i staję niezgrabnie, ledwo przytomna. Gęsia skórka pokrywa mnie jak insekty, ale chłód nie pomaga mi otrząsnąć się z senności.

Korytarz się kołysze – niczym łódź na wzburzonym morzu, to w jedną, to w drugą stronę. Tylko że to nie podłoga się chwieje, lecz ja. Ja sama. Opieram się obiema rękami o ścianę, przestawiam jedna za drugą bose stopy, walczę z zawrotami głowy, które spychają mnie w dół.

Gdzieś w głębi umysłu zdaję sobie sprawę z narastającej paniki. Coś jest ze mną nie tak. Ale ta myśl kryje się za murem gęstej mgły.

Dopiero kiedy opieram się ciężko o drzwi pokoju Jamiego, dociera do mnie jej głos i miękka, słodka kołysanka.

Popycham drzwi i mrugam, żeby lepiej wszystko zobaczyć. Błękitna lampka nocna Jamiego wydaje mi się zbyt jaskrawa.

Na brzegu łóżka siedzi Shelley. Oczy Jamiego są przymknięte, ale nie widzę, czy śpi, czy tylko leży.

Shelley spogląda na naszego syna i znowu zaczyna śpiewać. Jej twarz w łagodnym świetle wydaje się anielska i kochająca:

Mama cię kocha, o tak, kocham cię.

Kiedy upadniesz, zawsze będę przy tobie,

Podniosę cię i pomogę.

Nie wątp nigdy, że mama cię kocha, o tak, kocham cię.

Mama cię kocha, o tak, kocham cię.

Melodia jest urzekająca. Stoję jak oczarowana – jej słodycz odbiera mi głos. Ale potem do mojej świadomości przedzierają się słowa i chyba z mojego gardła wyrywa się jakiś dźwięk, bo Shelley nagle podnosi głowę i odwraca się, a jej oczu nie wypełnia już miłość, tylko coś mrocznego i pełnego nienawiści.

Wraca do mnie świadomość – wiem, że dzieje się tu coś bardzo złego – lecz tym razem nie ukrywa się już w mgiełce snu: wpatruje się we mnie czarnymi oczami, aż pokój wiruje jak karuzela. Wyciągam dłoń, żeby podeprzeć się o framugę, ale trafiam tylko na powietrze: przewracam się na podłogę i zapadam w duszącą ciemność.

Kiedy znowu się budzę, nic nie wyciąga mnie ze snu – sama muszę się z niego wyczołgać. Moje myśli są w nieładzie, wspomnienie nocy wydaje się snem.

W ustach mam straszliwą suchość i ciężko mi przełykać. Dotykam palcem warg – czuję, że są popękane i obolałe.

Rozglądam się za szklanką wody, ale na szafce nocnej widzę tylko swój telefon, który dokładnie w tym momencie zaczyna wibrować. Ocieężałą ręką sięgam po komórkę i skupiam wzrok na wiadomości od Shelley: „Cześć, Tess, jeszcze raz dzięki, że pozwoliłaś mi się przespać na kanapie. To był bardzo fajny wieczór! Sorry, że tak wcześnie uciekam – jadę popływać przed pracą. xx PS. Nie mówiłaś, że lunatykujesz. Wczesnym rankiem znalazłam cię chodzącą po piętze”.

Kończy emotikonką z całusem i roześmianą buzią ze strugami łez tryskającymi z oczu.

A więc to był tylko sen – uświadamiam sobie z westchnieniem ulgi. Lunatykowałam, a to wszystko tylko mi się przyśniło. Nie zdarzyło mi się to od dzieciństwa: w tamtych czasach mama co jakiś czas mawiała rano, że znalazła mnie w piżamie na środku kuchni. Ciekawe, czy to ból straty na nowo rozbudził we mnie tę dawną skłonność, czy też jest to efekt uboczny antydepresantów.

Przez cały dzień nie mogę się otrząsnąć z otępienia, ale przynajmniej leki chyba zaczynają działać. Pomimo dziwnego uczucia w głowie czuję się nieźle. Wolę te zawroty od głębokiej otchłani rozpaczy, w jakiej znajdowałam się wczoraj. Co prawda otchłań nie zniknęła. Nadal tam jest, czai się na obrzeżach moich myśli, tak jakbym w każdej chwili mogła stracić równowagę i runąć z powrotem w ciemność, ale póki co znajduję się w świetle.

Jamie jest dzisiaj bardzo cichy i coraz częściej zastanawiam się nad tym, o czym myśli. Oczywiście pytam go o to w każdy sposób, jaki tylko przychodzi mi do głowy. „Jak ci minął dzień? Wszystko w porządku? Coś cię gryzie? O czym myślisz? Bardzo tęsknisz za tatą?”.

Odpowiedź za każdym razem jest taka sama: nadąsane wzruszenie ramion połączone z jakby smutnym uśmiechem, a potem spojrzenie

przez ramię, jakby Jamie nie mógł się doczekać, by znaleźć się gdzie indziej, gdziekolwiek, byle nie ze mną.

Gdy tylko wracamy do domu, zamyka się w swoim pokoju, a ja przyłapuję się na tym, że raz za razem wynajduję preteksty, aby iść na górę i przejść pod jego drzwiami. Nasłuchuję, czy nie płacze, ale w tej chwili nie słyszę łkania, tylko nucenie. Delikatna melodyjka, pod której wpływem moje stopy wrastają w podłogę i zasycha mi w ustach. Wstrzymuję oddech i słucham. Bardzo chciałabym się mylić. Moje ciało przeszywają kolejne fale dreszczy. Nie mylę się.

Znam tę melodię.

Pamiętam też słowa. Słyszałam je w nocy. „Mama cię kocha, o tak, kocham cię”.

Skąd Jamie zna tę kołysankę, jeśli to był tylko sen?

Myślę o gorącej czekoladzie, którą podała mi Shelley – uparła się, że sama ją zrobi. Czy coś mi do niej dosypała? Tabletkę nasenną, żeby zwalić mnie z nóg? Usiłuję sobie przypomnieć, czy czekolada smakowała inaczej niż zwykle, ale nie jestem w stanie. Moje wspomnienia z poprzedniego dnia są niepełne. Nie pamiętam, czy Jamie z nami siedział, nie pamiętam, jak kładłam go spać. Jedyne, co pojawia się w mojej głowie, to obraz Shelley i to zimne, nienawistne spojrzenie, jakie na mnie zwróciła.

Wieczorem wpatruję się w strony swojego notatnika, szukając odpowiedzi – czuję, że kryje się gdzieś między nimi. Czego nie dostrzegam?

Dodaję dwie linijki:

„Jamie jest bardziej milczący niż zwykle.

W środku nocy znalazłam Shelley w pokoju Jamiego. Śpiewała mu. Dlaczego?”.

Kiedy odczytuję te słowa, kłuje mnie poczucie winy. Po wszystkim, co Shelley dla mnie zrobiła, nie powinnam dociekać, dlaczego była

w pokoju Jamiego. Powinnam pytać, czy tam była. W tej chwili ufam jej bardziej niż własnej pamięci.

Przypominam sobie zdjęcie Dylana i próbuję sobie wyobrazić bezradność, jaką Shelley musiała odczuwać, patrząc na bezskuteczną walkę synka z rakiem. W gardle ściska mnie na myśl o jej stracie. Minęły cztery lata, a ona wydaje się taka silna. Czy za cztery lata i ja będę miała w sobie podobną siłę? Czy znajdę sposób, żeby poradzić sobie bez ciebie?

Oczywiście, że tak, kochanie.

Nie wiem jak.

Wpatruję się w ostatnie linijki na kartce, po czym wykreślam je, mażę długopisem w jedną i w drugą stronę, aż tusz zaczyna lśnić, a papier się drze.

Rozdział 31

Ian Clarke

Cała ta sprawa była bardzo dziwna. Ta kobieta pojawiła się znikąd i zapanowała nad całym życiem Tess. Naprawdę należy się zastanowić, dlaczego ktoś zachowuje się w ten sposób.

Shelley Lange

Jakiś tydzień później znowu zostałam na noc. Była wielka burza. Przez cały wieczór lało. Wiedziałam, że drogi wokół wioski będą zalane, i nie chciałam prowadzić w taką pogodę, więc przenocowałam. Tess nie miała nic przeciwko temu, w ogóle tamtego dnia była w bardzo złym stanie. Pomyślałam, że moja obecność jej pomoże. Obudziłam się w środku nocy. Trochę się bałam w tym starym domu, więc owszem, poszłam na górę sprawdzić, czy wszystko w porządku. Nie wiem dlaczego, ale weszłam do sypialni Jamiego i przez chwilę posiedziałam na jego łóżku. To był błąd, ale tamto zdjęcie – tamten magnes na lodówce... Jamie wyglądał na nim zupełnie jak Dylan. Poczułam z nim jakąś więź. Potem usłyszałam na korytarzu Tess. Chodziła przez sen, więc zaprowadziłam ją z powrotem do łóżka.

Rozdział 32

Zapis rozmowy między ELLIOTEM SADLEREM (E.S.) A TERESĄ CLARKE (T.C.) (PACJENTKĄ SZPITALA OAKLANDS, ODDZIAŁU HARTFIELD), ŚRODA, 11 KWIETNIA. SESJA 2 (cd.)

E.S.: Możemy kontynuować rozmowę?

T.C.: Oczywiście. To nie ja chciałam zrobić przerwę. Ma pan jakieś wieści? Znaleźliście Jamiego? Co powiedziała Shelley? Mówiła, że miała dziecko, które umarło? Chłopczyka. Teraz byłby w wieku Jamiego.

E.S.: Ktoś przyniesie niedługo pani notes. Może zaczniemy od katastrofy samolotu Marka. Czy może mi pani powiedzieć, po co Mark poleciał do Frankfurtu?

T.C.: A co to ma za znaczenie? Musicie znaleźć Jamiego. Samolot nie ma z tym nic wspólnego.

E.S.: Tess, mamy tu bardzo powikłaną sytuację. Wydaje mi się, że najlepiej będzie zacząć od początku, od wypadku.

T.C.: (*mruczy coś*)

E.S.: Słucham?

T.C.: (*wzdycha*) To się wcale nie zaczęło od katastrofy, tylko od dnia, kiedy Shelley zapukała do moich drzwi. To ona ma Jamiego. Jestem tego pewna.

E.S.: Ale proszę mi jednak powiedzieć. Tak dla informacji. Jaki był powód wyjazdu Marka do Frankfurtu?

T.C.: (*pauza*) Nic ważnego. Jakiś wyjazd firmowy na jeden dzień. Tuż przed tym, jak urodziłam Jamiego,

Mark przeniósł się z działu programowania software'u do sprzedaży. Często mieli tam różne wydarzenia motywacyjne. Ale to odwołano. Mówiłam już o tym?

E.S.: Co odwołano?

T.C.: To wydarzenie, na które leciał. Całe biuro we Frankfurcie się pochorowało. Mark w ogóle nie musiał wsiadać do tego samolotu.

E.S.: Więc ten wyjazd nie miał żadnych szczególnych przyczyn?

T.C.: Zrobiłam tort z Batmanem.

E.S.: Proszę?

T.C.: Chciał pan wiedzieć, co się wydarzyło w urodziny Jamiego, więc mówię. Zrobiłam biszkopt czekoladowy. Jamie nie znosi takiego zwykłego, przekładanego dżemem, więc upiekłam czekoladowy. Trochę oszukałam, bo lukier był kupny, taki do rozwałkowania, czarny i żółty. Skrzydła nietoperza wyszły mi trochę krzywo, ale Jamie i tak był zachwycony. Kupiłam mu zestaw lego Sokół Millennium. Jest ogromny. Złożenie tego zajmie mu całe tygodnie.

E.S.: Co się wydarzyło tamtego dnia?

T.C.: Proszę, znajdźcie go. Coś mu grozi. Ja to po prostu czuję.

E.S.: Tess, kto panią zranił?

T.C.: *(cisza)*

E.S.: Zróbmy sobie jeszcze jedną przerwę.

Rozdział 33

Poniedziałek, 19 marca – 20 dni do urodzin Jamiego

Nie wiem, gdzie się podział cały weekend. Tyle tylko że przeminął: nieprzerwane pasmo zabaw w ogrodzie, bezsennych nocy i drzemania po południu na kanapie, kiedy Jamie oglądał telewizję.

Nie widzieliśmy Shelley od tamtego dnia, kiedy została u nas na noc, ale co wieczór do mnie dzwoni.

Im więcej rozmawiamy, tym bardziej jestem pewna, że to w pokoju Jamiego tylko mi się przyśniło. Mark, ona jest naszą przyjaciółką. Nie miałyby żadnego powodu, żeby śpiewać w ten sposób Jamiemu, żadnego powodu, żeby wpatrywać się we mnie z nienawiścią.

Tylko raz słyszałam, jak Jamie nuci tę kołysankę. Przy tych moich zawrotach głowy i wyczerpaniu to również mogło mi się przywidzieć. A może usłyszał tę melodię ode mnie...

Zawsze lubiłaś sobie podśpiewywać.

No właśnie. Przeważnie nawet nie zdaję sobie sprawy, że to robię.

Wiem. Cholera mnie na to brała.

Czasami Shelley dzwoni tylko po to, żeby powiedzieć cześć i wymienić się informacjami, co dziś porabialiśmy, kiedy indziej rozmawiamy dłużej. Wczoraj wieczorem opowiedziała mi o chorobie Dylana. Jak najpierw usłyszeli wszystkie możliwe diagnozy, tylko nie tę prawdziwą. Bóle wzrostowe, anemia, krzywica, grypa. Tygodnie chodzenia po lekarzach, zanim wreszcie zaproponowano skany i wykryto raka – a wtedy zaczęła się walka. Słyszałam, jak Shelley płacze po drugiej stronie telefonu, i ja też się popłakałam.

– Bywają dni, kiedy tak strasznie za nim tęsknię... Moim zadaniem jest pomaganie ludziom w dochodzeniu do siebie, ale czasami mam

ochotę powiedzieć im, że wcale nie będzie łatwiej, tylko trudniej, bo po jakimś czasie zaczynasz zapominać, jak ten ktoś pachniał i jak brzmiał jego głos.

– Och, Shelley... – powiedziałam, bo jakie słowa pociechy mogłabym jej ofiarować?

– Hej – rzuciła nagle Shelley i jej głos znowu odzyskał energię. – Miałam ci powiedzieć: jutro mam wolny ranek. Chciałam się wybrać na basen i w drodze powrotnej zrobić zakupy. Może podjadę po ciebie i wybierzemy się razem do sklepu? Dotrzymamy sobie nawzajem towarzystwa.

Uśmiechnęłam się do telefonu. Cała Shelley: mówiła tak, jakbym to ja robiła jej przysługę, a przecież było na odwrót. Od prawie dwóch tygodni nie opuszczałam wioski – to jest od czasu wyprawy do Manningtree i spotkania z tamtym facetem w czarnej czapce z daszkiem, który prawie mnie złapał, i tamtej chwili w sklepie, kiedy moje płuca nie mogły nabrać powietrza. Za każdym razem, kiedy myślałam o wypadzie do Tesco czy choćby do mniejszego supermarketu w sąsiedniej wiosce, słyszałam w głowie ostrzeżenie Shelley: „Jeśli to się powtórzy, a będziesz akurat sama, możesz się jeszcze bardziej przestraszyć”.

– Świetny pomysł – odpowiedziałam.

Spędziłyśmy w Tesco kilka godzin. Nie żeby mi to przeszkadzało. Dzięki Shelley było fajnie, tak jak zawsze. Pchałyśmy swoje wózki ramie w ramie, nawijając jak dwie babuleńki.

Shelley nawet nie spojrzała na moją listę, tylko wyładowała mój wózek stertami jedzenia, których pewnie w ogóle nie przejemy, i tyloma warzywami, że wykarmiłyby drużynę piłki nożnej.

– Chyba nigdy w całym życiu nie bawiłam się tak dobrze na zakupach spożywczych – mówi Shelley, kiedy koła jej samochodu chrzęszczą na

naszym podjeździe.

Tylne siedzenie jest wypakowane torbami, a jeszcze więcej ich leży w bagażniku – połowa należy do Shelley, połowa do mnie. Jamie będzie się gniewał, że to przegapił, choć to zwykła wyprawa do Tesco, czego zazwyczaj nie znosi.

– Ja też. Dziękuję. Wejdiesz na herbatę? – pytam, siląc się na luz i starając się nie dopuścić, żeby w moim głosie rozbrzmiała desperacja. Nie jestem jeszcze gotowa zmierzyć się z samotnością.

Shelley spogląda na zegarek i się krzywi.

– Raczej nie. Za godzinę mam spotkanie z klientem. Pomogę ci wypakować rzeczy, a potem muszę uciekać.

– O... Okej. – Kiwam głową. Mój głos zdradza rozczarowanie.

– Ale Tim ma dzisiaj w pracy jakąś imprezę. Może więc wróć na kolację i pomogę ci uporać się przynajmniej z odrobiną tego jedzenia?

– Nie trzeba. Na pewno masz lepsze rzeczy do roboty.

– Nie bądź głupia. – Shelley wyciąga rękę i ściska moją dłoń, a ja czuję, jak moje ciało wypełnia się jej energią.

Patrzę na nią przez chwilę; na jej twarz i uśmiech, tak pełne życzliwości. Jestem absolutnie pewna, że tamtej nocy tylko mi się śniło.

– Ja chcę przyjechać – dodaje Shelley, otwierając drzwi samochodu.

Świeży zapach pokrytej rosą trawy pobudza moje zmysły.

– A jak sytuacja z Timem? – pytam.

– Po staremu – wzdycha Shelley. – Świetnie nam idzie unikanie się nawzajem. Musimy wreszcie usiąść i obgadać nasze problemy, ale wydaje mi się, że żadne z nas nie jest jeszcze na to gotowe. To zresztą kolejny powód, dla którego kolacja u ciebie bardzo by mi odpowiadała.

– Okej. W takim razie zrobię paellę dla trzech osób – mówię, kiedy ona nachyla się nad bagażnikiem i na powrót wynurza, trzymając w rękach moje zakupy.

Ale się Jamie ucieszy. Ciągłe wypytuje, kiedy się znowu zobaczy z Shelley.

Obie dźwigamy zakupy na ganek i stawiamy je tam, po dwie torby naraz. Razem dziesięć. Shelley obchodzi samochód, żeby zatrzasać bagażnik, a ja otwieram boczne drzwi do domu i popycham je ramieniem.

Kiedy tylko wchodzę do kuchni, wiem, że coś jest nie tak.

To tylko drobiazg – prawie niezauważalny – i gdyby Shelley akurat mnie zagadała, pewnie w ogóle nie zwróciłabym na niego uwagi. Chodzi o drzwi z kuchni do przedpokoju. Wychodząc, zamknęłam je, żeby przeciąg z bocznego wejścia nie wlatywał do domu. A teraz są otwarte na oścież i widać za nimi korytarz.

Zastygam. Reklamówki z zakupami wrzynają mi się w palce, więc rzucam je na podłogę. Jakiś słoik z brzękiem rozbija się o płytki, ale nawet się nie ruszam.

Mark, ktoś był w naszym domu.

Przez głowę przelatują mi fragmentaryczne wspomnienia. Widzę człowieka bez twarzy czającego się w przejściu w Manningtree. I siebie biegnącą po śliskim bruku. On mnie gonił, wiem to. Słyszę chrapliwy, groźny głos na automatycznej sekretarce i przypominam sobie, jak kuliłam się na podłodze twojego zimnego, ciemnego gabinetu. Upływ tygodni przytępił we mnie strach, ale teraz on wrócił i wczepia się pazurami prosto w mój żołądek.

Przestań, Tessie. Wszystko będzie dobrze.

Wstrzymuję oddech, nasłuchując jakiegokolwiek skrzypienia czy hałasu, który będzie odstawał od zwykłych dźwięków domu.

- Tess? – Ciszę przecina głos Shelley. – Co się stało?
- Ktoś tu był.
- Co masz na myśli?

– Ktoś tu był pod moją nieobecność. Zamknęłam drzwi do kuchni, a teraz są otwarte. – Kiedy słyszę te słowa, uświadamiam sobie, jak niedorzecznie brzmią.

Ale nie chodzi wyłącznie o drzwi, to coś więcej. Czuję to w powietrzu – zakłóca spokój domu, choć nie umiem opisać, co to. I jeszcze jakaś słaba woń – niemal mogę ją uchwycić.

– Dobrze, w takim razie sprawdźmy – mówi Shelley, trącając mnie w ramię. – Niczego nie będziemy dotykać, tylko się rozejrzemy i zobaczymy, czy czegoś nie brakuje.

– Dzwonić na policję?

– Zapytają, co zginęło. Lepiej najpierw się rozejrzeć.

– Racja. – Kiwam głową i przełykam rosnący strach.

Obchodzimy razem cały dół, sprawdzając, czy coś nie zniknęło. Rozglądam się też za wszystkim, co może wyglądać inaczej. Czy w ten sposób odłożyłam poduszkę na kanapie? Czy nie dosunęłam krzesła w jadalni?

Dopiero kiedy wchodzimy na górę i skręcam w korytarz, zyskuję pewność. Drzwi do twojego gabinetu są otwarte na oścież, zwiększając jeszcze panujący na górze chłód. Widzę na przestrzał cały pokój oraz domek Jamiego na drzewie za oknem. Zawsze zamykam te drzwi.

– Ten pokój też nie był otwarty – szepczę. – Kaloryfer się zepsuł. Zawsze zamykam te drzwi, bo inaczej całe piętro się wychładza.

Serce bije mi mocno, chcę uciekać i wzywać policję, lecz Shelley ciągnie mnie do przodu.

Pokój wygląda jak zawsze. Pudła stoją równo pod ścianą przy drzwiach, na wierzchu balansuje telefon. Regały nadal gołe. Pył wiruje w powietrzu jak miniaturowa burza śnieżna.

– Coś zniknęło? – pyta Shelley.

– Nie... nie wydaje mi się. – Wbijam wzrok w kartony. Coś się nie zgadza. Stoją dosunięte do ściany tak jak poprzednio, kiedy tu

wchodziłam, ale coś jest inaczej. I nagle widzę: nie ma liter. Gdzie słowa „Gabinet Marka”, wypisane twoim pełnym zakrętasów pismem?

– Kartony! – wołam. – Ktoś je ruszał.

– Jesteś pewna?

– Tak.

– Okej. To przejrzyj je i zobacz, czego brakuje. Ja tymczasem zadzwonię do klienta, żeby powiedzieć, że się spóźnię, a potem wezwiemy policję.

Kiwam głową i osuwam się na kolana.

Ściągam wieko z pierwszego pudła i od razu uświadamiam sobie, że to próżny trud. Skąd mam wiedzieć, czego brakuje, kiedy w ogóle nie mam pojęcia, co w nich było?

Karton wypełniają papiery i podręczniki programowania. Straszny bałagan. Wszystko jest pomieszane, wygląda jak kosz na śmieci, ale może tak to zostawiłeś. Na samej górze, jakby czekała, aż ją tam znajdę, leży lśniąca żółta teczka. Na wierzchu znajdują się wypisane niebieską czcionką litery: „Polisa na życie”.

W moich uszach dźwięczą słowa Iana: „Wiem, że dostałaś od firmy Marka świadczenie z tytułu jego zgonu i że miał też polisę na życie. Zadeklarował to wszystko, kiedy spisywaliście swoje testamenty”.

Wycofuję się z pokoju i zamykam drzwi, oddychając ciężko. Żałuję, że otworzyłam ten karton. Mark, wiem, że nie wrócisz, ale widok tej polisy z jakiegoś powodu sprawia, że wszystko wydaje mi się takie ostateczne. Nie jestem gotowa.

Ściany korytarza napierają na mnie. Oddech więźnie mi w gardle i zmienia się w krótkie, zduszone zachłyśnięcia. W głowie mi się kręci. Nie mogę znowu dostać ataku paniki. Nie mogę. Zbiegam po schodach w poszukiwaniu Shelley. Ale nie ma jej w domu. Stoi na ganku przy bocznych drzwiach.

Jest zwrócona plecami do mnie. Już mam się cofnąć, żeby mogła dokończyć rozmowę, kiedy odzywa się ostro:

– Co ty sobie myślałeś? Chcesz wszystko zepsuć? O to ci chodzi? Bo jeśli tak, to gratulacje, świetnie ci idzie.

Nigdy nie słyszałam, żeby mówiła w ten sposób. Jej ton jest cięty, każde słowo jak uderzenie w powietrze.

Z kim ona rozmawia? Na pewno nie z żadnym klientem.

– Nie zbliżaj się do niej. Rozumiesz?... Nie mogę teraz o tym rozmawiać.

Kończy rozmowę, a ja szybko odsuwam się od drzwi. Potykam się o jedną z toreb z zakupami; wypada z niej jabłko i toczy się po podłodze.

– I co, brakuje czegoś? – pyta Shelley, kiedy podnoszę owoc. W jej głosie słychać jeszcze resztki gniewu.

Obracam się w jej stronę. Mam poczucie winy, że podsłuchiwałam, a jednocześnie jestem zaintrygowana. Jej porcelanowa skóra zarumieniła się do bladego różu.

Z kim ona rozmawiała? I o kim?

– Co? A... Trudno powiedzieć. Przepraszam, że psuję ci plany na popołudnie. Klient nie gniewał się o to przesunięcie? – pytam z nadzieją, że Shelley wyjaśni, czego dotyczył ten telefon.

– Och, nie mogłam się do niego dodzwonić, więc wysłałam wiadomość, ale wszystko w porządku – mówi Shelley. Jej głos łagodnieje. – Chodź, usiądź na chwilę. – Pokazuje mi krzesło, a ja wykonuję polecenie.

Shelley bierze mnie za rękę i wbija we mnie spojrzenie swoich zielonych oczu.

– Kiedy sprawdzałyśmy dom – mówi – przyjrzałam się głównemu wejściu i wszystkim oknom. Były pozamykane. Czy boczne drzwi na pewno były zamknięte, kiedy wchodziłaś do domu?

– Tak. Dobrze to pamiętam, bo trudno się otwierają.

Shelley kiwa głową.

– Po prostu zastanawiam się, jak ten ktoś zdołał się dostać do środka. I czego mógł chcieć, skoro nic nie zginęło.

– Myślisz, że zmyślam?

Shelley kręci głową, kołysząc jasnymi włosami.

– Nieumyślnie, ale nasz mózg płata nam czasami figle. Tess, przeżyłaś tragedię. To naturalne, że się boisz i nie chcesz być sama.

– Nie boję się. Znaczący, owszem, ale to dlatego, że działy się też różne inne rzeczy.

– Jakie rzeczy? – Shelley marszy brwi pod grzywką.

Nagle się waham, nie chcę jej tego mówić, ale muszę. Tylko jej ufam. Ona będzie wiedziała, co robić.

– Codziennie dostaję głuche telefony, a... a jakiś człowiek zostawił na sekretarce wiadomość z pogrózkami. Chodź, pokażę ci. – Zrywam się i idę do jadalni.

– Tess, nie trzeba, ja ci wierzę! – woła za mną Shelley.

Wcale nie, ale nie mam o to pretensji. Sama przez połowę czasu nie jestem pewna, czy sobie wierzę. Ale ta wiadomość na sekretarce istnieje i teraz, kiedy już zaczęłam opowiadać Shelley o tym wszystkim, desperacko pragnę, żeby ją usłyszała.

– Posłuchaj – mówię, wciskając play na aparacie.

Rozlega się sygnał, a potem w pokoju rozbrzmiewa elektroniczny głos:

– Nie masz żadnych wiadomości.

– Co? – Znowu dźgam guzik, ale odtwarza się ta sama informacja. – Przecież tu była. – Łzy stają mi w oczach, a mój głos znika się do szeptu.

– Naprawdę.

Czy mogłam ją przypadkiem skasować? A może Jamie bawił się guzikami i niechcący ją usunął?

– Tess... – mówi Shelley.

Kręcę głową.

– W porządku. Wiem. Po prostu ponosi mnie wyobraźnia.

Kłamię zarówno z uwagi na siebie, jak i na nią. Ta wiadomość była prawdziwa, podobnie jak mężczyzna w czapce z daszkiem. Ktoś był w moim domu. Może i niczego nie zabrał, ale czegoś szukał. Tego jestem pewna. Może to właśnie on skasował nagranie.

Ale jeśli spróbuję powiedzieć o tym Shelley, będzie się tylko bardziej martwić. Sama muszę to rozgryźć.

– Chyba lepiej się położę – mówię. – A ty jedź już do klienta.

– Tess, jesteś pewna? Bo mogę tu zostać.

– Nie, naprawdę, wszystko w porządku. Po prostu słabo sypiam.

– Zadzwoń, jeśli coś jeszcze się wydarzy – mówi Shelley w progę, obejmując mnie mocno. – Wszystko będzie dobrze. Zobaczymy się później.

Kiwam głową i zamykam drzwi, po czym przesuwam zasuwkę. Następnie wygrzebuję telefon z torby i szukam numeru do miejscowego ślusarza. Umawiam się na jutro rano na wymianę zamków. Z jednej strony wiem, że Shelley może mieć rację, ale z drugiej nie mam wątpliwości, że naprawdę zamknęłam te drzwi. Znowu przechodzę przez dom, węsząc w powietrzu. Skoro mam pewność, że drzwi były zamknięte, i nie widzę śladów włamania, to znaczy, że ktoś otworzył sobie zamek.

Mark, kto jeszcze ma klucze do tego domu?

Oczywiście ty je miałeś, ale się spaliły i nic z nich nie zostało. Poza tym tylko ja. I Shelley, ale wiem, że to nie ona, bo była ze mną w Tesco. Więc kto jeszcze?

Nie wymienialiśmy zamków po przeprowadzce. A ten dom należał do twojej matki, wychowałeś się tutaj razem z Ianem.

Ian musi mieć klucz. To na pewno on. Ale dlaczego?

Rozdział 34

O szóstej wieczorem Shelley przysłała mi wiadomość: „Wypadek na A12. Stoję w korku”.

Zanim udaje jej się tu dotrzeć, z butelką wina w ręce, paella jest już przegotowana, a Jamie leży w łóżku i czyta książkę.

– To dla ciebie – mówi Shelley, podając mi białe wino. – Pomyślałam, że przyda ci się po takim dniu.

– Dziękuję. – Moje palce zaciskają się na zielonej butelce. Szkło chłodzi opuszki. Wyobrażam sobie cytrusowy smak na języku i alkohol uderzający do głowy.

– Masz ochotę na kieliszek? – Shelley unosi brew i szczerzy się w uśmiechu.

– Eee... – Krzywię się. – Chciałabym, ale to chyba nie najlepszy pomysł. I tak ledwo się trzymam. Wątpię, żeby wino dobrze mi zrobiło.

– Tess, świetnie sobie radzisz – mówi Shelley, wciskając butelkę do lodówki pomiędzy dwie paczki sera i torebkę ze szpinakiem. – Ale w porządku, wypijemy innym razem.

– Dzięki.

Shelley odwraca się i patrzy mi w oczy.

– Wszystko w porządku? Coś jeszcze się wydarzyło, kiedy pojechałam? Strasznie się martwiłam. Nie trzeba było cię zostawiać.

Też bym wolała, żeby tego nie robiła, ale kręcę głową.

– Nic mi nie jest. Pewnie poniosła mnie wyobraźnia.

Nie wierzę w to, ale łatwiej udawać, niż powiedzieć Shelley, że moim zdaniem to był Ian. Najpierw rozgryzę, o co mu chodzi, i dopiero wtedy jej powiem – myślę, przypominając sobie z wątpienie na jej twarzy, kiedy próbowałam puścić wiadomość z sekretarki. Tę, którą – teraz jestem tego pewna – skasował mój szwagier.

Shelley otwiera usta, żeby coś powiedzieć, ale ten jeden raz jestem szybsza.

– Mam nadzieję, że będzie w porządku. – Pokazuję patelnię na kuchni, na której piętrzy się sterta żółtego ryżu z mięsem i warzywami.

– Zrobiłam za dużo. Nie przejemy tego przez kilka tygodni.

– Świetnie pachnie, a ja jestem taka głodna, że zjadłabym nawet karton – odpowiada Shelley żartem.

– Hej, sugerujesz coś na temat mojej kuchni? – odpowiadam i obie się uśmiechamy.

– Tylko umyję ręce. – Shelley wychodzi na korytarz.

Paella przywarła do patelni i mam wrażenie, że wydrapanie jej i odgrzanie na wolnym ogniu trwa wieki. A przez cały ten czas Shelley nie wraca. Nie wiem, dlaczego idę się za nią rozejrzeć, zamiast zwyczajnie zawołać przez drzwi, lecz właśnie tak robię.

Znajduję ją na górze, kiedy wymyka się z pokoju Jamiego.

– Co ty robisz? – Mówię cicho, prawie szeptem, ale ona podrywa się i odwraca gwałtownie.

– Och... Nie chciałam przeszkadzać. Przepraszam, Tess, po prostu wydawało mi się, że coś usłyszałam.

Przepycham się obok niej i zaglądam do pokoju. Lampka Jamiego jest włączona, a on przegląda swoją książkę *Gdzie jest Wally?*. Na mój widok podnosi głowę i uśmiecha się promiennie.

Mój gniew znika i uświadamiam sobie, jak niegrzeczne musiało się wydać moje zachowanie.

– Wybacz. – Wzdycham. – Po prostu w tej chwili jestem trochę nadopiekuńcza. To nie był łatwy dzień.

– Tess, w porządku. To zupełnie naturalne. Powinnam była najpierw zapytać.

Shelley pociera mnie po ramieniu, a z moich oczu płyną łzy. Mark, jak ja mam dość płakania... Chciałabym, żebyś tu teraz był.

Ja też, Tessie. Kocham cię.

– Chodź – mówi Shelley. – Zjedzmy. Aha, i zanim zapomnę – dodaje, kiedy schodzę za nią po schodach – twoja mama prosiła, żebym ci przekazała, że myśli o tobie i cię kocha.

– Dzięki. Może jutro do niej zadzwonię.

Shelley milczy przez chwilę, zanim odpowiada.

– Świetny pomysł. Bardzo się cieszę, że czujesz się na siłach, żeby z nią rozmawiać. Wiem, jakie to wyczerpujące, kiedy trzeba ciągle uspokajać bliskich, podczas gdy to ty potrzebujesz uspokojenia.

– O – mówię tylko.

Shelley ma rację. Rozmowa z mamą mnie przygnębi i wiem, że kiedy usłyszę jej głos, ogarną mnie wyrzuty sumienia. Dawniej odwiedzałam ją co kilka tygodni. Pomagałam w domu i zabierałam na lunch do jej ulubionej nadmorskiej kafejki. Nawet nie jestem w stanie myśleć o tym, jak sobie radzi bez moich wizyt.

– Może w przyszłym tygodniu – dodaje.

Do Sama też powinnam zadzwonić. Nie pamiętam, kiedy ostatnio rozmawialiśmy. Wiem, że rodzina się o mnie martwi, ale nie mam pojęcia, co jej powiedzieć.

Shelley ściska mnie za rękę.

– Jestem przy tobie. Zrobię wszystko, czego potrzebujesz. Okej?

Kiwam głową i siadamy do stołu.

Później, kiedy Shelley już sobie poszła i dom sprawia wrażenie najbardziej samotnego miejsca na Ziemi, otulam się kołdrą i zapisuję w notesie: „Ktoś był w domu. Nic nie zginęło. Czy czegoś szukał? Czy to znalazł? Czy wróci? Wiadomość na sekretarce skasowana – kto to zrobił? Dlaczego?”.

Kartkuję strony i usiłuję znaleźć w swoich notatkach jakieś wytłumaczenie, ale odkrywam jedynie więcej pytań. Przynajmniej te głuche telefony chyba ustały. I tamten człowiek już nie dzwonił. Mark,

chciałabym wiedzieć, co to miało znaczyć. Czuję, że odpowiedź jest gdzieś tutaj, na tych kartkach, ale po prostu jej nie widzę.

Tessie, przestań. Idź już spać, kochanie.

Pamiętasz ostatnie lato, kiedy urządziliśmy sobie kemping z Jamiem w naszym ogródku w Chelmsford? Namiot ledwo się w nim zmieścił. Jamie był tak nakręcony, że usnął dopiero po północy. Ale my leżeliśmy jeszcze dłużej, rozmawiając szeptem. Snując plany. Tęsknię za układaniem z tobą planów.

Rozdział 35

Ian Clarke

Nie byłem w stanie przebić się do Tess, kiedy Shelley ciągle u niej siedziała i coś jej sączyła do uszu. Bardzo mnie to frustrowało. Każdy na moim miejscu czułby się podobnie. Mark na pewno nie chciałby, żeby wszystko się tak przeciągało. Należało się zająć testamentem, a Tess tylko spacerowała sobie w deszczu po wiosce.

Ewidentnie sytuacja była zła, ale nie wiedziałem, z kim o tym porozmawiać. Matka Tess to stara wariatka, poza tym mieszka daleko stąd. Tess ma też chyba brata, ale nie znalazłem żadnego kontaktu do niego i jakoś nie sądziłem, żeby Tess zgodziła się dać mi jego numer. Jedyną jej przyjaciółką, o której wiedziałem, była Shelley, a jako że to ona stanowiła problem, nie zamierzałem z nią rozmawiać. Myślałem, że wszystko samo się jakoś ułoży. Oczywiście z perspektywy czasu załatwiłbym tę sprawę inaczej, ale fakt, że to były urodziny Jamiego, nie miał nic wspólnego z tą sytuacją.

Shelley Lange

Po tamtej nocy, kiedy u niej spałam, Tess zaczęła się miewać lepiej. Ubierała się i bardziej o siebie dbała. Daleko jej było do powrotu do normalności, ale zmierzała w zdecydowanie właściwym kierunku. Otwierała się przede mną i wydawała się o wiele bardziej pozbierana, niż kiedy ją poznałam.

Nieustannie ze sobą rozmawiałyśmy. Miało to duże znaczenie dla nas obu. Przydarzył nam się co prawda jeden niezręczny moment, kiedy weszłam do sypialni Jamiego, podczas gdy Tess robiła kolację. Nie sądziłam, że będzie jej to przeszkadzać. Byłam tam tylko przez chwilę, ale i tak jej się to nie podobało – to rozumiałe, że sypialnia syna jest dla

niej nietykalna. Powinnam była najpierw zapytać. Weszłam tylko dlatego, że usłyszałam jakiś odgłos. Ale nie robiliśmy z tego problemu. Kiedy następnym razem się zobaczyliśmy, wszystko było w porządku. To do mnie dzwoniła, kiedy miała kłopoty, więc najwyraźniej mi ufała.

Rozdział 36

Czwartek, 22 marca – 17 dni do urodzin Jamiego

Ślusarz nie mógł dopasować nowych zamków.

– Rozumie pani, mam tylko takie w standardowych wymiarach – powiedział, kiedy przyszedł we wtorek rano, pół godziny później, niż się umawialiśmy. Nie żeby mnie to obchodziło. I tak nigdzie się nie wybierałam.

To był krępy facecik, miał więcej włosów na brodzie niż na głowie i skórę nieco za czerwoną, żeby nazwać ją zdrową.

– Mógłbym zaproponować pani dziesięć różnych zamków do każdych możliwych drzwi, ale żaden nie będzie pasował do takiego historycznego budynku jak ten. Ma klasę drugą, prawda? Szesnasty wiek? Zupełnie inny rozmiar zamka, ergo nie mam takich w aucie, ergo muszę zamówić. Powinni go dostarczyć w ciągu dwóch dni. Na kiedy moglibyśmy się umówić?

Powiedziałam, że wszystko jedno, powstrzymując się przed impulsem, żeby wtrącić do odpowiedzi jakieś „ergo”.

Kiedy więc dzisiaj po domu rozeszło się echem stukanie kołatki w dębowe drzwi, wytrącając mnie z drzemki na kanapie, pomyślałam, że to właśnie ślusarz wrócił z odpowiednim zamkiem albo listonosz przyjechał z nowymi grami na konsolę, które zamówiłam na urodziny Jamiego.

Ale nie.

– Cześć, siostra. – Sam szczyrzy się od progu, gdy z trudem otwieram drzwi.

– Sam! – piszczę i się uśmiecham, a potem rzucam mu się na szyję. Pęka we mnie jakaś tama i zanim mogę się powstrzymać, szlocham

spazmatycznie w ramionach brata.

Kiedy się odsuwam, widzę, że on też płacze, i kocham go za to jeszcze bardziej.

– Tak mi przykro, że cię to spotkało – mówi. – Powiniennem był przyjechać wcześniej. W ogóle nie trzeba było wyjeżdżać od razu po pogrzebie. Przepraszam.

Ocieram palcami łzy spod oczu.

– Nie szkodzi. Nieźle sobie radzę, naprawdę.

– Jakim cudem? – Jego szeroko otwarte oczy mają kolor wody. Przypominają mi oczy Jamiego.

Zamykam powieki i czuję, jak po moich policzkach spływają gorące łzy.

– Miewam lepsze i gorsze chwile – szepczę, myśląc o milczeniu Jamiego i wzruszaniu ramionami, kiedy go o coś pytam. Lecz odpycham to i przypominam sobie wspólne chlapanie się w kałuży. – Widzę, że nadal podnosisz ciężary – dodaję po chwili, kiedy staje się jasne, że oboje nie bardzo wiemy, co powiedzieć. Szczypię Sama w biceps.

Jego dzinsy są dopasowane, a buty eleganckie. Widać, że wreszcie zaczął przejmować od Finna trochę wyczucia stylu.

Wprowadzam go do przedpokoju, przyłapując się na tym, że oglądam się na pustą alejkę i ciągnące się dalej pola. Zamykam drzwi nieco za szybko.

Potem skupiam się na Samie. Jak on się zmienił od czasu przeprowadzki do Nottingham. Nie przypomina już tyczki z jasną strzechą włosów jak u Einsteina, z czasów, kiedy się poznaliście. Teraz włosy ma ostrzyżone krótko, a jego ramiona są szerokie i muskularne. Ale dla mnie zawsze będzie po prostu starszym bratem, który opowiadał mi na dobranoc historie o duchach i pokazywał, jak się robi okłady ze szczawiu, kiedy spadłam z roweru do rowu, prosto w kępę pokrzyw.

– A ja widzę, że nadal nie pamiętasz o czesaniu – odpowiada Sam, trącając moje nieposłuszne loki.

– Co ty tutaj robisz? – pytam.

Sam podnosi ręce i teatralnie wzrusza ramionami.

– Nie przyszedł Mahomet do góry, więc przysłała góra do Mahometa.

Uśmiecham się i kręcę głową.

– Chyba na odwrót.

– Nieważne. W każdym razie – mówi Sam, akcentując te słowa – nie odbierałaś telefonu, więc pomyślałem, że zabiorę cię na lunch.

– Czyli jechałeś cztery godziny tylko po to, żeby zjeść kanapkę?

– Mniej więcej. Inaczej mama dalej codziennie wydzwaniałaby do szpitala i opowiadała, jak to się o ciebie martwi.

– Serio? – Krzywię się. Czuję w żołądku ukłucie wyrzutów sumienia. – Przepraszam. Do mojej przyjaciółki Shelley też ciągle wydzwania.

– Wiem. – Sam unosi brwi i naśladuje moją minę. – Wkładaj buty, jedziemy na lunch.

– Mam jedzenie, możemy zjeść tutaj.

– Tess, nie po to siedziałem za kółkiem przez cztery godziny, żebyś teraz karmiła mnie kanapką z szynką i ogórkiem. Mam ochotę na burgera. Jest tu w okolicy jakaś knajpa, nie?

– Tak. Na wzgórzu, na granicy z kolejną wioską. Będziemy musieli pojechać autem.

– Okej, to chodźmy.

– Daj mi kilka minut – mówię, wbiegając po schodach, żeby przebrać się z legginsów, które nosiłam przez cały tydzień.

– Tylko się pospiesz! Bo o drugiej muszę ruszać z powrotem! – woła za mną Sam.

– Ojej. – Jamie będzie rozczarowany. I tak prawie nie widuje wujka. – A co u Finna?! – krzyczę, przeczesując szybko włosy.

– Powiem ci, jak wreszcie normalnie się z nim spotkam! W tej chwili mamy zupełnie inne grafiki. Mijamy się w progu przez pięć minut, jak jeden wychodzi do pracy, a drugi kładzie się spać.

Po kilku minutach zbiegam na dół.

– Gotowa – sapię.

Sam siedzi na dolnym stopniu schodów.

– Ujdzie – rzuca z uśmiechem. – Miło cię widzieć.

Do oczu znowu napływają mi łzy. Kiwam głową.

– Ciebie też. – I niespodziewanie cieszę się, że Jamie jest w szkole i że Sam i ja jesteśmy tylko we dwoje. Nie muszę brać na siebie całego ciężaru rozmowy i udawać, że czuję się lepiej niż w rzeczywistości. Nie muszę być mamą. Mogę być po prostu sobą, cokolwiek to znaczy.

W restauracji panuje spokój. Wybieramy stolik w kącie przy dużym oknie z widokiem na ogród. Na ścianach wiszą krowie skóry, a pod nimi stoją metalowe rzeźby ptaków i innych zwierząt.

Sam zamawia burgera – wielką górę pieczywa i mięsa, z frytkami w srebrnym naczynku obok. Ja biorę rybę z frytkami. Porcja jest ogromna, ale jem, aż boli mnie brzuch. Między kęsami pochyłamy głowy nad niedzielną krzyżówką, którą Sam wyciąga z kieszeni niczym dziecko dzielące się tajnym zapasem cukierków.

Staram się rozgryzać hasła, ale umysł mam zamulony – jak przytkany zlew – i odpowiedzi wyciekają z niego wolno pomiędzy rozmowami o mamie i Finnie. W restauracji trzymamy się bezpiecznych tematów. Żadne z nas nie wspomina o tobie ani o Jamiem. Jestem za to wdzięczna.

– Cudownie cię widzieć – mówię, kiedy wychodzimy w zimne światło popołudnia. Chyba zaraz pęknę po tej górze jedzenia. – Nie musiałeś jechać aż taki szmat drogi.

– Owszem, musiałem. – Sam zarzuca rękę na moje ramię i prowadzi mnie do swojego samochodu. Jeździ starym volvo, intensywnie zielonym, z pordzewiałymi stłuczeniami. – Tess, jesteś niesamowitą babką. Po tym, co przeszłaś...

Kiwam głową, lecz nie odpowiadam. Gardło mnie boli od napięcia i czuję, że grożą mi łzy. Ale lunch był tak miły, że nie chcę płakać. Zaciskam zęby, aż niebezpieczeństwo mija.

– Przyjedziesz do nas niedługo? – pyta Sam. – Może poczułabyś się lepiej, gdybyś wyrwała się na tydzień z wioski.

– Mama kazała ci to powiedzieć? – Mrużę oczy, ale też się uśmiecham. – Bo mnie mówiła dokładnie to samo.

– Nie kazała, ale nie dziwię się, że też o tym pomyślała. Siedzisz zamknięta w tym starym domu, to na pewno nie poprawia sytuacji.

– Ja... Ciężko mi teraz wychodzić samej. Dwa tygodnie temu miałam jakby atak paniki w sklepie. Gdyby nie było tam Shelley, nie wiem, co bym zrobiła.

Przez chwilę zastanawiam się, czy powinnam powiedzieć Samowi o człowieku, który mnie ścigał, i o tym kimś, kto wszedł do domu pod moją nieobecność, ale tego nie robię. Shelley była przy mnie przez cały ten czas, a nawet ona mi nie wierzy. Przypominam ją sobie, jak stała w drzwiach jadalni, kiedy ten głupi elektroniczny głos powiedział, że nie mam żadnych wiadomości. Miała to wypisane na twarzy. A jeśli nawet ona we mnie wątpi, to jak mogłabym przekonać Sama?

– Za dwa tygodnie są urodziny Jamiego – mówię, przenosząc wzrok na wioskę i uprawy w dole.

Rzeka wystąpiła z brzegów i rozlała się po polach niczym ogromne jezioro.

– Wiem – mówi Sam za moimi plecami. – Poradzisz sobie?

– Chyba tak. Ale nie będzie łatwo.

Na myśl o urodzinach Jamiego bez ciebie czuję, jakby na moich piersiach osiadał kamień.

– Zaproszę Shelley. – Ona będzie umiała zrobić z tej okazji prawdziwą uroczystość. Sama nigdy nie dałabym rady.

Brat nie odpowiada, ale czuję, że chciałby coś powiedzieć, więc odwracam się w jego stronę.

– Co? – pytam.

– No dobrze, tylko się nie obraż, okej?

– Ale o co chodzi?

– Po prostu... Pamiętasz tego faceta, który kręcił się wokół mamy, kiedy tata umarł?

– Jasne. Nie dawał jej spokoju.

– Kazałaś mi rozmówić się z nim jak mężczyzna z mężczyzną i zapytać, jakie ma względem niej zamiary. – Sam robi taką minę, że aż się uśmiecham. – I okazało się, że latami kochał się w mamie i nie mógł się doczekać, aż wskoczy na miejsce taty. Mama była w szoku, kiedy jej powiedzieliśmy. Myślała, że tylko się przyjaźnią.

– No i? Co to ma wspólnego z Shelley? – zjeżam się.

– Pewnie nic. Słuchaj, cieszę się, że masz nową przyjaciółkę, która ci pomaga, ale chcę, żebyś była pewna, że nie chodzi jej o coś innego. To wszystko. Niewykluczone, że staniesz się teraz bogatą kobietą, a ja nie chciałbym, żeby ktoś cię wykorzystał. Nie wydaje ci się dziwne, że kazała mnie i mamie dzwonić do niej, a nie do ciebie? W końcu jesteśmy twoją rodziną.

– Sama ją o to prosiłam – odpowiadam.

– Na pewno?

– Owszem. – Prawda jest taka, że nie pamiętam, ale na pewno tak było, a nawet jeśli nie, to Shelley na pewno zasugerowała to tylko po to, żeby mi pomóc.

– W takim razie okej, ale ja i tak będę dzwonił do ciebie, bez względu na to, czy będziesz odbierać, czy nie.

Uśmiecham się, a potem obejmujemy się długo i mocno.

– Będę odbierać, obiecuję. I nie martw się. Shelley to po prostu dobra przyjaciółka. Nie próbuje zastąpić mi Marka – żartuję. – Przy okazji, Ian tak samo mnie ostrzegał.

– Ian, brat Marka?

Przytakuję.

– Wisi nade mną, żebym zajęła się testamentem. Podobno Mark pożyczył od niego pieniądze i teraz Ian potrzebuje ich z powrotem.

Na myśl o szwagrze przechodzi mnie dreszcz. Jestem pewna, że to właśnie Ian był w domu pod moją nieobecność.

– Czy Mark zrobiłby coś takiego za twoimi plecami?

Wzruszam ramionami.

– Może. Jeszcze dojdę do sedna sprawy.

– Daj znać, jeśli będziesz chciała o tym pogadać albo uznasz, że potrzebujesz pomocy, okej? – mówi Sam, otwierając drzwi do samochodu. – Tess, jestem z tobą. Proszę, powiedz, że zastanowisz się nad wizytą w Nottingham, dobrze?

– Może latem. Najpierw uporam się z urodzinami Jamiego, a potem wybierzemy jakiś termin.

Sam kiwa głową, ale widzę, że nadal się martwi.

– Chyba powinieneś już ruszać w drogę – mówię.

– No to wskakuj, odwiozę cię.

– Nie trzeba. Wrócę piechotą.

– Na pewno?

– Dobrze mi to robi. – Pójdę wolno dłuższą drogą dookoła wioski, a potem akurat będzie pora na odebranie Jamiego ze szkoły.

– Uważaj na siebie, siostra.

– Dzięki za wizytę – odpowiadam.

Sam wsiada do wozu. Silnik przez chwilę jęczy i wreszcie zaskakuje. Odjeżdżając, mój brat wykonuje gest oznaczający telefon. Kiwam głową, macham mu na do widzenia i ruszam w drogę.

Podczas spaceru myślę o hasłach z krzyżówki i o tym wrażeniu, że ma się odpowiedź na końcu języka. Przypominam sobie notes, który trzymam przy łóżku. Jego strony zaczynają się wypełniać, ale im bardziej staram się zrozumieć sytuację, tym więcej zadaję sobie pytań.

Nie mogę ciągle żyć w tym mroku, muszę spróbować znaleźć odpowiedzi. Poczynając od kartonów w twoim gabinecie i pytania, czego szukał w nich Ian.

Jednak tego popołudnia znowu nie zajrzałam do pudeł. Miałam z dziesięć powodów, dziesięć wymówek tłumaczących, dlaczego lepiej byłoby zabrać się do tego jutro. Może zwyczajnie odwlekałam sprawę, a może wykończyło mnie spotkanie z Samem. Długi spacer z restauracji też nie pomógł. Moja kondycja pozostawia ostatnio sporo do życzenia.

Po szkole pozwoliłam Jamiemu grać na konsoli, aż oczy zaczęły mu się szklić. Zjedliśmy resztki paelli i pooglądaliśmy razem *Toma i Jerry'ego* – ta kreskówka jest starsza ode mnie. Poczytałam mu na dobranoc, po czym sama poszłam do łóżka, owinęłam się w kołdrę jak w kokon i pozwoliłam powiekom opaść. To był pierwszy wieczór, kiedy położyłam się bez ciebie i wydawało mi się, że zdołam trochę pospać.

Myliłam się.

Rozdział 37

Dzwoni telefon. Akurat kiedy znajduję się w tym punkcie pomiędzy jawą a snem, więc z początku wydaje mi się, że to wszystko dzieje się tylko w mojej głowie. Świdrujący brzęk rozbrzmiewa w mojej nieświadomości, szturcha, straszy – kolejny koszmar, jakbym miała ich za mała. Ale to nie koszmar. Otwieram oczy i mrugam w ciemności.

Klepię dłonią po kołdrze, szukam po twojej stronie komórki. Ekran rozjaśnia pokój zielonobiałą poświatą i widzę, że nie ma nawet dziewiątej wieczorem.

Odchylam głowę i czekam na uruchomienie się sekretarki – mam nadzieję, że dzwoni Shelley – ale nic nie słyszę. Kolejny głuchy telefon. Powoli w moje ciało wsącza się strach. Teraz już na pewno nie zasnę.

Myślałam, że dali sobie spokój.

Tessie, to na pewno tylko jakieś call center. Mama cały czas się skarżyła, że dzwonią do niej o każdej porze dnia i nocy, pamiętasz?

Może i tak.

Zwlekam się z łóżka i drepczę na dół, włączając po drodze światła. Napiję się wody i pooglądam w telewizji coś odmóżdżającego, żeby oderwać myśli od strachu, który mnie wypełnia. Na pewno na jednym z trzystu kanałów, do których mamy dostęp, znajdę jakiś niewymagający film akcji. Albo reality show. Cokolwiek, byle były w tym rozmowy, hałas, życie.

Piję wodę w kuchni, kiedy telefon znowu dzwoni. Nie ruszam się. Odliczam cztery dzwonki i pozwalam, żeby włączyła się sekretarka. Jeśli to Shelley, odbiorę.

– Tess? – Szorstki jak żwir głos zapiera mi dech w piersiach. – Tess, wiem, że tam jesteś. Widzę cię w kuchni. Odbierz telefon.

Brzmiąca w tonie groźba przeraża mnie w równej mierze co słowa. Krew się we mnie ścina. On mnie widzi. Jest na zewnątrz. Biegnę do kanciapy w obawie, że boczne drzwi nagle otworzą się na oścież. Moje kapcie ślizgają się po podłodze, ale wreszcie docieram do wyjścia i drżącymi rękami sprawdzam zamek. Jest zaryglowany. Serce wali mi tak mocno, że zaraz rozerwie mi piersi.

– Spokojnie, Tess. Nie zamierzam dziś wchodzić do środka – mówi mężczyzna i po kuchni roznosi się jego szorstki śmiech. – Chcę tylko porozmawiać. Odbierz telefon.

Podchodzę szybko do okna i skanuję wzrokiem podjazd, ale widzę tylko ciemność.

– Odbierz – rzuca znowu mężczyzna, kiedy docieram do aparatu telefonicznego w salonie.

Cała się trzęsę. Jedyne, o czym myślę, to żeby pobiec na górę tak szybko, jak poniosą mnie nogi, i zabarykadować się w pokoju Jamiego. Ale nie mogę. Nasz synek smacznie śpi, a pod naszym domem stoi jakiś mężczyzna. Nie ma dokąd uciekać.

– Kto... kto mówi? – jąkam się, przyciskając do ucha słuchawkę.

– Twój mąż ma coś, co do mnie należy.

– Kto mówi? – pytam jeszcze raz, siłąc się na stanowczość. Wychylam głowę w stronę okna jadalni. Czy on mnie widzi? Wychodzę na korytarz i siadam na zimnej podłodze.

– Potrzebne mi to – mówi mężczyzna.

– Nie mam pojęcia, o co chodzi.

Kolejny rechot.

– A ja myślę, że masz. Twój mąż wpakował się w ogromne bagno i sądzę, że doskonale wiesz, co mam na myśli. Mark pracował nad czymś dla mnie, a ty masz to znaleźć i mi oddać.

– Nie... nie wiem, o czym mowa. Mark nigdy nie rozmawiał ze mną o pracy. Nie mogę ci pomóc.

– Bystra z ciebie babka, więc na pewno zdołasz to rozpracować. Przecież nie chciałabyś, żeby coś się stało twojemu słodkiemu syneczkowi.

– Nie mieszaj do tego mojego syna. – Słowa wylewają się ze mnie tak szybko jak łzy, które spływają po mojej twarzy.

– Spokojnie, nie mam zamiaru robić nikomu krzywdy. – Jego ton świadczy o czymś przeciwnym.

– Ja... ja naprawdę nic nie wiem. Przysięgam, że nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Na pewno się tego domyślisz, Tess.

– Skąd wiesz, jak się nazywam? – W moim gardle formuje się krzyk, więźnie w krtani, tak że muszę walczyć o wydobycie z siebie każdego słowa.

– Wiem o tobie wszystko. Bądź grzeczną dziewczynką i znajdź dla mnie te pliki, zanim skończy się moja cierpliwość.

– Ale...

– Żadnego ale, Tessie. – Mężczyzna przeciąga moje imię przez kilka sekund, a potem rozlega się trzask i połączenie zostaje zerwane.

Rzucam telefon i osuwam się na podłogę. Mój policzek przywiera do posadzki. Cały dom wiruje mi w oczach i słyszę tylko swój wysilony oddech. Mark, nie mogę nabrać powietrza. Nie mogę oddychać.

Przestań, Tess. Możesz.

Nie mogę.

W oczach zaczynają mi wirować czarne plamki. Nie jestem w stanie oddychać.

Ja tu umrę.

Nie umrzesz, Tessie. Pamiętasz, jak się poznaliśmy na parapetówie u Stacey? Miałaś na sobie tę czarną bluzkę z brokatem, a ja nie zdążyłem się przebrać z garnituru. Zapytałaś, czy jestem agentem nieruchomości, który załatwił Stacey to mieszkanie, a ja na to, czy to taki twój tekst na podryw.

Mów dalej.

Salon był maleńki i panował w nim straszny tłok, a muzyka była tak głośna, że ściany aż wibrowały. Znaleźliśmy sobie cichy kąt w ogrodzie i przegadaliśmy cały wieczór.

Gdy tylko cię zobaczyłam, wiedziałam, że to będzie coś wyjątkowego.

Ja też, Tessie. Ja też to poczułem. W następny piątek miałem polecieć z przyjaciółmi do Portugalii na weekend z golfem, ale odwołałem wyjazd: wołałem zobaczyć się z tobą.

Pamiętam.

Mój oddech się zmienia – każdy wdech trwa nieco dłużej. Siadam i opieram czoło na rękach, dopóki nie przestaje mi się kręcić w głowie.

Mark, ja nadal słyszę jego głos. Ten człowiek nazwał mnie Tessie. Dlaczego mu powiedziałeś, że tak na mnie mówisz? Tylko ty jeden na całym świecie nazywałeś mnie Tessie, i to tylko wtedy, kiedy byliśmy sami. To było wyłącznie nasze.

Mam wezwać policję? Mark, on powiedział, że miałeś jakieś kłopoty. Czy to były kłopoty z rodzaju tych, o jakie mogłaby wypytywać policja? Gazety nadal interesują się katastrofą. Jeśli się dowiedzą, że jedna z ofiar łamała prawo, wszędzie będą pokazywać twoje zdjęcie, mieszają cię z błotem, a razem z tobą Jamiego i mnie. Nie mogę zrobić tego Jamiemu. Sama muszę się z tym uporać.

Idę na czworakach po podłodze. Kolana mnie bolą od twardego parkietu. Wreszcie docieram do schodów. Cała się trzęsę pod wpływem słów tego człowieka – nawet nie wiem, jak on się nazywa. Chwytam się barierki i podciągam do góry.

Włączam światło w twoim gabinecie i obejmuję się ramionami. Pierwszy karton jest przekrzywiony. Kiedy ostatnio do niego zajrzałam, zostawiłam niedomknięte wieko.

Nadal nie wiem, czego właściwie szukam, ale muszę wszystko przejrzeć, tym razem dokładnie.

W mojej głowie rozbrzmiewa głos nieznanego. „Wiem o tobie wszystko... Mark pracował nad czymś dla mnie”.

– Ale nad czym? – pytam pustego pomieszczenia. Czego mam szukać?

Dysku? USB? Nieważne, co to – jeśli jest w domu, musi się znajdować w jednym z tych pudeł.

Zostawiam pierwszy karton – ten, w którym leży twoja polisa na życie – i zaczynam od drugiego. Krok po kroku rozpakowuję kolejne pudła i układam w stertach książki, dokumenty oraz sprzęt komputerowy. Znajduję kilka płyt CD, ale wszystkie są oznaczone, pochodzą jeszcze z czasów, kiedy byłeś na studiach.

Wydeptany dywan tonie pod tymi wszystkimi bambetlami, kiedy wreszcie docieram do ostatniego kartonu – tego z polisą. Znajdują się w nim bardziej osobiste rzeczy. Dokumenty hipoteki za dom w Chelmsford, rachunki, potwierdzenia kontroli pojazdu, wyciągi z konta i ubezpieczenie domu. Żadnych dysków ani żadnego USB. Nie znalazłam nic, co mogłoby zawierać jakieś pliki.

Biorę polisę na życie w jedną rękę, a wyciągi bankowe w drugą i wpatruję się w puste pudła i cały ten bałagan. Nic tu nie ma, w każdym razie nic takiego, czego mógłby chcieć ten człowiek.

Wzdrygam się i wyłączam światło, po czym wracam do sypialni, żeby ogrzać się pod kołdrą.

W pierwszej kolejności postanawiam zająć się wyciągami z konta. Wsuwam żółtą teczkę z polisą pod poduszkę, żeby na nią nie patrzeć. Mam wrażenie, jakbym chowała ją dla wróżki zębuszki.

Pora zająć się pieniędzmi Iana i sprawdzić, po co w ogóle były ci potrzebne. To musi mieć jakiś związek z tym człowiekiem i jego groźbami.

Łóżko tonie w morzu papierów. Każda kartka wygląda dokładnie tak samo: schludne rzędy liter, dwustronny wydruk, po dwie kolumny liczb po prawej stronie: transakcje uznaniowe i obciążające. Na wspólnym

koncie sytuacja przedstawia się dość prosto. Na początku każdego miesiąca przelewałeś na nie pieniądze, a potem kwota stopniowo się zmniejszała z każdym tankowaniem i zakupami spożywczymi. Ja też przelewałam tam swoje dochody z korepetycji, ale nie było tego dużo – sześćdziesiąt funtów tygodniowo, czasami mniej.

Zauważam kilka dziwnych pozycji, których z początku nie rozpoznaję. Sześćdziesiąt pięć funtów w knajpie U Sancheza, dwadzieścia u jubilera w Chelmsford. Chwytam komórkę i googluję obie firmy. Kiedy strony się ładują, przypominam sobie, że we wrześniu poszłam na kolację z innymi mamami z Chelmsford z okazji urodzin Julie. Była to też moja impreza pożegnalna. Kupiłam Julie na prezent parę kolczyków. To było zupełnie inne życie niż teraz.

Transakcje uznaniowe. Transakcje obciążające. Amazon, Tesco, benzyna. I od nowa. I od nowa. I od nowa. Nie znajduję w tych wyciągach żadnych odpowiedzi, tylko świadomość, jak bardzo przyziemne było moje życie i jak się starałeś trzymać własne wydatki osobno. Nie licząc comiesięcznych przelewów, w ogóle nie korzystałeś ze wspólnego konta, co najwyżej żeby opłacić domowe rachunki albo zafundować nam jakieś rodzinne wyjście.

Ale twoje życie wcale nie było ciekawsze od mojego. Twoje konto osobiste wygląda tak samo. W kolumnie z uznaniem co miesiąc znajduje się tylko jedna pozycja. Kwota za każdym razem jest inna – to logiczne, w końcu do twojej pensji podstawowej dochodziły jeszcze procenty od sprzedaży. Pieniądze trafiały bezpośrednio na twoje prywatne konto, a potem sam przelewałeś ich część na wspólne. Zastanawiam się, dlaczego wolałeś to załatwić w ten sposób, dlaczego nie chciałeś, żeby pensja szła od razu na wspólne konto, żebyśmy oboje mogli z niej korzystać. Zupełnie jakbyś chciał trzymać mnie z dala od reszty swojego życia.

Wpatruję się w kwoty twojej comiesięcznej pensji. Są większe, niż myślałam. Kiedy zaszłam w ciążę z Jamiem, pominęliśmy – co ja mówię: przeskoczyliśmy! – tyle etapów związku. Nigdy nie zaliczyliśmy wspólnego wypadu na weekend, oficjalnego zapoznania z rodzicami, pierwszej kłótni – wszystko to miało miejsce na długo po tym, jak się zaangażowaliśmy. Nie jestem pewna, czy omawianie kwestii pieniężnych także można uznać za jakiś etap związku, ale tak czy inaczej, nas to ominęło.

Twoja kolumna z wydatkami jest tak samo nudna jak moja. Widnieją w niej drobne kwoty z kawiarni i nieco wyższe z pubów. Kolejka czy dwie dla kolegów w piątkowy wieczór. W grudniu jest też siedemdziesiąt funtów wydanych w sklepie, w którym kupowałeś koszule. Pamiętam, jak przyniosłeś je do domu w wielkiej papierowej torbie.

Widzę także kilka wypłat gotówki z bankomatu, ale nigdy w żadnej podejrzanej wysokości. Zawsze lubiłeś mieć w portfelu gotówkę, w przeciwieństwie do mnie – ja za wszystko płacę kartą.

Nie ma tu nic, co zwróciłoby moją uwagę. Żadnych odpowiedzi – i ani śladu po pieniądzach Iana.

Mówiłem, żebyś się nie martwiła.

Nie martwiła? A co z tym człowiekiem, który może nadal stoi przed naszym domem? Jak możesz mówić, że bym się nie martwiła?

Padam z powrotem na poduszkę. Papiery spływają na podłogę. Coś szeleści mi pod głową i przypominam sobie polisę na życie. Zamykam oczy i szukam jej po omacku, aż trafiam palcami na teczkę.

Nie ma sensu dłużej tego odwlekać.

Otwieram naraz i teczkę, i oczy. Skanuję słowa, aż wreszcie znajduję to, czego szukam.

Wysokość polisy: dwa miliony funtów.

Mrugam, zmuszając wzrok do skupienia, i patrzę jeszcze raz. Na pewno chodzi o dwieście tysięcy, a nie dwa miliony, prawda? To zdumiewające. Niewiarygodne. Dość, żeby spłacić hipotekę, dość, żeby starczyło na całe życie. I dość, żeby oddać pieniądze twojemu bratu – nawet bym nie zauważyła ubytku.

Dwa miliony. Mark, jak to możliwe? Mam wrażenie, że powinnam o tym wiedzieć. Na pewno ktoś coś o tym wspomniał, kiedy spisywaliśmy testamenty. Szkoda, że tamtego dnia nie zwracałam większej uwagi. Naprawdę nie sądziłam, że to ma jakieś znaczenie. Nie sądziłam, że to się okaże konieczne.

Nie jestem pewna, co powinnam teraz czuć – ulgę? Już nigdy nie będę musiała pracować. Nigdy nie będę musiała się martwić o pieniądze – pewnie właśnie dlatego to zrobiłeś. Ale każdy grosz stanowi przypomnienie o tym, co straciliśmy: ty, ja i Jamie. Żadne pieniądze nie zdołają mi wynagrodzić tego, że już cię nie ma.

Musiałem przynajmniej spróbować, Tessie. Nie mogłem pozwolić, żebyś cały czas się zamartwiała.

Och, Mark. Na co nam pieniądze, jeśli życie Jamiego jest w niebezpieczeństwie? Nie wiem, czego chce ten człowiek, ale ja tego nie mam.

Sięgam na szafkę nocną po swój notes i kartkuję strony. Gdzieś pośród nich znajduje się odpowiedź, jestem tego pewna. Zatrzymuję się przy imieniu Iana, otoczonym czarnym długopisem. Gdzie są jego pieniądze?

Nadal zaciskam w dłoni komórkę. Zanim mam czas przemyśleć decyzję, wybieram numer Iana.

– Cześć, Tess – mówi. Głos ma rozespany.

– Przepraszam, obudziłam cię?

– Nie szkodzi. – W tle słyszę jakiś szelest: pewnie Ian siada na łóżku. –

Wszystko w porządku?

– Tak... tylko... Właśnie przeglądam nasze wyciągi z konta.

– To dobrze – odpowiada Ian.

Zastanawiam się, ile samokontroli wymaga od niego powstrzymanie się przed dodaniem: „najwyższa pora”.

– Ale nie widzę żadnego śladu po pieniądzach, które pożyczyłeś Markowi.

Pauza.

– Ian? – pytam i sprawdzam sygnał. Jedna kreska zasięgu. Trzeba było zadzwonić z domowego.

– Jestem, jestem. Może są na jakimś innym koncie.

– Nie wydaje mi się. Przejrzałam wszystkie papiery finansowe i mam tu wyciągi tylko z dwóch kont, jeszcze sprzed śmierci waszej mamy. Mówiłeś, że to było później, prawda?

– Mhm.

– Masz numer konta, który podał ci Mark?

– Wypisałem mu czek.

– Aha...

– To nie był pierwszy raz, kiedy musiałem mu pomagać. Mark był... był dobrym facetem, ale jeśli chodzi o pieniądze... – Ian nie kończy zdania.

Mark, czy to prawda? Wpatruję się w wyciągi zaścielające łóżko i podłogę. Jeśli naprawdę nie miałeś głowy do pieniędzy, to gdzie się podziewa ten dług? Gdzie te niespłacone karty kredytowe? Gdzie dowód?

– Tess – mówi Ian – czy mogę ci coś zaproponować?

– Co takiego?

– Pozwól, żebym przekazał tę sprawę mojemu księgowemu śledczemu. Pomaga mi namierzać pieniądze klientów. Możesz przekazać mu wszystkie wyciągi i dać upoważnienie do działania w twoim imieniu, a on się wszystkim zajmie. Znajdzie wszelkie inne konta, które mógł

mieć Mark. Wszystkie długi na jego nazwisko i wszystkie konta emerytalne, które teraz przejdą na ciebie. Zostaw to specjaliście. Po co ci ten stres? I w ogóle na pogrzebie nie powinienem był mówić o tym tak obcesowo. Przepraszam, po prostu... ja też byłem zdruzgotany i łatwiej mi było skupić się na pieniądzach niż na... – Znowu urywa i cieszę się, że nie kończy zdania. – Przepraszam. Mam nadzieję, że to zrozumiesz.

– Pomyślę o tym – mówię, choć nie zamierzam tego robić.

Jeśli postanowię zbadać nasze finanse, zatrudnię własnego księgowego. Mark, wiem, że Ian to twój brat, ale nie ufam mu.

– Tess, jeszcze jedno.

– No?

– Znalazłaś polisę Marka?

– Tak. Czemu pytasz? – Pytanie jest zupełnie wyrwane z kontekstu. Przypominają mi się otwarte na oścież drzwi kuchni i zapach czegoś, czego nie potrafiłam rozpoznać.

– Po prostu chciałem się upewnić, że ją masz – mówi Ian.

– Wiesz, na jaką kwotę opiewa?

Kolejna pauza.

– Mark mówił, że nie chce, żebyś się martwiła o pieniądze – mówi Ian, zamiast odpowiedzieć wprost. – Słuchaj, wiem, że nikomu nie było z tym łatwo, ale świat idzie dalej. Mark dopilnował, żeby nie zabrakło ci na życie. Wiem, że cię zanudzam, ale proszę cię, Tess, przynajmniej porozmawiaj z Jacobem i rozpocznij procedurę. Może pozbędziesz się wtedy przynajmniej jednego zmartwienia.

Znowu doznaję tego uczucia co wcześniej – tego wrażenia, że Ian nie mówi mi całej prawdy. Przypominam sobie pudła ustawione w złą stronę i teczkę z polisą leżącą na samym wierzchu, jakby po to, żebym od razu mogła ją znaleźć. I jeszcze ten zapach w powietrzu, słaby, jak... jak woń męskiej wody kolońskiej.

Wciągam głośno powietrze.

– Tess, wszystko w porządku?

Do tej pory tylko podejrzewałam Iana, ale nie mogłam mieć pewności. Dzięki Bogu, że wezwałam ślusarza, żeby wymienił zamki.

– Tess? – W moim uchu rozlega się znowu głos Iana i aż podskakuję.

– Późno już, muszę kończyć. – Rozłączam się, zanim Ian powie coś więcej.

Rzucam telefon na kołdrę i sięgam po twoją polisę. Jak łatwo byłoby zadzwonić pod numer 0800, który widnieje na górze żółtej teczki, przejąć środki z polisy i spłacić hipotekę. A nawet się przeprowadzić. Kupić małą chatkę z wygrodzonym ogródkiem i oknami, które nie dzwonią przy najlżejszym podmuchu wiatru.

Ale tam nie byłoby domku na drzewie dla Jamiego. Nie byłoby twojej obecności w każdym pokoju. Nie jestem pewna, czy którekolwiek z nas jest gotowe, żeby z tego zrezygnować.

Sięgam po notes i zaczynam pisać.

Rozdział 38

Zapis rozmowy między ELLIOTEM SADLEREM (E.S.) A TERESĄ CLARKE (T.C.) (PACJENTKĄ SZPITALA OAKLANDS, ODDZIAŁU HARTFIELD), ŚRODA, 11 KWIETNIA. SESJA 2 (cd.)

E.S.: Witam ponownie. Chciałaby pani trochę wody, zanim zaczniemy?

T.C.: Nie, dziękuję.

E.S.: Nadal panią boli?

T.C.: Mniej. Ma pan jakieś wieści? Wie pan, gdzie jest Jamie?

E.S.: Staramy się. Mówiła pani wcześniej, że ktoś był w jej domu i zabrał jakieś rzeczy. To wtedy po raz pierwszy zadzwoniła pani na policję?

T.C.: Nie.

E.S.: A co pani zrobiła?

T.C.: (*przerwa*) Wymieniłam zamki. Shelley przekonała mnie, żeby nie wzywać policji. Wmówiła mi, że nikt mi nie uwierzy, że tylko sobie to wszystko wyobrażam. Ale to nieprawda.

E.S.: Pewnie bała się pani przebywać we własnym domu?

T.C.: Nie cały czas. W każdym razie jeszcze nie wtedy.

E.S.: Ale później zaczęła się pani bać? T.C.: Tak.

Rozdział 39

Sobota, 24 marca – 15 dni do urodzin Jamiego

Dzisiaj obudziłam się zła. A nawet wściekła. Wściekła na ciebie za to, że umarłeś. Wściekła na tego wrednego typa, który nazwał mnie Tessie. Wściekła na siebie za to, że się boję. Wściekła, bo coś się dzieje, coś złego, a ty mi o tym nie powiedziałeś.

Wczoraj przyjechał ślusarz i wymienił zamki w głównych i bocznych drzwiach. Wręczył mi dwa komplety nowych lśniących kluczy, ale mimo to co godzina przyłapywałam się na tym, że drepczę przez kuchnię i sprawdzam, czy wszystko jest pozamykane.

Tak więc dzisiaj obudziłam się zła i w podłym nastroju. Jamie prawie się nie odzywał. Przez cały rano siedział w swoim pokoju i bawił się klockami Lego. Na lunch zrobiłam kanapki, których żadne z nas nie tknęło, a kiedy Jamie wstał od stołu, zapomniał odnieść talerz. Normalnie mnie to nie obchodzi, zrobiłabym to za niego, ale tym razem byłam rozeźlona, więc powiedziałam:

– Jamie, wróć, proszę, i odłóż talerz do zlewu.

Jamie miał już na sobie płaszcz i właśnie wkładał kalosze. Przystanął i wyprostował się, po czym odpowiedział:

– Idę do domku na drzewie. Sama możesz go odłożyć.

Wtedy wylała się ze mnie złość, słowa wysypały się z moich ust głośno i ostro, zanim zdążyłam się zastanowić:

– Jamie, masz tu w tej chwili wrócić i odstawić talerz do zlewu.

Mój synek wystawił język, napierając nim na ząb, który nadal nie wypadł, i popatrzył na mnie gniewnie, mrużąc oczy. Już miałam znowu na niego krzyknąć, kiedy ruszył z miejsca i przeszedł przez kuchnię w jednym kaloszu, zostawiając na posadzce zaschnięte błoto.

– Dziękuję – mruknęłam przez zaciśnięte zęby, gdy sięgnął po talerz na stole.

Tylko że on wcale nie zabrał go do zlewu; chwycił go jedną ręką i rzucił jak frisbee. Zanim talerz zdążył się rozbić, Jamie był już w drzwiach.

Celował prosto we mnie – i cholernie mało brakowało, a by trafił. Talerz ominął mnie i uderzył z hukiem w kredens, po czym odbił się od blatu i roztrzaskał na płytkach.

– Szkoda, że to nie Shelley jest moją mamą! – krzyknął Jamie i zniknął w ogrodzie, zanim zdążyłam zareagować.

Odłamki porcelany rozpięchły się po całej kuchni. Białe drzazgi zagnieździły się w fugach pomiędzy płytkami, większe kawałki poleciały pod piekarnik, a jeden odbił się od podłogi i wpadł mi do kapcia.

Padłam na kolana i zaczęłam szlochać ze wszystkich sił, roniąc okropne łzy wściekłości. A już zaczynaliśmy radzić sobie lepiej! Nie denerwowałam się o każdy drobiazg. Myślałam, że wszystko gra, ale nie. Ani trochę.

Przez te kilka minut nienawidziłam samej siebie. Nienawidziłam tego, kim się stałam – matką, która wydziera się na dziecko bez powodu. Ciebie też nienawidziłam, tak dla twojej wiadomości.

Och, Tessie, tak mi przykro.

Ostatnie słowa Jamiego rozbrzmiewały raz po raz w mojej głowie. Powtarzałam sobie, że nie mówił poważnie. Chciał mnie tylko zranić. Misja zakończona sukcesem.

Dopiero kiedy na czworakach zgarniałam resztki talerza, jedzenia i błota, dotarło do mnie, jak zła stała się moja relacja z synem. Przypomniałam sobie kilka ostatnich tygodni naszego życia. Wszystkie te razy, kiedy płakaliśmy we dwoje na kanapie, i tamten dzień, kiedy wracaliśmy ze szkoły i on krzyknął, a ja prawie go uderzyłam. Prawie.

Ale też skrawki normalności, kiedy naprawdę się starałam i graliśmy w chińczyka, i skakaliśmy po kałużach, i Jamie był wesoły.

Uświadomiłam sobie, że muszę zrobić coś fajnego – nieważne, ile mnie to kosztuje, nieważne, jaka jestem wyczerpana: muszę to zrobić dla Jamiego. On karmi się moim nastrojem. Kiedy jestem smutna, on też się smuci. Kiedy jestem zła, atakuje mnie.

Jamie potrzebuje śmiechu, oboje tego potrzebujemy. Później więc, kiedy już odsunęłam lodówkę i wymiotłam spod niej ostatnie kawałki porcelany oraz dekady kurzu i brudu; kiedy ustawiłam ją z powrotem, choć nadal nie znalazłam tamtego magnesu ze zdjęciem, i kiedy po kolacji Jamie zniknął w swoim pokoju, włączam telewizor i wołam ku górze:

– Jamie?!

– Idź sobie! – odkrzykuje.

– Leci *Ukryta kamera*. Poprasuję przy telewizorze. Chcesz pooglądać ze mną?

Zapada cisza, a potem słyszę skrzypnięcie drzwi jego sypialni i tupot stóp na schodach.

Nie wspominam o talerzu. W ogóle nic nie mówię. Przenoszę starą lampę twojej matki z bawialni do salonu. Lampa wygląda jak żywcem wyjęta z epoki panny Marple – bordowy abażur z frędzlą kołyszącą się nad spiralnym stojakiem z ciemnego drewna – ale rzuca przyjemne światło i dobrze się przy niej prasuje.

Potem przynoszę z pralni stertę prasowania. Bóg jeden wie, kiedy ostatnio to robiłam. Dobrze kilka tygodni temu. Będzie z dziesięć, ale w tej chwili nie chcę się nad tym zastanawiać. Ani nad tym, że Jamie przez ostatnie dwa tygodnie musiał chodzić do szkoły w wygniecionym mundurku. Nawet nie pomyślałam, żeby wyprasować mu koszule. Całe szczęście, że przy takim chłódzie nie zdejmował swetra.

Zamykam drzwi do salonu i zapominam o reszcie ciemnego, zimnego domu. W łagodnym świetle lampy pokój po raz pierwszy wydaje się przytulny, choć może ma to większy związek z głośnym chłopięcym śmiechem Jamiego, który odbija się od ścian.

Pamiętasz ten śmiech, Mark? Jamie zanosi się tak, że nie może złapać oddechu, wzdycha i chichocze, a potem znowu coś go rozśmiesza i wszystko zaczyna się od początku.

– O nie! – Śmieje się, zakrywając sobie oczy i zerkając między palcami. – No wiecie?!

Spoglądam na telewizor i patrzę, jak ktoś wspina się na niski dach w straszliwej burzy. W pokoju rozbrzmiewa blaszany podkładany śmiech. Od razu wiadomo, co się zaraz stanie, ale Jamie mimo to trzęsie się z rozbawienia.

Jest coś okropnego w widoku siedmiolatka, który śmieje się z cudzego nieszczęścia, ale nie obchodzi mnie to. Nie wiedziałam, jak bardzo brakuje mi tego chichotu i radości, jaką on we mnie wyzwała – jak ciepły letni wieczór, jak spotkanie ze starymi przyjaciółmi. Nie wiedziałam, że za tym tęskniłam. To ty odszedłeś, a jednak tamtego dnia zniknęła też duża część Jamiego i mnie.

Nagle kątem oka dostrzegam jakiś ruch. Bardzo przelotny. Mignięcie światła w ogrodzie, gdzie powinna panować ciemność, ale to wystarcza, żeby po grzbiecie przeszły mi ciarki, a mój uśmiech zniknął. Odsuwam się od deski do prasowania i podchodzę do okna.

Przez pojedyncze szyby wkrada się zimne powietrze. Na zewnątrz panują egipskie ciemności, jakbym stała przed czarnym lustrem. Widzę odbicie światła z lampy, kanapę i Jamiego oglądającego telewizję. Widzę swoją twarz – wystające kości policzkowe, których nie rozpoznaję, oraz puste oczy.

Przejmuje mnie drżenie i odsuwam się szybko.

Już prawie wracam do deski do prasowania, kiedy znowu to widzę – kolejny błysk, ułamek sekundy białego światła, jakby z latarki albo ekranu telefonu; oświetla sznurową drabinkę do domku na drzewie i zarys postaci, która pod nim stoi.

A potem dzwoni telefon.

Rozdział 40

Zamieram. Nie mam odwagi nawet odetchnąć. Telefon milknie po czwartym dzwonku, tuż przed tym, jak powinna się włączyć sekretarka.

Jedyną częścią mojego ciała, która się porusza, są oczy, wpatrujące się z napięciem w bok, żeby sprawdzić, potwierdzić to, co moje mocno bijące serce już wie – że w ogrodzie ktoś jest, ktoś nas obserwuje.

Ta myśl pcha mnie do działania. Biegnę na korytarz. W domu ciemność jest tak samo gęsta jak na zewnątrz i boleśnie objam się biodrem o stół, ale nie zwalniam. Obchodzą mnie tylko boczne drzwi – jestem pewna, że już za chwilę otworzą się gwałtownie i mężczyzna w czarnej czapce z daszkiem stanie w moim domu.

Drżącymi rękami sięgam do zamka. Jest zamknięty. Zamknęłam go. Wypełnia mnie ulga. Chwytam ustami powietrze i zmuszam serce, żeby przestało tak szybko bić, bym mogła się zastanowić, co dalej.

Jak bezpieczny jest dom? Jak mocny jest nowy zamek w bocznych drzwiach? Czy powinnam złapać Jamiego i pobiec do samochodu? Kto tam jest? Kto patrzy i czeka? I dlaczego? To musi być on, prawda?

„Nie mam zamiaru robić nikomu krzywdy” – powiedział. Nieważne, bo i tak umrę ze strachu.

Szkoda, że nie jestem odważniejsza. Szkoda, że nie jestem w stanie otworzyć szeroko drzwi i wyjść na zewnątrz z latarką i młotkiem, i obrzucić przekleństwami noc wraz z tym człowiekiem, który obserwuje nas z ogrodu. Coś w tym obrazie wydaje mi się trochę znajome i uświadamiam sobie, że przecież już kiedyś to zrobiłam, niedługo po przeprowadzce. W ogrodzie zrobił się jakiś piekielny hałas, jakby kłóciło się ze sobą dwoje ludzi. Ty byłeś jeszcze w pracy, a Jamie spał, więc wyszłam w mrok, przesuwając promieniem latarki w jedną i w drugą stronę, dopóki nie ujrzałam lśniących oczu dwóch lisów, tak

zaskoczonych moją obecnością, że przerwały walkę. Odrzuciłam głowę w tył, wybuchnęłam śmiechem i powiedziałam, żeby przestały hałasować, a one uciekły.

Gdzie się podziała tamta kobieta? A jeśli już nią nie jestem, to kim się stałam?

Szybko wracam przez dom do salonu.

Program się skończył, na ekranie lecą napisy, a Jamie patrzy na mnie z szerokim uśmiechem.

– Pora spać! – Zmuszam się do wesołego tonu i wyłączam telewizor.

Jamie kiwa głową i znika na górze.

– Kocham cię! – wołam za nim, przelykając łzy.

– Ja ciebie też! – odkrzykuje Jamie.

Dopiero kiedy mam pewność, że leży w łóżku, wyłączam światło w salonie, idę do jadalni po telefon i dzwonię do jedynej osoby, która przychodzi mi do głowy.

– Shelley – mówię szeptem, zanim ona zdąży się przywitać.

– Tess? Co się dzieje? Wszystko gra?

– Ktoś jest w moim ogrodzie. – Czuję w żołądku strach, adrenalinę. Robię krok w stronę ciemnego salonu, przyciskając telefon do twarzy tak, żeby nie było widać białego światła ekranu. Ostrożnie podchodzę do okna. – Między drzewami, pod domkiem Jamiego.

Tamto światełko zniknęło, ale na niebie wisi blady sierp księżycy i przy wyłączonych lampach udaje mi się dostrzec ciemną postać poruszającą się za drzewem.

– O Boże. – Shelley głośno wciąga oddech i odpowiada szeptem, naśladowując mój ton: – Dzwon na policję!

– Och... racja. Zupełnie o tym nie pomyślałam – odpowiadam, czując się jak idiotka.

– Tess, rozłącz się i wezwij policję. Nikomu nie otwieraj drzwi, dopóki nie przyjadą. Jestem niedaleko. Będę tam najszybciej, jak się da.

Rozłączam się. Palce mi się trzęsą, więc wybieranie numeru trwa dłużej, niż powinno. Shelley ma rację. Muszę wezwać policję. Muszę im wszystko powiedzieć. Mark, muszę zapewnić nam bezpieczeństwo. Cokolwiek się wydarzy, muszę chronić Jamiego.

Nagle wszystko staje się realne. W naszym ogrodzie jest jakiś człowiek, opiera się o drzewo jakby nigdy nic, obserwuje dom, obserwuje Jamiego i mnie. Panika w głosie Shelley sprawia, że rzeczywistość uderza mnie jak obuchem. Uciekam z salonu, potykając się o własne nogi.

Siadam na dolnym stopniu schodów i dzwonię na policję. Nigdy nie trwa to tak krótko jak w filmach. Samo podanie nazwiska i adresu oraz poinformowanie dyżurnego policjanta, o co chodzi, ciągnie się całe wieki. Mijają kolejne minuty i przez cały czas zastanawiam się, czy ten człowiek nadal tam jest i patrzy. To musi być ten sam mężczyzna, który dzwonił do mnie dwa dni temu i gonił mnie w Manningtree – to na pewno on.

Dyżurny mówi spokojnie, rzeczowo:

- Jest pani pewna, że to nie zwierzę?
- Tak. Widziałam światło latarki albo telefonu.
- Czy jest pani sama?
- Tak... To znaczy nie, jest tu mój syn Jamie, ale ma tylko siedem lat.
- Czy dom jest zabezpieczony?
- Chyba tak. Sprawdziłam drzwi, są zamknięte.
- Dobrze, już wysyłamy radiowóz pod pani adres. Ale mamy dziś dużo wezwań, więc to może trochę potrwać.

Nagle w domu rozlega się głośne stukanie, a potem głos Shelley:

- Tess, to ja, Shelley!
- Co to za hałas? – pyta dyżurny.
- To tylko moja przyjaciółka Shelley.

– Czy to ona była na zewnątrz? – W głosie dyżurnego pobrzmiwa nuta zwątpienia. Mówi tak, jakby pytał: „Czy pani marnuje czas policji?”.

– Nie, nie. Zadzwoiłam do niej, kiedy zobaczyłam tego człowieka, i powiedziała, że przyjedzie.

– Rozumiem. Proszę zamknąć za nią drzwi, niedługo podjedzie patrol.

– Dziękuję.

Rozłączam się i biegnę pospiesznie do drzwi, żeby wpuścić Shelley, zanim ten człowiek ją dorwie. Kiedy otwieram, widzę, że jej oczy są szeroko otwarte, jakby była tak samo przestraszona jak ja. Cieknie jej z nosa i wygląda na przemarzniętą.

– Nic ci nie jest? – pyta, nie ruszając się z progu. – Tyle czasu nie otwierałaś, że już się bałam, czy coś się nie stało, a zapomniałam zabrać ten zapasowy klucz, który mi dałaś.

– Przepraszam. Dyżurny policjant zadawał strasznie dużo pytań. – Macham ręką, żeby weszła, ale ona się nie rusza.

– Dobrze. Więc ich wezwałaś. – Bierze wdech i podciąga rękawy czarnego swetra za łokcie.

Próbuję wciągnąć ją do środka, żeby zamknąć drzwi, ale ona dalej stoi w wejściu.

– Masz latarkę? – pyta.

– Po co? – odpowiadam, lecz jednocześnie zaglądam za stojak z butami w poszukiwaniu ciężkiej, pomarańczowej latarki: wiem, że gdzieś tam została po ostatnim Halloween.

– Rozejrzę się.

– Co? Nie. Policjant powiedział, żebyśmy siedziały w środku i zamknęły drzwi.

– Tess, w twoim ogrodzie jest jakiś zboczony podglądacz, który śmiertelnie cię wystraszył. Nie zamierzam pozwolić, żeby uszło mu to na sucho.

I zanim mogę zaprotestować, przekonać ją, żeby się nie wygłupiała, ona wrywa mi latarkę i odbiega w mrok. Przeszywa mnie dreszcz. Zatrzasnę drzwi i na powrót je zamykam.

Biegnę przez dom z powrotem do ciemnego salonu. Kiedy Shelley wyłania się zza rogu, okrągły promień latarki odbija się od ziemi i podskakuje do góry, oświetlając stojące dalej drzewa. W uszach słyszę walenie serca. Wstrzymuję oddech, żeby sprawdzić, czy ten ktoś się nie pojawi, ale teraz już nikogo nie widzę.

Mija minuta, a potem Shelley zbliża się do okna i wzrusza ramionami. Kiedy wraca przez trawnik, czekam już na nią przy bocznych drzwiach.

– Nic nie widziałam! – woła, wyłączając latarkę.

Serce nadal bije mi mocno. Przygryzam wargę, żeby powstrzymać się przed pospieszeniem jej, by weszła do środka.

– Wiatr strasznie się rozszalał. Może to była tylko gałąź – mówi Shelley, wchodząc do kanciapy i zdejmując sztylpy, pokryte teraz błotem.

Musiała nieźle się rozglądać między drzewami, żeby tak zabrudzić sobie buty, i ogarniają mnie wyrzuty sumienia – ale też wdzięczność.

– Może. Przepraszam, nie chciałam ściągać cię tu z tak daleka. Po prostu musiałam usłyszeć przyjazny głos.

– Chętnie wyszłam z domu. Znowu pokłóciliśmy się z Timem. Poszłam popływać, żeby się uspokoić. Zadzwo niłaś akurat, kiedy wychodziłam z basenu. – Głos jej się łamie.

Nastawiam czajnik i gestem proszę ją, żeby usiadła.

– Stara historia – mówi Shelley, ocierając palcem oczy. – Po naszej rozmowie kilka dni temu znowu zaczęłam myśleć o adopcji. Tess, ja tak bardzo pragnę mieć dziecko. Nie niemowlaka, ale dziecko. Chcę znowu być matką. Zapytałam więc Tima, czy nie zgodziłby się wziąć jakiegoś chłopca albo dziewczynki pod tymczasową opiekę. W ten sposób, jeśli by nam się nie spodobało, moglibyśmy się wycofać. Ale on nawet nie chciał

o tym rozmawiać. W skrócie: uważa, że jestem samolubna, skoro nie chcę, żebyśmy znowu sami zrobili sobie dziecko. – Shelley dotyka medalionu na szyi, przesuwa nim po łańcuszku w jedną i w drugą stronę.

Oczami wyobraźni wyraźnie widzę zdjęcie Dylana. Te jasne, potargane włoski. Te błękitne oczy.

– To straszne – mówię cicho. Zapominam o czajniku i siadam przy stole obok Shelley. Zapominam i o człowieku przy drzewie, i o swoim strachu.

Nie mogę wyrzucić z głowy obrazu Dylana. Teraz miałby prawie osiem lat, tak jak Jamie.

– Ha! Ale to jeszcze nie wszystko. – Shelley robi grymas, który wygląda jak uśmiech odwrócony do góry nogami. – Powiedział, że jeśli ja nie zamierzam dać mu drugiego dziecka, to znajdzie sobie kogoś, kto to zrobi. A... a ja wiem, że mówi poważnie, bo w zeszłym tygodniu dowiedziałam się, że ma romans z recepcjonistką z klubu golfowego.

– Boże, czemu nic nie powiedziałaś? Co za drań! – mówię. – Przepraszam, wiem, że to twój mąż i w ogóle...

Shelley ucina ruchem ręki.

– Nie przepraszaj. To faktycznie drań. Sama go tak nazwałam, zanim trzasnęłam drzwiami i wyszłam.

– I co teraz zrobisz? Spróbujesz... spróbujesz sama adoptować?

– Chyba będę musiała to zrobić. Chcę znowu być matką, z Timem albo bez niego. Trwaliśmy w tym małżeństwie, bo to nam przypominało o Dylanie. Ale może lepiej by było dla nas obojga, żebyśmy zaczęli od nowa. Dylana i tak nigdy nie zapomnę. – Znowu dotyka swojego medalionu. Jej uśmiech znika i przez chwilę widzę kobietę złamaną przez rozpacz.

Przez chwilę widzę w jej twarzy samą siebie.

– Ale chyba chciałabym znaleźć sposób, żeby choć trochę wrócić do normalności.

– Zawsze możesz się zatrzymać u mnie – mówię. – Niedługo odkopię wreszcie to zapasowe łóżko spod pudeł.

– Dziękuję. – Shelley znowu się uśmiecha. – Ale Tim i ja za długo już unikaliśmy się nawzajem. Musimy usiąść i wreszcie porządnie porozmawiać. Nie rozprasuje się problemów, jeśli...

– Cholera, żelazko! – Zrywam się i pędzę do salonu.

Wyłączam dopływ prądu na ścianie i wyszarpuję wtyczkę z kontaktu. Z żelazka wydobywa się z sykiem obłok pary.

– Przepraszam – mówię z wymuszonym śmiechem do Shelley, która wchodzi za mną do pokoju. – Zapomniałam je wyłączyć.

Shelley włącza lampę na suficie. Nagle czuję się odsłonięta, znowu myślę o tym człowieku na zewnątrz – ale przypominam sobie, że już go nie ma. Shelley patrzy na deskę do prasowania.

– Tess, nie musisz się teraz zajmować takimi rzeczami – mówi wolno i łagodnie jak do dziecka.

Podążam za jej wzrokiem do jednej z twoich koszul, która leży na stercie razem z moimi bluzkami i ostatnią szkolną koszulą Jamiego.

– A, to... nie. – Kręcę głową. – To pierwszy raz od śmierci Marka, kiedy wzięłam się do prasowania. Nie zamierzałam prasować jego koszul... Nie zamierzałam... – Urywam zdanie.

– Okej. – Shelley kiwa głową, ale widzę, że nie jest przekonana.

– Od tygodni niczego nie prasowałam. Nie czułam się na siłach. Ale dzisiaj z jakiegoś powodu się do tego wzięłam. Było całkiem przyjemnie.

– Myślę o śmiechu Jamiego wypełniającym salon.

– Dobrze, Tess, ale czy na pewno wszystko w porządku? – Shelley dotyka mojego ramienia.

– Poza tym, że widziałam w ogrodzie jakiegoś człowieka? Tak, wszystko gra. – Próbuję się uśmiechnąć.

– W takim razie przyrządę nam gorącą czekoladę – odpowiada Shelley.

Uświadamiam sobie, że nie powiedziałam jej o talerzu, którym rzucił we mnie Jamie. Mogłabym zrobić to teraz, ale coś mnie powstrzymuje. Rozmowa o kłótni Shelley z mężem sprawiła, że moja własna kłótnia z synem wydaje się odleglejsza – nie chcę znowu do niej wracać. To samo czuję odnośnie do tamtego wieczornego telefonu. Zaczekam na przyjazd policji. Oni też muszą wiedzieć. Mark, dłużej tak nie wytrzymam.

Gorąca czekolada rozgrzewa mi brzuch i powleka myśli mdłą słodyczą. Trudno mi myśleć. Wyczerpanie obciąża moje kończyny. Jestem taka zmęczona. Ktoś był w moim ogrodzie – powtarzam sobie raz za razem, ale wspomnienie wydaje się bardziej przypominać niewyraźny wymysł niż rzeczywistość.

Kiedy wreszcie przyjeżdża policja, usiłuję się skupić na tym, co mówię, ale w głowie mam nieład i słowa wychodzą nie tak, jak trzeba. Dwóch policjantów zadaje pytanie po pytaniu, ale samo zrozumienie ich przychodzi mi z trudem, nie mówiąc już o odpowiedziach. „Gdzie pani stała, kiedy zauważyła pani tego kogoś w ogrodzie? Czy udało się pani zobaczyć, co miała na sobie ta osoba? Czy coś takiego zdarzało się już wcześniej?”.

Chcę im opowiedzieć o telefonie – o tym mężczyźnie i jego groźbach – ale nagle mój język robi się jakby za duży i wszystko miesza mi się w głowie, jak w tych plastikowych puzzlach Jamiego, w których trzeba wsuwać elementy na właściwe miejsca; tylko że nic do siebie nie pasuje. Wiem, jak powinien wyglądać obraz, wiem, jakich słów chcę użyć, ale nie mam pojęcia, w jaki sposób przemieścić elementy tam, gdzie trzeba.

– Wspominała pani, że w domu jest też pani syn?

Powieki mi ciążą, mgła wyciąga mnie z salonu.

Shelley mówi coś o Jamiem, ale jej głos jest stłumiony. Idziemy na górę – dwóch policjantów, Shelley i ja. Wsuwamy głowy do pokoju Jamiego. Nocna lampka jest zapalona, a on leży zwinięty w kulkę pod kołdrą, z głową pośrodku łóżka.

Jeden z policjantów zadaje pytanie o Marka, ale ja zamykam akurat drzwi pokoju, więc uciszam ich, żeby nie hałasowali.

Potem już niewiele pamiętam. Policjanci wychodzą, a Shelley prowadzi mnie do łóżka, obiecując, że przed wyjściem jeszcze raz zajrzy do Jamiego. W każdym razie tak mi się wydaje. Nie pamiętam. Nie mogę być pewna.

Rozdział 41

Niedziela, 25 marca – 14 dni do urodzin Jamiego

Dopiero następnego popołudnia, kiedy zrzucam z siebie poduchę tłumiącą moje myśli, zastanawiam się nad wizytą Shelley i nad tym, jak szybko zdołała tu dojechać ostatniego wieczoru.

Rozmowa z dyżurnym wydawała mi się długa, ale nie mogła zająć więcej niż dziesięć minut. Dziesięć minut, od kiedy rozłączyłam się z Shelley i wybrałam numer policji. Mnie więcej czasu zajęłoby znalezienie kluczyków do samochodu i włożenie butów.

Shelley mówiła, że właśnie wyszła z basenu, ale jestem pewna, że dojazd i tak musiałby trwać dłużej niż dziesięć minut.

To wszystko nie trzyma się kupy. Wsuwam kalosze i idę do ogrodu. Obchodzę dom tą samą trasą, co Shelley wczoraj wieczorem. Trawa jest mokra, a ziemia wydaje się nasączona padającym przez cały tydzień deszczem. Widzę ślady butów policjantów, którzy przeszukali ogród, depcząc przy okazji żonkile. Pod domkiem na drzewie zatrzymuję się dokładnie tam, gdzie wczoraj stał ten człowiek. Łatwo stąd obserwować nasz salon. Nawet z tej odległości widzę Jamiego pochylonego nad konsolą oraz ekran telewizora z ciemnym światem jego gry Minecraft. Widać też jego sypialnię i twój gabinet.

Nagle przebiega mnie dreszcz. Już mam się odsunąć, kiedy mój wzrok pada na coś jasnego na ziemi. Kucam i przesuwam rękami po liściach, aż znajduję – guzik. Błyszczący srebrny guzik.

Od razu go rozpoznaję. To guzik od kurtki Shelley, tej, którą miała na sobie wczoraj wieczorem.

Logiczna część mojego umysłu wie, że guzik mógł odpaść, kiedy Shelley rozglądała się wczoraj po ogrodzie albo jeszcze wcześniej, kiedy

razem tu pracowałyśmy. Mimo to znowu myślę o tym, jak szybko się tutaj zjawiała, jaka przemarznięta się wydawała, kiedy stanęła w drzwiach, i jak dziwnie się czułam po wypiciu tej gorącej czekolady. Zupełnie jak ostatnio, gdy Shelley ją dla mnie zrobiła.

Nagle w mojej głowie rozbrzmiewa ta kołysanka – cichy głos śpiewający: „Mama cię kocha, o tak, ja kocham cię”.

Poprzednim razem, kiedy wypłam przygotowaną przez Shelley czekoladę, ledwo byłam w stanie dojść w środku nocy do pokoju Jamiego. Nie mogłam zachować przytomności. Następnego dnia czułam suchość w ustach, a umysł miałam ociążały, dokładnie tak jak dziś. Myślałam, że to tylko skutek uboczny antydepresantów, ale co, jeśli się myliłam?

Odwracam się na pięcie i biegnę z powrotem do domu, skopuję kalosze przy drzwiach i pędzę na górę do naszej sypialni i notesu. Kartkuję zapisane strony. Jest ich więcej, niż pamiętam, ale znajduję stronę o Shelley i dodaję pytanie: „Czy Shelley coś mi dosypuje?”.

Sama myśl jest ohydna. Shelley to moja przyjaciółka. A jednak obracam długopisem wkoło i wkoło, zakreślając pytanie ciemną pętlą.

To nie byłoby trudne. Wystarczyłoby kilka pigułek nasennych – przecież i bez nich czuję się zmęczona.

Próbuję sobie przypomnieć tamtą kłótnię, którą usłyszałam przypadkiem po naszej wyprawie na zakupy, i ostre słowa Shelley, które wydawały się zupełnie nie w stylu mojej przyjaciółki. „Nie zbliżaj się do niej” – powiedziała chyba. „Chcesz wszystko zepsuć? O to ci chodzi?”.

Tamtego dnia bardzo długo chodziłyśmy po Tesco. Wydawało mi się, że Shelley chciała mi pomóc, ale nie mogę się pozbyć myśli, jaki to dziwny zbieg okoliczności. Ten jeden raz wyszłam z domu na dłużej, niż trwa odprowadzenie Jamiego do szkoły albo przyprowadzenie go z niej

– i akurat wtedy ktoś wszedł do domu. Jestem pewna, że tym kimś był Ian, co znaczy, że on i Shelley są w jakiś sposób powiązani.

Wydaje się to zbyt absurdalne, żeby w ogóle się nad tym zastanawiać, ale potem przypominam sobie powątpiewające spojrzenia, jakie wymieniali między sobą policjanci, i wcześniejsze nalegania Shelley, żebym po nich zadzwoniła, zupełnie jakby chciała, żeby mi nie uwierzyli.

Mark, co się tutaj dzieje?

Rozdział 42

Ian Clarke

W ostatnich tygodniach przed urodzinami Jamiego nie widywałem się z Tess. Może kilka razy rozmawialiśmy przez telefon. Nie pamiętam, gdzie byłem w sobotę dwudziestego czwartego marca, ale zapewne w Tawernie w Ipswich. Zazwyczaj w soboty spotykam się tam ze znajomymi. Podam panu nazwiska. Na pewno ktoś będzie mógł potwierdzić, że byłem tam tego wieczoru.

Sam pomysł, że próbowałem zastraszyć Tess, jest absurdalny. Po co miałbym stać w jej ogrodzie na takim zimnie? Wiem, że jej zdaniem chciałbym odzyskać ten dom, ale naprawdę nie miałem nic przeciwko temu, żeby oni go kupili. Moje mieszkanie na nabrzeżu w zupełności mi odpowiada.

Shelley Lange

Tamtej nocy, kiedy Tess do mnie zadzwoniła, sama nie wiedziałam, w co mam wierzyć. Była bardzo przerażona i przekonana, że w jej ogrodzie jest jakiś człowiek. Kiedy zadzwoniła, właśnie wyszłam z basenu, wsiadłam już do samochodu. Gdy dotarłam na miejsce, poszłam się rozejrzeć, bo myślałam, że to pewnie Ian. Z początku wydawało mi się, że próbował pomóc Tess, i moim zdaniem przekazanie kwestii testamentu Marka komuś, kto się na tym zna, to był dobry pomysł, ale nie podobało mi się, że tak na nią naciska. Bez względu na to, czy należał mu się zwrot pieniędzy, czy nie, nie powinien się wtrącać w to, co i kiedy robi Tess.

Wreszcie przyjechała policja. To było straszne. Tess zaczęła się zachowywać bardzo dziwnie, jak pijana. Ledwo mogła mówić. Pewnie macie to w raporcie. Posterunkowi Higgs i French przeszukali ogród,

a potem poszliśmy wszyscy na górę i zajrzeliśmy do pokoju Jamiego. Policjanci byli bardzo wyrozumiali, ale nie jestem pewna, czy uwierzyli Tess. Ja na pewno w tym momencie jej nie wierzyłam.

Rozdział 43

Poniedziałek, 26 marca – 13 dni do urodzin Jamiego

Ten jeden raz przychodzę odebrać Jamiego przed czasem. Inni rodzice jeszcze nie dotarli na miejsce, wszystkie dzieci siedzą w środku i kończą zadania przed ostatnim dzwonkiem.

Siadam na ceglany murku obok parkingu dla nauczycieli, rozkoszuję się ciszą, spokojem i ciepłem maślanożółtego słońca na twarzy. Blask razi mnie w oczy, ale się nie odwracam. Miło jest wyrwać się z ciemnego domu i być na miejscu przed czasem. Oglądam się za siebie, z powrotem na alejkę. Jedzie nią jakiś samochód, zwalnia na zakręcie. Słońce odbija się od szyby i nie mogę dojrzeć kierowcy, ale czuję, że na mnie patrzy, więc szybko uciekam wzrokiem.

Szkoła ze swoimi łukowatymi oknami i starymi murami z czerwonej cegły ma w sobie coś z kościoła. Nawet trójkątny ganek ze spiczastym dachem pośrodku fasady budynku przypomina iglicę. Wieńczy go kurek, który skrzypi na wietrze.

Zastanawiam się, czy dzieci korzystają z wąskich czerwonych drzwi ganku, czy też zawsze wchodzi i wychodzi od strony przeszklonej recepcji; dobudowano ją z boku z dwojgiem szerokich podwójnych drzwi.

Myślę o Jamie, który siedzi gdzieś tam w ławce. Wyobrażam sobie, jak skupia się na stawianiu tych swoich okrągłych, połączonych literek. Dla mnie tworzyłyby one po prostu zdanie, ale dla Jamiego oznaczają długą listę rzeczy do zapamiętania: słowa trzymające się linii, przecinki we właściwych miejscach, inne znaki interpunkcyjne, podmioty rozwinięte, kropki na końcu. Jamie jest taki jak ty, Mark. Woli matematykę.

Czuję lekki podmuch wiatru, niby czyjś oddech na karku, i przechodzą mnie ciarki. Znowu doznaję wrażenia, że ktoś mnie obserwuje. Obracam się na murku i rozglądam, ale nikogo nie zauważam. Nagle kątem oka dostrzegam jakieś poruszenie i widzę w szklanych drzwiach szkoły kobietę, która otwiera je i rusza w moim kierunku. Ma na sobie długi, czarny dziergany kardigan i liliową koszulę oraz czarne spodnie. Otula się swetrem, gdy znad pól przywiewa zimny podmuch wiatru, od którego kurek na dachu znowu skrzypi.

Kobieta ma kruczoczarne włosy sięgające wydatnych obojczyków. Jest przesadnie szczupła, a jej czoło przecinają zmarszczki, jakby stale się czymś przejmowała.

– Mogę pani w czymś pomóc? – pyta, oglądając się na drzwi, za którymi widzę jeszcze czyjąś twarz wyglądającą zza biurka recepcji.

Pytanie jest tak dziwne, że aż się uśmiecham. Żadna z kobiet ewidentnie mnie nie rozpoznaje, no ale przecież zwykle się spóźniam, włosy mam ściągnięte do tyłu, a na nogach kalosze i kraciaste spodnie od piżamy. Nic dziwnego, że z rozpuszczonymi włosami i w dżinsach nie poznają we mnie matki jednego z uczniów.

– Czekam tylko na Jamiego. Jamiego Clarke’a. – Uśmiecham się i szukam w kieszeni płaszcza telefonu. Spoglądam na godzinę i blednę. – Oj. – Jest druga po południu. Lekcje kończą się dopiero o trzeciej. Przyszłam nie tyle za wcześnie, ile o kompletnie niewłaściwej porze. Nic dziwnego, że panie z recepcji się zaniepokoiły. – Strasznie przepraszam. – Kręcę głową. – Kompletnie pomieszał mi się czas. Nie chciałam nikogo niepokoić. Wrócę za godzinę. Przepraszam.

I nagle już się nie uśmiecham, tylko walczę ze łzami zażenowania, przez co jeszcze bardziej chce mi się płakać. Przecież zwyczajnie pomyliła mi się godzina. Spojrzałam na zegarek na kominku w salonie i przeczytałam „druga trzydzieści” zamiast „pierwsza trzydzieści”. Prosta pomyłka. Nikomu nie stała się żadna krzywda, ale ja mam wrażenie,

jakby to było coś ważnego. Po tym wszystkim, co się wydarzyło w zeszłym tygodniu i w weekend... tak, mam wrażenie, jakby to było coś bardzo ważnego.

– Lepiej przyjść o godzinę za wcześnie niż za późno. – Śmieję się, ale brzmi to jak zduszony kaszel, i kiedy się podnoszę, kobieta odskakuje ode mnie, jakbym była zbiegłą pacjentką szpitala psychiatrycznego.

Szybko wychodzę za bramę szkoły z powrotem w alejkę.

Kobieta woła coś za mną, ale ja przyspieszam kroku. Wiatr studzi moją rozgrzaną twarz i gorące łzy spływające po policzkach. Nie wiem, kim jest ta kobieta, ale kiedy wrócę odebrać Jamiego, porozmawiam z jego nauczycielką. Ona przekaże jej moje przeprosiny.

W kieszeni wibruje mi komórka, a kiedy spoglądam na ekran, widzę na nim imię Shelley. Waham się. Chcę odebrać i opowiedzieć jej, jaką idiotkę z siebie zrobiłam. Wiem, że odpowie na to czymś śmiesznym, żeby mnie rozbawić. Ale nadal nie jestem pewna, czy mogę jej ufać.

Potem przypominam sobie jej szeroki uśmiech, kiedy wpadła do mojego domu z wiaderkiem KFC i wcześniej, gdy zajęła się Jamie, bo ja nie byłam w stanie tego zrobić. Shelley to moja przyjaciółka – powtarzam sobie, wciskając odbierz.

– Cześć, Tess – rozbrzmiewa jej głos w moim uchu.

– Cześć. – Przechodzę przez drogę i ruszam alejką, trzymając się jak najbliżej żywopłotu.

– Chyba jesteś na dworze, prawda? – pyta Shelley. – Możesz teraz rozmawiać?

– Tak. Wyszłam tylko... na spacer – mówię. Nie jestem pewna, dlaczego nie opowiadam jej o tym, co się przed chwilą stało. Pewnie dlatego, że za bardzo mi wstyd.

– O, jak miło. A ja od rana tkwię w biurze – odpowiada Shelley. – Jak się czujesz? Miałam zadzwonić do ciebie wczoraj, ale... no cóż, sytuacja z Timem ma się kiepsko. Wczoraj się wyprowadził.

– Shelley, strasznie mi przykro. Mogłaś do mnie zadzwonić.

– Wiem, dzięki, ale i tak masz już dość problemów na głowie, a poza tym nic mi nie jest, serio. Chyba od dawna się na to zapowiadało. Ale słuchaj, u ciebie wszystko gra? Nic się już nie działo po tamtym wieczorze? Bo kiedy przyjechała policja, tak jakby się wyłączyłaś. Chyba byłaś w szoku.

– Nie, wszystko gra. Nic mi nie jest.

– To dobrze – wzdycha Shelley. – Ulżyło mi. W każdym razie zastanawiałam się, jakie masz plany na wielkanocny weekend. Podobno ma być ładna pogoda.

– Tak? Sama jeszcze nie wiem, nie myślałam o tym.

– Może wpadłabym w sobotę i coś byśmy razem porobiły? Nawet jeśli miałybyśmy tylko siedzieć w ogrodzie i opychać się czekoladą?

Uśmiecham się i już mam jej odpowiedzieć, że Jamie byłby zachwycony, kiedy nagle słyszę coś w zaroślach przed sobą; stłumione kasznięcie i szelest liści. Wstrzymuję oddech, strzelam oczami w jedną i w drugą stronę. Nikogo nie widzę, ale w alejce jest mnóstwo zakątków, gdzie można się usunąć z widoku.

– Tess, jesteś tam? – piszczy Shelley.

Teraz, kiedy wsłuchuję się w milczący pejzaż, jej głos wydaje mi się zbyt donośny.

– Tak, przepraszam – odpowiadam szeptem. – Byłoby super. Muszę kończyć. – Rozłączam się i przyspieszam kroku, ale nie wypuszczam telefonu z ręki.

Ktoś mnie obserwuje. Mięśnie w moich nogach się napinają, a oczy otwierają szeroko pomimo jaskrawego blasku słońca. Zastygam i czekam, modląc się, żeby przez drogę przemknął jakiś ptak albo królik, bo mogłabym roześmiać się ze swojego strachu i ruszyć dalej. Tylko że wtedy na drodze pojawia się nie ptak, a człowiek, który ścigał mnie w Manningtree.

Jest przede mną, na ścieżce naprzeciwko domu, tej, na której w dzieciństwie spadłeś z roweru i została ci blizna na brodzie. Ja stoję jakieś pięćdziesiąt metrów dalej w alejce – nie ma szans, żebym dobiegła przed nim do drzwi. Moje usta wypełniają się śliną. Przełykam z wysiłkiem.

Mężczyzna wychodzi na drogę i odwraca się w moją stronę. Ma na sobie takie same ubrania jak poprzednio: ciemną bluzę z kapturem i czarne dżinsy. Ale tym razem jest bez czapki i nie chowa się w cieniu, wyraźnie więc widzę jego twarz. Ma bladą skórę i worki pod małymi, czujnymi oczami. Jego nos i usta też są wąskie, wszystko na jego twarzy wydaje się za małe. Włosy mężczyzny są czarne, przerzedzone, a budowa drobna. Ten człowiek w niczym nie przypomina nabitego mięśniaka, którego sobie wyobrażałam, kiedy po raz pierwszy usłyszałam jego głos w automatycznej sekretarce – ale to nie umniejsza przerażenia, które przeżera moje wnętrze.

Nie wiem, jak długo tak stoimy – ja jak wrośnięta w ziemię, modląc się o to, żeby zza zakrętu wytoczył się jakiś traktor i rozjechał faceta na miazgę, on cierpliwie, czekając na nieunikniony ciąg dalszy. Nie mam dokąd uciekać, co najwyżej z powrotem alejką. Jak daleko zdołam dotrzeć, zanim mnie dogoni?

Mężczyzna uśmiecha się, jakby czytał w moich myślach. Otwiera usta, a we mnie zamiera nawet oddech. Czekam, aż nieznajomy zacznie wykrzykiwać w moją stronę groźby. Zaczyna coś mówić, ale jego słowa zagłusza pulsująca mi w uszach krew. Nagle mężczyzna urywa i się odwraca. W alejce za nim coś się rusza. Ale to nie traktor – tylko rowerzysta w stroju z czerwonej lycry.

Mężczyzna odskakuje na bok w tym samym momencie, kiedy rowerzysta gwałtownie skręca kierownicą, i wpadają na siebie. Obaj zbierają się z asfaltu, mówiąc do siebie ze złością, ale ja nie słucham.

Odwracam się i pędzę z powrotem w kierunku szkoły. W żywopłocie po lewej stronie znajduje się luka, której nigdy dotąd nie zauważyłam. Wskakuję w nią bez namysłu. Ścieżka pod moimi stopami jest śliska od błota pozostałego po zeszłotygodniowych opadach, ślizgam się więc i skaczę, ale biegnę tak szybko, jak tylko pozwalają mi na to buty i nogi. Ścieżka skręca pod górę między dwa pola, pokryte równoległymi pasami głębokich bruzd w czarnej glebie. Spod ziemi przebijają pierwsze pędy zieleni, zapowiadające późniejszy plon.

Im dalej brnę, tym błoto robi się twardsze. Na szczycie wzgórza próbuję się obejrzeć, ale nagle poślizguję się i padam na ziemię tak mocno, że po moim kręgosłupie rozchodzi się ból. Przekręcam się na plecy i leżę przez chwilę na mokrej ziemi. Przymykam oczy i upewniam się, czy nic mi nie jest. Będę miała siniaki, co do tego nie ma wątpliwości. W dłoń wbił mi się maleńki ostry kamyk. Ale nic się nie połamało.

Kiedy siadam, żeby złapać oddech, alejka w dole wydaje mi się odległa i nigdzie nie widzę już tego człowieka. Jestem sama. Wstaję i tym razem ruszam ostrożnie, nadal po ścieżce, z powrotem do drogi i szkoły, gdzie wkrótce będzie na mnie czekał Jamie.

Mark, kim był ten mężczyzna? Czego on ode mnie chce?

Przypominam sobie jego twarz i małe, szurcze oczy, i znowu myślę o tym, jak bardzo odbiega on od stworzonego przeze mnie wizerunku właściciela głosu w telefonie. Tuż przed tym, jak zza zakrętu wychynął rowerzysta, ten mężczyzna coś do mnie powiedział i teraz, kiedy o tym myślę, jestem pewna, że brzmiało to: „Pani Clarke?”.

Nie Tess.

Nie Tessie.

Tylko pani Clarke.

Rozdział 44

Zapis rozmowy MIĘDZY ELLIOTEM SADLEREM (E.S.) A TERESĄ CLARKE (T.C.) (PACJENTKĄ SZPITALA OAKLANDS, ODDZIAŁ HARTFIELD), WTOREK 11 KWIETNIA. SESJA 2 (cd.)

E.S.: Te telefony z pogrózkami...

T.C.: Co z nimi?

E.S.: Ktoś panią śledził. Wierzy pani, że ktoś był w jej domu pod pani nieobecność. A do tego jakiś mężczyzna dzwonił do pani i wygrażał, że panią skrzywdzi, jeśli nie dostanie tego, czego chce...

T.C.: I Jamiego. Jemu też groził.

E.S.: Rozumiem. A mimo to nadal uważa pani, że za tym wszystkim stoi Shelley.

T.C.: Bo to ona. Mówię panu, że jest w to jakoś zamieszana. Powinnam była to przewidzieć. Ona... (pauza) ona mi czegoś dosypała. Dwa razy. Chyba jakieś tabletki nasenne. Myślę, że chciała się mnie pozbyć, żeby mogła spędzić trochę czasu z Jamie.

E.S.: Dlaczego nadal się z nią pani zadawała, skoro podejrzewała pani, że coś jest nie tak?

T.C.: Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Miałam swoje podejrzania, ale za każdym razem, kiedy zaczynałam o tym myśleć, działo się coś innego albo Shelley akurat przypadkiem mówiła dokładnie to, co musiałam usłyszeć, i wmawiałam sobie, że się pomyliłam. Ona nas oczarowała. Wykorzystywała sympatię Jamiego, żeby dostać to, czego chciała. Wiedziała, że dla niego

zrobiłabym wszystko. A on uwielbiał spędzać z nią czas. Shelley jest bardzo dobra w taką grę piłkarską na konsoli, za którą Jamie przepada. Ona chce Jamiego, a Ian chce pieniędzy. Jeśli ma pan mój notes, to sam pan może to sprawdzić. Wszystko rozgryzłam. Odpowiedź jest w moim notesie.

E.S.: Dlaczego po prostu mi pani tego nie powie?

T.C.: Nie mogę pozbierać myśli. Właśnie dlatego wszystko sobie zapisywałam. Co robicie, żeby odnaleźć Jamiego? Proszę mi dokładnie powiedzieć, panie inspektorze, krok po kroku. Gdzie byli wszyscy pana ludzie? Z kim rozmawiali?

E.S.: Badamy wszystkie poszlaki. Czy zna pani człowieka, który nazywa się Richard Welkin?

T.C.: *(kiwa głową)*

Rozdział 45

Piątek, 30 marca – 9 dni do urodzin Jamiego

Znad północnego Atlantyku nadchodzi huragan. Huragan Bethany. Niedługo uderzy w Szkocję i Irlandię Północną. Nie dotrze aż na południowy wschód, ale mocne wiatry spychają nad resztę Anglii ciepły front. Nikt się nie spodziewał, że w Wielki Piątek, pierwszy dzień przerwy wielkanocnej, będziemy mieli błogie dwadzieścia sześć stopni.

Wracamy z wioskowego placu zabaw. Człapię alejką w swoich starych klapkach birkenstockach. Temperatura przywodzi mi na myśl tamten pierwszy sierpień z Jamiem, kiedy miał cztery miesiące. Prawie każdy dzień spędzaliśmy w parku na kocu z innymi mamami z osiedla, jedząc kiełbaski zapiekane w cieście i pijąc lepką pepsi, która w słońcu robiła się ciepła i odgazowana.

Pepsi, tak? A ja myślałem, że prosecco.

Tylko czasami.

Kiedy wracałeś do domu, wypijaliśmy razem butelkę chłodnego białego wina i wystawialiśmy kuchenne krzesła do ogrodu, żeby pomoczyć stopy w baseniku Jamiego.

Ja pamiętam bardziej wysypki od pieluszek i ząbkowanie.

Wiem, ja też to pamiętam, ale ta nietypowa ciepła pogoda przypomina mi o starych, dobrych czasach.

Nawet pobraliśmy się w jeden z takich upalnych dni, prawda?

Zgadza się. Widzisz? Mieliśmy prawdziwą idyllę.

Zastanawiam się, czy mamy z Chelmsford spotkają się w ten weekend w parku i czy powinnam się tam wybrać z Jamiem. Casey i Jo, Lisa i Julie, i Debbie, o ile nie pracowała – myślałam, że to moje

przyjaciółki. Ale od wyjazdu z Chelmsford widziałam je tylko raz – na twoim pogrzebie.

Nie chciało im się cię odwiedzić.

To nie fair. Starają się podtrzymać kontakt. Prawie codziennie dostawałam wiadomości od którejś z nich z pytaniem, czy wszystko w porządku i czy nie mam ochoty zajrzeć do Chelmsford na lunch albo kolację albo czy czuję się na siłach, żeby przyjąć gości u siebie.

Nie odpowiadałam. Czasami wydaje mi się, że nasza przyjaźń wynikała tylko z tego, że miałyśmy małe dzieci i mieszkaliśmy w tym samym miejscu. Więc one dalej będą się przyjaźnić, beze mnie. Inne kobiety będą się tam pojawiać i odchodzić – moje miejsce zajmie ktoś, kto mieszka bliżej.

Jeśli pojedę się z nimi zobaczyć, będą chciały rozmawiać o tobie, a na to nie mam ochoty. Może spytają, dlaczego nie przeniosę się z powrotem do Chelmsford, ale nie umiałabym odpowiedzieć. Oczywiście zastanawiałam się nad tym. Miałabym bliżej do mamy, odzyskałabym przyjaciółki, łatwiej byłoby mi znaleźć uczniów na korepetycje, kiedy i jeśli zdecyduję się do tego wrócić, a Jamie na pewno zdołałby się na powrót oswoić z dawną szkołą.

Ale on jest tutaj szczęśliwy. Uwielbia ten dom i ogród, i nową podstawówkę – rankami nie muszę już w kółko upominać go i targować się z nim, żeby włożył mundurek. Mam wrażenie, że na powrót do szkoły po przerwie świątecznej cieszy się tak samo jak na swoje urodziny.

Ale chciałabym zrobić w ten weekend coś fajnego, coś normalnego. Muszę się wyrwać z domu. Podskakuję na każdy trzask podłogi i nie jestem w stanie odbierać telefonu ze strachu, że to on. Za każdym razem, kiedy ktoś do mnie dzwoni, wrastam w podłogę i nie mogę oddychać.

Właśnie dlatego zrobiliśmy sobie dziś wycieczkę na plac zabaw i łąkę za nowym osiedlem. Jamie liczył na to, że wpadnie tam na kolegę ze szkoły, ale nikogo nie było, wracamy więc do domu, żeby mógł się pobawić w domku na drzewie. Przed feriami powinnam była umówić się z jakimiś rodzicami, żeby dzieci mogły się spotkać, ale wypadło mi to z głowy, a teraz jest już za późno. Po świętach postaram się częściej być w szkole na czas i rozmawiać z innymi mamami. Postaram się być bardziej normalna, dla Jamiego.

Żywopłot przy alejce przycięto. Na asfalcie leżą resztki gałązek i liście pokrzyw. Przeskakuję nad nimi, żeby nie poparzyć sobie gołych stóp. Mija nas rozklekotane stare kombi i schodzę z Jamiem na pobocze, wdzięczna temu, kto poprzycinał krzaki, za dodatkową przestrzeń.

Jamie przez kilka ostatnich dni niewiele się odzywał, ale ładna pogoda obojgu nam poprawiła nastroje. Jest milczący, lecz nie naburmuszony. Co najwyżej zamyślony. Kiedy mija nas kolejny samochód, wypełniając moje nozdrza oparami oleju napędowego, czuję wyłącznie irytację. Nie prześladowuje mnie dziś ów nagły skok adrenaliny, ta myśl, że może by tak rzucić się pod koła. Czy jutro wrócą? Nie wiem, ale na razie rozkoszuję się krótkim przedsmakiem lata, który huragan Bethany przyniósł do wioski. W ten weekend w powietrzu nie będzie się unosił zapach żadnych ognisk, tylko grilla.

– Za kilka dni ma być wielka burza – mówię do Jamiego, kiedy dochodzimy na podwórko. – Końcówka huraganu. A potem temperatura znowu ma spaść i wrócimy do chłodnej wiosny.

W odpowiedzi Jamie wzrusza ramionami, nogi kieruje już w stronę domku na drzewie.

– Może pojedziemy jutro na plażę do Frinton, jeśli będzie ciepło?

Jamie spogląda na mnie z uśmiechem w wielkich błękitnych oczach. Napiera językiem na ruszający się ząb, sprawdzając, jak mocno może go

docisnąć, i zastanawia się nad propozycją. Potem kiwa głową i odbiega po trawniku.

Patrzę, jak znika, i nagle czuję się bardzo samotna. Pospiesznie obchodzę dom i siadam na trawie, słuchając, jak Jamie rozmawia sam ze sobą. Nie chcę siedzieć w pojedynkę w salonie i nie chcę, żeby Jamie przebywał sam w ogrodzie.

Jutrzejszy wypad obojgu nam dobrze zrobi.

Rozdział 46

Sobota, 31 marca – 8 dni do urodzin Jamiego

Pogoda jest cudowna. Kiedy się budzimy, słońce świeci jasno, a niebo jest czyste. Wygrzebanie z garażu torby z rzeczami na plażę – wiaderkami i łopatkami – trwa prawie godzinę. I Jamie, i ja ubieramy się w spłowiałe letnie ubrania z zeszłego roku – on w czerwoną koszulkę i dżinsowe szorty, ja w sukienkę z supermarketu, na ramiączkach, które ciągle mi się zsuwają.

Resztki piasku z ostatnich wakacji szeleszczą w torbie, kiedy wrzucam ją do bagażnika, i nagle czuję ból, pustkę, której nie umiem wypełnić. W zeszłym roku pojechaliśmy na plażę razem. Całą trójką, jako rodzina.

Założę się, że chodzi ci o tamten dzień, kiedy wybraliśmy się w odwiedziny do twojej mamy.

Pewnie tak, ale nie chcę dziś o tym myśleć, ani nawet o tobie. Robię głęboki wdech i zmuszam się, żeby odsunąć smutek. Przygotowałam na plażę koszyk piknikowy z ulubionymi przysmakami Jamiego: mam kanapki z dżemem, lukrowane herbatniki i chrupki Monster Munch. Pamiętałam też o jednofuntowych monetach do parkomatu i na lody, żebyśmy nie musieli chodzić kilometr do najbliższego bankomatu. Na śniadanie usmażyłam naleśniki i nie upuściłam ich na podłogę. Samochód jest zapakowany, gotowy do drogi. Dzisiaj chcę stworzyć nowe wspomnienie. I to miłe.

Już mamy odjechać, kiedy na podwórku pojawia się białe mini.

– Shelley! – woła z radością Jamie. Macha jej z tylnego siedzenia.

Shelley uśmiecha się szeroko i odpowiada tym samym, a ja czuję, jakby ktoś położył mi na piersi kamień. Zapomniałam, że się z nią umówiłam. Shelley wyłącza silnik i wyskakuje z auta, ubrana w białe

bawełniane szorty i żółtą koszulkę. Jej nogi lśnią od delikatnej opalenizny, nie widać na nich żadnych rozstępów ani przebarwień jak na moich.

Na jej widok myślę o notesie i jej imieniu zapisanym w nim raz za razem. Myślę o guziku, który znalazłam pod drzewem, i gorącej czekoladzie, którą koniecznie sama chciała przyrządzić, o pełnych nienawiści oczach patrzących na mnie w pokoju Jamiego i o kołysance, którą sama wciąż mimowolnie nuce.

Wszystko to przelatuje mi przed oczami – szybkie migawki czegoś, co pozostaje tuż poza moim zasięgiem, ale cokolwiek to może być, nie wystarcza, żeby przeważać ulgę, jaka mnie ogarnia na widok Shelley. Ulgę i ciepło wywołane tym, że do mnie przyjechała, że się dla niej liczę – że dla kogoś się liczę.

Spuszczam szybę, gaszę silnik i się uśmiecham.

– Cześć.

– Wybieram się na basen i pomyślałam, że wpadnę i spytam, czy nie chciałabyś popływać, ale chyba masz już plany. – Nachyla się bliżej, a kiedy spoglądam w boczne lusterko, widzę, jak Jamie robi do niej śmieszoną minę.

– Jedziemy do Frinton – oświadczam takim tonem, jakby chodziło o Hawaje. – Mam wiaderka, łopatkę i jedzenie.

Shelley wygląda na zaskoczoną, ale potem uśmiecha się promiennie.

– Świetna myśl! – woła i biegnie z powrotem do swojego samochodu.
– Pojadę za tobą.

Mam ochotę krzyknąć, że przepraszam, że zapomniałam o naszych planach, ale dzisiaj jedziemy z Jamiem tylko we dwoje, to nasz dzień, nasze nowe wspomnienie. Lecz Shelley wskakuje już do auta, a Jamie na tylnym siedzeniu krzyczy z radości tak, że cały samochód się trzęsie.

Na pewno i tak będzie miło – mówię sobie w myślach, tłumiąc rozczarowanie, od którego wszystko w moim żołądku kwaśnieje. Tak

czy owak jedziemy na plażę, a Jamie się cieszy – przecież o to właśnie mi chodziło.

Ciepła bryza napływa znad morza i unosi włoski na moim karku, kiedy razem z Shelley znosimy jedzenie i torbę z rzeczami po nierównych betonowych schodkach na plażę. Czuję sól w powietrzu; to zapach plaży i mojego dzieciństwa. Pod pachą trzymam ręczniki plażowe, które w każdej chwili mogą mi wypaść. Targam całą masę rzeczy i nie mogę się doczekać, aż pozbędę się balastu.

– Naprawdę myślisz, że przyda nam się zestaw do krykieta i rakietki tenisowe? – pyta Shelley.

Śmieję się i nadstawiam twarz do słońca.

– Wybacz, po prostu zawsze zabieram na plażę tę torbę. Nigdy nie zaglądam do środka, żeby sprawdzić, co się przyda, a co nie. Łapię ją i już. Pewnie nadal jest w niej dmuchane koło, w którym Jamie pływał jako maluszek.

Odplyw pozostawił za sobą długą połąć miękkiego żółtego piasku, który ciemnieje przy skraju wody. Nie ma jeszcze dziesiątej i na plaży jest spokojnie, gdzieś siedzi tylko kilka rodzin, a spacerujący z psami rzucają swoim pupilom patyki i piłki do wody.

Znajdujemy puste miejsce pomiędzy dwoma falochronami. Grodzie z ciemnego drewna wychodzą daleko w morze – dzięki nim czuję się tak, jakby ta plaża, ten spłachetek piasku, należała tylko i wyłącznie do nas. Wrażenie to nie trwa długo: nim kończymy rozkładać ręczniki, kolejne dwie rodziny zajmują miejsca w pobliżu.

Jedna z nich przyszła z chłopczykiem mniej więcej w wieku Jamiego. Nie zdążam nawet wyjąć wiaderka i łopatek, kiedy mój synek zrzuca buty i razem z obcym chłopcem zaczyna biegać po piasku za jego piłką.

Kiedy patrzę, jaki jest już duży, ogarnia mnie obawa, że ta przepaść we mnie może się znowu otworzyć. Jeszcze w zeszłe wakacje, czy

choćby kilka miesięcy temu, Jamie nie odbiegłby tak daleko ode mnie. To kolejny dowód na to, że życie w wiosce bardzo mu służy. Nagle cieszę się, że jest z nami Shelley, że mam kogoś, z kim mogę porozmawiać, kiedy Jamie bawi się z nowym kolegą.

– Pewnie jeszcze za wcześnie na drugie śniadanie? – pyta Shelley z ręcznika obok. Kładzie dłonie na swoim płaskim brzuchu i odchyła głowę do tyłu. Jej lśniące włosy w jasnym słońcu wydają się białe. – Myślałam, że będę pływać, więc nie jadłam śniadania.

– To może lukrowanego herbatnika? – Grzebię w przenośnej chłodziarce i wyciągam wąską niebieską paczkę z ciastkami.

– Boże, Tess. To były kiedyś moje najulubieńsze ciastka na świecie. – Shelley śmieje się i rozdziera opakowanie, a potem przygląda się różnokolorowym pierścieniom, jakby wybierała luksusowy deser, a nie zwykłe cukrowe ciastko z dziurą pośrodku.

– Co tam jeszcze masz?

– Monster munches o smaku cebulowym i kanapki z dżemem.

Shelley odrzuca głowę w tył i jej gromki śmiech niesie się po piasku aż nad wodę.

– Tess, chyba zaraz padnę!

Uśmiecham się i oglądam na syna, zastanawiając się, czy chce ciastko. Piłka poszła w niepamięć. Jamie klęczy teraz w mokrym piasku przy brzegu razem z tamtym chłopcem i jakąś dziewczynką, pewnie jego siostrą. Trzy główki nachylają się w skupieniu – dzieci chyba kopią między kałużami morskiej wody, tworzą skomplikowany labirynt kanałów. Jamie wybiera piasek rękami. Opanowuję odruch, żeby zanieść mu łopatkę albo krzyknąć, że może ją wziąć. Byłby zły, że się wtrącam.

Siedzimy razem z Shelley w przyjaznym milczeniu i wypatrujemy wolno zbliżającego się przypiływu.

– Jak się czujesz po separacji z Timem? – pytam.

Shelley wzdycha.

– Chyba nieźle. Od lat prawie nie spędzaliśmy ze sobą czasu. Tak przywykłam do samotności, że w ogóle nie mam wrażenia, jakby cokolwiek się zmieniło. Doszliśmy do punktu, w którym przestaliśmy nawet obchodzić Boże Narodzenie i Wielkanoc. To było po prostu za trudne, wiesz? Ale mimo to wysłałam mu dzisiaj wiadomość, żeby sprawdzić, czy wszystko gra. Na pewno kiedyś zacznę się wściekać o ten jego romans, lecz w tej chwili jest mi to obojętne. Może jestem w szoku, że po tym wszystkim, co przeżyliśmy, mógł mi zrobić coś takiego, ale mam wrażenie, że to był ten ostatni krok, którego potrzebowaliśmy, żeby się rozstać.

Kiwam głową i wpatruję się w rytmiczny ruch fal. Mark, każdy dzień bez ciebie jest trudny i wiem, że Boże Narodzenie będzie jeszcze trudniejsze, ale i tak uczymy je jakoś z Jamiem – na pewno.

– Masz ochotę popływać? – pyta Shelley, unosząc okulary przeciwsłoneczne i poruszając brwiami.

Wybucham śmiechem.

– Oszalałaś? Woda jest pewnie lodowata.

– Dobrze ci to zrobi.

Shelley wstaje, zsuwa szorty i zdejmuję koszulkę. Ma na sobie prosty czarny kostium, który podkreśla wcięcie w talii i krągłości. Ja pod sukienką jestem ubrana w stary dwuczęściowy kostium z koszulkową górą. Majtki się rozciągnęły i czuję, jak spadają mi z pupy.

Krzywię się i zaczynam kręcić głową, ale wtedy przybiega Jamie i wyciąga z torby okulary pływackie. Rozbiera się do kąpielówek, szczerząc się do Shelley.

– Mamo, chodź! – piszczy, pędząc do wody.

Chce, żebym przy nim była. Zalewa mnie fala miłości. No dobrze, czemu nie? Przecież nie będzie mi zimniej niż przez te wszystkie miesiące, kiedy czułam w sobie lód.

Nowe wspomnienia – powtarzam sobie w myślach, rzucając sukienkę na piach i biegnąc za Jamiem i Shelley. Morska woda parzy moją skórę zimnem. Zanim zagłębiam się choćby do kolan, drętwieją mi stopy. Przystaję, gotowa zawrócić, ale Jamie wskoczył już po szyję, a tuż przed nim jest Shelley i przebiera nad głową długimi, gładkimi pociągnięciami ramion. Brnę więc dalej, aż lodowate fale liżą mi skórę przy pępku.

No dalej, Tessie. Przypomnij sobie, jaka kiedyś byłaś.

Zanurzam się naraz, prawie płacząc z szoku. Łzy kłują mnie w kąciki oczu, ale kopię nogami z całej siły i płynę dalej, aż moje ciało i umysł drętwieją i nie czuję już zimna.

– Mówiłam, że dobrze ci to zrobi – śmieje się Shelley, podpływając do mnie.

Kręcę głową; zęby tak mi szczękają, że nie mogę mówić.

Plaża wydaje się teraz bardzo odległa. Jamie nie zapuścił się tak daleko jak my. Skacze tylko przez fale, a jego krzyki i śmiech niosą się na wietrze.

Zmuszam się, żeby popłynąć kraulem za Shelley, kreśląc ramionami długie łuki. Na pewno nie wyglądam tak elegancko jak ona, ale ruch sprawia mi przyjemność. Pływamy pomiędzy falochronami przy plaży, w jedną i w drugą stronę. Co drugie pociągnięcie obracam głowę na bok i widzę Jamiego, jak pluszcze się w falach. Ręce szybko mi się męczą i zaczynam zwalniać, robię coraz dłuższe przerwy między każdym pociągnięciem a obrotem głowy.

Aż nagle Jamie znika.

Staję. Łyk słonej wody wpada mi do ust, tak że nie mogę krzyknąć. Rozglądam się po kąpielisku i plaży, ale Jamiego nigdzie nie ma.

Gdzie on się podział? Pytanie zwała się na mnie, jakby woda wyciskała ze mnie powietrze. Rzucam się do przodu, zmuszając ręce i nogi do pracy. Odretwiające zimno sprawia, że każdy rozpaczliwy ruch wydaje mi się ociężały, ale mimo to przebieram nogami z całej siły,

spoglądając co chwila w lewo i modląc się, żeby jasna główka Jamiego pokazała się wreszcie nad wodą. Nic jednak nie widzę.

Docieram do miejsca, gdzie go ostatnio widziałam, i staję. Woda nie jest tu tak głęboka, jak mi się wydawało. Sięga mi tylko do kolan. Obracam się wkoło i szukam, czując między palcami u stóp miękki, błotnisty piasek.

– Tess?! – woła Shelley.

Nagle kątem oka zauważam Jamiego na piasku i czuję, jak opada ze mnie ciężar. Znowu mogę oddychać. Jamie musiał wybiec z wody, kiedy nie patrzyłam. Wracam na plażę, trzęsąc się, kiedy ciepłe powietrze łaskocze moją skórę.

– W porządku? – pyta Shelley.

Uśmiecham się i kręcę głową.

– Tak, przepraszam. Wydawało mi się, że... ale to już nieważne. Chodźmy coś zjeść.

Rozdział 47

Wczesnym popołudniem labirynt kanałów zbudowany przez Jamiego i jego nowych kolegów znika pożarty przez morze, a nad naszymi głowami pojawiają się mgliste szarżółte chmury. Nadal jest ciepło, ale słońce otacza teraz dziwny różowawy pierścień. Niebo wygląda jakoś nie tak i nie mogę się powstrzymać przed ciągłym spoglądaniem w górę.

Shelley podąża za moim wzrokiem.

– Podobno to przez piasek z Sahary.

– Ale co?

– To żółte niebo. To piasek przywiany przez huragan. Wygląda trochę apokaliptycznie.

Kiwam głową, lecz nie odpowiadam. Ja też mam takie wrażenie. Poczucie, że coś się zbliża – nie jakaś katastrofa, ale rozwiązanie, odpowiedź. Kartki w moim notesie się zapełniają. Moje osobiste tajemnicze tropy. Dokąd mnie zaprowadzą? Wyczuwam w pobliżu odpowiedź; jest jak słowo, które mam na końcu języka.

Tamta dwójka dzieci i ich rodzice zaczynają się zbierać, więc Jamie przybiega do mnie i klapie na pupę pod moimi nogami. Jego potargana strzecha loków jest o odcień ciemniejsza niż zwykle; to przez zaschnięty piach i sól. Syn uśmiecha się od ucha do ucha, a kiedy spoglądam w jego kryształowo czyste błękitne oczy, widzę, że między nami wszystko będzie dobrze. Nadal czekają nas radosne chwile. Bez ciebie, Mark, nie będzie tak samo, ale nasze życie się nie skończy.

Jamie podnosi stopę i niszczy zamek, który zrobiłam. Śmieje się. Ja też.

– Chyba zniesiemy do domu z pół plaży – mówię, wyciągając rękę, żeby otrzepać z jego nóg suchy piasek.

Jamie wzrusza ramionami. Odwracam się do Shelley i widzę, że wpatruje się we mnie szeroko otwartymi oczami. Jest tak blada, że zastanawiam się, czy dobrze się czuje. Spogląda na Jamiego i z powrotem na mnie. Jamie wystawia język i robi śmieszoną minę, ale Shelley już się nie uśmiecha, nie wygłupia. Wygląda na poruszoną.

– Na pewno bardzo za nim tęsknisz – mówię, myśląc o synku, którego straciła.

Nigdy nie przyszło mi do głowy, że musi jej być ciężko, kiedy patrzy na mnie i Jamiego. Czuję ukłucie wyrzutów sumienia.

– Co? – Shelley mruga i przez sekundę spogląda na mojego synka, po czym znowu na mnie. – A... tak, codziennie. – Przetyka ślinę i w jej oczach błyszczą łzy.

– Oczywiście, przepraszam. Głupio powiedziałam.

– Wcale nie. – Shelley kręci głową i się uśmiecha.

Smutek z niej opada i znowu widzę przed sobą tę kobietę o szerokim uśmiechu, która przed kilkoma tygodniami stała w moich drzwiach.

– A ty jak się czujesz, Tess? Wszystko gra?

– Mhm – przytakuję. – Chyba tak.

Mam wrażenie, jakby w jej pytaniu krył się głębszy sens, którego nie potrafię odczytać. Milknę i myślę o groźnym głosie w telefonie, o człowieku w alejce, o tajnym projekcie, o tym kimś w ogrodzie, o włamaniu do mojego domu, o obserwujących mnie oczach, o pożyczce od Iana, o której mi nie powiedziałaś. O wskazówkach i pytaniach, na które odpowiedzi są już tak blisko. Przypominam sobie dni, kiedy nie byłam w stanie podnieść się z łóżka i które całe przeplakałam. Myślę o Jamiem siedzącym przy mnie na piasku i wspaiałym dniu, jaki właśnie spędziliśmy.

– Chyba nadal jestem trochę roztrzęsiona po tamtej nocy, ale dochodzę do siebie. Tak jak mówiłaś: mam lepsze i gorsze chwile –

– dodaję, spoglądając na morze, które wydaje się teraz ciemne, niemal czarne. – Zaczęłam załatwiać sprawy finansowe.

– To dobrze.

Shelley patrzy teraz na Jamiego i po jej minie widzę wyraźnie, że wspomina Dylana. Przeczesuję palcami piasek, myśląc o jej synu i jej marzeniu, aby znowu być matką. Te myśli wytrącają mnie z równowagi; podnoszę się nagle, akurat w momencie, kiedy podmuch wiatru opryskuje nas słoną wodą. Morze pełźnie wolno po plaży. Miejsce, gdzie wcześniej siedziała tamta rodzina, jest już pod wodą. Widzę podskakującą na falach zapomnianą łopatkę.

– Lepiej się zbierajmy – mruczę, wrzucając nasze rzeczy do torby i rozglądając się za klapkami.

Pogoda szybko się zmienia. Zanim udaje nam się spakować i wrócić do samochodów, niebo jest już ciemne jak w nocy, a w otwarte drzwi auta wali silny wiatr. Jamie siedzi na tylnym siedzeniu, oczy ma półprzymknięte.

– Dzięki za ten dzień – mówi Shelley.

– Cieszę się, że z nami przyjechałaś. Fajnie było. Na pewno nieprędko zapomnę tę kąpiel.

Shelley się uśmiecha, ale w jej twarzy widać coś dziwnego i zastanawiam się, czy nadal myśli o Dylanie.

– Tess?

– No?

Z nieba zaczynają lecieć duże krople deszczu.

– Lepiej już jedźmy. Zadzwoń do ciebie później! – krzyczę ponad przetaczającym się gromem. Wskakuję do samochodu i uruchamiam silnik, zanim przemoczy mnie deszcz, zanim Shelley zdąży powiedzieć to, co zamierzała.

Kiedy wyjeżdżamy z nadmorskiej drogi, Jamie już śpi. Po raz ostatni oglądam się na plażę. Ciemnozielone bałwany rozbijają się i pienią na falochronach. Trudno uwierzyć, że to to samo morze, w którym niedawno pływałam. Deszcz dzwoni o szybę, więc włączam światła i wycieraczki, a potem ruszam do domu.

Rozdział 48

Nie ma jeszcze czwartej po południu, ale kiedy dojeżdżamy na miejsce, niebo jest już czarne jak atrament od burzowych chmur. Jamie nadal śpi, jedyne, co słychać, to pisk wycieraczek na szybach i chrzęst opon na mokrej drodze.

Na myśl o ciemnym domu, pustych pokojach i dzwoniącym telefonie strach wiruje w moim żołądku jak skwaśniałe mleko. Czy na automatycznej sekretarce będzie na mnie czekał ten chrapliwy głos? Czy znowu poczuję ów dziwny zapach wody kolońskiej? Wzdrygam się i włączam migacz, żeby zjechać z A12 na wiejską drogę prowadzącą do naszej wioski.

Tak mnie pochłaniają rozmyślenia, że z początku nie słyszę nawet ryku silnika. Mam wrażenie, że terenówka pojawia się znikąd: ogromna bestia z metalową kratą na wysokości mojej tylnej szyby i z przyciemnianymi oknami, które wzbudzają we mnie obawę. Podjeżdża z tyłu, zupełnie jakby czekała na mnie przy zakręcie.

Wygląda jak land rover albo podobny rodzaj samochodu, ale jest za ciemno, więc nie mam pewności.

Wstrzymuję oddech. Panika zaciska wszystkie mięśnie w moim ciele i huczy mi w uszach. To on, jestem tego pewna. Ten człowiek w czapce z daszkiem, który mi groził. „Wiem o tobie wszystko, Tess”.

Mark, boję się.

Tessie, wszystko będzie dobrze, obiecuję.

Każda komórka mojego ciała błaga, żebym docisnęła pedał gazu i uciekła, ale nie mogę ulec narastającemu strachowi, przecież mam z tyłu Jamiego. Nachylam się więc do przodu i ściskam kierownicę, rozglądam się za jakimś innym samochodem albo kimś, kto mógłby mi pomóc, ale droga jest pusta.

Zwalniam, modląc się, żeby ta bestia za mną zjechała na drugi pas i pomknęła do przodu – proszę, niech to będzie tylko jakiś niecierpliwy palant, któremu się spieszy, niech się pomyle.

Ale nie. Terenówka też zwalnia, zmniejszając dystans pomiędzy moim bagażnikiem a swoją srebrną kratą, aż wreszcie jej ogromna masa wypełnia całą moją tylną szybę. Auto jest tak blisko za mną, że nawet nie widzę go w bocznych lusterkach.

Metalowy szkielet mojego samochodu drży od pomruku silnika terenówki i jestem pewna, że w którymś momencie tamten kierowca po prostu przycisnie pedał gazu i bez namysłu zepchnie nas z jezdni.

Zmienia światła z mijania na drogowe. Wnętrze mojego samochodu wypełnia jaskrawy blask dwóch jasnych jak słońce reflektorów. Rażą mnie w oczy i oślepiają, więc krzyczę cicho. Droga przede mną znika. Widzę tylko białe światło. Odwracam lusterko wsteczne, żeby odbicie nie raziło mnie w oczy.

Kurwa, kurwa, kurwa.

„Przecież nie chciałybyś, żeby coś się stało twojemu słodkiemu syneczkowi”.

Wpadam w histerię, w głowie mam pustkę, moja stopa dociska pedał gazu. Samochodzik wyje z wysiłku i szarpie do przodu, po czym przestawia się na większą prędkość i mknie po drodze. Terenówka nadal trzyma się tuż za mną, jej światła drogowe walą przez moją szybę, oświetlając jezdnię przede mną lepiej niż moje własne.

Nie zwracam uwagi na znak ostrzegający, żebym zwolniła – z przodu jest ostry zakręt – i za szybko skręcam w drogę do wioski. Koła ślizgają się po mokrym asfalcie, znosi mnie prosto pod nadjeżdżający z naprzeciwka samochód. Hamuję ostro, zaciskając oczy, i moje ciało szarpie się do przodu w pasie bezpieczeństwa. Silnik warczy i cichnie.

Powietrze przebija klakson, nie wiem, czy terenówki, czy tego samochodu z naprzeciwka. Otwieram oczy i mrugam w nagłym mroku.

Odwracam się i sprawdzam, czy Jamiemu nic się nie stało. On rozciera oczy, oszołomiony i rozespany, ale cały i zdrowy. Wpatruję się w czarne lusterko wsteczne. Terenówka zniknęła. Droga za mną jest pusta.

Samochód z przodu cofa się o metr, po czym manewruje obok mnie. Kiedy się ze mną zrównuje, prowadząca go kobieta opuszcza szybę. Już myślę, że chce sprawdzić, czy nic mi nie jest, ale ona krzyczy:

– Ty idiotko! Kilka sekund różnicy, a zabiłabyś nas obie!

Nie widzę wyraźnie przez łzy. Chcę powiedzieć tej kobiecie o potworze, który próbował zepchnąć mnie z jezdni, ale tylko poruszam niemo ustami i zanim mogę wydobyć z siebie głos, ona odjeżdża.

– Mamusiu, co się stało? – pyta Jamie. Jego głos jest dziecinny i zaspany, aż serce mnie boli.

– Nic, skarbie. Tylko się przestraszyłam. Jesteśmy już w wiosce, za chwilę będziemy w domu – odpowiadam, na powrót uruchamiając silnik i wolno ruszając w dalszą drogę.

Później, kiedy zmywamy z siebie piach, a Jamiego pochłania gra na konsoli, wybieram numer 0800 z twojej polisy na życie i mówię im, że nie żyjesz. To, co się wydarzyło w drodze do domu, było ostrzeżeniem.

Jeśli nie zdołam odnaleźć tego, czego chce tamten człowiek, może przyjmie w zamian pieniądze. Może sobie wziąć wszystko. Obchodzi mnie tylko bezpieczeństwo Jamiego.

Zapisuję w notesie datę i godzinę oraz informację:

„Goniła mnie terenówka. Land rover?”.

Przeoglądam poprzednie kartki, kiedy nagle moja komórka wibruje: przychodzi wiadomość. To Shelley: „Dojechałaś cała?”. Krew we mnie zastyga i przechodzi mnie dreszcz. Dwa słowa. Zatrokana przyjaciółka zadająca niewinne pytanie, tylko że... gdzie się podziała zwykła energia, emanująca z jej esemesów tak jak z niej samej? Gdzie słowa: „Dzięki za super dzień, padam z nóg!”?

Przypominam sobie twarz Shelley, kiedy patrzyła na plaży na mnie i Jamiego. Wydawało mi się wtedy, że to był smutek. Myślałam, że wspominała Dylana. Ale teraz, kiedy o tym myślę – czy to mogła być zazdrość?

Obok słów „land rover” zapisuję imię Shelley, po czym powoli łączę jedno i drugie strzałką.

Rozdział 49

Ian Clarke

W sobotę trzydziestego pierwszego byłem na imprezie ze znajomymi. To były czyjeś urodziny. Mówiłem już, że nie miałem żadnego powodu, by próbować zastraszyć Tess, a w tych okolicach wiele osób jeździ land roverami. Naprawdę uważam, że powinniście porozmawiać o tym z Shelley, a nie ze mną.

Shelley Lange

Jaka szkoda, że Tess nie wspomniała mi o tym wszystkim - o groźbach i tym samochodzie, który za nią jechał. Może wtedy wcześniej bym coś zrobiła i teraz nie musielibyśmy tu siedzieć.

Tamtego dnia na plaży zorientowałam się, że coś jest nie tak. Powinnam była od razu zadziałać, ale burza nadeszła tak szybko, a potem wmówiłam sobie, że tylko mi się wydawało. Sama zresztą też przechodziłam właśnie ciężki okres, co nie ułatwiało sprawy. Małżeństwo mi się sypało i nie byłam sobą. Prawda jest taka, że... - zabrzmiało to okropnie, ale byłam zazdrosna. Ciągle patrzyłam na ten magnes ze zdjęciem Jamiego i wyobrażałam sobie, że to Dylan, i czułam taką więź z nim i z Tess... ale nigdy nie chciałam, żeby komuś stała się jakakolwiek krzywda.

Rozdział 50

Niedziela, 1 kwietnia – 7 dni do urodzin Jamiego

Zgubiłam koszulkę FC Liverpoolu – tę, którą kupiliśmy Jamiemu na Boże Narodzenie. Kosztowała fortunę. Pamiętasz, jak nosił ją przez cały tydzień? Wieczorem, kiedy zasnął, musiałam ją wykraść z jego pokoju, żeby wyprać ją na następny dzień.

A teraz ją zgubiłam. Nie ma jej w koszu na pranie. Ani na sznurze z suszącymi się rzeczami. Jamie nie ma jej na sobie.

Wpatruję się w jego otwartą szafę i szperam w szufladach, ale nic nie znajduję. Może przypadkiem odłożyłam ją z własnymi rzeczami? Idę do naszego pokoju i otwieram drzwi szafy tak szeroko, że widzę nie tylko swoje topy i sukienki, których już nie noszę, ale i twoje rzeczy. Twoje garnitury, koszule i swetry, które wolałeś wieszać na wieszakach.

Gapię się na nie i nagle doznaję wrażenia, jakby nogi przyrosły mi do podłogi. Kiedyś będę musiała pozbyć się tych ubrań, ale jeszcze nie teraz.

Patrzę dalej, nie mogę oderwać oczu. Coś się nie zgadza. Na dnie szafy, gdzie trzymasz swoje buty spacerowe, jest puste miejsce. Widzę też pusty wieszak. Nie ma szarego swetra z irlandzkiej wełny, który kupiłam ci w listopadzie na urodziny.

Coś zatyka mi gardło. Opadam na dywan i wyszukuję w telefonie numer Shelley. Ciągle mam nadzieję, że się pomyliłam. Ale nie. Twoje buty i sweter nie mogą być w żadnym innym miejscu.

Shelley odbiera po dwóch sygnałach.

– Brałaś coś z naszego domu? – wypalam, zanim ma szansę zagadać mnie tak, że zacznę w sobie wątpić.

– Cześć, Tess. Co słyhać? – Jej głos brzmi wesoło, ale słyhać w nim fałszywą nutę. Jest za wysoki. – Właśnie o tobie myślałam. Wczoraj wieczorem nie odpisałaś na moją wiadomość.

– Brałaś coś z domu? – powtarzam, przypominając sobie jej esemesa i oślepiające światła land rovera.

– Co?

– Dużo u nas bywasz i zastanawiam się, czy może czegoś nie wzięłaś.

– Mój ton łagodnie mimo napięcia w gardle. Odwaga mnie zawodzi.

– Tess, co się dzieje?

Próbuję przełknąć płacz, ale nie mogę.

– W domu zaczęły ginąć rzeczy.

Na chwilę zapada cisza, a potem Shelley pyta:

– Jakie rzeczy? – Jej głos jest pełen wahania.

– Drobiazgi.

Przesuwam palcami po gładkiej bawełnie jednej z twoich koszul, po czym zbieram się z podłogi i przechodzę do twojego gabinetu, żeby wyrzeć przez okno na Jamiego. Kręci się po domku na drzewie i rozprawia z ożywieniem, tak jak kiedyś, kiedy opowiadał ci o swoich meczach z kolegami.

Budzi się we mnie niepokój – zagubione ubrania schodzą na dalszy plan, tak jakbym nie była w stanie martwić się o więcej niż jedną rzecz naraz. Co zresztą zapewne jest prawdą.

– Tess?

– Przepraszam. – Kręcę głową i idę do pokoju Jamiego. – Jestem.

– Jakie rzeczy twoim zdaniem zniknęły?

Nie wierzy mi. Nie chodzi tylko o dobór słów, ale i ton. Nadal wesoły, nadal życzliwy, ale teraz brzmi w nim coś jeszcze: litość.

– Właśnie próbuję to sprawdzić. – Wzdycham drżącym głosem i nagle nie oskarżam już kobiety, której prawie nie znam i której motywy wydają mi się podejrzane. Teraz rozmawiam z moją przyjaciółką

Shelley, która słuchała mnie i wspierała od chwili, kiedy stanęła w moich drzwiach.

Szafa Jamiego nadal stoi otwarta na oścież. Spoglądam na haczyk po wewnętrznej stronie drzwi; powinien na nim wisieć jego plecak, kupiony przeze mnie na wycieczkę pod namiot, na którą ostatecznie nigdy nie pojechaliśmy.

Wolną ręką wyciągam wszystkie szuflady tak, że wypadają na dywan. Przesuwam po nich wzrokiem. Są pełne. Spłowiałe letnie T-shirty pod koszulkami z długim rękawem. Swetry, džinsy, zabłąkane skarpetki nie do pary, majtki w różnych kolorach.

– Zniknęła koszulka piłkarska Liverpoolu, ulubiona koszulka Jamiego.
– Próbuję sobie przypomnieć, kiedy ją ostatnio widziałam. Miał ją na sobie, kiedy poszliśmy w zeszłym tygodniu na plac zabaw, jestem tego pewna. – I jego plecak, i piżama ze Spider-Manem.

– Tess...

– To nie wszystko – przerywam, zanim Shelley powie mi, że rzeczy na pewno są w praniu albo pod łóżkiem, albo że jestem po prostu zwariowaną wdową, która gubi ubrania i wszystko jej się miesza. – Brakuje też niektórych rzeczy Marka. Jego butów spacerowych i swetra, który kupiłam mu na urodziny. Nie zabrałby ich w delegację – dodaję, zanim Shelley o to zapyta.

– I myślisz, że to ja je wzięłam? – pyta Shelley spokojnie, jakby chodziło o to, czy chcę mleka do kawy.

– Bo... Tylko ty u nas byłaś.

Czuję mrowienie w kręgosłupie, moje ciało reaguje na powracające wspomnienie. Tamtego tygodnia po wyprawie z Shelley do Tesco w domu było jakoś inaczej. Pudła w gabinecie były poprzestawiane. Jak mogłam o tym zapomnieć? Dlaczego nie sprawdziłam uważniej reszty pomieszczeń?

– Tess, martwię się o ciebie – mówi Shelley.

– Przepraszam cię – wyrzucam. – Nie zwracaj na mnie uwagi. Jestem roztrzęsiona i zachowuję się jak głupia. To przez ten dom. – Gadam od rzeczy, policzki płoną mi ze wstydu. – Powinnam częściej wychodzić na zewnątrz. – Usiłuję się roześmiać, ale wypada to pusto.

– W porządku – mówi Shelley i wyczuwam przez telefon jej troskę, jakby było to coś namacalnego. – Słuchaj, może wybierzemy się w sobotę na zakupy do Ipswich? Zaprosiła mnie moja znajoma, Mel. Będzie też jej córka, Indra. Ma siedem lat.

– Eee... – Zastanawiam się, co Jamie pomyśli o wyprawie na zakupy w przeddzień jego urodzin.

Zazwyczaj to jego największy koszmar, nie znosi, kiedy ciągam go od sklepu do sklepu, ale może jakoś to przeżyje, jeśli będzie mógł się rozejrzeć za dodatkowymi prezentami i jeśli mu powiem, że Shelley też jedzie. No i będzie miał towarzystwo w swoim wieku.

– No chodź, będzie fajnie – namawia Shelley. – Poza tym sama przyznasz, że przyda ci się trochę nowych ciuchów.

Drażni się ze mną i nie mogę zapanować nad uśmiechem, gdy patrzę na polar, który mam od niepamiętnych czasów. Kiedyś był granatowy, ale teraz wyblakł, stał się szaroniebieski i pokryty meszkami.

– Hmm... no, może.

– Mam po ciebie podjechać? W soboty rano i tak jeżdżę na basen, więc mam po drodze.

– Okej, dzięki...

– Oj, muszę kończyć – wchodzi mi w słowo Shelley. – Do zobaczenia w sobotę.

– Jamie się ucieszy – mówię do telefonu, który już milczy.

Spowija mnie pustka. Kładę się na dywanie z samochodzikami i przez chwilę płaczę.

Och, Tessie.

Jest weekend wielkanocny. Powinnam spędzać czas z Jamiem i chować czekoladowe jajka, żeby mógł ich poszukać. I zrobię to, za chwilę. Potrzebuję tylko minutki dla siebie.

Pamiętasz, jak Jamie wyrósł z pierwszych śpioszków? Płakałaś, kiedy wynosiłaś je w worku na strych.

Czułam się, jakbym traciła część swojego syna. Nadal tak się czuję za każdym razem, kiedy wyrzucam jego stare ubrania. Przeciągam palcami po szufladach. Trzeba by zrobić w nich porządek. Założę się, że połowa rzeczy jest już za mała, choć na szczęście ostatnio Jamie nie rośnie tak szybko.

Właśnie wsuwam ostatnią szufladę na miejsce, kiedy boczne drzwi otwierają się z trzaskiem.

– Mamo! – krzyczy Jamie przez cały dom.

Słyszę tupot jego stóp na kuchennej podłodze.

– Tylko zdejmij buty! – odkrzykuję.

– Aa... – słyszę jego mruknięcie.

Wyobrażam sobie, jak wraca do drzwi i niedbale zsuwa kalosze, tak że leżą rozrzucone po całej kanciapie.

– Jeść mi się chce. Mogę już dostać swoją czekoladę?! – krzyczy.

Uśmiecham się, wstaję i ocieram oczy.

– Widziałeś gdzieś swój plecak?

– Eee... – Jamie zastanawia się nad odpowiedzią, tak jakby szczerowość mogła napytać mu kłopotów.

– Zaniósłeś go do domku na drzewie?

– Tak.

Spotykamy się na schodach. Jamie ma minę winowajcy, ale kryje się w niej też smutek.

– Spokojnie – mówię łagodnie. – Chciałam tylko wiedzieć. Umyj ręce i zagramy sobie w chińczyka.

Jamie kiwa głową i znika w łazience.

Ruszam do kanciapy i z zaskoczeniem widzę, że jego kalosze stoją równo na stojaku na buty. Poruszam klamką, żeby sprawdzić, czy drzwi są zamknięte na klucz. Jednocześnie cieszę się i jest mi smutno, że Jamie pomyślał o tym, żeby je zamknąć. Widać przejął to ode mnie, przez to moje ciągle sprawdzanie.

Usiłuję sobie przypomnieć, kiedy ostatnio widziałam twoje rzeczy, Mark. Czy to było już po tym włamaniu do domu? Nie wiem.

Pod pewnymi względami mogę zrozumieć, dlaczego Ian szperał w twoim biurze. Tak mu zależy na odzyskaniu tych pieniędzy, no i to jego spalone przekonanie, że jako twój starszy brat ma prawo przeglądać twoje rzeczy i być wykonawcą twojego testamentu...

Ale dlaczego miałyby zabierać twoje ubrania i buty? I rzeczy Jamiego? To nie ma sensu.

Rozdział 51

Czwartek, 5 kwietnia – 3 dni do urodzin Jamiego

Wciąż spodziewam się najgorszego i podskakuję na najmniejsze skrzypnięcie w domu, lecz mimo wszystko na widok tego człowieka, który gonił mnie w Manningtree, przeżywam szok. Kiedy wyłania się zza domu i wchodzi do naszego ogrodu, prawie dostaję zawału serca.

Akurat wieszam pranie, myśląc o dwóch czekoladowych biszkoptach, które piekę na tort dla Jamiego. Planuję też wyprawę do sklepu i układam sobie w głowie listę sprawunków. Herbatniki w lukrze, ciasteczka z czekoladą, sok z czarnej porzeczki, chleb, mleko, balon z helem.

Wszystko dzieje się naraz. Chrząst butów na żwirze, w mojej głowie nagła pustka – zakupy idą w niepamięć. Puszczam ręcznik, odwracam się w kierunku domu i widzę go – tego mężczyznę. Idzie... nie, kroczy w moim kierunku.

Wciągam głośno powietrze.

Strach ogarnia mnie z taką siłą, że kolana się pode mną uginają i niemal upadam. W ostatnim momencie udaje mi się złapać równowagę. Cofam się pospiesznie, ciesząc się, że Jamie bawi się w swoim pokoju, a nie w domku na drzewie. Dzisiaj mężczyzna jest ubrany inaczej niż poprzednio – w białą koszulę z krótkimi rękawami i spodnie od garnituru – ale nadal ma tę samą bladą wiotką skórę i rzadkie przetłuszczzone włosy jak wtedy, kiedy gonił mnie w uliczce i kiedy zasadził się na mnie w alejce.

– Pani Clarke? – pyta.

– Czego... czego pan chce? – Płuca mam tak ściśnięte, że słowa brzmią raczej jak świst.

Kolor zdaje się odpływać z twarzy mężczyzny, jego skóra w słońcu wydaje się teraz niemal przezroczysta.

– Chciałem z panią porozmawiać.

Przechodzę na drugą stronę sznura na pranie, tworzącego między nami barierę, nawet jeśli to tylko kilka ręczników.

Walczyć czy uciekać? Uciekać. Mogłabym pobiec dookoła domu i garażu, przez podjazd, do alejki, wezwać pomoc. Tylko że wtedy on zwyczajnie cofnąłby się tą samą drogą, którą przyszedł, i dotarłby tam przede mną. No i nie ma żadnej gwarancji, że ktoś mi pomoże.

Boczne drzwi są otwarte, a mój telefon leży w kuchni. Ale nawet jeśli rzucę się pędem i zdołam tam dotrzeć, on mógłby wejść do środka i złapać Jamiego.

A zatem walka. Spuszczam wzrok na trawnik, rozglądając się za łopatą albo radełkiem, czymkolwiek, co mogłoby posłużyć jako broń, ale niczego takiego nie widzę.

– Pani Clarke? Czy mogę mówić pani „Tess”?

– Mówiłam przez telefon, że nie wiem, nad czym pracował Mark, nie mam tego, czego chcesz, cokolwiek to jest.

Mężczyzna marszczy brwi i pociera ręką policzek.

– Przepraszam, ale nie rozumiem. Nigdy nie rozmawialiśmy przez telefon.

– Owszem, rozmawialiśmy. To ty zostawiłeś mi tę ohydną wiadomość na sekretarce, a poza tym... poza tym rozmawialiśmy w zeszłym tygodniu czy dwa tygodnie temu. – Nie pamiętam już, kiedy to było, pamiętam tylko strach. Dlaczego ten facet udaje, że nic nie wie?

Wszystkie mięśnie w moich ramionach się spinają, moje dłonie zaciskają się w pięści. Będę walczyć.

– Idź sobie! – wrzeszczę. – Zostaw mnie w spokoju albo zadzwonię na policję. – Wybuchają we mnie gniew, krąży w moich żyłach jak lawa. Zaciskam zęby i czuję, jak moje ciało ogarnia ogień. – WYNOŚ SIĘ!

– Nie mogę – odpowiada mężczyzna, kręcąc głową. Z jego oczu spływają dwa strumyczki łez. – Przepraszam, ale muszę z panią porozmawiać.

Na chwilę zapada cisza. Ja stoję nachylona, z ciężkim oddechem, gotowa do walki o życie własne i Jamiego – on z ramionami wstrząsanymi płaczem i kolejnymi łzami spływającymi po twarzy.

– Czego chcesz? – pytam znowu i mój gniew odrobinę przygasa, akurat na tyle, żebym zdołała zarejestrować akcent tego człowieka. Pochodzi z Birmingham.

Jestem całkowicie przekonana, że to właśnie on gonił mnie w Manningtree. I że to właśnie jego widziałam, kiedy czekał na mnie w alejce. Ale nagle wcale nie jestem aż taka pewna, że to on do mnie dzwonił i nazywał mnie Tessie.

W tym momencie mężczyzna sprawia wrażenie, jakby jego kości zniknęły, tak że już nic nie trzyma go w pionie. Pada do przodu, opiera ręce na kolanach i głośno szlocha. Mogłabym przebiec obok niego, wpaść do domu, zamknąć drzwi i wezwać policję, a on nawet by tego nie zauważył.

Ale nie mogę cały czas przed nim uciekać – i w ogóle przed wszystkim – bo inaczej to się nigdy nie skończy.

– Jak się nazywasz? – pytam, robiąc krok do przodu.

– Richard Welkin – odpowiada, wciągając z drzeniem powietrze. Spogląda w górę i chyba dopiero teraz uświadamia sobie, że siedzi na ziemi. – Bardzo przepraszam. Pra... pracuję w tej firmie lotniczej. – Przełyka z takim wysiłkiem, że widzę ruch jego grdyki.

– Aha. – To nie ma żadnego sensu.

– Proszę, czy mogę z panią przez chwilę porozmawiać?

– Ale tutaj – ostrzegam. – I masz się nie ruszać z tego miejsca. Idę do kuchni po telefon. Wybiorę numer na policję. Jeśli się ruszysz albo powiesz coś, co mi się nie spodoba, wcisnę „Zadzwoń”.

On kiwa głową i na jego twarzy pojawia się wyraz ulgi.

Czekam jeszcze przez chwilę, po czym biegnę w kierunku domu, omijając mężczyznę szerokim łukiem na wypadek, gdyby to była pułapka, żeby zwabić mnie bliżej i złapać. On jednak się nie rusza. Kiedy docieram do kuchennego wejścia, zatrzaszukuję za sobą drzwi i zasuwam skobel.

W powietrzu unosi się zapach spalonej czekolady i nagle przypominam sobie o biszkoptach. Wyciągam je i stawiam na kuchence. Wyrosły trochę nierówno i pokrywa je cienka warstewka spalenizny. Ale chyba zdołam je odratować, jeśli odetnę wierzch.

– Jamie?! – wołam na górę.

– No?! – odkrzykuje.

– Nie wychodź z pokoju, dobrze? Siedź tam, dopóki ci nie powiem.

Chwytam telefon i wstukuję numer 999.

Kiedy wychodzę znowu w jasne światło słońca, Richard siedzi na trawie dokładnie tam, gdzie go zostawiłam. Przestał płakać i wpatruje się w dal. Sama też już mam usiąść, ale po namyśle uznaję, że lepiej będzie, kiedy pozostanę na nogach, na wypadek gdybym musiała uciekać.

– Czemu mnie śledzisz?

On odchrząkuje.

– Chyba najłatwiej będzie, jeśli najpierw pani o sobie opowiem. Widzi pani, pracowałem w tych liniach lotniczych, w dziale HR. Byłem kierownikiem średniego szczebla, więc mogłem podejmować samodzielnie pewne decyzje, choć raczej niewiele. Jednym z moich zadań było załatwianie dokumentacji i rozmowy z pracownikami, którzy wracali ze zwolnienia chorobowego. – Wszystko to brzmi jak dobrze przećwiczona mowa, jakby przede mną wygłaszał ją już innym ludziom. – Miałem porozmawiać z Philipem Curtisem, tym pilotem, który...

– Wiem, kto to taki. – Nigdy nie zapomnę tego imienia i nazwiska.

– Pewnie wie też pani z wiadomości, że wysłano go na miesięczny urlop z powodu stresu i depresji. Lot do Frankfurtu był jego pierwszym lotem po powrocie do pracy. Dzień wcześniej miałem przeprowadzić z Philipem rozmowę. Przyszedł do mojego biura o piątej po południu...

– Głos Richarda się łamie, a on sam kręci głową. – Rozmowa powinna trwać co najmniej pół godziny. Mamy ustalony protokół wsparcia pracowników borykających się z problemami psychicznymi. Dostałem listę punktów do odhaczenia. Były na niej pytania w rodzaju: „Czy pracownik zdradza objawy sugerujące, że nie jest gotowy do powrotu do pracy?”.

Słońce praży mnie w głowę i nagle czuję słabość. Nie wiem, czego chce ten człowiek, co tutaj robi, ale już się nie boję. Jest mi tylko smutno. Siadam na trawie.

– Ale ja tego nie zrobiłem – mówi Richard.

– Co? Dlaczego nie?

Wypuszcza głośno powietrze.

– Bez powodu. Po prostu tego nie zrobiłem. Spojrzałem na niego i wydawało mi się, że wygląda normalnie. Uśmiechał się, pożartowaliśmy o pogodzie. Więc poklepałem go po ramieniu i rzuciłem coś w rodzaju: „Jutro brakuje nam personelu na lot, więc jak chcesz, możesz go wziąć”. I wtedy na mnie popatrzył. Nigdy nie zapomnę tego spojrzenia. Tak jakbym podarował mu prezent. Tak jakby obawiał się tej rozmowy, a dzięki mnie poszła jak z płatka. Pamiętam, jaki byłem z siebie zadowolony, że tak dobrze poradziłem sobie z tą sytuacją. Zostawiłem listę na biurku, miałem poodhaczać punkty następnego dnia. Ale... – W jego oczach ponownie pojawiają się łzy, a kiedy znowu się odzywa, jego głos drży od emocji. – Faktycznie zrobiłem mu prezent. Widzi pani, dałem mu drogę ucieczki. Myślałem o tym tysiące razy i wydaje mi się, że kiedy zaproponowałem mu ten lot, on miał już

ułożony plan. Więc to wszystko moja wina. Nie zbadałem go, jak należy, i przydzieliłem go do tego połączenia.

Oblewa mnie zimno. Och, Mark. Ty naprawdę, naprawdę nie powinieneś był zginąć.

– Dlaczego za mną chodzisz? – pytam.

– Oczywiście wyrzucili mnie z pracy. Mówiono też o postawieniu zarzutów karnych. I absolutnie na to zasługuję. Philip przesłał mi liścik samobójczy, w którym dziękował za pomoc. Do tamtej pory zdążyli mnie już zwolnić, więc list leżał przez jakiś czas nieotwarty na moim biurku. Przed odejściem wykradłem kopię listy pasażerów. Odwiedzałem po kolei wszystkie rodziny, żeby przyznać się do roli, jaką odegrałem, i w miarę możliwości je przeprosić. Tej katastrofie można było zapobiec. W ogóle nie powinno było do niej dojść. Do końca życia będę nosił ze sobą ciężar tej świadomości.

– Ale...

– Z panią było najtrudniej, pani Clarke – ciągnie Richard, uprzedzając moje pytanie. – Za każdym razem, kiedy przyjeżdżałem, żeby to zrobić... no, patrzyłem na panią i... i nie mogłem.

Myślę o Jamiem, o jego jasnych, błękitnych oczach i niesfornych blond włosach. O naszym synku, który będzie musiał dorastać bez ojca.

– Za pierwszym razem wyjeżdżała pani właśnie z domu, więc pojechałem za panią do miasteczka.

– Do Manningtree – kończę za niego.

– Chciałem z panią porozmawiać, ale pani uciekła.

– I czekałeś na mnie tamtego dnia w alejce, kiedy wpadł na ciebie rowerzysta.

– Zgadza się – potwierdza Richard.

Spoglądam poza niego na ogród i drzewa. Znowu ta sama sytuacja co z twoją asystentką Denise. Zrzucenie z siebie poczucia winy, wyznanie.

Nie mogę mu powiedzieć, że wszystko w porządku, bo tak nie jest. I nigdy nie będzie.

– Czy to ty stałeś w ogrodzie tamtego wieczoru, jakieś dwa tygodnie temu?

Na jego twarzy pojawia się taki wyraz, że od razu domyślam się odpowiedzi.

– Tylko... tylko przez chwilę. Nie wiedziałem, że mnie pani zauważyła. Chciałem sprawdzić, czy jest pani w domu, i zapukać do drzwi, ale nie mogłem się zebrać na odwagę i postanowiłem tylko zadzwonić. Naprawdę nie zamierzałem pani wystraszyć.

– Ale to zrobiłeś. I to bardzo.

Zaciskam dłoń na telefonie. Mam ochotę wezwać tamtych dwóch policjantów, żeby im pokazać, że niczego sobie nie wymyśliłam, ale na co by się to zdało?

– Ile razy próbowałeś się do mnie dodzwonić?

– Wiele. Zda... zdałem sobie sprawę, że nie jestem w stanie porozmawiać z panią twarzą w twarz, więc pomyślałem, że zadzwonię, ale też nie wyszło. Słyszałem pani głos na sekretarce, było w nim tyle szczęścia. Zacząłem dzwonić tylko po to, żeby go usłyszeć. Chyba chciałem sobie wmówić, że nadal jest pani szczęśliwa.

Kręcę głową.

– Niby jak?

– Przepraszam. Strasznie, strasznie przepraszam. – Richard spuszcza głowę na kolana i jego ciałem znowu wstrząsa szloch, ale nie mam dla niego ani odrobiny współczucia.

– Powinnaś wezwać policję. Wiesz o tym, prawda? Szpiegowałeś mnie, wydzwaniałeś do mojego domu... Wszedłeś bez zaproszenia na moją posiadłość, przestraszyłeś mnie na śmierć.

– W ogóle nie miałem takiego zamiaru. Przepraszam.

– Przestań przeproszać. To nic nie znaczy. – Wstaję i obrzucam go z góry spojrzeniem, przypominając sobie te wszystkie dni i tygodnie od czasu twojej śmierci. Wszystko to, co się wydarzyło, kartki w moim notesie. Wreszcie mam swoje odpowiedzi. A przynajmniej niektóre z nich. – Nigdy się nie odzywałeś, kiedy do mnie dzwoniłeś? – pytam. – I nie znałeś mojego męża?

Richard kręci głową i pociąga nosem. Wierzę mu.

– Jakim jeździsz samochodem?

– Niebieskim nissanem.

– Czy jeszcze kiedyś za mną jechałeś, nie licząc tamtego dnia w Manningtree?

– Nie.

A więc nie znalazłam jeszcze wszystkich odpowiedzi. Tylko kilka. Te głuche telefony, to wrażenie, że ktoś mnie obserwuje. Mężczyzna w ogrodzie.

– Proszę, żebyś już sobie poszedł i tutaj nie wracał. Nie chcę cię już nigdy więcej widzieć.

Richard się nie rusza. W każdym razie nie od razu; wpatruje się we mnie tymi swoimi żalonymi paciorkowatymi oczami. Odblokowuję telefon i zawieszam palec nad przyciskiem. To wystarcza. Richard podpira się o ziemię, wstaje i szybko odchodzi.

Może któregoś dnia poczuję dla niego współczucie z powodu ciężaru, który będzie ze sobą nosił do końca życia, ale po tym wszystkim, co przez niego przeżyłam, szczerze w to wątpię.

Rozdział 52

Richard, ów człowiek w czarnej czapce z daszkiem – który jak mi się zdawało, usiłował mnie złapać w Manningtree, który stał po zmroku w moim ogrodzie i nas obserwował, który dziesiątki razy wydzwaniał do mnie i się rozłączał – to nie ten sam, który nazywał mnie Tessie.

Myślę o tym, zmywając formy do biszkopta. Ta myśl przez cały wieczór tkwi w mojej głowie jak szpila kłująca mnie w mózg. Ale dopiero kiedy Jamie zasypia, a ja siedzę w swoim łóżku z notesem na kolanach, coś zaskakuje.

Na drugiej stronie napisałam tylko jedno zdanie: „Nie musiałeś jechać!”.

Pod spodem widnieje imię Denise i dopiero teraz, kiedy na nie patrzę, przypominam sobie jej ostatnie pytanie, zadane, gdy usiłowałam zamknąć drzwi: „Czy ktoś do ciebie dzwonił?”.

Przypominam sobie jej twarz i ciemne, podmalowane kredką brwi. Jej oczy były szeroko otwarte, a usta zaciśnięte, jakby się czegoś bała. Ale czego?

Odrzucam kołdrę i schodzę na bosaka po schodach, przytrzymując w pasie twoje spodnie od pizamy, żeby nie spadły. Nawet nie włączam światła, kieruję się latarką w telefonie.

Przeszukuję szufladę z ulotkami z restauracji i ładowarkami. Jestem pewna, że to tutaj schowałam wizytówkę Denise. Znajduję ją wsuniętą pomiędzy moją książkę adresową a reklamę tajskiej restauracji. Wybijam na komórce cyfry numeru.

Podłoga w kuchni jest lodowato zimna. Chłód przenika przez stopy, wypełniając całe moje ciało, aż drzę.

Denise odpowiada po trzecim sygnale.

– Halo? – mówi. W jej głosie słyhać wahanie, jakby wcale nie chciała odbierać.

– Denise, tu Tess.

– O, cześć, Tess. Wszystko w porządku? – Słyszę w tle szuranie stóp i odgłos zamykanych drzwi.

– Tak. Przepraszam, myślałam tylko o... eee... o pracy Marka i zastanawiałam się, czy mogłabyś mi z czymś pomóc.

– Teraz? – Wydaje się zaskoczona. Nie, to coś więcej: wydaje się skrepowana.

– To tylko kilka pytań, a mówiłaś przecież, że mogę do ciebie dzwonić o każdej porze – dodaję, grając na jej poczuciu winy.

– Tak, oczywiście. W czym mogę pomóc?

Milczę przez chwilę – nagle nie wiem, jak mam wysłować pytanie.

– Orientujesz się może, czy Mark pracował nad jakimś tajnym projektem?

– Co masz na myśli? – pyta Denise.

– Nad czymś... Nad czymś, co mogło ściągnąć na niego kłopoty. Nad czymś, czego nie chciałby rozgłaszać. – Nad czymś, co mogłoby skłonić kogoś do wydzwaniania w środku nocy i grożenia jemu oraz jego rodzinie.

Po drugiej stronie zapada cisza. Odsuwam telefon od ucha, żeby sprawdzić, czy nadal mam zasięg.

– Nie mogę w tej chwili rozmawiać. – Denise mówi tak cicho, że ledwo ją słyszę. – Przepraszam. Będę musiała do ciebie oddzwonić.

– Dlaczego? O czym nie możesz rozmawiać? – pytam, ale jest za późno. Już jej nie ma.

Mark, co tu się dzieje, do jasnej cholery?

Znowu się wzdrygam i wpatruję w pusty ekran telefonu. Pomimo swojej paniki spodziewałam się, że Denise wyśmieje moje pytanie. Myślałam, że mnie zapewni, że nie ma się o co martwić. Ale jednak coś

jest na rzeczy, a ona nie chciała lub nie mogła mi o tym powiedzieć. Myślę o jej wyszeptanej odpowiedzi. Wydawała się przestraszona.

Przechodzę do historii połączeń i jeszcze raz wybieram jej numer. Może i Denise się boi, ale ja też, a w dodatku mam pod opieką Jamiego.

Tym razem nikt nie odbiera, nagrany głos prosi o pozostawienie wiadomości. Nie robię tego.

Nagle kuchnię wypełnia blask światła. To reflektory przejeżdżającego samochodu. Tylko że on wcale nie jedzie dalej: kieruje się na nasze podwórko. Głośno wciągam powietrze i kucam na zimnej podłodze, żeby nie było mnie widać przez okno. Drżącymi rękami włączam telefon, gotowa wezwać policję.

Słysząc trzask samochodowych drzwi. Chrząst kroków na żwirze. Wpatruję się w boczne drzwi i zagryzam dolną wargę, aż czuję w ustach metaliczny smak ciepłej krwi.

Czy to Richard wrócił? Mówiłam mu, żeby zostawił nas w spokoju, ale może nie posłuchał.

Kroki przechodzą pod oknem i docierają na boczny ganek. Knykcie stukają o drewno.

Puk, puk.

Oddycham płytko, kołyszę się na piętach i podpieram ręką o podłogę dla równowagi.

– Tess?! – Woła zza drzwi czyjś głos.

Puk, puk.

To nie Richard, tylko Ian. Chwytam się blatu i już mam się podciągnąć do góry i otworzyć drzwi, kiedy nagle słyszę brzęk kluczy, a potem stuk metalu o metal: Ian wsuwa klucz do zamka.

Myśli, że nie ma mnie w domu. Chce wejść do środka. Otwieram szeroko oczy, czuję w nich zimne powietrze.

Ian napiera mocno na drzwi i kręci kluczem. Nie wie, że wymieniłam zamki. Przeklina i próbuje jeszcze raz, a ja przez cały ten czas kucam na

podłódze niecałe trzy metry od niego. Mięśnie ud mnie palą, żądają, żebym zmieniła pozycję. Mark, to Ian był tamtego dnia w moim domu. Wiedziałam.

Klucz szczęka i znowu brzęczy. Ian rezygnuje.

I nagle odzywa się telefon domowy. Kiedy włącza się sekretarka, spodziewam się, że to Ian z prośbą, żebym do niego oddzwoniła, ale nie; to Shelley.

– Cześć, Tess, tu Shelley – mówi i jej głos rozchodzi się po całym domu. – Chcę tylko potwierdzić, czy nadal piszesz się na sobotę. Dowiedziałam się, że mój basen aż do ósmego będzie w renowacji, więc podjadę po ciebie dopiero koło dziesiątej. Mam nadzieję, że ci to pasuje. Obok centrum handlowego Buttermarket jest niezła włoska knajpa, zarezerwowałam nam stolik na późny lunch. Ale najpierw musimy zajrzeć do Debenhamsa. Mają jednodniową wyprzedaż, wszystko za pół ceny. A, i znowu dzwoniła do mnie twoja mama. Mówiła, że tobie też zostawiała wiadomości. Oddzwonź, jak to odsłuchasz.

Żegna się pogodnym „Cześć!” i w domu na powrót zapada cisza.

Chwilę później buty Iana znowu chrzęszczą na żwirze i rozlega się trzask drzwi samochodu. Mruczy silnik, kuchnię wypełnia blask świateł, i już go nie ma.

Znowu jestem sama.

Biegnę przez dom i chowam się pod kołdrę w naszej sypialni. W świetle komórki zapisuję w notesie datę i godzinę, a potem: „Ian próbuje się dostać do domu. To on się tu wtedy włamał!!! Nadal nie wiem, kto nam grozi ani czego chce – ??? Denise nie chciała ze mną rozmawiać. Dlaczego nie? Boi się?”.

Rozdział 53

Zapis rozmowy między ELLIOTEM SADLEREM (E.S.) A TERESĄ CLARKE (T.C.) (PACJENTKĄ SZPITALA OAKLANDS, ODDZIAŁU HARTFIELD), ŚRODA, 11 KWIETNIA. SESJA 2 (cd.)

T.C.: Richard Welkin to był ten człowiek, który mnie gonił w Manningtree. Shelley usiłowała mi wmówić, że tylko to sobie wyobraziłam, ale wcale nie. Od tygodni mnie obserwował, wydzwaniał do domu, a potem się rozłączał. Myślałam, że to ten sam mężczyzna, który dzwonił z pogrózkami, ale nie. Richard pracował w linii lotniczej i chciał mi powiedzieć, że obwinia się za katastrofę. Dlatego mnie śledził i kręcił się pod domem. Powiedział, że bał się zapukać do drzwi.

E.S.: Myśli pani, że to była jego wina?

T.C.: Tak. I trochę też wina Denise. Denise to asystentka Marka, wspominałam już o niej? Nie załatwiła mu odpowiedniego lotu.

E.S.: Dlaczego myśli pani, że Richard bał się zapukać? Czy odwiedzał też rodziny innych ofiar katastrofy?

T.C.: Mówił, że z nich wszystkich ze mną najtrudniej było mu porozmawiać.

E.S.: Dlaczego?

T.C.: Nie wiem. Pewnie zobaczył mnie i zdał sobie sprawę, w jakiej jestem rozsypce.

Rozdział 54

Sobota, 7 kwietnia – 1 dzień do urodzin Jamiego

Ulica handlowa w Ipswich jest zatłoczona, roi się na niej od ludzi. Samotni zakupowicze, grupki nastolatków, pary trzymające się za ręce, rodzice z wózkami. W powietrzu unosi się atmosfera desperacji, jak w ostatnią godzinę pracy sklepów przed Bożym Narodzeniem. Totalny chaos, zgiełk dudni mi w uszach jak młot pneumatyczny. Wydawało mi się, że chcę uciec od spokoju domu i wioski, ale teraz tęsknię za ich ciszą.

Mijamy jakąś uliczną artystkę – nastolatkę z gitarą i kolczykiem w nosie. Jasne włosy ma w dredach, z pasemkami fioletu i błękitu. Kiedy otwiera usta, spodziewam się, że wydobędzie się z nich coś ostrego, ale ona zaczyna śpiewać piosenkę Robbiego Williamsa, a jej głos jest delikatny i anielski.

Jamie zwalnia i przystaje, żeby posłuchać; wygląda jak zaczarowany.

Ja też się zatrzymuję. Głos dziewczyny wypełnia nie tylko moje uszy, ale całe moje ciało, jakby przelewała w nas swoje myśli i słowa.

Trącam Jamiego w plecy, bo musimy dogonić Shelley, która idzie dwa kroki przed nami.

Docieramy do ratusza z jasnej cegły, który góruje imponująco nad tanimi sklepami. Słyszę jakiś okrzyk i odwracam się gwałtownie w jego kierunku; ale to tylko sprzedawca za stoiskiem z suszonymi owocami nawołuje przechodniów.

Na zamkniętym dla samochodów placu przed ratuszem grupka starszych nastolatków siedzi na oparciu ławki, z nogami na siedzeniu. Jeden z chłopaków ma krótkie, nastroszone włosy, a na szyi tatuaż przedstawiający rewolwer, taki staromodny jak z Dzikiego Zachodu.

Wpatruję się w tatuaż i ogarnia mnie czysty strach, który prawie mnie unieruchamia.

Chcę zabrać Jamiego do domu, zanim chłopak z tatuażem wyciągnie prawdziwą broń i nas zabije, zanim jakiś samochód wjedzie na deptak i wszystkich nas wykosi, zanim front któregoś ze sklepów się zawali i zasypie nas cegłami. Albo wybuchnie bomba. Zamach terrorystyczny. Jakiś szaleniec z pojemnikiem kwasu.

Shelley podchodzi do mnie i ściska mnie za ramię, jakby wyczuwając mój dyskomfort. Muszę wziąć się w garść. Jestem roztrzęsiona i wpadam w paranoję. Chryste, przecież to centrum Ipswich, a nie strefa działań wojennych. Mimo to nie mogę się otrząsnąć z poczucia bezbronności, które uwiera mnie jak drapiący wełniany sweter. Nie mogę się pozbyć wrażenia, że Jamiemu i mnie grozi tu jakieś niebezpieczeństwo, że zaraz wydarzy się coś strasznego, więc muszę złapać syna za rękę i uciec daleko od Shelley i wszystkich tych ludzi.

Jestem pewna, że on też to czuje. W drodze do miasta nie odezwał się ani słowem. Wyglądał tylko przez tylną szybę samochodu Shelley i patrzył na mijający go świat. Jutro kończy osiem lat. Mark, nasz synek ma już osiem lat. To wydaje się niemożliwe. Jest teraz taki dorosły, a jednocześnie wciąż taki młody.

Nadal nie mogę przestać rozmyślać o Richardzie i niecierpliwie czekam na moment, kiedy będę mogła opowiedzieć Shelley o jego wyznaniu, ale od jej przyjazdu dziś rano Jamie nie odstępował mnie ani na krok, a nie chcę, żeby tego słuchał.

– Mel! – krzyczy nagle Shelley, puszczając moje ramię i stając na palcach. Macha przez tłum ludzi.

Podbiega do nas kobieta z lśniąco czarnymi włosami, za którą podąża dziewczynka.

– Hej! – Zarzuca ręce na szyję Shelley. – Kope lat!

Ma na sobie biały lniany żakiet oraz czarne rurki, które opinają jej szczupłe nogi. I ona, i Shelley mają klasę; przebija z ich butów na obcasie i kroju żakietów, z ich gładkich włosów i subtelnego, choć widocznego makijażu. Nagle w swoim zimowym płaszczu czuję się zaniedbana, wstydzę się swoich ułożonych suszarką włosów i wygrzebanej skądś spódnicy oraz rajstop, na szczęście jeszcze niepozaciąganych.

– Tess, to moja przyjaciółka Mel. Poznałyśmy się w grupie dla niemowlaków, bo Indra ukradła Dylanowi pociąg, którym się bawił. – Shelley wybucha śmiechem, jej oczy są lśniące i wesołe. – Mel, to jest Tess. – Nie rozwodzi się nad tym, skąd się znamy, i jestem jej za to wdzięczna.

– Cześć – mówię do Mel, rozciągając szeroko policzki; mam nadzieję, że wygląda to jak radosny uśmiech, a nie niezręczny grymas, choć mam wrażenie, że raczej to drugie.

Mel ma w sobie coś znajomego i zastanawiam się, czy i kiedy mogłyśmy się już spotkać.

– Cześć, Tess. Miło cię poznać. A to moja córka, Indra. – Mel odwraca się do dziewczynki. – Przywitaj się z Tess.

Indra to młodsza wersja matki, ma takie same okrągłe oczy i ostre rysy. Ubrana jest w kurteczkę ze sztucznego futerka i czarną spódniczkę, spod której widać pępek. Długie ciemne włosy zaplecione są w dwa warkocze, które spływają na jej ramiona.

Indra kieruje na mnie wzrok i unosi rękę, machając mi przelotnie.

– Cześć – mówi, odsłaniając dużą szczerbę po dwóch mleczakach na samym przodzie.

Mój uśmiech łagodnieje.

– Dzień dobry.

Odwracam się, żeby przedstawić jej Jamiego, ale on wysunął się już zza moich pleców i szepcze Indrze coś na ucho.

Spogląda na mnie z zaróżowionymi policzkami i nieśmiało macha do Mel. Ona chyba wyczuwa jego dyskomfort, bo zachowuje się jakby nigdy nic i nie odzywa się, tylko uśmiecha najpierw do niego, a potem do mnie. Jamie i Indra zapuszczają się w tłum ludzi.

Dopiero gdy ruszamy z miejsca, kątem oka przyglądam się Mel. Wreszcie po długiej chwili ją rozpoznaję i natychmiast oblewam się szkarłatem na myśl o tamtym popołudniu, kiedy siedziałam na ceglanym murku pod szkołą, czekając, aż Jamie skończy lekcje. Mel to tamta kobieta, która wyszła do mnie z zaniepokojoną miną.

– Wydaje mi się, że chyba się już spotkałyśmy – mówię, starając się zamaskować zażenowanie lekkim tonem.

Mel kiwa głową i jej czarne włosy kołyszą się w górę i w dół.

– Właśnie myślałam o tym samym.

– To ja czekałam wtedy przed szkołą. Przyszłam za wcześnie. – Kręcę głową. – Przepraszam, że tak uciekłam. Było mi strasznie wstyd. Ostatnio w ogóle nie orientuję się w czasie. – Moje gardło się zaciska i zmieniam temat, zanim Mel zapyta mnie o przyczynę. Ciekawe, czy Shelley opowiadała jej o Marku. – Nie wiedziałam, że pracujesz w tej szkole. Jesteś nauczycielką?

– Recepcjonistką. – Mel rzuca spojrzenie na Shelley. Na jej twarzy pojawia się wyraz, którego nie potrafię odczytać, i zastanawiam się, czy nie mówię za dużo. – Ale tak właściwie to nie...

– Mamo – przerywa jej Indra, przeciągając dwie sylaby tak, że brzmią jak trzy. – Możemy iść do Claire's? – I ona, i Jamie zaczynają już kierować się w tamtą stronę.

Mel kiwa głową.

– Ale najpierw Debenhams, dobrze? Musimy ci kupić trochę nowych ubrań, zanim zaczniemy rozrzucać pieniądze w Claire's. – Obciąga bluzeczkę córki.

W odpowiedzi dziewczynka patrzy na nią naburmuszona. Wciska ręce do kieszeni i, z jednym ramieniem zahaczonym o łokieć Jamiego, znowu gdzieś z nim odchodzi. Nigdy jeszcze nie widziałam mojego synka z żadną dziewczynką i ten widok przywołuje uśmiech na moje usta. Zawsze ciągnęło go raczej do chłopców, ale wydaje się całkiem zadowolony, kiedy tak idzie pod ramię z Indrą.

– Kupuję jej w tym cholernym sklepie tyle szpargałów, że gdyby nie ja, pewnie splajtowałiby z dziesięć lat temu – parska Mel, pokazując palcem mijany właśnie sklep sieci Claire's.

Ruszam za nią i Shelley, starając się nadążyć za ich szybką rozmową o jakiejś wspólnej znajomej. Co kilka kroków jedna albo druga spogląda na mnie, pewnie po to, żebym nie czuła się wykluczona, ale to nie działa. Mam raczej wrażenie, jakby mnie obserwowały. Zżera mnie zazdrość. Nie tylko o Mel i Shelley, ale też o Indrę i Jamiego.

Mark, ty byłeś moim towarzyszem. Osobą, z którą zawsze najbardziej chciałam porozmawiać. Po tym, jak się poznaliśmy, zaniedbałam starych przyjaciół. Już ich nie potrzebowałam. Miałam ciebie. A teraz nie mam nikogo.

Kiedy przekraczamy drzwi Debenhamsa, czuję podmuch gorącego powietrza nad głową. Z wysokiego sufitu zwieszają się czerwone bannery, a obsługa ma na sobie czerwone koszulki. Na jednym i drugim widać wypisane dużymi białymi literami słowo „wyprzedaż”.

W sklepie panuje jeszcze większy ścisk niż na ulicy, ze wszystkich stron napierają na mnie wchodzący i wychodzący ludzie. Shelley i Mel od razu lawirują w stronę stoiska z perfumami, więc idę za nimi.

Jest za tłoczno.

Za głośno.

Czuję przyływ paniki, która nagle ogarnia mnie całą. Coś się zaraz wydarzy – mam wrażenie, jakbym toczyła się na łeb na szyję ku niebezpieczeństwu i nie miała najmniejszego pojęcia, na czym ono

polega ani jak mogę mu zapobiec. Nie odrywam oczu od Jamiego i Indry, którzy obchodzą jakiś wózek, żeby dotrzeć do stoiska z kosmetykami do makijażu.

Shelley odwraca się w moją stronę.

– Powąchaj. – Podtyka mi pod nos swój nadgarstek.

Od nachalnej pizmowej słodczy w oczach stają mi łzy.

– Nowe perfumy Chanel. Może sobie kupię – mówi Shelley jakby tęsknym tonem. – No wiesz, pora coś zmienić.

Mel nachyla się ku niej i coś mówi. Obie wybuchają śmiechem, ale ja nie słucham, nie słyszę. Ktoś stuka mnie w ramię, a kiedy się odwracam, widzę Iana.

– Tess, cześć. – Spogląda poza mnie na Mel i Shelley.

– Cześć – odpowiadam, nie mogąc się otrząsnąć ze zdumienia. Przecież to nie może być przypadek, że tu na niego wpadłam, prawda? Czy on mnie śledzi?

– Cześć – mówi Shelley, podchodząc bliżej.

Znowu dolatuje mnie woń perfum na jej nadgarstku. Pot łaskocze mnie w górną wargę. Od gorąca w sklepie i mocnego zapachu działu perfumeryjnego robi mi się duszno.

– Dzień dobry. – Ian kiwa głową najpierw Mel, potem Shelley.

– To brat Marka, Ian. Ianie, to jest Shelley, a to Mel – przedstawiam, pokazując wszystkich rekami.

– Już się poznaliśmy – mówi Shelley bez śladu swojego zwykłego szerokiego uśmiechu.

– Tess, dziękuję ci za tamten telefon – mówi Ian. Zachowuje się dziwnie oficjalnie. – Możemy porozmawiać przez kilka minut na osobności?

Wolałabym nie, ale w oczach Iana – w twoich oczach – widzę błagalny wyraz, więc mimowolnie kiwam głową.

– Chcesz, żebym poszła z tobą? – pyta Shelley, przytrzymując mnie za ramię, kiedy próbuję się ruszyć z miejsca. Rzuca Ianowi spojrzenie.

– Nie trzeba. Przypilnujesz go?

Kiwam głową na Jamiego i Indrę. Ona smaruje sobie usta fioletowym brokatowym błyszczkiem, a on przygląda się jej i chichocze.

Shelley na chwilę robi taką minę, jakby nie rozumiała, co do niej mówię, ale potem przytakuje i odchodzi w stronę Jamiego, lawirując pomiędzy ludźmi.

Ruszam za Ianem w kierunku pustego miejsca przy oknach, ale moje spojrzenie ciągle wraca do Jamiego. Wpatruje się w Shelley z takim uwielbieniem i miłością, że czuję, jak coś ściska mnie w piersiach, i wciągam głośno powietrze.

– Tess? – Głos Iana jest ostry, odpycha moje myśli na bok. – Tess, wszystko w porządku? Wyglądasz na rozkojarzoną.

– Wszystko gra. – Obejmuję się ramionami i próbuję skupić na szwagrze. – Co ty tutaj robisz?

– Martwiłem się o ciebie – mówi Ian, podchodząc bliżej. – Zajrzałem niedawno do domu, żeby sprawdzić, co u ciebie. Bałem się, że może... – Nie kończy.

– Że mogę się zabić? – pytam, krzywiąc się.

– No wiesz. – Ian wzrusza ramionami. – Ale cię nie było.

Owszem, byłam.

– Muszę ci coś powiedzieć. – Ian szura nogami i wbija wzrok w jakiś punkt na podłodze.

Denerwuje się.

Obok nas przechodzi młoda para obciążona torbami. Na palcu serdecznym dziewczyny dostrzegam błysk brylantu.

– Możemy pójść w jakieś spokojniejsze miejsce? Proszę cię, Tess, naprawdę muszę z tobą porozmawiać. Chodzi o pieniądze.

Z jednej strony chcę z nim pójść, chcę poznać prawdę, bez względu na to, jak ona brzmi. Ale z drugiej strony jestem wściekła na Iana za to, że tak się na mnie zasadził. Może i tamtego wieczoru nie otworzyłam mu drzwi, ale to przecież nie znaczy, że nie moglibyśmy pogadać kiedy indziej. Nie musiał mnie tropić, kiedy wychodzę na zakupy z Jamiem.

– Chętnie z tobą porozmawiam – odpowiadam. – Ale to nie jest dobry moment. Spotkajmy się w przyszłym tygodniu. Umówimy się na kawę. – Najlepiej byłoby wybrać jakiś neutralny grunt. – Albo podjadę do ciebie do biura. I tak muszę się spotkać z Jacobem.

– Och – mówi Ian. – Myślałem, że...

– Jestem wykonawczynią testamentu Marka. Wszystkim się zajmę. Mówiłam ci, po prostu potrzebowałam trochę czasu.

Ian coś odpowiada, ale ja znowu ogładam się na zatłoczony sklep.

– Słuchasz mnie? – słyszę pytanie Iana.

Nie widzę Jamiego. Shelley też zniknęła.

Rzucam się do przodu i teraz to ja przepycham się między ludźmi, potrącam łokciami torby i nie zwracam uwagi na zirytowane westchnienia. Chcę tylko dostać się do Indry.

– Hej, gdzie jest Jamie? – pytam, stając obok niej.

Ona podrywa się i patrzy na mnie. Na jej ustach lśni błyszczczyk, ale jej oczy są puste, jakby mnie nie poznawała, jakby nie przedstawiono mi jej dwadzieścia minut temu, jakby nie szła przed chwilą pod rękę z moim synem.

– Indra, gdzie jest Jamie? – pytam, starając się mówić wolniej. Zaciskam pięści i zwalczam ochotę, żeby potrząsnąć nią za ramiona.

Dziewczynka robi duży krok w tył. Uświadamiam sobie, że ją przestraszyłam, więc prostuję się i rozglądam dookoła, szukając Jamiego wzrokiem po całym sklepie.

Nigdzie go nie ma.

– Tess, wszystko w porządku? – pyta Mel, pojawiając się u boku córki.

– Widziałaś gdzie Shelley? – Nadal się rozglądam, twarze i ciała zlewają mi się w oczach. Żadne z nich nie należą do Shelley ani Jamiego.

– Eee... – Mel patrzy od niechcienia po sklepie. W jej ruchach nie widać żadnego niepokoju, żadnej paniki, która narasta we mnie.

Shelley zniknęła. Jamie też.

Tessie, przestań.

Nie mogę, Mark. Nie mogę pozwolić, żeby Jamiemu coś się stało.

I nagle coś do mnie dociera – wszystkie elementy wskakują na swoje miejsce, a ja wreszcie dostrzegam odpowiedź na swoje ostatnie pytanie, na to wrażenie, którego nie mogłam się pozbyć, zanim Ian do mnie podszedł, na to przecucie, że coś się wydarzy. Shelley wcale nie chce mi pomóc – ona chce syna, który zastąpi jej Dylana. Chce Jamiego. Nagle w mojej głowie rozbrzmiewa jej głos: „Uwielbiałam być mamą. Czasami brakuje mi tego tak bardzo jak samego Dylana... Tess, ja tak bardzo pragnę mieć dziecko”.

Sklep wiruje mi w oczach – a może to ja sama się obracam. Shelley, gdzie jesteś? Co zrobiłaś z Jamiem?

– Tam jest! – krzyczy Indra, pokazując palcem dział z torebkami.

Przepycham się między ludźmi, żeby dotrzeć do Shelley.

– O, cześć – mówi ona. – Co myślisz o tej? – Podnosi brązową torebkę z lśniąca złotą klamerką.

– Jamie. – Mój głos to zduszony syk. – Gdzie jest Jamie? Miałaś go pilnować.

– On... – Shelley rozgląda się po sklepie i na jej twarzy pojawia się taki sam wyraz paniki jak na mojej. Nie porwała Jamiego, ale go zgubiła.

Nagle jestem otoczona – dookoła mnie stoją Mel z Indrą tulącą się do jej boku, a także Shelley i Ian. Są niczym mur zasłaniający mi widok na sklep i drzwi wyjściowe.

A co, jeśli Jamie wyszedł na ulicę? Co, jeśli ktoś go porwie?

Tessie, przestań.

– Tess? – Ian unosi brwi i marszczy czoło; nie wiem, czy w wyrazie troski, czy irytacji, ale mam to gdzieś. Chętnie wrzasnęłabym na niego, żeby sobie poszedł. – Co się stało? – pyta.

Kolana się pode mną uginają.

– Nie mogę znaleźć Jamiego – szepczę, wpatrując się w twarze ludzi, którzy przystają i się na mnie gapią, a potem w Mel i znowu w Iana.

Wszyscy odpowiadają mi spojrzeniami pełnymi litości i niezrozumienia, jakbym mówiła w jakimś obcym języku. Oblewam się potem, mój oddech staje się krótki i nerwowy. Dlaczego nikt mi nie pomaga?

– JAMIE! – Obracam się na pięcie.

Kolejne osoby przystają, żeby na mnie spojrzeć, ale nic mnie to nie obchodzi.

– Mój syn się zgubił! – krzyczę.

Shelley rusza jako pierwsza; przepycha się do drzwi, żeby rozejrzeć się po ulicy.

– JAMIE! – krzyczę jeszcze raz.

Jakaś kobieta z trwałą kładzie sobie rękę na piersi i cofa się, jakbym oświadczyła, że pod płaszczem mam ukrytą bombę. Co się dzieje z tymi ludźmi?

– Ma siedem lat! – krzyczę. – Jest ubrany w... w niebieską kurtkę i džinsy i ma kręcone blond włosy.

Serce bije mi tak szybko, że nie jestem w stanie oddychać.

Ludzie zaczynają się ruszać i rozglądać po sklepie, jakby Jamie mógł siedzieć tuż obok nich albo jakbym zgubiła kolczyk.

– Tess? – odzywa się Ian niskim i stanowczym głosem.

Wiem, że powie mi, żebym się uspokoiła. Ale jak?

Mówienie sprawia mi trud. W oczach mi się mieni, ale walczę z tym.

– Zostańcie tutaj! Sprawdźcie na górze! – krzyczę do reszty i zapuszczam się w głąb sklepu. – Jamie! – wołam, wbiegając po ruchomych schodach.

Poślizguję się i uderzam lewym kolaniem o metalowy stopień przede mną. Moją nogę przeszywa ból, a przez rajstopy przesącza się coś mokrego.

Shelley mnie woła, więc oglądam się na nią z nadzieją, że jest przy niej Jamie. Ale go nie ma. Shelley stoi w pobliżu głównych drzwi i rozmawia z ochroniarzem, który trzyma w ręce krótkofalówkę.

Jamie musi gdzieś tu być.

Schody dojeżdżają na górę. Wyglądam przez szklane barierki, modląc się, by gdzieś mignęła mi jasna czupryna Jamiego albo żeby do mnie krzyknął.

– Jamie! – wołam jeszcze raz, przepychając się obok pary przede mną, żeby szybciej dostać się na piętro.

Rozdział 55

Na górze jest spokojniej. Skądś leci cicha fortepianowa muzyka, która kontrastuje z napięciem, jakie wypełnia moje ciało. Muszę znaleźć Jamiego.

– Widział pan tutaj małego chłopca? – pytam jakiegoś mężczyznę w czerwonej koszulce.

Niesie pudło, ale odstawia je, kiedy go zaczepiam. Kręci głową i zaczyna coś mówić, ale nie mam czasu go słuchać.

Skręcam i przechodzę z działu pościelowego do kuchennego: jest, na samym końcu sklepu, przeciąga ręką po długim czarnym teleskopie. Nasz śliczny chłopczyk z burzą włosów, które trzeba by już przyciąć.

Zalewam się łzami, a kiedy Jamie się odwraca, widzę, że on też ma mokre policzki.

– Już myślałam, że cię zgubiłam.

Jamie się uśmiecha i przepraszająco wzrusza ramionami. Zabłąkał się i zapatrzył na teleskop, przez który można spoglądać w gwiazdy. Nie musi mi nic tłumaczyć. Rozumiem. Myśli o niebie, czy gdziekolwiek się teraz znajdujesz.

Przez kilka sekund stoimy w milczeniu, wpatrując się w teleskop. Kosztuje prawie pięćset funtów, ale czuję taką ulgę, że w pierwszym momencie niemal zabieram go do kasy. Lecz ręce i całe ciało tak mi się trzęsą, że w mojej głowie pozostaje tylko jedna myśl: musimy stąd wyjść.

– Już wszystko dobrze. – Uśmiecham się słabo i biorę Jamiego za rękę.

Zjeżdżamy ruchomymi schodami. W zasięgu mojego wzroku pojawiają się Ian, Shelley i Mel. Zauważam też zapłakaną Indrę i czuję wyrzuty sumienia, ale żadne z nich nie patrzy w moją stronę.

Ian stoi plecami do mnie i wymachuje rękami, mówiąc coś do Shelley. Jej twarz widzę doskonale. Jest zimna i beznamiętna jak kamień.

– Nie mów mi, co mam robić – mówi ostro do Iana. – Sama sobie z tym poradzę. Mówiłam ci.

– Czyżby? Niby jak? – warczy Ian, kiedy Jamie i ja schodzimy ze schodów na parter.

– Takich spraw nie załatwia się w jeden dzień. Nie pośpieszaj mnie – syczy Shelley.

– Albo coś z tym zrobisz, albo sam się tym zajmę – mówi Ian.

W tym momencie do nich docieram. Mel trąca Shelley łokciem i wszyscy troje odwracają się w moją stronę.

– Hej – mówię, przygryzając wargę, bo w oczach znowu stają mi łzy. Cała się czerwienię na myśl o swoim wybuchu. – Znalazłam go.

Wszyscy – Mel, Shelley, Ian – gapią się na mnie z otwartymi ustami, z winą niemal wypisaną na twarzach, jakbym ich na czymś przyłapała.

I nagle coś do mnie dociera. Aż się zachłystuję. Oni się znają. Shelley i Ian. Cofam się na uginających się nogach i nadeptuję komuś na stopę. Gdyby byli sobie obcy, nie mieliby powodu tak zażarcie się kłócić. Nieznajomi nie rozmawiają ze sobą w ten sposób – nie z takim jadem i złością. To nie jest sprzeczka z gatunku „zajęła mi pani miejsce parkingowe”.

Z czym dokładnie „radzi sobie” Shelley? Pod wpływem tego pytania przewraca mi się w żołądku.

– Tess – odzywa się Shelley – chodźmy w jakieś spokojniejsze miejsce. Kręcę głową i cofam się o krok.

– Nie. Dajcie nam spokój. Wszyscy. – Celuję palcem w całą trójkę. Obejmuję Jamiego ramieniem i wyprowadzam go ze sklepu.

Do domu wracamy autobusem. Numer 93. Rozklekotany dwupiętrowiec ze zbyt mocno odkręconym ogrzewaniem. Przez otwarte okna

napływają opary benzyny. Siedzimy na górze, na samym przodzie, i razem patrzymy na przepływający obok świat. Jamie jest pogrążony w swoich myślach, a ja w swoich. Później, już w domu, wyciągam notes i kartkuję strony, czytam każde słowo, muskam palcami ślady długopisu, jakbym czytała braille'em, jakbym mogła namacać w nich odpowiedź, której nie mogę dostrzec oczami.

Shelley i Ian się znają.

Shelley od samego początku mną manipulowała. Udawała przyjaciółkę, żeby zbliżyć się do mojego syna. Dosypywała mi środków usypiających. Za pierwszym razem, żeby spędzić trochę czasu z Jamiem, i za drugim, żeby zdyskredytować mnie w oczach policji. Może były też inne okazje, których nie pamiętam.

Na pewno ze sobą współpracują. W jakim innym celu Shelley miałaby godzinami ciągać mnie po Tesco, niż żeby dać Ianowi czas na szperanie po domu?

Co zostaje, jeśli wykreślimy wszystkie elementy powiązane z Richardem? Pogróżki przez telefon, Ian i jego pieniądze, zaginione z domu rzeczy.

Wiem, że Shelley chce mi odebrać Jamiego, chce go dla siebie. Ale jaką rolę w tym wszystkim odgrywa Ian? Mark, czego ja jeszcze nie dostrzegam?

Rozdział 56

Zapis rozmowy między ELLIOTEM SADLEREM (E.S.) A TERESĄ CLARKE (T.C.) (PACJENTKĄ SZPITALA OAKLANDS, ODDZIAŁU HARTFIELD), ŚRODA, 11 KWIETNIA. SESJA 2 (cd.)

T.C.: Rozmawialiście z Mel, przyjaciółką Shelley? Może jej pomaga. Może to ona ma Jamiego.

E.S.: Jak dobrze znała pani Mel?

T.C.: Spotkałyśmy się raz, no, właściwie to dwa, ale tylko raz tak naprawdę. W sobotę Shelley zabrała mnie i Jamiego do Ipswich na zakupy. Tyle się wydarzyło. Wydaje się, jakby to było dawno temu. Przez cały czas miałam wrażenie, że coś jest nie w porządku. Jakby Mel mnie obserwowała, oceniała... I ona, i Shelley. A potem niktąd pojawił się Ian i wyglądało to tak, jakby wszyscy troje się znali.

E.S.: A znali się?

T.C.: Nic o tym nie wspomnieli, w każdym razie nie z początku. Ian chciał ze mną porozmawiać na osobności, więc poprosiłam Shelley, żeby zajęła się Jamie. Nie dopilnowała go i gdzieś się zabłąkał. Wpadłam w panikę. Może trochę przesadziłam, ale Jamie jest dla mnie wszystkim. I Shelley o tym wie. Nie powinna się od niego oddalać. A kiedy go już znalazłam, zobaczyłam, jak Shelley i Ian się kłócą.

E.S.: O co?

T.C.: Nie wiem, ale zdecydowanie wyglądało na to, że się znają. Gdy tylko mnie zauważyli, natychmiast

zamilkli. Jestem pewna, że to wszystko jest ze sobą powiązane. Ian i pieniądze, Shelley i Jamie, Mark i te pogroźki. Wszystko to ma ze sobą jakiś związek. Gdybym tylko mogła zajrzeć do swojego notesu... Co powiedział Ian?

E.S.: Przerwijmy na razie. Za chwilę będzie tu pani matka.

T.C.: Moja matka? Dlaczego?

E.S.: Tess, dźgnięto panią nożem. Szpital znalazł jej numer i po nią zadzwonił. Jest już w drodze.

T.C.: Och, wolałabym nie.

E.S.: Dlaczego?

T.C.: *(kręci głową)*

E.S.: Mam pani notes. Przyniosę go.

T.C.: Dziękuję.

Rozdział 57

Ian Clarke

Nie widziałem Tess od tamtego dnia, kiedy wpadłem na nią w deszczu, aż do spotkania w centrum handlowym. Przestała odbierać moje telefony – założę się, że to był pomysł Shelley. Więc w zeszłym tygodniu pojechałem się z nią zobaczyć. Nie było jej w domu, w każdym razie nie otworzyła drzwi. Słyszałem, jak dzwoni jej telefon. Shelley nagrała wiadomość na sekretarkę, z informacją, że w sobotę jadą na zakupy do miasta. Poszedłem tam z nadzieją, że uda mi się je znaleźć. Popełniłem kilka błędów, nie przeczę, ale szukałem jej w Ipswich tylko po to, żeby wszystko naprawić.

To, co się wydarzyło w Debenhamsie, to dowód na to, że Shelley kompletnie ją omotała. Musiałem zadziałać i to zrobiłem. Ale coś wam powiem: do momentu, kiedy dojechałem do domu, nie miałem pojęcia, że to dzień urodzin Jamiego.

Shelley Lange

Nie miałam czasu, żeby się zastanowić nad tym, co robię. Nie myślałam jasno, teraz to wiem. Pozwoliłam, żeby problemy osobiste i poczucie więzi z Jamiem zaćmiły mój osąd. Po prostu nie mogłam przestać myśleć, jakie to wszystko niesprawiedliwe. Ja straciłam Dylana, a Tess nadal miała Jamiego. To nie było w porządku.

Ta wyprawa na zakupy okazała się straszna. Właśnie wtedy uświadomiłam sobie, że muszę coś zrobić. Sytuacja wymknęła się spod kontroli i to wszystko była moja wina. W ogóle nie należało zapraszać Mel i jej córki Indry. Wydaje mi się, że podświadomie chciałam, żeby ktoś jeszcze miał oko na Tess. Przy niej nie ufałam własnej opinii. Nie mam pojęcia, skąd Ian wiedział, że idziemy do Debenhamsa, ale nie mógł

sobie wybrać gorszego momentu. Kiedy Tess zaczęła wariować, że Jamie się zgubił, Ian wydarł się na mnie, że to moja wina, i może faktycznie tak było. I w ogóle nie powinnam była się z nim umawiać, żeby przyjechał następnego dnia do domu Tess. Trzeba było jechać tam samej, może wtedy nic złego by się nie wydarzyło. Strasznie mi przykro.

Rozdział 58

Niedziela, 8 kwietnia – urodziny Jamiego

Denise dzwoni z samego rana, akurat kiedy balansuję na kuchennym krześle i próbuję rozwiesić na kredensie chorągiewki z napisem „Wszystkiego najlepszego”.

Zeskakuję i chwytam telefon.

Prezenty Jamiego leżą w stercie na stole, opakowane w nieprzyzwoicie drogi papier z motywem z *Gwiezdných wojen*. W samochodzie mam jeszcze kilka dodatkowych upominków i balon z helem. Zostawiam je na później, kiedy już zjemy tort.

Zanim odbieram połączenie, nasłuchuję, czy Jamie już się obudził, ale w domu słychać wyłącznie dzwonięcie grzejników.

– Cześć – mówię, przyciskając telefon do ucha.

– Cześć, Tess – mówi Denise. – Bardzo cię przepraszam, że oddzwaniam dopiero po kilku dniach.

– Próbowałam się do ciebie dodzwonić – odpowiadam. – I to codziennie. Co się dzieje? – pytam, podchodząc do okna i wyglądając na podwórze. – O czym nie mogłaś ze mną wtedy rozmawiać?

– Strasznie przepraszam za tamto. Po prostu kompletnie mnie wtedy zaskoczyłaś. Zdenerwowałam się, słysząc twój głos, i znowu się poryczałam. Przez cały ten czas byłam na zwolnieniu. W ogóle nie sypiałam. Wreszcie zaczynałam dochodzić do siebie, aż nagle dzwonisz ty... i wpadłam w panikę. Nie chciałam już o tym myśleć. Wiem, że to nie fair, i przepraszam.

Faktycznie, to nie fair. Ból Denise jest niczym w porównaniu z moim. Mam ochotę nawrzeszczyć na nią za to, że jest taką egoistką, ale jeśli to

zrobię, pewnie się rozłączy i nigdy nie dowiem się tego, na czym mi zależy.

– W porządku – kłamię. – Więc wiesz, nad czym pracował Mark? Bo ja wiem tylko tyle, że miał jakiś tajny projekt, ale nic więcej.

Denise wzdycha, jej oddech chrzęści w słuchawce.

– Mark i dwóch programistów chcieli założyć nową firmę. Przejść na własną działalność. Zapytali, czy nie chciałabym prowadzić im biura, dlatego o tym wiem.

– Aha... – Coś we mnie zamiera. Siadam na krześle, na którym przed chwilą stałam. Nie tego się spodziewałam. – Więc po co ta cała tajemnica?

– Musieliśmy zachować to w sekrecie, żeby firma się nie dowiedziała.

– Dlaczego?

– Boby nas pozwalniali. Pomyśleliby, że kradniemy im klientów, co swoją drogą faktycznie robiliśmy.

– Potrzebowaliście kapitału na otworzenie biznesu? Stu tysięcy? – pytam.

– Nie – odpowiada Denise. – Wszystko nadal jest w fazie początkowej, koszty wkładu były minimalne. Peter Yang i Toby Gordon mieli się zajmować programowaniem. Zamierzali z początku pracować zdalnie, a Mark miał dojeżdżać do klientów. Wystarczyłaby tylko strona internetowa i trochę marketingu, ale zamierzali zająć się wszystkim sami.

– Nic o tym nie wiedziałam – mruczę, skonsternowana faktem, że podzieliłaś się taką tajemnicą z asystentką, ale nie ze swoją żoną.

– Mark nie chciał, żebyś się martwiła – mówi Denise i nagle wyrzuca z siebie: – Mówię szczerze, Tess, on naprawdę czuł się z tym fatalnie. Powiedział, że po powrocie z Frankfurtu zamierza ci wszystko wyznać. Chciał tylko najpierw załatwić jeszcze jednego klienta, żeby mieć pewność, że pomysł wypali.

– Aha. Dziękuję – odpowiadam i mówię to poważnie.

To okropne, że o niczym mi nie powiedziałaś, Mark, ale może i potrafię to zrozumieć. Zawsze starałaś się mną opiekować, żebym nie musiała się o nic martwić. Nie znosiłaś, kiedy się czymś przejmowałam, jakby to była twoja wina, a uspokajanie mnie było twoim obowiązkiem. Powinnam była od początku powiedzieć ci, że to niemożliwe. Ja po prostu tak mam, zawsze się o wszystko martwię. Ukrywanie przede mną różnych spraw nie było dobrym rozwiązaniem.

– Chciałaś zapytać o coś więcej? – pyta Denise.

– Czy Mark mógł sam wziąć jakieś dodatkowe zlecenie? – Przypominam sobie chrapliwy śmiech tamtego mężczyzny na sekretarce i to coś, na czym mu zależy. – Jakąś robotę z programowaniem albo coś w tym stylu?

– Nie wydaje mi się – mówi Denise. – Znaczący, to niewykluczone, ale jestem pewna, że by nam powiedział. Peter to król software’u. A Mark od lat nie zajmował się programowaniem. Technologia poszła do przodu, więc miałby sporo zaległości, gdyby chciał do tego wrócić.

– Aha... – O tym nie pomyślałam.

– Nadal zamierzają nazwać firmę CYG Systems. Clarke, Yang, Gordon. Wszystkim nam bardzo brakuje Marka.

– Mnie też.

– Muszę kończyć. Mamy spotkanie zarządu.

– Denise, poczekaj. Mam jeszcze jedną sprawę. Pytałaś, czy ktoś się ze mną kontaktował. Dlaczego?

– A, tak. Dzwonił do mnie jakiś dziwny koleś. W ogóle wydzwaniał do całego zespołu, wypytywał o Marka i ciebie, i Jamiego.

To on. Ten straszny człowiek od pogróżek. To musi być on.

– Z początku myślałam, że to może dziennikarz – ciągnie Denise. – Nie chciałam, żeby cię zamęczał. Ale wreszcie powiedział, że pracował w liniach lotniczych. Był bardzo zdenerwowany. Jestem pewna, że

mówił, jak się nazywał. Chyba... – Denise milknie, ale ja doskonale wiem, kogo ma na myśli.

– Richard – kończę z westchnieniem.

– No właśnie – potwierdza Denise. – A co, kontaktował się z tobą? Powinnam była od razu ci o nim powiedzieć, ale pomyślałam, że może dał sobie spokój.

– Nieważne. Uciekam. Dzisiaj urodziny Jamiego. – Rozłączam się, zanim Denise będzie miała szansę odpowiedzieć.

W głowie mam zamęt. Chciałeś założyć własną firmę. To był ten tajny projekt, o którym mi nie powiedziałaś. Uzyskałam kolejne odpowiedzi, ale nadal nie te, o które mi chodzi.

Już mam iść po swój notes, kiedy Jamie w piżamie zakrada się do kuchni.

– Wszystkiego najlepszego! – krzyczę. Głos mi drży, ale przyklejam na usta uśmiech i odpycham od siebie pytania. Dzisiaj muszę się skupić na Jamiem.

On też się uśmiecha, po czym siada na krześle. Zerka na prezenty, ale kiedy zaczynam śpiewać, podnosi głowę. Śpiewam wszystko od początku do końca, *Sto lat* i *Niech mu gwiazdka...* Tańczę po kuchni, przeskakując z nogi na nogę. Jamie śmieje się z moich wygłupów – ja też. Bez ciebie wszystko jest nie tak, ale dam radę.

Rozdział 59

Po śniadaniu, kiedy wszystkie prezenty zostały otwarte, a podłogę zaścieliły porozdzierane papiery, Jamie biegnie na górę, żeby się przebrać, i idzie się bawić w domku na drzewie, tak jak w zwykły dzień.

Ja też wychodzę do ogrodu. Częściowo żeby być blisko niego, a częściowo dlatego, że dom wydaje się dzisiaj ciemniejszy, bardziej pusty. Na zewnątrz słońce stoi wysoko na niebie, żółte jak mlecz. Co jakiś czas zasłaniają je bawełniane kłębki chmur i robi się odrobinę chłodniej.

– Na pewno nie chcesz dziś porobić czegoś specjalnego?! – krzyczę w którymś momencie, przesuwając ręką po sznurowej drabince i żałując, że Jamie nie zaprasza mnie do swojego świątka. – Jeszcze byśmy zdążyli!

– Nie trzeba! – słyszę odpowiedź z góry.

Opieram się o szorstką korę pnia i przez chwilę nasłuchuję nonsensownego trajkotania Jamiego oraz dźwięku małych metalowych resoraków szurających po drewnie.

– A Shelley przyjedzie? – pyta Jamie później, kiedy prawie już czas, żeby wrócić do domu na tort i podwieczorek złożony z chrupek i kanapek z dżemem.

– Nie dzisiaj, kochanie.

Wydzwaniała do mnie wczoraj, raz za razem. Nie mogłam uciec przed wibrowaniem komórki i dzwonkiem domowego telefonu. W końcu zablokowałam jej numer i wyciągnęłam kabel. Trzeba było to zrobić już dawno temu. Wreszcie przestałam chodzić w kółko, czekając na jej kolejną próbę.

Nie wiem, kto nam grozi ani czego chce, ale nie mam wątpliwości, że Shelley pragnie odebrać mi Jamiego.

Natychmiast po powrocie do środka włączam radio. Co kilka minut sygnał się rwie, ale szmer głosów i muzyki napełnia kuchnię życiem. Zamykam drzwi do przedpokoju, tak jakby głosy w radiu były duchami, które mogą odpłynąć i zniknąć w trzewiach domu, a nam znowu pozostanie tylko cisza.

W kilka minut zjadamy z Jamiem całą paczkę ciasteczek z czekoladą, a kuchenny stół znika pod przezroczystymi plastikowymi torebkami pełnymi szarych lego w każdym możliwym kształcie i rozmiarze. Przed nami, otwarta na pierwszej stronie, leży dwustustronicowa instrukcja składania Sokoła Millennium. Jamie nachyla w skupieniu głowę i wysuwa język, poruszając zębem w przód i w tył jak wahadłem.

Włożył na ubranie nową piżamę z Batmanem. Jest za duża i kiedy Jamie sięga po następny element lego, rękawy zsuwają mu się na dłonie.

– Ach! – Podrywam się nagle, szurając krzesłem o podłogę. – Zostawiłam coś w samochodzie. Ty układaj dalej, a za dziesięć minut zjemy tort. – Uśmiecham się i tym razem nie jest to wymuszone jak rano.

W piersiach czuję wszechogarniającą miłość.

– Kocham cię, Jamie.

Chwytam kluczyki do samochodu i otwieram szeroko boczne drzwi, gotowa wyskoczyć w kapciach po balon z helem. Niebo nad polami jest różowofioletowe jak wata cukrowa. Zawołałabym Jamiego, żeby przyszedł je zobaczyć, gdyby nie to, że tuż przed sobą widzę Shelley z ręką uniesioną, żeby zapukać do drzwi.

– Cześć. Twój telefon nie działa – mówi od progu, zaglądając przez moje ramię, żeby zobaczyć Jamiego.

– Odłączyłam kabel. Ciągłe dzwoniłi z reklamami – kłamię.

– Na komórkę też nie mogłam się dodzwonić. – Shelley patrzy na mnie spod przymrużonych powiek. W jej twarzy nie widać dziś żadnej

radości, żadnego uśmiechu. Jej szczęka jest sztywna, usta zaciskają się w prostą linię.

Wzruszam ramionami.

– Tak szybko wczoraj uciekłaś... więc chciałam sprawdzić, czy...

– Nic mi nie jest. Ale... dzisiaj są urodziny Jamiego... – Nie kończę zdania, za to ustawiam się w szczelinie drzwi, zasłaniając Shelley widok na kuchnię i tort.

Jakaś część mnie ma ochotę wrzasnąć na nią, żeby sobie poszła, zatrzaskać drzwi i zaryglować zamek. Inna chce jej powiedzieć, że wszystko wiem. I żeby dała sobie spokój, bo nigdy jej nie pozwolę odebrać sobie Jamiego. Przenigdy.

Tylko że nie mogę znaleźć słów. Shelley, którą dostrzegam na stronach swojego notatnika – ta, o której myślę ze strachem w środku nocy, kiedy nie mogę spać; która dosypuje mi środki usypiające i śpiewa kołysanki Jamiemu; której numer zablokowałam i z którą obiecałam sobie już nigdy nie rozmawiać – z jakiegoś powodu wydaje się zupełnie niezwiązana ze stojącą w moich drzwiach kobietą w błękitnym swetrze z dekoltem w serek, z włosami rozjaśnionymi słońcem i twarzą dziewczyny z sąsiedztwa.

Mam przed sobą przyjaciółkę, która ściągnęła mnie znad przepaści, kiedy tonęłam w rozpacz, która przyszła na ratunek mnie i Jamiemu, kiedy nie mieliśmy nikogo innego. Nie wiem, jak bym sobie poradziła bez jej przyjaźni. Ta Shelley to kobieta, która mnie ocaliła, i wcale nie chcę zatrzaskiwać jej drzwi przed nosem; chcę się zalać łzami i rzucić w jej ramiona.

Z tyłu rozlega się szuranie krzesła na podłodze i nie muszę się odwracać, żeby wiedzieć, że stoi tam Jamie, z uśmiechem od ucha do ucha, i nie może się doczekać, kiedy pokaże Shelley swoje prezenty i zaprosi ją do świętowania urodzin.

Ignoruję więc syrenę zawodzącą w moich uszach, ignoruję węzły strachu zaciskające się w moim brzuchu i cofam się, uchylam drzwi, żeby wpuścić Shelley do środka. Nie tylko z powodu Jamiego i wesołego tupotu jego nóg na podłodze kuchni, ale i dla siebie samej. Dzięki żywości Shelley będziemy mieli prawdziwą uroczystość. Możemy zapalić świece na torcie i zaśpiewać Sto lat, i nie wyjdzie to sztucznie, nasza radość nie będzie fałszywa.

– Muszę tylko wziąć coś z bagażnika – mówię, próbując wyminąć Shelley.

Napięcie znika z jej twarzy i Shelley uśmiecha się lekko.

– Ja przyniosę. Ty jesteś w kapciach. – Wyjmuje klucze z mojej ręki i obraca się na pięcie, zanim mogę ją powstrzymać.

Kiedy wraca, jest blada jak kreda na tle barwnego nieba, z jej twarzy odpłynęła cała krew. Za nią powiewa balon, usiłuje się wyrwać na wolność. Shelley wydaje się tak rozkojarzona, że przez chwilę boję się, czy balon nie wymsknie się z jej ręki i nie zniknie pośród przypominających watę cukrową chmur rozświetlonych zachodem słońca.

Wtedy jednak widzę cień i słyszę chrzęst innych kroków na podwórzu. Shelley nie jest sama. Krok za nią idzie Ian, twarz ma ciemną i marsową. Jest ubrany w koszulę bez krawata i czarne dżinsy. Jego brodę pokrywa szczecina. Pierwszy raz widzę, żeby był choć odrobinę zaniedbany.

Cofam się o krok i moje ciało przechodzą ciarki.

– Czego chcesz? – pytam z trudem.

– Mogę na chwilę wejść? – pyta Ian.

Kręcę głową, ale on stoi już na ganku i wpycha się przez drzwi, po czym wchodzi do kuchni. Shelley pozostaje w wejściu. Oczy ma szeroko otwarte.

– Przepraszam – szepcze do mnie.

Oglądam się za siebie. Jamie podnosi jeden z porannych prezentów – samochodową grę na konsolę – i ogląda tylną stronę pudełka. Udaje, że nie zauważa nagłego pojawienia się wujka na swoich urodzinach.

Ian staje przy zlewie i krzyżuje ramiona. Wpatruje się szeroko otwartymi oczami w sterty lego na kuchennym stole jak zafascynowany.

– Wy ze sobą współpracujecie, prawda? – pytam Shelley, kiwając na niego głową. – Chcecie mnie zastraszyć, żeby Ian mógł przejąć polisę ubezpieczeniową Marka, a ty odebrać mi Jamiego.

– Może lepiej usiądźmy i porozmawiajmy – mówi Ian. Zerka na Shelley z uniesionymi brwiami; to jakiś sygnał, ale nie rozumiem, co oznacza.

Nie wiem, co odpowiedzieć. Shelley wymija mnie i wchodzi do kuchni, ciągnąc za sobą balon.

– Patrz, co dostałem! – mówi do niej Jamie tonem przechwałki. – W to tak łatwo nie wygrasz.

Shelley nie odpowiada, lecz wypuszcza balon. Ciężarek na końcu sznureczka upada z brzękiem na podłogę. Balon – ma kształt cyfry 8 – podskakuje w górę i w dół, ociera się o ciemne belki sufitu. Jamie wybucha śmiechem.

– Mamo, mogę zainstalować nową grę? – pyta głosem, w którym słychać radość.

Ten jeden raz prezenty na tyle go zajęły, że nie zwraca uwagi na otaczający go nastrój, nie wyczuwa napięcia. Tak się cieszy na widok Shelley, że nawet nie pyta, co tu robi Ian. Nie zauważa naszego milczenia.

Kiwam głową.

– Jasne. A potem zjemy tort. – Gdy tylko pozbędę się naszych nieproszonych gości.

Dopiero kiedy Jamie wychodzi skocznym krokiem z kuchni, dostrzegam, że Shelley płacze. Z jej oczu spływają dwa strumyczki łez. Pierwszy raz widzę, żeby naprawdę płakała, i to sprawia, że mnie samej także zbiera się na łzy. Odwracam głowę.

Spoglądam na Iana i unoszę brodę.

– Nie wiem, po co przyszedłeś – mówię – ale nie jesteś tu mile widziany. Nie znalazłam żadnego potwierdzenia, że pożyczyleś Markowi te pieniądze. Moim zdaniem kłamiesz, bo chcesz dostać część albo nawet całość jego polisy na życie. Ciągłe powtarzasz, że chcesz mi pomóc, ale to kłamstwo, prawda? Chcesz mnie nabrać. Oboje chcecie mnie nabrać.

Wodzę po nich wzrokiem. Mam wrażenie, jakby ściany zaczynały się do siebie zbliżać. Twarze Iana i Shelley są ściągnięte z napięcia. Czyżbym wreszcie trafiła w sedno?

– Tess... – zaczyna Ian.

Podnoszę rękę i nie daję mu dokończyć.

– Wchodziłeś tu pod moją nieobecność, prawda?

Ian nie odpowiada i wiem, że mam rację.

– Nie chcę... nie chcę mieć z tobą już nic wspólnego – mówię. – Jutro zatrudnię nowego prawnika i dopilnuję, żebyś nie dostał ani grosza z pieniędzy Marka. I... i zamierzam złożyć wniosek o to, żeby zakazano ci zbliżania się do mnie. Nie chcę cię już nigdy więcej widzieć.

Oddycham szybko, serce wali mi w piersi. Czuję się jednocześnie pełna sił i przerażona. Ian kręci głową.

– Tess, ty potrzebujesz pomocy. – Spogląda na Shelley i znowu porozumiewają się milcząco.

Shelley kiwa głową.

– To się musi skończyć – odzywa się, ogarniając gestem rąk całą kuchnię.

– A ty? Wcale nie jesteś lepsza – mówię szybko i cicho, żeby Jamie nie usłyszał. Kręcę głową. – Myślisz, że nie zauważyłam, jak mną

manipulujesz za pomocą tych swoich „życzliwych” uwag? „Och, biedna Tess, najlepiej nigdzie nie wychodź beze mnie. Biedna Tess, ja wezmę na siebie twoją rodzinę”.

– Tess, ja nigdy nie... – zaczyna Shelley, ale nie pozwalam jej dokończyć.

– Manipulowałaś mną, kiedy byłam w największym dole. Słyszałam, jak rozmawiałaś przez telefon tamtego dnia, kiedy wróciliśmy z Tesco, a Ian wszedł do domu. Rozmawialiście ze sobą, prawda? Słyszałam, jak się kłóciliście.

– To nieprawda! – woła Shelley.

– Chcę, żebyście oboje stąd wyszli, ale już! Albo wezwę policję.

Omijam stół i podchodzę do tortu, który stoi na kuchni. Talerz jest poznaczony czarnymi smugami czekolady, ale sam tort wygląda wcale nieźle. Warstwa czarnego sklepowego lukru maskuje nierówności biszkopta. Z tego żółtego wycięłam symbol nietoperza. Skrzydła są miejscami troszkę poszarpane, ale osiem żółtych świeczek zasłania najgorsze błędy.

Otwieram gwałtownie szufladę i ciszę przerywa dzwonięcie sztućców. Wyciągam pierwszy lepszy nóż i zatrzaszukuję szufladę. Nóż jest za ostry na krojenie biszkopta, ale ze złości nie chce mi się szukać innego wśród kuchennych utensyliów.

W ogóle nie powinnam była wpuszczać ich do domu. Odsuwam klocki na bok, żeby zrobić w kącie blatu miejsce na tort i nóż. Co za głupota, że patrzyłam na Shelley jak na dwie różne osoby. Jest tylko jedna: ta, która stoi przede mną. Wszelkie pozory, że łączy nas przyjaźń, wreszcie znikają.

Żadne z nich się nie rusza. Zupełnie jakby czekali, aż coś powiem. Nie muszę patrzeć na Shelley, żeby wiedzieć, że nadal płacze. Czy przykro jej z powodu roli, jaką w tym wszystkim odegrała? A może dlatego, że

ją nakryłam? Albo to tylko kolejna manipulacja? Może i Shelley straciła syna, ale swojego jej nie oddam.

– Proszę, Tess, usiądź na chwilę – mówi Shelley, spoglądając błagalnie na Iana. – Musimy porozmawiać. Ian ma rację. Potrzebna ci pomoc.

– Chciałabyś, żebym w to uwierzyła, co? – pytam, biorąc zapałki z parapetu. Zmagam się z nimi przez chwilę, ale w końcu udaje mi się chwycić jedną i przeciągnąć nią po pudełku.

– Och, Tess, nie. – Shelley wyciąga rękę po zapałki, ale odtrącam ją ruchem ramienia. Co, może teraz myślisz, że zamierzam spalić dom?

Płomień syczy, zsuwając się w dół zapałki. Przykładam go kolejno do wszystkich świeczek i zdmuchuję, zanim poparzy mi palce.

– To jakiś absurd – mówi Ian.

– Od początku właśnie o to ci chodziło, co? – mówię do Shelley, nie zwracając uwagi na jego komentarz. – Chciałaś zrobić ze mnie wariatkę, która potrzebuje pomocy. Tak mnie od siebie uzależnić, żebym nie była w stanie samodzielnie nic zrobić.

Shelley kręci głową.

– Nie. To nieprawda.

Śmieję się krótkim „ha!” i kręcę głową.

– Wiesz, ja naprawdę myślałam, że tracę rozum, ale właśnie o to ci chodziło. Komu kazałeś do mnie wydzwaniać? I skąd on wiedział, że ma na mnie mówić Tessie? – To pytanie kieruję do szwagra.

– Mark by tego nie chciał – mówi Ian.

Nagle atmosfera się zmienia i czuję, że obydwoje są przeciwko mnie. Ściany kuchni zaczynają na mnie napierać.

– Nie potrzebuję niczyjej pomocy, a już na pewno nie będę wysłuchiwać, jak mi mówicie, czego chciałby Mark. On chciał mnie, mnie i Jamiego. Chciał, żebyśmy byli szczęśliwi. – Słowa wydobywają się z moich ust jak warknięcie.

Rzucam zapałki na stół obok ciasta i noża, strącając przy tym kupkę lego. Jeden z klocków leci daleko po podłodze, co jeszcze bardziej wzmagą wściekłość płonąca we mnie jak drewno w ognisku. Odwracam się do nich, czując w ustach smak dymu.

– Chcę, żebyście stąd wyszli – mówię głosem, który nagle wydaje się bardzo donośny i odbija się po ciasnej kuchni.

– Tess, proszę cię, posłuchaj mnie – mówi Shelley. – Jamie nie jest...

Nie słucham ostatniego słowa. Nie muszę. Szczęśliwy, to zamierzała powiedzieć – że Jamie nie jest szczęśliwy. Ale ja tego nie słyszę, bo w tym momencie Jamie staje w drzwiach. Wyraz twarzy ma ponury, napiera językiem na przedni ząb tak mocno, że ustawia go prawie poziomo. Emanuje z niego gniew, taki sam, jaki jeszcze przed chwilą płonął we mnie.

Kiedy patrzę w przeszywająco niebieskie oczy naszego syna, moja wściekłość się rozplywa.

– Jamie. – Głos mi drży. – Wszystko w porządku. Shelley i Ian już sobie idą. A my zjemy tort. – Pokazuję ręką świeczki.

Osiem małych, dumnie płonących płomyków. Dwie krople wosku zdążyły już spłynąć na tort i rozmazać lukier.

– Nie – mówi Jamie. To jedno puste słowo rozchodzi się echem po mojej głowie.

– Jasna cholera – mruczy Ian.

– Tess, popatrz na mnie. – Głos Shelley brzmi niemal jak krzyk, ale ja nie mogę oderwać wzroku od syna.

Jego dłonie zwijają się w pięści, a jasnoniebieskie oczy skupiają się na nożu. Podążam za jego spojrzeniem i nie widzę już narzędzia, którym mam pokroić urodzinowy tort. Widzę broń.

– To się musi skończyć – mówi Shelley.

W jej głosie słyszę ostrzeżenie i wreszcie odwracam oczy od Jamiego i noża. Jej twarz jest ściągnięta z napięcia, oczy rozwarte w wyrazie

paniki. Dokładnie o to jej chodziło, prawda? Chciała wbić między nas klin.

– Chcę, żeby to Shelley była moja mamą – mówi Jamie. Teraz jego głos brzmi cicho i dziecinnie, jakby znowu miał trzy latka i prosił o swojego misia. – Nienawidzę cię.

– Jamie... przepraszam – wyduszam z siebie, z trudem łapiąc oddech. Jego słowa przebijają mnie jak ostrze. – Postaram się, wszystko będzie...

– TESS! – krzyczy nagle Ian, aż podrywam się z miejsca.

Następuje ułamek sekundy ciszy i gdzieś w tle słyszę z radia piosenkę George'a Michaela.

Nie wiem, kto zrywa się pierwszy, ale w jednej chwili stoimy, a w drugiej wszyscy rzucają się po nóż: ja, Jamie oraz Ian.

Jamie wyciąga rękę w tym samym momencie co ja.

Shelley wrzeszczy.

– Tess, przestań! Przestań, przestań, przestań!

Staram się, ale Ian sięga przez Jamiego po nóż. Moje ciało się napręża. Dłoń Iana już prawie chwyta trzonek, ale ręka Jamiego też. Nie mogę pozwolić, żeby Ian zdobył nóż. Co, jeśli chce zrobić krzywdę Jamiemu? Skaczę do przodu. Za szybko, za daleko. Palce mojego syna zaciskają się na rękojeści noża, palce Iana również.

Poruszam się za szybko. Usiłuję się zatrzymać, ale jest za późno. Ostrze wbija się prosto w mój brzuch z taką samą łatwością jak w tort, do którego było przeznaczone.

Tessie, o nie.

Twój głos napływa z daleka, łamie się jak dźwięk w radiu.

Ból parzy, przepala ścieżkę w moim brzuchu i rozchodzi się po całym ciele. Patrzę na ułożone w O usta Shelley i szok na twarzy Iana, który zatacza się w tył.

Rozdział 60

Panika kłębi się we mnie jak tornado. Nóż sterczy mi z brzucha, połowa jest w środku, połowa na zewnątrz. Nie mogę na niego patrzeć, ale nie mogę też oderwać wzroku. Sięgam po trzonek i wyszarpuję ostrze. Przez moją bluzkę przesącza się coś ciepłego i lepkiego. Nóż upada z brzękiem na podłogę.

Chwytam się za brzuch i czuję ciekącą przez palce krew.

– Jamie... – Osuwam się na podłogę, zaciskając zęby z bólu, który ścina wszystkie mięśnie w moim ciele; zmuszam się, żeby zachować spokój, choć panika próbuje wyrwać się ze mnie na zewnątrz.

Jamie jest tuż poza moim zasięgiem, stoi nade mną w nowej czarno-żółtej piżamie z Batmanem.

Słyszę ich głosy – Shelley i Iana. Mówią coś do siebie, a może do mnie i Jamiego, ale wyłapuję wyłącznie własny poszarpany oddech i bębnienie serca.

„To się nie dzieje naprawdę. To się nie dzieje naprawdę” – powtarzam w myślach raz za razem, jakbym dzięki temu mogła cofnąć ostatnich kilka minut – kilka miesięcy – swojego życia. Przewala się nade mną fala bólu, ściągając moją uwagę z powrotem na ranę, na krew, na nóż. Podnoszę głos i pozwalam, żeby rozbrzmiała w nim desperacja:

– Jamie!

Jego oczy są szeroko otwarte, w kolorze czystego błękitu, jak niebo tego dnia, kiedy umarłeś.

Ręce mi się trzęsą jak porażone prądem, ale choć każdy ruch sprawia, że w kącikach moich oczu majaczy czarna mgła, wyciągam palce do syna. On cofa się na chwiejnych nogach z powrotem do drzwi i znika.

Oddech więźnie mi w gardle i z mojej krtani wydobywa się brzydki gardłowy dźwięk.

Słyszę szybki, przyciszony głos Iana, a kiedy podnoszę głowę, widzę przy jego uchu komórkę.

– Och, Tess! – woła Shelley. – Trzymaj się.

Podnosi nóż, a ja patrzę, jak z ostrza na jej dłoń spływają kropelki krwi. Odkłada nóż do zlewu i kuca na podłodze obok mnie.

– Trzymaj się – powtarza, ale chyba nie dam rady.

Krew za szybko ze mnie wycieka. Opadam na terakotową podłogę. Czuję, że kałuża wokół mnie już stygnie.

– Nie odbierzesz mi Jamiego – mówię z wysiłkiem.

A potem moje oczy ogarnia czerń i myślę tylko: gdybym wzięła mniejszy nóż, gdybym nie zaufała Shelley, gdybym była lepszą matką, tobym teraz nie umierała.

Rozdział 61

Zapis rozmowy między ELLIOTEM SADLEREM (E.S.) A TERESĄ CLARKE (T.C.) (PACJENTKĄ SZPITALA OAKLANDS, ODDZIAŁU HARTFIELD), ŚRODA, 11 KWIETNIA. SESJA 2 (cd.)

E.S.: Tess, no więc mam tutaj pani notes. Chciałaby pani do niego zajrzeć?

T.C.: A pan go czytał?

E.S.: Owszem.

T.C.: W takim razie wszystko już pan wie.

E.S.: Ale może sama pani zajrzy?

T.C.: Dobrze.

E.S.: Proszę mi powiedzieć, co pani widzi.

T.C.: Wszystko. A pan nie? Proszę, tu są daty i godziny tych telefonów z pogrózkami, i te wszystkie razy, kiedy śledził mnie Richard Welkin, choć on nie ma z tym nic wspólnego. Są tu wszystkie potrzebne informacje. Zapisałam, kiedy Ian włamał się do domu, i wszystkie jego kłamstwa. O, proszę, a tutaj jest o Shelley. Ona rozpaczliwie pragnęła zastąpić kimś Dylana. Nieraz powtarzała, jak to chciałaby znowu być matką. Rozstała się z mężem. Usypiała mnie, żeby mogła mieć Jamiego dla siebie i udawać, że to jej syn. I przez cały ten czas zachowywała się tak, jakbym to ja nie umiała uporać się ze stratą. No, może faktycznie tak było, ale ona też. Chciała mi odebrać Jamiego. Oboje usiłowali zrobić ze mnie wariatkę, wmówić mi, że potrzebuję pomocy.

(stukanie do drzwi)

E.S.: Przepraszam na chwilę.

SESJA PRZERWANA.

SESJA WZNOWIONA.

T.C.: Czy to była Shelley?

E.S.: Shelley pomagała policji uzyskać odpowiedzi na kilka pytań na temat pani i tego notesu.

T.C.: Ona współpracuje z Ianem. Nie widzicie, że chce mi odebrać Jamiego?

E.S.: Powodem, dla którego pukała właśnie do drzwi, jest to, że przyjechała pani matka. Tess, chciałyby się pani z nią teraz zobaczyć? Myślę, że jej obecność pomogłaby nam w drugiej części naszej sesji.

T.C.: Może i tak. (pauza) Jak to: „sesji”?

Rozdział 62

Środa, 11 kwietnia

Przerzucam kartki i wpatruję się w ślady czarnego długopisu. Wszystkie strony są całkowicie zapisane. W rogach i pośrodku widzę dziury, a dookoła nich plamy tuszu – długopis dziurawił kartkę. Ale wszystko mam tu napisane czarno na białym i teraz, kiedy czytam o tym, co się działo ze mną i z Jamiem, nie mogę uwierzyć, że od razu nie podjęłam żadnych działań. Powinnam była natychmiast iść z tym na policję. W chwili gdy usłyszałam pierwszą wiadomość na sekretarce, powinnam była zabrać Jamiego ze szkoły i pojechać z nim do mamy, tak jak proponowała.

Wmawiałam sobie, że zostałam w wiosce przez wzgląd na niego, bo był szczęśliwy w tym domu i w tej szkole. Ale to nieprawda. Był milczący. Kiedy siedzieliśmy w jednym pokoju, prawie się nie odzywał. Nie, nie zostałam tam przez wzgląd na niego, tylko na siebie, bo w tym domu czułam się bliżej ciebie – i ponieważ miałam tam Shelley, która wyciągała mnie z otchłani rozpaczy.

Znalazłam już tyle odpowiedzi. Wiem, że Shelley chce Jamiego. Wiem, że to Richard za mną chodził – wszystkie te głuche telefony, które tak mnie przerażały, były od niego – i jestem raczej pewna, że głos w telefonie to jakaś sztuczka Iana i Shelley, żebym nadal czuła się bezbronna i zdana na ich pomoc.

Ale jedyna kwestia, która się teraz liczy, jedyne pytanie, na które nie mam odpowiedzi, to: gdzie jest Jamie?

Linijki pisma rozmywają mi się w oczach. Nie mogę myśleć. Głowa mnie boli, a w ustach czuję suchość. Ból w moim brzuchu to tępe

pulsowanie. Poruszam się na krześle i krzywię, kiedy przeszywa mnie ostre ukłucie.

Za drzwiami słyhać jakiś ruch. Szuranie stóp i stuk-stuk laski na twardej podłodze. W drzwiach jest okienko i widzę za nim roszą postać inspektora Sadlera, który zasłania mi widok. Dlaczego nie wchodzą do środka? Co on mówi mojej mamie? Palą mnie policzki. Otulam się drapiącą szpitalną koszulą i szlafrokiem.

Obok drzwi znajduje się okno z zaciągniętymi żaluzjami: szarymi, pionowymi. Chyba włożono je między dwie szyby. Nie widzę żadnego obsługującego je sznurka, tylko przycisk. Jak na zwykły szpitalny pokój to bardzo skomplikowany system. Przesuwam wzrokiem po reszcie pomieszczenia, jakbym oglądała je po raz pierwszy.

Jest tu niski stolik z sosnowego drewna, wciśnięty między kanapę a dwa ustawione naprzeciwko niej fotele. Nie ma żadnych półek ani obrazków. Ściany są pomalowane na jakiś białawy odcień. Ktoś zadał sobie trud, żeby na jednej ścianie namalować od szablonu pnące pędy w intensywnym zielonym kolorze. Na gałązkach widać pastelowe kwiaty. Ładne, ale znowu doznaję wrażenia, że to dziwna ekstrawagancja jak na państwowy szpital.

Zmuszam się do przypomnienia sobie kilku ostatnich dni, choć rozmywają mi się w pamięci. Urodziny Jamiego były w niedzielę. Jaki dzień mamy dzisiaj – poniedziałek? Wtorek? Pojęcie czasu straciło dla mnie wszelkie znaczenie.

Na pewno był jeden dzień, kiedy obudziłam się po operacji; była przy mnie ta irlandzka pielęgniarka. Usiłuję sobie przypomnieć nazwę oddziału, ale pamiętam tylko zapach gotowanych warzyw w godzinach posiłków oraz ciągły pisk urządzeń, kiedy kończyły się kroplówki.

Na końcu oddziału była dyżurka pielęgniarek, a w pokoju stało chyba sześć łóżek. Obok mnie leżała jakaś kobieta z głową owiniętą białym bandażem. Pewnie była to sala pooperacyjna.

Pamiętam, że ciągle się budziłam i znowu zasypiałam. Budziłam i zasypiałam, budziłam i zasypiałam. Pamiętam też, że prosiłam o więcej morfiny i że jakaś młoda lekarka ze stetoskopem na szyi powiedziała, że chcą mnie odzwyczaić od mocnych środków przeciwbólowych.

A potem nagle się obudziłam i nie byłam już tam, tylko tutaj, w osobnym pokoju, a pielęgniarki miały zielone uniformy, nie niebieskie. Czy to było dziś rano, czy wczoraj?

Przesłuchanie ciągnie się chyba miesiącami. Odpowiadam wymijająco, tak samo jak ten policjant. Dlaczego nie chce mi powiedzieć, jakie podjęli działania, żeby znaleźć Jamiego?

Czuję w sobie panikę, która usiłuje się wydostać na zewnątrz jak zwierzę w klatce szarpiące drzwiczkami. Przez moją głowę przesuwa się wspomnienie: ciała rzucające się w stronę noża, Jamie dosięga go jako pierwszy, potem Ian i ja. Ból ostrza wbijającego się w brzuch.

Drzwi się otwierają i dostrzegam za nimi jaskrawą ścianę w kolorze limonki, a potem widok zasłania mi Sadler. Ma krzaczastą brodę, bardziej siwą niż czarną. Jest wysoki, o siwiejących włosach i brązowych oczach przesłoniętych okularami w grubych oprawkach. Ubrany jest w czarne spodnie od garnituru i błękitną koszulę wymiętą po długim dniu.

Kiedy rusza do przodu, zauważam skrzywienie jego kręgosłupa. Krzywizna zaczyna się chyba w połowie pleców – jego grzbiet przypomina kształtem bumerang. Pewnie to przez jakieś obrażenie odniesione w trakcie pracy śledczej albo pozostałość po chorobie przebytej w dzieciństwie.

Sadler wyciąga rękę i do środka wchodzi moja mama, dźgając laską cienką wykładzinę na podłodze. Od razu widzę, że miała kiepski dzień. Że doskwiera jej dziś artretyzm. Czuję ukłucie irytacji na Sadlera i personel szpitala za to, że zmusili ją do przyjazdu.

– Mamo – wyduszam, sama dziwiąc się temu, że coś zatyka mi gardło.

W oczach stają mi łzy. Uświadamiam sobie, że za nią tęskniłam, a jednak wolałabym, żeby jej tu nie było.

Mama spogląda na Sadlera, który kiwa głową, po czym podchodzi bliżej.

– Przyniosę herbatę i ciasteczka – mówi Sadler i znika, zamykając za sobą drzwi.

Mama wolno idzie w stronę kanapy. Fotel stoi bliżej i zastanawiam się, czemu nie siada na nim, ale nie pytam o to, bo nagle moją uwagę przykuwa stolik. Przechodząc, mama trąca go nogą, ale on w ogóle się nie porusza. Wychylam się do przodu, ignorując ból, od którego zagryzam mocno zęby, i zauważam ukryte po wewnętrznej stronie nóg wkrety, które mocują stolik do podłogi.

– Strasznie mi przykro – mówi mama, bawiąc się ściśniętą w dłoni chusteczką.

– To mnie jest przykro – wzdycham, nagle zmęczona. Chciałabym, żeby znowu pochłonęła mnie mgła, ale ten jeden raz się nie zjawia. – Nie powinni zawracać ci tym głowy. Jak podróż? Policja cię tu przywiozła?

Mama marszczy brwi.

– Policja? Nie, skarbie. Przywiozła mnie Shelley.

– Shelley? Mamo, co ona ci powiedziała? – Siadam prosto i czuję w ranie ostry ból, gorszy niż wtedy, kiedy wbito mi nóż.

– Powiedziała, że... Powiedziała, że... – Głos mamy drży, podobnie jak jej ręce.

Rozpaczliwie pragnę przesiąść się do niej na kanapę i powiedzieć, że wszystko będzie dobrze, ale nie mogę, bo wcale mi się tak nie wydaje.

– Słuchaj, nie mamy wiele czasu. – Spoglądam na drzwi i zniżam głos.

– Musisz mnie stąd wydostać. Wydaje mi się, że Sadler... ten policjant...

współpracuje z Shelley. Oni się skądś znają. Moim zdaniem on wie, gdzie jest Jamie, tylko nie chce mi powiedzieć.

Z gardła mamy wydobywa się chrapliwy odgłos, jak stłumiony płacz.

– Tylko się nie denerwuj.

Moje wyczerpanie zmienia się w zniecierpliwienie.

– Proszę cię, mamó, skup się na tym, co mówię. Wiem, że jesteś zdenerwowana, ale nie mamy wiele czasu. Musimy się stąd wydostać i odnaleźć Jamiego.

– Szkoda, że nie zadziałałam, kiedy przestałaś odbierać telefon. Mówiłam Samowi, że coś jest nie tak...

– To nie twoja wina. – Kręcę głową.

Dlaczego mama się nie przyknie i nie zacznie mnie słuchać?

– Tess, jestem przy tobie, ale musisz słuchać tego, co mówi doktor Sadler.

– Doktor? Mamó, to nie żaden doktor, tylko inspektor. Widzisz? Obie nas okłamuje.

Drzwi się otwierają i podrywam się z miejsca, napinając mięśnie brzucha, przez co z rany rozchodzi się kolejna fala bólu. Czuję w ustach łaknienie, w głowie też. Rozpaczliwie pragnę, żeby morfina zabrała mnie z dala od bólu i od tego pokoju.

Razem z Sadlerem wchodzi pielęgniarz, którego do tej pory nie widziałam. Jest niski, ma ogoloną głowę i niesie tacę z kubkami i talerzykiem pełnoziarnistych herbatników w czekoladzie.

Sadler trzyma pod pachą brązową kopertę A4. Podchodzi do fotela, na którym siedział podczas całej naszej rozmowy. Pielęgniarz stawia tacę na stoliku. Drzwi się zamykają, ale w ostatnim momencie, tylko przez ułamek sekundy, widzę za nimi Jamiego.

To tylko mignięcie blond loków – szybki ruch, kiedy Jamie usiłuje nadążyć za pielęgniarzką, ale to on. Nasz synek tu jest.

Serce bije mi mocno, wali jak młot. Rana pulsuje od tego takim bólem, że chyba szwy zaraz puszczą, ale widziałam go, Mark. Widziałam Jamiego. Nic mu nie jest.

Drzwi zamykają się z trzaskiem, przenoszę więc wzrok na Sadlera, który wpatruje się we mnie, bada spojrzeniem moją twarz.

– Powinien mi pan powiedzieć. – Przymykam na chwilę oczy i wzdycham. Od jak dawna Jamie tu jest? – Powinien mi pan powiedzieć – powtarzam. – Powinien mi pan powiedzieć, że znaleźliście Jamiego.

Sadler kiwa głową, ale nie odpowiada. Zamiast tego zwraca się do mojej mamy:

– Pani Garfield, od początku nagrywam nasze sesje i teraz również chciałbym to zrobić, jeśli się pani zgadza.

– Dobrze. – Głos mamy drży, jej dłonie znowu szarpią chusteczkę.

Ogarnia mnie nagła ochota, żeby wyrwać ją z jej palców i rzucić na podłogę. To ja powinnam się denerwować. To mnie dźgnięto, to ja jestem tu uwięziona. Mama powinna być na zewnątrz i zajmować się Jamiem.

Wpatruję się w Sadlera. Kiedy siedzi, nie widzę jego garbu, ale nawet w tej pozycji wydaje się przytłaczająco rosły. Nie umiem odczytać wyrazu jego twarzy. Rozmawiamy już od kilku godzin, kilku dni, a mimo to nie zrobiliśmy żadnych postępów. Dlaczego mi nie powiedział, że Jamiemu nic już nie grozi?

– Kim pan jest? – pytam. – Wiem, że powiedział pan mamie, że jest lekarzem. Dlaczego nie daliście mi znać, że znaleźliście Jamiego?

– Tess, zgadza się, jestem lekarzem. Psychiatrą. Założyła pani, że jestem policjantem, ale nigdy nie twierdziłem niczego podobnego. Nie wyprowadziłem pani z błędu, bo chciałem, żeby zaufała mi pani na tyle, by ze mną porozmawiać.

– Co takiego? – Kręcę głową. – Nie wierzę w to. Mamo, nie słuchaj go.

– Tereso, proszę cię.

Mój wzrok przenosi się na jej twarz. Jej oczy są wodniste i pełne błagania, a ręce tak się trzęsą, że jej laska zdaje się podskakiwać.

– Po co sprowadziliście tu moją matkę? Przecież widzicie, że jest chora, prawda?

– Tess, bardzo mi przykro, jeśli przyczyniliśmy się do jej dyskomfortu, ale kiedy wczoraj rozmawiałem z panią Garfield przez telefon i wyjaśniłem sytuację, sama chętnie zgodziła się przyjechać.

– Więc może w takim razie mnie również wyjaśni pan sytuację.

Sadler kiwa głową.

– Oczywiście.

– A skoro już przy tym jesteśmy, to czy może pan też wyjaśnić, dlaczego Shelley chodzi sobie wolna jak ptak, a ja siedzę tutaj w zamknięciu? I dokąd prowadziła Jamiego tamta pielęgniarka? – Kiwam głową w stronę korytarza na zewnątrz. – Kiedy będę mogła się z nim zobaczyć?

– Może najpierw napijmy się herbaty. – Sadler nachyla się i przesuwa kubeczki na tacy tak, żebyśmy wszyscy mogli ich dosięgnąć.

Płyn jest kremowobrazowy, parujący, i kojarzy mi się z gorącą czekoladą, którą parzyła dla mnie Shelley. Czy teraz z kolei Sadler próbuje mnie uśpić?

Rozdział 63

– Mówił pan, że jest z policji. – Zęby mam tak mocno zaciśnięte, że z trudem wydobywam z siebie słowa. – Przez cały ten czas miałam pana za inspektora. Jeśli jest pan lekarzem, to gdzie stetoskop i kitel? Myślałam, że miał mi pan pomóc w odnalezieniu Jamiego.

– Nie jestem tego rodzaju lekarzem, Tess, ale chcę pani pomóc. Nigdy nie twierdziłem, że jestem z policji. Sama doszła pani do takiego wniosku, a ja tylko nie sprostowałem błędu. Chciałem, żeby pani ze mną rozmawiała, chciałem, by zrozumiała pani powagę swojej choroby. Przykro mi, że panią zdenerwowałem, ale uznałem, że to drobne zatajenie jest niezbędne.

– Jakiej choroby? O czym pan mówi? – Mój głos rozchodzi się echem po pokoju. Przełykam ślinę. Gardło mam suche i obolałe od mówienia i płaczu.

– Tess, moim zdaniem przeżyła pani załamanie nerwowe oraz epizod psychotyczny, spowodowane utratą bliskich i depresją.

Otwieram ze zdumienia usta. Chcę zaprotestować, ale słowa Sadlera są jak ceglany mur w moich myślach. Epizod psychotyczny? Jak on może tak mówić? Na pewno współpracuje z Shelley i Ianem. Może tamten mężczyzna im także grozi. To jedyne wyjaśnienie.

– Proszę... – szepczę.

Ramiona mamy zaczynają drżeć od płaczu. Po co oni ją w to wszystko wciągają? Usiłuję się uspokoić. Sadler próbuje mnie rozwścieczyć. Oni chcą mnie sprowokować, żeby wyszło na to, że mają rację. Chcą udowodnić, że nie nadaję się na matkę, bo wtedy będą mogli odebrać mi Jamiego.

– Proszę, ja tylko chcę zobaczyć mojego syna.

Mama nachyla się na kanapie i ukrywa twarz w dłoniach pokrytych plamkami i powykręcanych artretyzmem.

– Tess – mówi Sadler, znowu ściągając na siebie moją uwagę. – Mam tutaj świadectwo zgonu Marka. Shelley znalazła je, kiedy pojechała po pani notes. Jeśli nie ma pani nic przeciwko, chciałbym, żeby pani na nie spojrzała.

Łzy ściekają mi po twarzy i przesłaniają widok. Wyciągam rękę i biorę kopertę. Krawędź jest zgnieciona, bo już ją otwierano, ale klej na pieczęci nadal trochę trzyma.

Papier jest gruby, a na górze, pośrodku, widnieje czerwony symbol korony. ODPIS AKTU ZGONU – głosi pogrubiony napis, a pod nim znajduje się twoje imię i nazwisko wypisane czcionką Times New Roman.

Przesuwam palcem po literach. Powiedziałam Sadlerowi, że słyszę twój głos. To dlatego wydaje mu się, że oszalałam. Mam ochotę się roześmiać, ale wtedy naprawdę wyszłabym na wariatkę. A więc o to tyle zachodu! Im się wydaje, że nie wiem, że umarłeś.

Przychodzi ulga, niczym podmuch chłodnego wiatru od pól.

– Przecież ja wiem, że Mark nie żyje – mówię.

– Czy pamięta pani jakieś szczegóły na temat tego wyjazdu, podczas którego zginął? – pyta Sadler.

– To była delegacja. Jakieś ćwiczenia z team buildingu. W Niemczech znajduje się główna siedziba firmy. Mark ciągle tam latał. Nie wiem, czemu w kółko mnie o to wypytujecie. To był najnormalniejszy wyjazd służbowy.

Sadler nachyla się w fotelu i mówi dalej:

– Tess, chciałbym, żeby się pani dobrze zastanowiła. Dzwoniłem do firmy Marka i rozmawiałem z Denise. O ile mi wiadomo, przyjechała raz do pani, a potem rozmawialiście przez telefon.

– Zgadza się, odwiedziła mnie jakiś miesiąc po pogrzebie. – Kiwam głową, odchylając się z powrotem na oparcie.

Koperta leży na moich kolanach. Bawię się zamknięciem, dociskam je i pieczętuję resztką lepu.

– Opowiedziała mi o tym wyjeździe. To nie była zwykła delegacja, prawda? – pyta Sadler.

– Nie wiem, co pan ma na myśli. Ale to wszystko i tak jedno wielkie nieporozumienie. Wiem, że powiedziałam jednej z pielęgniarek, że widziałam Marka tu, w szpitalu, ale byłam pod wpływem środków przeciwbólowych, strasznie mnie bolało. Ja doskonale wiem, że on nie żyje. Nie przeżyłam żadnego załamania, czy jak to pan określił.

– Tess. – Sadler odstawia pusty kubeczek z powrotem na tacę. – Poproszę teraz o coś bardzo trudnego, ale niech pani postara się to zrobić, dobrze?

– Dobrze. – Naprawdę nie wiem, co jego zdaniem może być takie trudne. Przecież już mu powiedziałam, że wiem, że nie żyjesz.

– Rezerwacja Marka obejmowała dwa miejsca. Sama mi to pani powiedziała.

Potwierdzam kiwnięciem głowy.

– To drugie było dla kogoś z biura. – Zapomniałam zapytać Denise dla kogo.

– Chciałbym, żeby znowu zajrzała pani do koperty – mówi Sadler.

Marszczę brwi i jednocześnie się uśmiecham.

– Jest w niej tylko świadectwo zgonu Marka. – Macham papierem. – I nic więcej.

– Owszem, jest tam coś jeszcze.

Kręcę głową, lecz mimo to jeszcze raz otwieram kopertę, odwracam ją do góry nogami i wytrząsam. Na podłogę wypada pojedyncza kartka, która spływa do stóp Sadlera. Jest w tym samym kolorze co świadectwo

zgonu Marka, a kiedy Sadler po nią sięga, na górze również widzę koronę.

Szybko zamykam oczy i zaciskam powieki jak dziecko. „Jak ja ciebie nie widzę, to i ty nie widzisz mnie”. Słyszę w głowie śmiech Jamiego – brzmi tak rzeczywiście, że oddech więźnie mi w gardle.

– Tess, proszę na to spojrzeć – mówi Sadler.

Kiedy otwieram oczy, wyciąga kartkę w moją stronę.

Zimno mi. Mark, tak strasznie mi zimno. Nie chcę dotykać tej kartki ani czytać, co jest na niej napisane. Mimo to wyciągam po nią rękę.

– Mark nie pojechał w tę delegację sam, prawda, Tess? To był wyjazd inny niż wszystkie. Proszę tu popatrzeć – namawia Sadler.

Zęby mam zaciśnięte tak mocno, że głowa pulsuje mi bólem. Ale patrzę. Wpatruję się w papier, taki sam jak świadectwo Marka. Ta sama korona na górze, to samo pismo: ODPIS AKTU ZGONU.

– To tylko druga kopia. – Wzruszam ramionami. – Tak na zapas.

– Nie, Tess. Niech pani przeczyta imię.

Kręcę głową i gwałtownie odkładam papier na nogi, odwracam go zapisaną stroną do dołu, żeby nie widzieć, co na nim jest.

– Kto był w samolocie z Markiem? – naciska Sadler. – Dlaczego tam razem lecieli?

– Nie wiem! – krzyczę. Wstrząsa mną płacz. – Chcę przerwać. Dajcie mi zobaczyć Jamiego, potem będziemy mogli kontynuować.

– Przerwiemy za chwilę. Na razie chcę, żeby mi pani powiedziała, kto był w samolocie razem z Markiem.

Sadler wstaje i obchodzi stolik. Bierze z moich kolan świadectwo zgonu i odwraca je.

– Jakie imię jest tu zapisane? – pyta, wskazując kartkę.

Odczytuję je szeptem, głośno wciągając powietrze:

– James.

James Edward Clarke. Urodzony 8 kwietnia 2010.

– Firma Marka zorganizowała w Niemczech specjalny zjazd dla swoich pracowników oraz ich rodzin – tłumaczy Sadler. Jego głos jest spokojny i zarazem donośny. – Jamie był w samolocie razem z Markiem. On również zginął.

Kręcę głową z boku na bok.

– Nie. Pan się myli. To podróbka. To Shelley chce, żeby pan tak myślał, żeby mogła odebrać mi Jamiego.

– Tess, to nieprawda. Pani przekonanie, że Shelley chce zabrać Jamiego, to tylko paranoiczne urojenie. Umysł wmawia pani, że to prawda, ale to wszystko tylko wytwór choroby. Wnioskując z naszych rozmów i tego, co zapisała pani w notesie, sędzę, że ów głos, który słyszała pani w telefonie, również jest halucynacją prześladowczą. Sprowokował ją Richard Welkin, kiedy raz po raz usiłował się z panią skontaktować, a także pani chęć poznania prawdy o tajnym projekcie Marka. Co do Shelley, tylko się pani wydaje, że ona zagraża pani życiu z Jamiem. Widzi pani dowody na poparcie tej tezy, podobnie jak widzi pani samego Jamiego, choć jedno i drugie nie istnieje. Tess, to wszystko skutki choroby.

– Jamie żyje – szepczę.

Muszę potwierdzić to na głos zarówno przez wzgląd na siebie, jak i Sadlera. Wstaję z wysiłkiem, nie zwracając uwagi na ból w brzuchu i na zawroty głowy.

– JAMIE! – krzyczę. – JAMIE!

– Pani mama nie przyjechała tu bez powodu. – Sadler podnosi głos. Rozbrzmiewa on głębokim barytonem na tle moich świdrujących krzyków.

Milknę, a wtedy on ciągnie:

– W takich przypadkach człowiek odrzuca wszystko, co świadczy przeciwko urojeniu, szuka sobie wyjaśnień, dokładnie tak, jak pani to robi w tej chwili. Zagrzebuje pani fakty, czyni je pani częścią urojenia.

Robiła to pani za każdym razem, kiedy musiała się skonfrontować z prawdą. Właśnie dlatego odcięła się pani od mamy, brata i przyjaciół w Chelmsford. Od wszystkich, którzy wiedzieli, że Jamie nie żyje. Dlatego właśnie miała pani epizody amnezji, kiedy zbliżała się pani za blisko do prawdy.

– Nie. – Kręcę głową. – Mamo – mówię, odwracając się do niej. – Proszę cię, błagam... Nie wiem, co ci powiedzieli, czym ci grożą, ale proszę... – Szloch więźnie mi w gardle. – Proszę, powiedz im, że to nieprawda. Przecież mieszkałaś u nas po pogrzebie. Widziałaś Jamiego.

Mama kiwa głową i przez krótką chwilę wydaje mi się, że potwierdzi moją wersję.

– Słyszałam, jak do siebie mówisz – odpowiada. – Powinnam była cię o to zapytać, ale tak bardzo cierpiałaś. Uznałam, że nie ma w tym nic złego. Nie miałam pojęcia, że rozmawiałaś z Jamiem. Zadzwoiłam do tej organizacji dla osób, które straciły bliskich, żebyś mogła z kimś porozmawiać. Nie powinnam była cię zostawiać. Tak mi przykro.

– Kiedy ja właśnie chciałam, żebyś sobie pojechała – mruczę. – Jamie ciągle przesiadywał w swoim pokoju. W twojej obecności żadne z nas nie mogło naprawdę przeboleć śmierci Marka.

Mama wyciąga rękę i ściska moją dłoń.

– Tylko że Jamie także zginął.

– Dlaczego mnie OKŁAMUJESZ?! – krzyczę.

Mama cofa się i kuli na sofie, jakbym była niebezpieczną wariatką, ale ja nie mogę przestać:

– Dlaczego mówisz takie rzeczy?

– W halucynacjach często można znaleźć jakąś wskazówkę – wtrąca Sadler, na powrót moszcząc się w fotelu naprzeciwko mnie. Jego głos znowu brzmi spokojnie. – Znak, dzięki któremu można rozpoznać prawdę kryjącą się za urojeniem, o ile tylko uważnie mu się przyjrzymy. Tess, chciałbym, żeby pani to teraz zrobiła. Proszę pomyśleć o tym, jak

zachowywał się Jamie od czasu katastrofy. Sama pani mówiła, że prawie się nie odzywał. Czy przypominał Jamiego sprzed wypadku, którego tak pani kochała? Proszę pomyśleć o kilku ostatnich tygodniach i znaleźć ów zdradliwy znak, tę jedną rzecz, która sprawi, że pani umysł zaakceptuje, iż to było tylko złudzenie, psychoza spowodowana stratą bliskich.

Kręcę głową, potrząsam nią krótko i mocno, tak że wszystko rozmywa mi się w oczach. Chcę zakryć uszy rękami i krzyczeć za Jamiem, ale twarz matki jest trupio blada, a po jej policzkach, tak samo jak po moich, spływają łzy.

– Dlaczego mi to robisz? – pytam ją.

Ona przełyka ślinę, jakby chciała się odezwać, lecz Sadler unosi rękę. Świadeństwo zgonu leży na moich nogach. Spycham je na podłogę.

– Coś takiego nietrudno podrobić, jeśli zna się odpowiednie osoby. – Nie mam co do tego stuprocentowej pewności, ale na pewno tak jest, prawda? Przecież to tylko kawałek papieru. Nie ma w nim nic niezwykłego.

– Tess? – Sadler nachyla się do przodu tak, że jego łokcie opierają się o kolana.

– Nie ma żadnych znaków. Ja po prostu wiem, że Jamie... że Jamie...

– Wiem, co chcę powiedzieć, ale słowa utknęły w mojej głowie jak paczka chrupek w zaciętym automacie; wiszą na wpół w środku, na wpół na zewnątrz, czekają, aż ktoś potrząśnie urządzeniem.

Przez moją głowę przesuwa się twarz Jamiego. Jego piękne oczy są szeroko otwarte i smutne, i takie błękitne. Widzę go na podłodze salonu z pilotem do konsoli w rękach. Jego buzia jest pełna skupienia, język napiera na mleczy ząb, kołysze nim w przód i w tył – może dzisiaj ząb wreszcie wypadnie.

Zalewa mnie fala mdłości. Chyba coś się zmienia w mojej twarzy, bo Sadler kiwa głową i nachyla się jeszcze bliżej, prawie schodzi z fotela.

– Niech pani dokończy tę myśl, Tess. Niech pani powie, co widzi.

– Ząb – szepczę. – Jamiemu rusza się ząb. Wisi na strzępku od... od miesięcy.

W moich oczach narasta ściana łez i słyszę w myślach wesołe pytanie synka: „Mamusiu, a jeśli ząb mi wypadnie, jak będę z tatą we Frankfurcie, to wróżka zębuszka da mi funta czy euro?”.

Nachylam się i zakrywam uszy rękami, tłumiąc odgłosy pokoju, ale to nie powstrzymuje wspomnień, których nie chcę pamiętać.

Przez cały ten czas Jamie ruszał sobie ząb – przez cały czas od katastrofy. A ząb wciąż nie wypadał. Spowijają mnie ciemność i zimno, jakbym wskoczyła w czarne lodowate morze. Nagle uwalniają się również inne wspomnienia. Widzę siebie, stojącą w kapciach i machającą z uśmiechem do Marka, który odjeżdża z podwórka w swoim szarym swetrze. A na tylnym siedzeniu, w ulubionej koszulce Liverpoolu i z jasną czupryną, siedzi Jamie i macha do mnie jak szalony.

Widzę go w jego pokoju na łóżku, z otwartym nowym plecakiem. Tym, którego nie mogłam znaleźć. „Jak zimno będzie w Niemczech?” – zapytał, spoglądając badawczo na gruby wełniany sweter, jakby mógł wyczytać z niego odpowiedź.

Pamiętam deszcz dzwoniący o witrażowe okna, twarde drewno kościelnych ławek. Moje oczy zapatrzone w przetarte płytki posadzki, dłoń brata ściskającą mnie mocno za rękę, gdy walczyłam z ochotą, by uciekać wzrokiem od drugiej trumny, tak małej – zbyt małej – która stała obok twojej.

– Właśnie tak, Tess. – Głos Sadlera roztrzaskuje wspomnienie. – To właśnie ten znak. Ząb Jamiego. Nie pytała go pani o niego, prawda?

Kręcę głową.

– Myślę, że na pewnym poziomie, gdzieś w głębi duszy, wiedziała pani, że Jamie także wtedy zginął.

– Nie wiedziałam!

– Rozmawiałem z Denise, Shelley i pani matką. – Sadler kiwa głową na mamę, która siedzi blada i milcząca, i taka drobna na tle sofy. – Bardzo pani uważała, żeby w ich obecności nie zwracać się bezpośrednio do Jamiego. Przynajmniej aż do tego momentu na samym końcu, kiedy się pani pogorszyło i nie mogła już pani nad tym zapanować.

Z oczu spływają mi łzy. Cała drzę. Boli mnie brzuch.

– To nie ma sensu. To nie może... to nie może być prawda.

– Miała pani polecieć do Frankfurtu razem z nimi. Pamięta pani? Denise powiedziała, że w ostatnim momencie odwołała pani rezerwację. Dlaczego nie poleciała pani razem z nimi?

– Mój paszport stracił ważność – mówię szeptem. – Sprawdziłam go dopiero na kilka dni przed wylotem. Miałam pojechać i wyrobić sobie nowy w trybie ekspresowym, ale Mark stwierdził, że to bez sensu. Wiedział, że nie znoszę latania. Powiedział: „Zrobimy sobie męską wycieczkę”. A ja... a ja poczułam ulgę. Moje dziecko... Moje kochane, biedne dziecko.

Gardło mi się zaciska i osuwam się na podłogę. Powinnam była polecieć razem z wami. Powinnam była być razem ze swoją rodziną, ale nie byłam. Ja żyję, a wy zginęliście.

Och, Mark, straciłam was obu.

Rozdział 64

Pielęgniarka dała mi coś na uspokojenie. Czuję się, jakby moje myśli spowijała folia bąbelkowa; tylko że ja wcale nie chcę osłony – chcę zapomnienia.

– Czy mogę dostać trochę morfiny? – mruczę do pielęgniarki, która krząta się wokół mojego łóżka i sprawdza ranę.

– A boli panią? – pyta ona.

– Tak. – Wszystko mnie boli.

– Zapytam doktora Sadlera, kiedy wróci z przerwy.

Pielęgniarka ma myszowate włosy i schludny zielony uniform. Bierze moją kartę pacjenta i notuje coś na niej, po czym spogląda na mnie i posyła mi ociekający litością uśmiech. Ciekawe, co tam jest napisane. Pewnie: UWAGA: WARIATKA, WIDZI MARTWEGO SYNA.

Ale ja nie tylko jego widziałam, to nie był pływający w powietrzu duch. Oglądałam z nim Scooby-Doo. Gotowałam dla niego. Opierałam się o framugę łazienki i słuchałam, jak się kąpie. Opiekowałam się nim. Kochałam go, a on kochał mnie.

Mark, nie wiem, co teraz zrobić.

– Tess, zaczęliśmy już podawać pani leki antypsychotyczne – wyjaśnił Sadler, kiedy odwożono mnie z powrotem do pokoju. – Minie trochę czasu, zanim zaczną działać, no i musimy też odbywać nasze sesje, ale w końcu pojawią się rezultaty. Będzie lepiej.

Nie chcę, żeby było lepiej – pomyślałam wtedy, przymykając oczy i udając, że śpię, że nie słyszę obaw wysławianych szeptem przez matkę:

– Czy to... czy to schizofrenia?

– Nie, pani Garfield. Schizofrenia to długotrwałe zaburzenie neurologiczne, często charakteryzujące się urojeniami i halucynacjami. Ale to, na co cierpi Tess, jej przekonanie, że widzi Jamiego i że

prześladuje ją jakiś człowiek, zostało wywołane śmiercią męża i syna. Jej świadomość nie mogła sobie poradzić z jednoczesną utratą ich obu w tak tragiczny sposób. Właśnie wtedy Tess zaczęła cierpieć na depresję i rozpoczęło się u niej załamanie nerwowe oraz psychoza. To tak, jakby jej własny umysł ją zdradzał, odsuwał od rzeczywistości. Przy odpowiednich lekach i intensywnej terapii wszystko wróci do normy.

Po tych słowach odpływam, dryfuję w ziemi niczyjej pomiędzy jawą a snem. Kiedy znowu otwieram oczy, obok mnie siedzi Shelley. Jej dłoń spoczywająca na mojej ręce jest ciepła, a w powietrzu unosi się słodki zapach jej perfum.

– Cześć – mówię, zanim jeszcze uchylę powieki.

Ona sztywnieje i cofa rękę.

Och, Mark, wygląda na to, że stałam się potworem.

– Nie masz nic przeciwko temu, że tu jestem? – pyta Shelley.

Kręcę głową i otwieram oczy. Shelley jest blada, a na jej twarzy widać smugi rozmazanego makijażu, jakby tusz jej spłynął pod wpływem płaczu.

– Doktor Sadler mówił, że o mnie pytałaś.

Dopiero po chwili przedzieram się przez warstwy zalegające w moim umyśle i przypominam sobie, że doktor Sadler to ten człowiek, którego brałam za inspektora prowadzącego poszukiwania Jamiego.

– Nie pamiętam tego.

Shelley zmienia pozycję, rozkrzyżowuje nogi i znowu zakłada je jedna na drugą.

– Mogę sobie pójść.

– Nie, proszę, zostań. Chcę z tobą porozmawiać. Gdzie ja jestem?

– W szpitalu, na prywatnym oddziale. Nazywa się Hartfield. To prywatny zakład, płaci za niego twoja mama.

Przez chwilę siedzimy w milczeniu. Ostentacyjnie podwyższam zagłówek łóżka, żeby mieć lepszy widok na Shelley. Gram na zwłokę,

usiłuję znaleźć jakiś sposób, żeby poruszyć temat, na który wcale nie chcę rozmawiać.

– Zrobiliście razem zapiekankę z kurczaka – wyrzucam wreszcie. – Pozwoliłaś Jamiemu pokroić cebulę prawdziwym nożem. Powiedział mi przed kolacją. Tamtego popołudnia pokonałaś go w FIF-ę na konsoli.

Shelley robi zdziwioną minę.

– Ale kiedy?

Zastanawiam się przez chwilę.

– Podczas twojej drugiej wizyty. Byłam taka zmęczona. A ty przyjechałaś i zajęłaś się za mnie Jamiem, nawet posprzątałaś trochę w domu.

Shelley kiwa głową, przez co czuję iskierkę nadziei rozpalającą się w moich skołtunionych myślach. Ale to nie było kiwnięcie potwierdzenia, tylko zrozumienia.

– Faktycznie wtedy do ciebie zajrzałam. Zostałam, kiedy położyłaś się spać, i trochę posprzątałam. Zrobiłam zapiekankę z kurczaka. Zjadłyśmy ją przy świecach, tylko we dwie. Opowiedziałam ci o pływaniu i o Dylanie.

– A potem zostałaś i spałaś na kanapie, prawda?

– Tak. – Shelley kiwa głową i jej jasne włosy kołyszą się pod wpływem ruchu. – Nie chciałam zostawiać cię samej w takim stanie.

– Następnego dnia zabrałaś Jamię na basen, a potem pojechaliście po zakupy do supermarketu.

– Aha, więc to dlatego tak się przejęłaś, kiedy nie wróciłam na czas.

Teraz ja z kolei kiwam głową.

– Były takie momenty, z samego początku, na przykład tamtego dnia, kiedy miałam wrażenie, jakbyś odpływała od rzeczywistości – mówi Shelley. – Opowiadałaś mi o Marku, ale nigdy o Jamiem. Dopiero o wiele później odkryłam, że masz halucynacje.

– Kiedy?

Shelley milknie, jakby się zastanawiała, ile może mi powiedzieć.

– Z perspektywy czasu przypominam sobie różne rzeczy, które mówiłaś i robiłaś, a które powinny mnie zaniepokoić. Raz powiedziałaś, że ugotowałaś kolację dla nas trojga. Wydawało mi się, że się przesłyszałam. I powinnam się była zorientować wtedy, kiedy przyjechała policja. Powiedziałaś dyżurnemu, że w domu jest Jamie. Wspomniał o tym jeden z policjantów, którzy przyjechali z patrolem. Chcieli zobaczyć pokój Jamiego, więc im go pokazałam.

– Jamie spał.

W oczach Shelley pojawiają się łzy.

– Tess, tam nikogo nie było. Nie rozumiałam też, dlaczego prasowałaś szkolne koszule Jamiego. Szkoda, że nie spróbowałam z tobą o tym porozmawiać. Ale byłaś taka smutna. Wmawiałam sobie, że może dyżurny policjant źle coś zrozumiał.

– Nie pamiętam tamtej nocy. Dosypałaś mi tabletek usypiających.

Shelley wzdycha z zaskoczenia.

– Tess, nie. Nigdy bym czegoś takiego nie zrobiła. To był twój mechanizm obronny. Odcięłaś się od rzeczywistości, praktycznie straciłaś przytomność na schodach. Powiedziałam policjantom, że Jamie nie żyje, a ty nawet tego nie zarejestrowałaś.

– A wtedy, wcześniej, kiedy zostałam na noc z powodu burzy? Zaparzyłaś dla nas gorącą czekoladę i czegoś mi dosypałaś. Potem w nocy przyłapałam cię na tym, jak śpiewałaś Jamiemu.

– Śpiewałam? – Na jej twarzy pojawia się wyraz niezrozumienia. Shelley kręci głową i z jej oczu spływają dwie łzy. – Obudziłam się w środku nocy i... i wydawało mi się, że coś usłyszałam. Poszłam na górę, żeby do ciebie zajrzeć, ale po drodze weszłam do pokoju Jamiego i usiadłam na łóżku. Nie powinnam była tego robić, przepraszam. Zaczęłam rozmyślać o Dylanie i o tym, którymi zabawkami by się bawił, gdyby tam był.

– A kołysanka? – pytam i znowu słyszę w głowie tę melodię.

– Jaka kołysanka?

– Słyszałam, jak mu śpiewasz.

Shelley znowu kręci głową.

– Siedziałam na łóżku Jamiego, kiedy mnie znalazłaś, ale nie śpiewałam. Tess, zastanów się. Jamie zginął, więc nie było go w tym pokoju. Komu miałabym śpiewać? Wydawało mi się, że lunatykujesz. Nic nie mówiłaś, tylko na przemian otwierałaś i zamykałaś oczy. Musiałam praktycznie zanieść cię z powrotem do łóżka.

– Aha... – Nic więcej nie przychodzi mi do głowy.

– Dopiero na plaży zorientowałam się, że ty go widzisz – mówi Shelley. – Głaskałaś powietrze i się śmiałaś.

– To był miły dzień – mamroczę.

– Tess, tak mi przykro. Powinnam była szybciej zadziałać. Kiedy wpadłyśmy w Debenhamsie na Iana, uważał, że należy cię posłać do szpitala. Powiedziałam mu, że sama też zaczęłam podejrzewać, że halucynujesz o Jamie, a on wpadł w złość. Chciał ci od razu powiedzieć, że Jamie nie żyje, ale mu na to nie pozwoliłam. Usiłowałam cię chronić.

Znowu zapada milczenie. Mój umysł próbuje odsiać wszystko to, o czym wiem, że jest prawdą.

– Widziałam Marka. Czy to też był efekt mojej... mojej choroby?

– Nie wiem. Nie widywałaś go zbyt często, prawda?

– Nie.

– Więc może było tak, jak ci mówiłam: tak bardzo cierpiałaś, że umysł zaczął płatać ci figle. Tak jak było ze mną po śmierci Dylana.

– Mark nie żyje – mówię w równym stopniu do siebie co do niej.

Shelley przytakuje.

– Z listy pasażerów wynika, że obaj wsiedli do samolotu. Gdyby zrezygnowali i próbowali opuścić lotnisko, musieliby z powrotem

przejsć przez kontrolę bezpieczeństwa. Ktoś by to gdzieś zapisał.

– Ale ja go codziennie zabierałam do szkoły... – Głos mi się łamie.

– Moja przyjaciółka Mel cię widziała.

Kiwam głową.

– Tylko że ty wcale nie chodziłaś do szkoły. To było jakieś biuro na końcu twojej uliczki. Owszem, kiedyś mieściła się tam szkoła, dawno temu. Ale wybudowali nową.

– Wiedziałam o tym. – Przez moją głowę przepływają wspomnienia: przypominam sobie, jak wprowadzałam Jamiego przez dużą niebieską bramę do nowoczesnego budynku z placem zabaw i boiskami do koszykówki.

– Może w głębi serca rozumiałaś – mówi Shelley – że jeśli pójdziesz do nowej szkoły, wpadniesz tam na innych rodziców i na kolegów Jamiego z klasy. A w ten sposób nikogo nie musiałaś oglądać.

Przełykam z trudem gulę, która zatyka mi krtań. Usta mam zaschnięte, a w głowie pulsuje ból. Chcę zamknąć oczy i żeby mnie stąd zabrano. Czy wiedziałam? Czy gdzieś w głębi serca, gdzie nie jestem w stanie sięgnąć świadomością, naprawdę wiedziałam, że Jamiego już nie ma? Myślę o tym, jak pływałam w morzu i nagle straciłam go z oczu. W tamtej chwili przez moją głowę przemknęło coś ciemnego. Myślałam, że go straciłam. I nie myliłam się.

– Strasznie mi przykro – mówi Shelley, ściskając mnie za rękę.

– Niepotrzebnie. Zachowałaś się jak prawdziwa przyjaciółka wobec...

– Powstrzymuję się w samą porę. Nie „wobec nas”. – Wobec mnie. A ja myślałam, że chcesz mnie oszukać. Myślałam, że chcesz mi wmówić, że tylko sobie wyobrażam różne rzeczy, choć one były prawdą. Po tamtym włamaniu do domu słyszałam, jak rozmawiasz przez telefon. Mówiłaś o mnie.

Shelley nie odpowiada. Patrzą, jak się zastanawia, próbuje sobie przypomnieć.

– Kłóciłam się wtedy z Timem. Dopiero co dowiedziałam się o jego romansie z tą kobietą z klubu golfowego. Nie chciałam ci o tym mówić, bo i tak miałaś dość własnych problemów. Bardzo cię przepraszam, że nie uwierzyłam ci, gdy opowiadałaś o tym facecie z linii lotniczych – ciągnie. – Policja powiedziała mi, że się wokół ciebie kręcił. Z nim też rozmawiali. Przyznał się, że był tamtego wieczoru w twoim ogrodzie. Powinnam była ci uwierzyć, ale myślałam, że...

– Myślałaś, że jestem szalona.

– Nie – protestuje Shelley.

– Nie szkodzi. Ja też sobie nie wierzyłam.

– Proszę, przyniosłam ci kwiaty. – Shelley podnosi z podłogi bukiet żółtych róż. Nie ma na nich zawieszki z supermarketu, są tylko dwie recepturki, które trzymają łądygi.

Wydaję z siebie dziwny odgłos i mój wzrok biegnie ku Shelley.

– Czy wtedy też przyniosłaś mi kwiaty?

– Kiedy?

– W dniu swoich urodzin znalazłam pod drzwiami tulipany... Myślałam, że... Myślałam...

– Och, Tess. – Shelley podnosi rękę do ust. – Strasznie przepraszam. Zupełnie o nich zapomniałam. Przyniosłam je ze sobą za pierwszym razem, kiedy przyjechałam, ale nie było cię w domu. Pomyślałam, że pojedę załatwić kilka spraw, a nie chciałam, żeby zwiędły w samochodzie przy włączonym ogrzewaniu. Więc położyłam je przy wejściu, myśląc, że mogą tam poleżeć do czasu, kiedy wrócę. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że przeważnie korzystasz z bocznych drzwi. Bardzo cię przepraszam.

Kiwam głową i między nami zapada cisza.

– Nadal usiłuję to wszystko zrozumieć – odzywam się po chwili. – Więc ten samochód, który mnie ścigał... To też nie była prawda? Ani

telefony od tego człowieka, który znał Marka? Sadler mówił, że jego zdaniem to też halucynacje.

– Policja przejrzała twój notes. Zapisłaś godziny, kiedy z nim rozmawiałaś. Detektywi skontaktowali się z firmą telefoniczną. Nie było żadnych telefonów.

– Aha. – Przymykam oczy i mrugam, żeby przegonić łzy. – Więc chyba jestem winna Ianowi przeprosiny. Myślałam, że próbuje mną manipulować, żeby przejąć pieniądze Marka. Ale to też nie była prawda, tak?

– Właściwie – odpowiada Shelley, nachylając się do przodu – to akurat była prawda. Ian naprawdę wszedł do domu pod twoją nieobecność. I okłamał cię co do pożyczki Marka. To on jechał za tobą wtedy po plaży. Pewnie chciał cię przestraszyć, żebyś zgodziła się przyjąć jego pomoc.

Moje ciało drętwieje. Sama już nie wiem, co jest prawdą, a co nie. Mówią mi, że Jamie nie żyje. Mówią, że nie było żadnego mężczyzny o szorstkim głosie. Ale Ian naprawdę próbował mnie staranować na drodze i naprawdę wszedł do domu i szperał w twoim gabinecie pod moją nieobecność.

– Ale dlaczego to zrobił? Dlaczego zwyczajnie nie poprosił mnie, żebym pożyczyła mu pieniądze? – pytam.

– Nie jestem pewna, ale przyznał się policji do wszystkiego.

– Coś mu za to grozi?

– Nie wiem – mówi Shelley. – Chyba postawią mu jakieś zarzuty. Niebezpieczna jazda, nękanie. I najście. Strasznie mi przykro, Tess. To musi być przytłaczające. Lepiej pozwolę ci odpocząć. Ale jesteś teraz we właściwym miejscu. Doktor Sadler pomoże ci wrócić do siebie.

– A co, jeśli ja nie chcę wrócić do siebie? – Po moim policzku spływa samotna łza. – Jamie jest dla mnie wszystkim.

– Tess, ale ty jesteś chora. Wydaje ci się, że ktoś cię nęka. Myślałaś, że chcę ci odebrać Jamiego. – Shelley porusza się na krześle i sięga po torebkę. – Ale... ale faktycznie zabrałam coś z twojego domu. – Rozsuwa zamek i wyciąga magnes na lodówkę ze zdjęciem Jamiego; ten, o którym myślałam, że spadł i poleciał pod lodówkę. – Bardzo cię przepraszam. Nie zamierzałam go zabierać, ale nie mogłam się powstrzymać. Czasami usiłuję sobie wyobrazić, jak wyglądałby teraz Dylan, a kiedy zobaczyłam to zdjęcie Jamiego z tymi jego blond loczkami i błękitnymi oczami, pomyślałam, że dokładnie tak wyglądałby mój synek, więc je wzięłam. Przepraszam.

Wciska mi magnes do ręki, a ja wpatruję się w buzię Jamiego, aż wszystko rozmywa się we łzach.

– Myślałam, że skoro obie straciłyśmy synów, będę w stanie ci pomóc. Ale zamierzam zrobić sobie przerwę od pracy konsultantki. Teraz, kiedy spędziłam z tobą trochę czasu, widzę, że sama też muszę jeszcze przepracować swoją stratę.

– Co byś zrobiła, żeby znowu zobaczyć Dylana? – pytam szeptem.

– Wszystko. Nie ma takiej rzeczy, której bym nie zrobiła.

– A co, jeśli naprawdę byś go zobaczyła? Co, gdybyś dostała go z powrotem, a ktoś próbowałby ci go odebrać i wmówić, że jesteś szalona? Co byś wtedy zrobiła?

– Nie... nie wiem.

Odwracam głowę, żeby na nią spojrzeć. Po jej policzkach spływają łzy. Wygląda, jakby miała się zaraz osunąć na podłogę.

– Tess, ale przy takiej chorobie nie możesz sobie po prostu dobierać elementów, które ci w niej odpowiadają – mówi, ocierając twarz. – Twoja paranoja i ten mężczyzna od telefonu... to również jest część schorzenia.

– Masz rację – kłamię. – Nie wspominaj, proszę, Sadlerowi, że tak mówiłam.

Shelley się uśmiecha i ujmuje moją dłoń obiema rękami.

– Z czasem będzie ci łatwiej.

– A tobie jest? – pytam.

W jej zielonych oczach błyszczą łzy.

– Nie.

Kiwam głową i znowu zamykam oczy, odcinając się od niej i jej bólu.

– Dziękuję – mówię szeptem. – Za wszystko, co dla mnie zrobiłaś, Shelley. Jesteś doskonałą przyjaciółką. – To kłamstwo przychodzi mi bez trudu. Właśnie to Shelley chce usłyszeć.

Słucham jej łkania i udaję, że zasypiam.

Rozdział 65

Ian Clarke

Przyznaję, że wszedłem do domu Tess pod jej nieobecność. Chciałem sprawdzić, czy nic jej nie jest. Nie podeszła do drzwi, a ja się martwiłem, więc otworzyłem sobie własnym kluczem i wszedłem. Trudno to uznać za włamanie, skoro miałem klucz. W końcu dom należał kiedyś do mojej matki. Niczego nie zabrałem, ale skoro już tam byłem, pomyślałem, że może uda mi się znaleźć polisę na życie Marka. Chciałem ją położyć na widoku, żeby Tess ją zobaczyła. Miałem nadzieję, że może da jej to potrzebny impuls, żeby się wreszcie zająć tą sprawą.

Bardzo żałuję wmawiania jej, że Mark był mi winien pieniądze. Podczas pogrzebu nie myślałem racjonalnie. Mój brat i bratanek dopiero co zginęli w tragicznych okolicznościach. Wydaje mi się, że wstrząsnęło to mną bardziej, niż zdawałem sobie sprawę. A w dodatku mój partner w interesach stwierdził, że chce sprzedać firmę i przejść na emeryturę. Przed Bożym Narodzeniem poprosiłem Marka o pieniądze, a on miał aplikować o kredyt, żeby mi pomóc. Gdyby to nie wyszło, wzięłby pożyczkę pod hipotekę. Ja zrobiłbym dla niego to samo, gdyby nie to, że nie miałem już zdolności kredytowej. W końcu byliśmy braćmi. Dbaliśmy o siebie nawzajem.

Potrzebowałem pieniędzy, a nie mogłem prosić Tess o pożyczkę na pogrzebie. Nie byliśmy ze sobą mocno związani. Nie chciałem jej okłamywać, ale spanikowałem i jakoś tak wyszło. Pomyślałem, że jeśli powiem, że Mark był mi dłużny pieniądze, Tess odstąpi mi trochę kwoty z jego polisy na życie. Wiedziałem o polisie, bo była o niej mowa w testamencie. Wiedziałem też, że Mark wszystko zapisał żonie i synowi. Chciałem tylko cząstkę, żeby uratować swoją firmę.

Nie zacząłem się na Tess, kiedy w Wielkanoc wracała z plaży. Po prostu tak się złożyło, że akurat wracałem z urodzinowego obiadu mojego znajomego i pomyślałem, że do niej zajadę. Dopóki nie zjechaliśmy z A12 do wioski, nawet nie zdawałem sobie sprawy, że to jej samochód. Błysnąłem światłami, żeby się przywitać, a wtedy ona docisnęła gaz do dechy. Pojechałem za nią, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku, ale nagle zjechała gwałtownie na drugą stronę jezdni i dopiero wtedy dotarło do mnie, że może niechcący ją przestraszyłem. Piłem do obiadu. Nie przekroczyłem limitu, ale chyba byłem na granicy. Nie chciałem tych wszystkich problemów z mierzaniem alkoholu we krwi, więc zawróciłem i pojechałem do domu.

Źle traktowałem Tess, teraz to widzę. Ale ja też straciłem bliską osobę. Wydaje mi się, że to wpłynęło na mnie bardziej, niż sobie uświadamiałem, lecz koniec końców ja naprawdę chciałem jej tylko pomóc.

Oświadczam, że wszystkie fakty podane w tym zeznaniu są prawdziwe.

Podpisano: Ian Clarke

Shelley Lange

Z perspektywy czasu łatwo powiedzieć, że powinnam była wcześniej się zorientować. Od początku pojawiały się różne oznaki. Nawet podczas mojej pierwszej wizyty w zlewie stały dwie miseczki po płatkach. Pomyślałam, że Tess po prostu zmieniła zdanie co do śniadania. Próbuje powiedzieć, że to naprawdę nie było takie oczywiste.

Tamtego wieczoru, kiedy przyjechała policja, a Tess powiedziała dyżurnemu, że Jamie leży w łóżku, myślałam, że może policjantom coś się pomieszało. Kiedy ją o to pytali, nic nie odpowiedziała. Musiałam im pokazać, że pokój Jamiego jest pusty.

Dopiero na plaży zyskałam pewność, że Tess ma halucynacje. Teraz jest mi strasznie głupio, ale wtedy nie chciałam w to wierzyć. Poza tym wydaje mi się, że jej zazdrościłam. Wiem, to brzmi okropnie, ale taka jest prawda. Tess w pewnym sensie nadal miała swojego syna, a ja mojego nie.

Następnym razem zobaczyłam ją, kiedy wybrałyśmy się na zakupy. Myślała, że zgubiła Jamiego.

Ian chciał jej przy wszystkich powiedzieć, że Jamie nie żyje, ale udało mi się go od tego odwieść. Powiedziałam, że lepiej to zrobić w domu. Teraz widzę, że się myliłam.

Nie jestem pewna, co mogłabym zrobić inaczej. Moje małżeństwo się rozpadało, żyłam w stresie. Zazwyczaj, kiedy poznaję nowych klientów, mogę sobie wmawiać, że im jest łatwiej. Stracili tylko brata albo rodzica. A ja straciłam dziecko. Mogę się zdystansować od ich cierpienia, od własnego także. Ale Tess straciła wszystko – i męża, i dziecko – i tak rozpaczliwie potrzebowała wsparcia...

Nie zdawałam sobie sprawy, że to były urodziny Jamiego. Na tym chyba częściowo polegał problem. Gdybyśmy wybrali inny dzień albo odczekali do poniedziałku, może wszystko potoczyłoby się inaczej, ale tego nie zrobiliśmy. Kiedy otworzyłam bagażnik samochodu Tess i zobaczyłam ten balon w kształcie ósemki, o mały włos, a pękłoby mi serce.

Tess już od progu była podenerwowana, jakby przeczuwała, że coś się stanie. Na pewno to, że Ian wparadował do środka, jakby dom należał do niego, nie poprawiło sytuacji. A potem Tess zaczęła nas oskarżać o różne rzeczy. Myślała, że ja i Ian ze sobą współpracujemy. Opowiadała jakieś bzdury, a Ian tylko wszystko pogarszał. W kółko powtarzał, że zwariowała. Kiedy Tess zaczęła mówić, stało się jasne, że widziała tam Jamiego. Raz za razem odgrywam sobie w głowie tamtą scenę. Tess wyraźnie zamierzała sięgnąć po nóż. Ian stał najbliżej – on też wyciągnął

po niego rękę. Chyba tylko po to, żeby powstrzymać Tess. Chwytał nóż, ale wcale jej nie dźgnął. Sama nabiła się na ostrze. Jak mówiłam, wszystko potoczyło się bardzo szybko. A potem Tess wyciągnęła z siebie nóż i upadła na podłogę. Zatałowałam krwotok z rany, a Ian wezwał karetkę. Resztę już państwo wiedzą.

Oświadczam, że wszystkie fakty podane w tym zeznaniu są prawdziwe.

Podpisano: Shelley Lange

Rozdział 66

68 dni po urodzinach Jamiego

Jaskrawe promienie słońca tańczą w szybach poprzecinanych rombowymi ramkami, padają jak strumienie latarek na nierówne drzwiczki kuchennych kredensów. Jeden ląduje na stole, rozświetlając białe pudełeczko ze schludnym maszynowym napisem: „Pani Teresa Clarke. Dwie tabletki na dzień (podczas posiłków)”.

Tak wiele się wydarzyło od czasu, kiedy ostatnio siedziałam przy tym stole z opakowaniem pigułek w dłoni. Tak wiele, a zarazem w ogóle nic, ale teraz wszystko jest inaczej. Nadal mi ciebie brakuje, Mark. To oczywiste. Ale nie tak jak przedtem. Teraz tęsknię za tobą jak za pewnym etapem w życiu – etapem randkowania, kiedy wszystko mogło się wydarzyć, etapem niemowlęstwa Jamiego i noszenia go na rękach. Tęsknota za tobą się zmieniła. Tkwi zamknięta w szklanej gablocie jak wypchane zwierzę – dzikie, piękne i groteskowe. Czasami chciałabym je uwolnić, ale nie mogę.

Niepotrzebny mi już twój głos, nie muszę zadawać ci pytań i słuchać twoich odpowiedzi. Zresztą tak naprawdę to wcale nie byłeś ty. Raczej moja wersja ciebie.

Byłeś wspaniałym mężem i ojcem. Nie można by nas nazwać małżeństwem idealnym, ale wydaje mi się, że łączyła nas największa bliskość, jaką można sobie wyobrazić pomiędzy dwojgiem ludzi. Kochałam cię. Nigdy nie powinnam była w to wątpić, ale teraz muszę pogodzić się z faktem, że cię nie ma, i skupić się na dalszym życiu.

Jamie i ja jesteśmy jak swoje odbicia: kiedy ja jestem szczęśliwa, on również. A kiedy on jest szczęśliwy, ja czuję, że żyję. Bez niego jestem niczym.

Tym razem będę ostrożniejsza, nie zamierzam nikogo wpuszczać do domu, kiedy on tu jest. Nie mogę sobie pozwolić na kolejny pobyt w szpitalu ani na zażywanie leków, a oni by mnie do tego zmusili. Nie mogę sobie pozwolić na to, żeby Jamie znowu uciekł. Ten człowiek o chropowatym głosie – on nie był prawdziwy. To było tylko złudzenie. Teraz to wiem. Więc kiedy znowu do mnie zadzwoni, nie muszę się bać.

Moglibyśmy się przenieść. Znaleźć jakiś domek na wybrzeżu, w innej wiosce, gdzie nikt nas nie zna. W końcu pieniądze nie będą już problemem. Byłoby mi o wiele łatwiej bez tych sesji z doktorem Sadlerem i stałych wizyt Shelley: „Jechałam właśnie na basen i pomyślałam, że wpadnę na herbatę”. Bez spojrzeń ludzi mijanych na ulicach wioski i niespokojnych pauz podczas rozmów telefonicznych z mamą i Samem. Ale ten dom, z jego niezliczonymi zakątkami i mrokiem, to miejsce, w którym przebywa Jamie. To jego dom, a on jest moim domem. Zostaniemy więc tutaj, tylko tym razem będę ostrożniejsza.

Ian wywinął się od zarzutów. W końcu trudno mnie uznać za świadka godnego zaufania. Dostał tylko upomnienie. Przyznał się, że informacja o pieniądzach, które byłeś mu dłużny, była kłamstwem. Znajdowałam się wówczas w takim stanie, że pewnie zwyczajnie bym mu je oddała – wtedy mógłby zachować swoją firmę. Wiem, że tamta pożyczka, o którą się ubiegałeś, była dla niego. Byłeś dobrym człowiekiem, Mark.

Czasami mu współczuję. On naprawdę starał się pomóc, no i chciał po prostu ratować swój biznes. Ale potem przypominam sobie te światła samochodu z tyłu i wypełnia mnie nienawiść.

Moje palce tańczą na foliowym opakowaniu. Puf, puf – dwie kredowobiałe tabletki wypadają na moją dłoń. Trzymam je przez chwilę w słońcu, a potem zaciskam dłoń.

– Jamie! – wołam po schodach. – Śniadanie!

Pauza. Chwila ciszy, od której serce wali mi w piersi i czuję znajome napięcie. Nasłuchuję ruchów, nie ważę się nawet odetchnąć. A co, jeśli znowu zniknął? Po moim pobycie w szpitalu przez dwa tygodnie nie mógł odnaleźć drogi do domu. Z początku trzymał się na dystans – mignięcie jasnych włosów w domku na drzewie, śmiech dobiegający z jego pokoju. Ale powoli do mnie wrócił, tak jak poprzednio.

Z piętra dobiega tupot jego stóp po podłodze. Znowu mogę odetchnąć.

– Ładny dziś dzień – mówię, kiedy Jamie wchodzi do kuchni w szkolnym mundurku, tak samo jak zawsze. – Może po szkole pojedziemy na plażę i poskaczemy sobie przez fale?

Jamie rozciąga usta w szerokim uśmiechu, odsłaniając chwiejącego się mleczaka. Szybko odwracam wzrok i sięgam do kredensu po płatki ryżowe.

– A możemy też iść na lody? – pyta Jamie, kiedy stoję odwrócona plecami.

– Oczywiście.

– Super! – woła radośnie.

Kładę płatki na stole obok jego miseczki i łyżki, po czym przypominam sobie o kredowych tabletkach zaciśniętych w dłoni. Idę do zlewu, uważając, żeby nie dotknąć brzuchem blatu. Rana powoli się goi. Zdaniem pielęgniarki środowiskowej, która zaszła do mnie w zeszłym tygodniu, za wolno. Widziałam, że wszystko jej o mnie powiedziano. Ciągle strzelała oczami po pokoju, jakby się za kimś rozglądała. Długo sprawdzała, czy liczba pustych opakowań po tabletkach się zgadza, i rozmawiała ze mną o tym, czy dawka leków jest odpowiednia. Musiałam ugryźć się w język, żeby powstrzymać się przed ponagleniem jej, bo czas odebrać Jamiego ze szkoły.

Podchodzę do zlewu i nalewam wody do szklanki. Woda jest chłodna. Łykam ją chciwie, a potem wylewam resztę tak, żeby spłukać tabletki

do odpływu.

Wyglądam przez okno i patrzę, jak słońce oblewa pole po przeciwnej stronie alejki. Niebo nad łądygami kukurydzy, które kołyszą się na letniej bryzie, jest cudownie, wręcz idyllicznie błękitne. Zmuszam się do tego, żeby patrzeć na nie jeszcze przez chwilę.

Tęsknię za tobą, Mark, teraz jednak muszę się skupić na Jamiem. Kiedy zginąłeś, mój świat się zatrzymał, ale bez Jamiego w ogóle nie mam żadnego świata.

– Gotowa? – dobiega mnie jego głos.

– Tak. – Odwracam się i uśmiecham do naszego doskonałego synka o pięknych błękitnych oczach.

Podziękowania

Historii Tess i Jamiego nie pisało mi się łatwo. Czasami wysysała ze mnie wszystkie emocje i kompletnie mnie wyczerpywała. Miałam w głowie wizję tego, jak chciałam ją ukształtować, ale nie zawsze potrafiłam przenieść to na papier (pierwszą połowę książki trzy razy musiałam usuwać i pisać od nowa). Pierwsze podziękowania (i to duże) należą się zatem mojej cudownej agentce Tanerze Simons za to, że obdarzyła mnie stuprocentowym zaufaniem i pomogła mi uczynić tę historię taką, jaka dzisiaj jest. Dziękuję też całej agencji Darley Anderson, w której Tanera pracuje!

Ogromne wyrazy wdzięczności dla moich wydawców, w tym dla całego zespołu wydawnictwa Transworld, a zwłaszcza dla mojej fantastycznej redaktorki Tash Barsby za entuzjazm, wsparcie i świetne redaktorskie uwagi oraz dla mojej publicystki Hayley Barnes za to, że wzięła tę książkę pod swoje skrzydła, i ogólnie za to, że jest przemiłą osobą. Dziękuję też Danielle Perez i całej ekipie wydawnictwa Berkley za wiarę w tę historię (oraz we mnie), a także za wspaniałe redaktorskie komentarze i wsparcie.

Jestem winna ogromną wdzięczność moim pierwszym czytelniczkom: Maggie Ewings (czyli mojej wspaniałej mamie), Mel Ewings, Pauline Hare i Rachel Burton. Towarzyszyłyście mi w tej podróży od samego początku, a wasza opinia i wsparcie miały dla mnie ogromne znaczenie.

Na wzmiankę zasługuje też moja rodzina: Steve Tomlin (mój tata), Maggie i Mel, Tony Ellingham i Katherine Cresswell – dziękuję wam za wszystkie kawy, pogaduszki, czekolady i zrozumienie, kiedy raz po raz znikaliśmy na całe tygodnie pochłonięta pisaniem.

Kathryn Jones, moja wspaniała przyjaciółko i osobista korektorko – dziękuję ci za to, że byłaś jedną z pierwszych osób, które przeczytały tę

książkę, i że pozwalałaś mi bez końca o niej nawijać podczas naszych spacerów z psem. Dziękuję za opiekę nad dziećmi, za organizowane dla nich spotkania, wizyty z noclegami, za wino i za to, że w trakcie tej długotrwałej, żmudnej pisaniny nie dałaś mi zwariować. Któregoś dnia zdołam wreszcie zapamiętać różnicę pomiędzy zawieźć/zawieść i nie będę musiała zamięczać cię esemesami.

Wszystkim niesamowitym blogerom, którzy z taką pasją wspierają i dopingują nas, pisarzy – dziękuję, dziękuję wam razy milion! A w szczególności Kaishy z The Writing Garnet, Rachel z Rachel's Random Reads i Anne Williams z Being Anne – wszystkim wam winna jestem dozgonną wdzięczność.

Na koniec muszę wspomnieć o moim mężu Andrew oraz dzieciach: Tommym i Lottie. „Dziękuję” to za małe słowo, by odpłacić wam za wszystko, co robicie, za śmiech i radość, które codziennie wnosicie do mojego życia. Kocham was.

Redaktor inicjujący: Joanna Maciuk, Ewelina Węgrzyn
Redaktor prowadzący: Magdalena Matuszewska

Przekład: Agnieszka Walulik
Redakcja: Sylwia Bartkowska
Korekta: Krystian Gaik, Piotr Królak

Projekt okładki: www.mulcaheydesign.com
Zdjęcie wykorzystane na I stronie okładki: © Stephen Mulcahey/Arcangel Images

Skład i łamanie: Plus 2 Witold Kuśmierczyk

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 48
tel. (22) 828 98 08
faks (22) 395 75 78
biuro@gwfoksal.pl
www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-8420-9

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](#)
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

The logo for Virtualo, featuring the word "virtualo" in a bold, lowercase, sans-serif font. The letter "v" is blue, and the remaining letters "irtualo" are black.